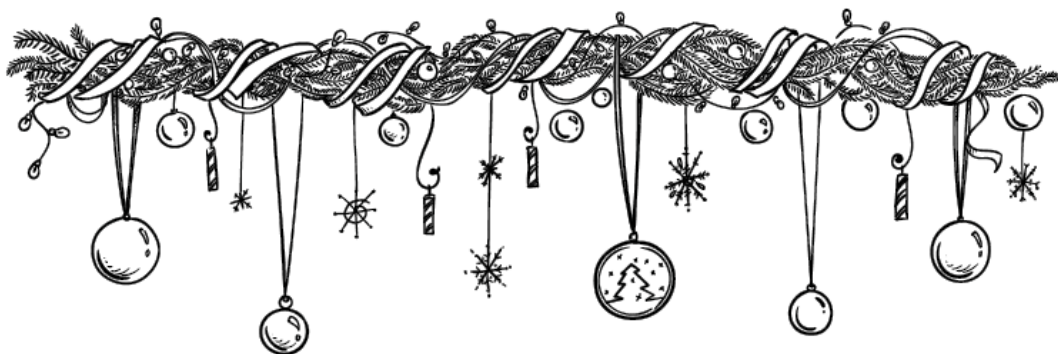


# MAGDALENA WITKIEWICZ

## Uwierz w Mikołaja

FILM  
W  
KINACH





MAGDALENA WITKIEWICZ

# UWIERZ W MIKOŁAJA



Projekt okładki  
*na podstawie plakatu filmowego*  
Juliusz Wojciechowski, artz.pl | Kino Świat  
Anna Slotorsz  
Redakcja

*Anna Seweryn*  
Zdjęcia na okładce

© *Adam Pluciński* | *Kino Świat*

© *Elinka Malinka* | *Shutterstock*

© *Modella* | *Shutterstock*

© *Melica* | *Shutterstock*

Ilustracje w książce

*Designed by Freepik* | *freepik.com*

*kjpargeter, olyakamieshkova* | *freepik.com*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

*Grzegorz Bociek*

Korekta

*Anna Jeziorska*

*Anna Żochowska*

Wszelkie postaci i wydarzenia przedstawione w powieści są wytworem wyobraźni autorki i dziełem fikcji, a ich podobieństwo do prawdziwych osób i faktów jest przypadkowe i niezamierzone.

Wydanie I, Chorzów 2023

tekst © Magdalena Witkiewicz, 2023

© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-030-3

Wydawnictwo FLOW

Lofty Kościuszko

ul. Metalowców 13/B1/104

41-500 Chorzów

[biuro@wydawnictwoflow.pl](mailto:biuro@wydawnictwoflow.pl)

+48 538 281 367

*Dla Kasi i Bartka Kobiaków z Amalki.  
Bartek, dzięki Tobie spełniło się moje marzenie  
i mam swoje miejsce na ziemi!  
Dziękuję i zapraszam Was nieustająco  
– zawsze będziecie mile widzianymi gośćmi.*



# Początek

Pewne historie zaczynają się od tańcu w deszczu, a inne od tego, że przez zupełny przypadek wpada na siebie dwoje nieznajomych. I wtedy świat wiruje, a zegarki mierzące puls rejestrują przyspieszoną akcję serca. Jednak ta historia się od tego nie zacznie. Nie było pary nieznajomych, jednakże świat nieco zawirował, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi dość wątłego, na oko siedmioletniego chłopca, który właśnie kamieniem wybił szybę wystawową chwilowo zamkniętego sklepu na tyłach centrum handlowego. Pewnie by jej nie wybił, gdyby nie stanowcze oświadczenie jego mamy, że w grudniu to zdecydowanie nie gra się w piłkę nożną. A tak wyszalałby się na boisku i nigdy nie wpadłby na pomysł rzucania kamieniem w sklepową witrynę.

– A w co się gra zimą? – zapytał, zaciekawiony.

– Nie wiem. – Zajęta czymś mama wzruszyła ramionami.

Jakoś tak się zdarza, że w przełomowych momentach mamy są często zajęte i zupełnie nie zdają sobie sprawy, iż ich odpowiedź może zaważyć na losach świata, a przynajmniej miasta.

– Zimą na pewno nie gra się w piłkę nożną. O! – przypomniała sobie. – Niektórzy grają za to w hokeja. To znaczy takim kijem uderzają ciężkie krążki.

Mały chłopiec wziął więc kij (z zaskoczeniem odkrył go w domowym składziku, choć nikt nie wiedział, jak się tam znalazł), a w związku z brakiem hokejowego krążka chwycił kawałek obluzowanego krawężnika. Ten z pewnością nie byłby uszkodzony, gdyby poprzedniego dnia wielki samochód, wiozący nową dostawę pachnących drzewek, niefortunnie na niego nie wjechał. W ferworze świątecznych przygotowań zupełnie nikt tego nie zauważył. Można więc powiedzieć, że wszystkie znaki na niebie i ziemi zdawały się sprzyjać młodemu hokeiście.

Wybitej szyby na tyłach centrum handlowego w chwilowo nieczynnym sklepie również nikt nie dostrzegł. Ani policjant, który w tygodniu przedświątecznym miał naprawdę dużo na głowie, ani mama z córeczką, które nic nie kupowały, tylko marzyły, co by mogły kupić, gdyby je było na to stać, ani starsza pani, która buszowała w sklepie monopolowym, bo zapragnęła napić się ostatni raz przed śmiercią siedmiogwiazdkowego koniaku. Robiła tak co roku już od dziesięciu lat. Rozbitej szyby nie zauważył też postawny mężczyzna, który siedział w przestronnym pokoju na ostatnim piętrze budynku i obserwował monitory rejestrujące obraz z kamer. Był przekonany, że widzi wszystko oraz że wszystko ma pod kontrolą, włącznie z własną żoną. Ona również nie spostrzegła szkody wyrządzonej przez małego chłopca, bo w tym czasie była zajęta zdecydowanie czymś innym.

\*\*\*

Gdyby chłopiec wiedział, że jego pierwszy w życiu trening gry w hokeja przyniesie takie skutki, natychmiast przestałby się denerwować i szczerze by się uśmiechnął, a może nawet głośno zarechotał. Jednak on przez łyzy widział tylko rozbitą w drobny mak szybę. Postanowił uciekać i nikomu nie mówić o tym zdarzeniu.

I tylko dzięki temu małemu chłopcu oraz nieuważnemu kierowcy ciężarówki cała ta historia mogła się wydarzyć. W innym wypadku losy kilkorga mieszkańców pewnego

miasta potoczyłyby się zupełnie inaczej. Inny scenariusz tych wydarzeń byłby z pewnością ogromną szkodą dla ludzkości. Naprawdę ogromną.

# Rozdział 1

*Dzień dobry państwu! Zapowiada się piękny grudniowy poranek. Słońce powitamy w Warszawie o godzinie siódmej czterdzieści, a pożegnamy o piętnastej dwadzieścia trzy. Dzień będzie krótszy od najdłuższego dnia w roku o dziewięć godzin i trzy minuty.*

*Imieniny obchodzą dzisiaj: Auksencja, Auksencjusz, Auksenty, Bogusław, Flawit, Gościmir, Gracja, Gracjan, Kwintus, Miłostaw, Nemezja, Rufus, Symplicjusz, Wilibald, Winibald, Wszemir, Zofia, Zozym.*

*My wprawdzie nie znamy nikogo o imionach Winibald i Zozym, ale jeżeli znacie, koniecznie złóżcie im życzenia! Do końca astronomicznej jesieni zostały trzy dni, a od świąt dzieli nas niespełna tydzień!*

# 1.

Agnieszka od dłuższego czasu wpatrywała się w telefon, niezupełnie wierząc w to, co przed chwilą usłyszała. Minę miała niewyraźną. A dokładniej rzecz biorąc, chciało jej się płakać. Czuła się tak samo jak wtedy, gdy miała lat dziewięć i okazało się, że jej miejsce na kolonię zagraniczną zajęła jakaś bardzo ważna córka jakiegoś jeszcze ważniejszego ojca. Tylko tym razem nie chodziło o kolonię, a o święta, które miała nadzieję spędzić, jak co roku, ze swoją babcią.

– Co się stało?

– Babcia nie chce, bym przyjechała na święta. – Niepewnie pokręciła głową.

– Twoja babcia? – Marta, koleżanka z pokoju w akademiku, miała minę jeszcze bardziej niewyraźną niż Agnieszka. – Przecież wy kochacie święta! Bombki, biały obrus, pięknie zapakowane prezenty pod choinką, opłatek, wspólne śpiewanie kolęd... I inne takie... – Machnęła ręką, nie zważając na to, że w miarę wymieniania kolejnych świątecznych symboli z oczu Agnieszki zaczęły kapać łzy wielkości grochu. – Przecież ty nie wytrzymasz bez świąt! O Jezu, przepraszam!

Zreflektowała się, ale jej współlokatorka rozkleiła się już na dobre.

– Co się stało? – czule zapytała Agnieszkę, bo przez chwilę poczuła się niemal jak Grinch, który swoimi słowami odebrał przyjaciółce ostatnią nadzieję na rodzinne Boże Narodzenie.

– Naprawdę nie wiem... To mi do niej nie pasuje. – Zamyśliła się, jakby szukając sensownych argumentów, ale najwyraźniej na nic nie wpadła, bo dodała rozpaczliwym tonem: – Od zawsze święta spędzałyśmy razem. Najpierw chyba jeszcze z rodzicami...

\*\*\*

Rzadko mówiła o rodzicach. W zasadzie pamiętała ich tylko ze zdjęć, które babcia przechowywała w drewnianej skrzyneczce, na półce pod telewizorem. Potem chwile uwiecznione na fotografiach zaczęły się mieszać ze wspomnieniami i już sama nie wiedziała, co pamiętała naprawdę, a co wyobraźnia podpowiadała jej na podstawie scen uwiecznionych aparatem.

Rodzice Agnieszki zginęli w wypadku, gdy miała niespełna dwa lata. Miała jechać z nimi, ale babcia stwierdziła, że młodym należy się trochę oddechu od dziecka. Nie zdołali dotrzeć na swoje ukochane Mazury... Oboje zginęli na miejscu. Agnieszka nie znała szczegółów, nigdy o nie nie pytała. W zasadzie nie wiedziała też, jak to jest mieć rodziców. Z nią zawsze była babcia Helenka – dla niej ojciec i matka w jednym. I najlepsza przyjaciółka.

Po tym tragicznym wypadku babcia przeprowadziła się do ich mieszkania. Tam spędziły kilkanaście lat, co roku jeżdżąc w wakacje do niewielkiego domu na Kaszubach, gdzie wcześniej mieszkała babcia. Gdy Agnieszka wyjechała na studia do Warszawy, babcia wróciła do siebie, a pięknie urządzone cztery pokoje w starej, ale odrestaurowanej kamienicy wynajęto.

Od tej pory jedynym miejscem, do którego Agnieszka wracała, był domek babci Helenki, niedaleko Sulęcyna, położony w samym środku lasu, ale też bardzo blisko jeziora. Kiedyś cały teren należał do jej rodziny – wielkie gospodarstwo, konie, zwierzęta



i pola uprawne. Ziemia na Kaszubach nie jest zbyt urodzajna, więc plony nie były zbyt obfite, ale ten zakątek był za to nad wyraz urokliwy. Pewnie dlatego co jakiś czas przyjezdni nękali babcię, by odsprzedała kawałek ziemi, na którym powstawał później domek letniskowy. Zatrzymała sobie jednak na tyle duży obszar, że najbliższe domostwa były oddalone o kilka kilometrów. Taka samotnia. Ale ani babci, ani Agnieszce to zupełnie nie przeszkadzało, a wręcz pomagało wypoczywać z dala od miejskiego zgiełku.

Latem chodziły nad jezioro, a zimą czasem tak je zasypało, że przez kilka dni nie miały w ogóle łączności ze światem, chociaż nissan patrol babci sprawdzał się znakomicie, nawet gdy okoliczne dróżki były niemalże zupełnie nieprzejezdne. Babcia Helenka uważała, że każda kobieta powinna mieć prawo jazdy, by nigdy, ale przenigdy nie być od nikogo zależną.

– Agnieszko, nie musisz robić wielu rzeczy w życiu – zwykła mawiać – ale gdybyś chciała spróbować, musisz sobie z nimi dawać radę.

Wnuczka próbowała zatem wszystkiego i tak naprawdę nie było zbyt wielu rzeczy, których mogła się przestraszyć.

Gdy mróz był siarczysty, Agnieszka jeździła na łyżwach po jeziorze. Potem, gdy łyżwy nie nadawały się już do użytku, babcia zawiesiła je na drzwiach od komórki. I tak wisały do teraz. Latem wkładały do nich polne kwiaty, a zimą świerkowe gałązki, które stroiły świątecznymi dekoracjami. Zresztą w tym magicznym miejscu pełno było takich urokliwych przedmiotów. Każdy, kto tam trafiał, zakochiwał się bez pamięci. Jak wtedy, gdy zabrała na Kaszuby zimą przyjaciół ze studiów. Zjeżdżali na sankach i jabłuszkach z pobliskich gór, a wieczorem pili grzańca przed kominkiem.

Raj...

\*\*\*

– A co ci babcia tak właściwie powiedziała? – Marta wyrwała Agnieszkę z zamyślenia.

– Że mam się rozerwać i gdzieś wyjechać z przyjaciółmi – jęknęła, jakby co najmniej oznaczało to skazanie na tortury. – Mówiłam jej, że na święta lecicie na Malediwy i ona, ku mojemu zaskoczeniu, uznała, że z pewnością nie marzę o niczym innym, jak o spędzeniu Bożego Narodzenia tysiące kilometrów od niej.

– Może powinnaś do niej mimo wszystko pojechać i z nią pogadać? – nieśmiało zasugerowała Marta. – Chociaż na Malediwach będzie fajnie, no i...

– Tak, tak, mówiłaś już – przerwała koleżance. – Będzie cudnie, ciepło, i będzie twój brat...

– Którego poznałaś z najgorszej strony.

– A ma jakieś lepsze? – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Może byś się przekonała, gdybyś spędziła z nim kilka dni?

Agnieszka pokręciła głową.

– *Never!*

– Przypomniały ci się angielskie czasy?

– Martuś, naprawdę mnie nie przekonasz. Ciebie kocham jak siostrę, ale twój braciszek prowadzi dość rozrywkowy tryb życia i chyba nie za bardzo mi to pasuje.

Marta westchnęła.

– Oceniasz go przez pryzmat tych kilku dni...

- Rozmawialiśmy już o tym i nie ma sensu do tego wracać – ucięła Agnieszka.
- Marta zrozumiała, że i tym razem nic nie wskóra w kwestii starszego brata, zatem postanowiła nie drążyć tematu.
- Wracając do sytuacji z babcią... Co zrobisz? – zapytała.
- Oczywiście, że do niej pojedę – powiedziała stanowczo Agnieszka. – Gdy tylko będę mogła. Urwę się z kilku zajęć i wyruszę wcześniej. – Zamyśliła się na chwilę. – Marta... To do niej zupełnie niepodobne. Ona tak się nie zachowuje. Musiało się coś stać.

## 2.

Marta nie lubiła świąt. Uważała, że te wszystkie bożonarodzeniowe symbole są żalodne. Kicz nad kicz. Tłum w sklepach i non stop George Michael z tym swoim *Last Christmas*. Wydawało jej się niewiarygodne, że dorośli ludzie ekscytowali się tymi tandetnymi czerwonymi, złotymi i zielonymi błyszczącymi ozdobami, które zawieszali na jakimś wyciętym z lasu drzewie, by po kilku dniach to drzewo wyrzucić na śmietnik. No bzdura!

Marta wolała się ekscytować palmą. I to najlepiej siedząc pod nią. A one zwykle rosną gdzieś w ciepłych krajach (idealnie, jeśli tuż przy plaży). A zamiast karpia mogła zjeść owoce morza w Tajlandii lub Wietnamie. Albo sushi. Dlatego zawsze w czasie świąt wyjeżdżała gdzieś za granicę, jak mówiła: „naładować akumulatory”. Tym razem też miała takie plany. Ze starszym bratem i jego przyjaciółmi. Często podróżowali w takim gronie, stanowili zgraną paczkę.

W tych świątecznych planach najpierw uwzględniała rodziców, jednak gdy się wykręcili pod byle pretekstem, zbytnio się nie zmartwiła. Przecież to dzień jak co dzień. Życzenia noworoczne mogła im złożyć później.

Z mamą rozmawiała czasem przez telefon, widywały się rzadko. Z ojcem kontakt miała sporadyczny. Niekiedy dzwonił. Lubiła z nim dyskutować, chociaż zwykle był zamknięty w sobie i dosyć mrukliwy.

Właściwie w ich domu nigdy nie było świąt. Takich prawdziwych, rodzinnych, jakie oglądała w telewizji. Dopóki była mała, zawsze wyjeżdżali gdzieś za granicę. Kiedyś nawet spędzili Boże Narodzenie na plaży w Australii. Czy to lubiła? Sama nie była tego pewna. Po prostu tak było od zawsze. Innych świąt nie znała, a przynajmniej z własnego doświadczenia. Widziała takie przesłodzone, sielskie i wnerwiająco urocze w komediach romantycznych, których nienawidziła z całego serca, zatem oglądała je tylko w przelocie. O wigilijnej codzienności dowiadywała się od Agnieszki, która była w tym zakresie prawdziwą specjalistką. Nie zmieniało to faktu, że dla Marty wszystkie te opowieści o tradycji i zwyczajach bożonarodzeniowych to była abstrakcja na poziomie relacji o yeti i krainie jednorożców.

\*\*\*

Gdy Marta rozpoczęła studia, właściwie jej rodzina przestała funkcjonować jako całość, także jeśli chodzi o wspólne wyjazdy. Jej brat żył już swoim życiem, u rodziców też zaszły zmiany. Kiedy zostali sami w ogromnym domu, przestali się dogadywać. Z ojcem nietrudno było się pokłócić. Absolwent szkoły wojskowej, bezkompromisowy, chcący wszystko mieć pod kontrolą. Zawsze robił biznesy i wszędzie go było pełno. W pewnym momencie stwierdził, że czas przejść na emeryturę, i wtedy życie stało się jeszcze gorsze.

Marta uciekła do Warszawy, poszła w ślady swojego brata, który wtedy studiował i nie zanosilo się na to, by te studia szybko skończył. Chyba właśnie dlatego, by nie wracać do domu. Ale czy oni mieli do czego wracać? Nie bardzo. Mama założyła swój biznes, który pochłaniał większość jej czasu i energii. Ojciec nie wytrzymał długo na emeryturze i kupił dużą galerię handlową w centrum miasta, traktując to miejsce niemal jak własny plac

zabaw. Oboje spędzali więcej czasu w swoich firmach niż pod jednym dachem, więc miejsce określane jako dom było nim tylko z nazwy. Ojciec znowu mógł kontrolować wszystkich i wszystko, ale nie uprzykrzał tym życia rodzinie. I tak przez lata nauczyli się funkcjonować w myśl zasady: „z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach”, szczególnie że rzadko kiedy mieli okazję, by wspólnie do nich pozować.

Zaskakujące w tej całej sytuacji było to, że rodzeństwo spotykało się stosunkowo często. Głównie na imprezach. Marta dorosła wreszcie do takiego wieku, że była mile widziana wśród jego znajomych, zwłaszcza gdy przychodziła z koleżankami. Nie miała problemu, by którąś z nich do tego zachęcić, bo jej brat był czarujący jak mało kto i podobał się niemal wszystkim dziewczynom. Jednak w miarę upływu lat przybywało też serc złamanych przez przystojnego bruneta. Wyglądało na to, że niedługo jedyną kobietą z jej roku, której ten don juan nie poderwał i nie porzucił, będzie ona sama. Był przy tym jednak tak uroczy, że nie potrafiła mieć do niego pretensji.

O dziwo, byli ze sobą bardzo związani, lubili spędzać razem czas i troszczyli się o siebie nawzajem. Gdy byli młodszy, bywało różnie, jednak teraz stali się dla siebie najlepszymi przyjaciółmi. W więzy krwi Marta nie za bardzo wierzyła. Bo cóż to takiego? Krew to po prostu jakaś czerwona ciecz. Każdy ma nieco inną, ale co z tego.

Od wielu lat święta spędzali razem. To na Dominikanie, to na Krecie, to w innych egzotycznych miejscach, które akurat przyszły im do głowy. Stać ich było na to, bo oboje żyłkę do interesów odziedziczyli po rodzicach. Marta zwykła mawiać, że dorabia sobie do studiów, pracując jako modelka. Takie stwierdzenie było jednak tylko częścią prawdy, naznaczoną pewnym lekceważeniem tego, co robi. W rzeczywistości bowiem była wziętą modelką, chadzała na wybiegach w Polsce i za granicą, a do tego woda sodowa nie uderzyła jej do głowy, bo na szczęście studia wciąż były dla niej najważniejsze. Zarobione pieniądze odkładała i wydawała na podróże. Cała Marta – rozsądek zabarwiony szczyptą szaleństwa i ekstrawagancji.

Jej brat wciąż rozkręcał własne firmy. Studiował informatykę już chyba od dziesięciu lat i zupełnie nie potrzebował do szczęścia tytułu magistra. Wieczny student miał jednak ułańską fantazję, jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy. Zaczynał od firmy eventowej. Szumnie brzmiało, a sprowadzało się do tego, że w wigilijny wieczór przebierał się za Mikołaja i rozdawał dzieciom prezenty. Sam nie miał emocjonalnego podejścia do tego dnia, mógł więc pracować dla tych, dla których była on jednym z ważniejszych w roku. Potem się przebranżowił, ale strój Mikołaja jeszcze wisiał w szafie. Na pamiątkę pierwszego biznesu i pierwszych poważnych pieniędzy. Okazało się bowiem, że na tych przebierankach można całkiem niezłe zarobić. Podejrzewał, że pewnie bardziej można się wzbogacić na wyskakiwaniu z tortu, ale nigdy się na to nie zdecydował.

Wybrał inną drogę – założył firmę informatyczną. Z lenistwa, bo ostatecznie przecież miał dosyć gruntownie przerobiony program studiów. Szybko się okazało, że jest w tym całkiem niezły i pozyskał nawet klientów za granicą. Szczególnie często jeździł do Londynu. Wrodzone zdolności i biznesowa intuicja w połączeniu z ujmującym sposobem bycia sprawiły, że po kilku latach prowadził dwie firmy, zarabiał już przynajmniej dziesięć razy tyle, co jego wykładowcy, i doprawdy nie widział potrzeby kończenia studiów. To doprowadzało do częstych spięć z ojcem. Dlatego też ojca unikał, jak tylko mógł.

\*\*\*

Brat Marty bardzo nie lubił konfliktów. Wszystko w życiu przychodziło mu na tyle łatwo, że się do tego przyzwyczyił. Wprawdzie była taka jedna, co nie chciała mu przyjść łatwo, ale...

Zabiegał o nią trochę, co jednak nie przeszkadzało mu spotykać się z innymi. W ten sposób całkowicie przekreślił sobie drogę do wybranki. Przejmował się tą sytuacją kilka dni, wypił kilka piw, poderwał parę dziewczyn i swoim zwyczajem stwierdził, że jutro przyniesie nowe, lepsze rozwiązania. Jednakże zdarzało mu się, że tęsknił za tą nieuchwytną dziewczyną z włosami jak sprężynki. Wielokrotnie prosił los o to, by pozwolił mu spędzić z nią czas sam na sam. Chociaż kilka chwil. Kilka minut, godzin albo dni. Na przykład trzy dni. Trzy dni sam na sam. Byleby nikt im nie przeszkadzał. Wtedy mógłby jej wytłumaczyć, o co tak naprawdę chodzi.

Starszy brat Marty zawsze miał szczęście. Nie denerwował się zatem, korzystał z życia i spokojnie czekał na to, aż los będzie mu sprzyjał jeszcze bardziej niż do tej pory. Wiedział, że to tylko kwestia czasu. I – co najlepsze – miał rację.



### 3.

Pani Helenka kochała święta. Dlatego też, kiedy przekroczyła próg domu seniora, nazwanego z angielska Happy End, bardzo się przestraszyła, że gdy tylko się tam zamelduje, nastąpi ten nieszczęsny „end”, na który zdecydowanie nie była jeszcze gotowa. Potem jednak zaczęła się rozglądać, by się przekonać, czy atmosfera tam panująca jest chociaż w kilku procentach świąteczna i grudniowa. Po wstępnych oględzinach okazało się, że zanim nastąpi ten „end”, może przez jakiś czas będzie chociaż trochę „happy”, choć chwilowo wcale nie było jej do śmiechu.

„Przekroczyła próg” w sensie dosłownym nie było zbyt trafnym określeniem, bo właściwie ten próg przejechała, siedząc na wózku. Oczywiście upierała się przy tym, że nie jest jakąś egipską księżniczką, by być noszoną w lektyce, czy angielską królową, by jechać w karocy, ale pielęgniarz był nieugięty i upierał się, że żaden pensjonariusz ze złamaną nogą nie będzie kuśtykać po schodach. Pani Helenka podejrzewała, że po prostu w natłoku obowiązków nie chciał się z nią użerać, i pomyślała, nieco uszczypliwie, że przynajmniej na początku mógł chociaż stwarzać pozory, iż w domu opieki dla osób starszych życie płynie wolniej i wszyscy dla wszystkich mają czas.

Oczywiście nie trafiłaby tam, gdyby nie ta noga. W sumie mogłaby jakoś funkcjonować, gdyby nie mieszkała kilka kilometrów od najbliższego sklepu albo gdyby chociaż jej samochód miał automatyczną skrzynię biegów, a ona umiałaby takim dziwnym ustrojem jeździć.

Po namyśle doszła nawet do wniosku, że sklep nie byłby problemem, ale palenie w piecu, a także noszenie węgla i drewna mogłoby już stanowić pewną trudność. Z niesprawną nogą wykonywanie zwykłych codziennych czynności byłoby zdecydowanie uciążliwe.

Pani Helena po raz pierwszy w życiu poczuła się stara i – jakby to powiedzieć – z lekka niedołązna. Cóż to jest za straszne słowo! Kiedyś nawet mogła ułożyć je, grając w scrabble ze swoją wnuczką (potrójna premia literowa i to na „ż”), jednak teraz stchórzyła, nie chciała tego oglądać w postaci tabliczek z literkami. Gdy jechała na tym wózku (niczym Elżbieta II w karocy w swoje urodziny), doszła do wniosku, że sto razy bardziej wolałaby widzieć to na planszy do scrabble, niż tego doświadczać. Niestety, stało się. A wszystko przez łakomstwo. Pokarało ją, zdecydowanie!

\*\*\*

Pani Helenka od pewnego czasu starała się dbać o linię. Była zadziwiona, że fartuszek, który zawsze przywdziewała do domowych porządków, zaczął się mocno opinać na jej brzuchu i biuście. Jednak jeszcze wtedy nie rozległ się alarm w jej głowie, bo przecież materiały tak często lubią się zbiegać w praniu. Czerwona lampa zapaliła się dopiero wówczas, gdy po tym, jak się schyliła, ścieląc łóżko, guzik od fartuszka odpadł i potoczył się gdzieś w kąt. Nomen omen, czerwony guzik.

Wtedy to podjęła decyzję, że wszystkie słodkie będzie chowała na szafie, tuż pod sufitem. Aby dostać się do tej skrytki, musiała zejść do piwniczki po drabinę, bo bez niej nie mogłaby sięgnąć po grzeszną przyjemność. Grzeszna przyjemność przyjmowała doprawdy różne oblicza. Często były to pierniczki, czasem kruche ciasteczka, innym

razem domowe makaroniki z płatków owsianych, mleka w proszku, cukru i kakao. Pani Helena zawsze je piekła w ilościach hurtowych, na wypadek gdyby przybyli jacyś niezapowiedziani goście albo gdyby wybuchła wojna. Nie żeby była pesymistką, ale jako wojenne pokolenie nauczona była, by być zawsze przygotowaną na każde okoliczności.

Agnieszka, jej wnuczka, śmiała się z zapasów, które babcia gromadziła w ilościach umożliwiających wykarmienie pułku wojska.

– Babciu, mole prędeż ci się w tej kaszy zalęgną – mówiła.

– Nie zalęgną. – Babcia stanowczo kręciła głową. – Jak rozłożysz wszędzie suszony liść laurowy, to się nie zalęgną.

– Ale przecież w każdej chwili można pójść do sklepu i dokupić.

– Phi, jasne, pięć kilometrów w jedną stronę. Wiesz, że nie lubię już jeździć autem. Wzrok nie ten.

– Przecież wystarczy, że zadzwonisz do pana Zbyszka, a on ci wszystko przywiezie.

– Pan Zbyszek, pan Zbyszek! – denerwowała się babcia. – Jeździ co tydzień. A jak nie będzie miał tego, co akurat chcę, to co ja zrobię?

Faktycznie, nie było wyjścia. Trzeba było gromadzić zapasy. Na czarną godzinę, na godzinę, gdy się zjawią niezapowiedziani goście albo gdy nastąpi jakikolwiek kataklizm i zostanie uwięziona sama w środku lasu. Agnieszka widziała kiedyś film dokumentalny o amerykańskich *preppersach*, szykujących się na globalną wojnę nuklearną, i pomyślała sobie, że babcia zdecydowanie mogłaby być guru tego ruchu i wiele mogłoby się od niej nauczyć.

– Trzeba tak żyć, by mieć zapas na czterdzieści dni – zapewniała staruszka.

Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego akurat czterdzieści, ale jej matka zawsze tak mawiała, podobnie jej babka i pewnie wszystkie kobiety kilka pokoleń wstecz. Pewnie to miało jakiś związek z Jezusem, który czterdzieści dni był na pustyni, ale pani Helenka w to zupełnie nie wnikała. Najważniejsze, że zawsze była przygotowana.

\*\*\*

Jak już wiemy, nogę złamała przez łakomstwo. Zapragnęła kruchych maślanych ciasteczek, wyciskanych przez maszynkę, które upiekła w poprzednim tygodniu, i stojąc na ostatnim szczeblu drabinki, straciła równowagę, spadła i się ogromnie potłukła.

Zadzwoniła do pana Zbyszka, który tak naprawdę nazywał się Karol, ale odziedziczył swoją firmę po ojcu Zbigniewie, i po raz pierwszy w życiu poprosiła kogoś o pomoc.

– Karolu, chyba złamałam nogę – powiedziała bez ogródek.

Karol był prostym człowiekiem i nie załapał od razu, że pani Helena nie dzwoni do niego wyłącznie po to, by się wyżalić, tylko potrzebuje konkretnej pomocy w rozwiązaniu problemu. Rozmawiał z nią już pół godziny i nawet był z siebie dumny, że potrafi udzielić tak solidnego psychologicznego wsparcia, gdy nagle starsza pani bezceremonialnie przerwała jego wywód:

– Do cholery, Karolu, boli mnie! Przyjeżdżaj tu szybko i zawieź mnie do szpitala!

Karol nie był przyzwyczajony, że starsza pani klnie, zatem wreszcie dotarło do niego, że sytuacja jest nader poważna. Stanął na baczność i sprężył się do tego stopnia, że po dziesięciu minutach pochylał się już nad panią Helenką, zastanawiając się, jak ją chwycić, by jej nie urazić.

– Karolu drogi, czy ty czekasz na moje powolne zejście? – irytowała się poszkodowana, która jednak nawet w tak niefortunnej sytuacji nie straciła poczucia humoru.

– Bo ja... Bo ja nie wiem, jak panią podnieść. Nie chciałbym, by pani myślała, że ja panią obłapiam czy coś.

– Karolu miły, ja już za stara na obłapianie jestem. Ty mnie po prostu chwyć i do szpitala wieź – westchnęła.

– To ja może zadzwonię do Agnieszki?

– W żadnym wypadku! – warknęła Helena, złowrogo patrząc na chłopaka. – Ona nie może się o niczym dowiedzieć.

Karol patrzył na staruszkę nic nierozumiejącym wzrokiem. Helenka machnęła tylko ręką, bo było jej już okrutnie niewygodnie na twardych deskach podłogi, a po telefonicznej rozmowie ze swoim wybawcą wiedziała, że stać go na naprawdę rozbudowane konwersacje.

– Nieważne, Karolu. Ja do niej sama zadzwonię... Co za cholerne ciasteczka! Gdyby nie one, w życiu bym tej nogi nie złamała.

Karol szybko cofnął rękę. Sięgał właśnie po apetycznie wyglądające ciastko, jednak skoro ono było przyczyną tego całego nieszczęścia, to wolał nie ryzykować. Nie wiadomo, co staruszka tam dosypała.

\*\*\*

Pani Helena wcale nie miała zamiaru dzwonić do wnuczki. A już w żadnym wypadku nie po to, by zwierzać się ze swojej życiowej nieudolności. Też coś! Chciała sprawiać wrażenie, że jest niezniszczalna. Już dość tragedii życiowych spotkało Agnieszkę i więcej naprawdę dziewczyna nie potrzebowała. Najgorsze w tym wszystkim było to, że zbliżały się święta, a chirurg o wyglądzie Apolla nie pozostawił żadnych złudzeń.

– Helenko, na święta to pani sobie będzie mogła renifery na tym gipsie namalować. – Miał minę, jakby to, co powiedział, miało się wszystkim wydawać dowcipne.

Nie to, by Helenka miała coś przeciw reniferom, ale nie uśmiechało jej się w święta stukać gipsem w drewnianą podłogę swojego domu w lesie. Zresztą chyba by sobie nie poradziła. Jedzenia wprawdzie miała na czterdzieści dni i Karol vel Zbyszek nie musiałby nawet jej nic dowozić, ale węgla to sobie sama chyba nie byłaby w stanie przynieść. „Chociaż może? Przecież ludzie żyją i kulawi, i garbaci i jakoś sobie radzą” – myślała z nadzieją, wciąż mając jednak wątpliwości. Jednego natomiast była pewna – Agnieszka nie może jej zobaczyć w takim stanie, a z pewnością chciałaby spędzić z babcią święta.

– Jest taki dom seniora, pani Helenko. – „Apollo” siedział w nogach łóżka i trzymał rękę na kolanie starszej pani.

– Jestem oburzona! – zachnęła się.

„Apollo” szybko cofnął dłoń.

– Nie tym, panie doktorze.

– A... czym? – zapytał niepewnie doktor.

– Domem starości! – krzyknęła gromko starsza pani.

– Ależ, pani Helenko! Domem seniora! – sprostował lekarz, wymachując ulotką.

– Tu jest napisane „Happy End”, panie Apollo, ja wiem, co to znaczy „end”. Nie tylko młodzi znają języki.

– Krzysztof – sprostował pan doktor.

– Jaki Krzysztof? – Zdezorientowana pani Helenka pokręciła głową.

– No ja jestem Krzysztof – powiedział cicho coraz bardziej przerażony chirurg.

– No, widzisz pan! Wszystko jest nie tak. Wyglądasz pan jak Apollo, a nazywasz się zupełnie zwyczajnie, a mówisz mi o domu seniora, który rzekomo ma mi pomóc przetrwać, a złowrogo obwieszcza mój koniec.

– Ale w szczęściu, pani Helenko – próbował ratować sytuację lekarz.

– Niemniej jednak koniec. – Wzruszyła ramionami.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Apollo vel Krzysztof miał rację. Sama sobie nie poradzi, a Agnieszki nie chciała ściągać do pomocy. Znała ją, z pewnością rzuciłaby wszystko, z marszu wyruszając na Kaszuby. A przecież to niedorzeczne. Dziewczyna miała swoje sprawy, studia, egzaminy... Musi się uczyć, a nie zajmować starą babką. Chwilowo na dodatek niedołązną...

A może to tak jest, że na koniec życia każdy staje się słaby? Słaby i tak bardzo zmęczony, że już mu się dalej żyć nie chce? To nawet by było dobre rozwiązanie, bo ta śmierć by tak nie przerażała. Tak, tak to na pewno Pan Bóg wymyślił. A ona, Helena Piotrowska, wcale nie czuje się zmęczona życiem. Tylko ten gips na nodze taki niewygodny jest i pod spodem swędzi. Swędzi jak cholera! Jakby stado komarów ją użarło i nagle odleciało. Albo pluskwy jakiejś...

– Pomyślę o tym – mruknęła, wyciągając rękę po ulotkę. – A przyniesie mi pan drut?

– Drut? – zdziwił się Krzysztof.

– No tak, taki do robienia swetrów. Tylko nie taki do skarpetek. Bo jest ich w komplecie pięć i są krótkie. A ja potrzebuję długi drut.

– Będzie pani dziergać sweter? – Doktor Krzysztof pokręcił głową. Tyle lat pracował na ortopedii, z tyloma ludźmi miał do czynienia, a wciąż ktoś potrafił go zaskoczyć.

– Nie, ale mnie diabelnie swędzi i chciałabym sobie ulżyć, a czymś muszę się podrapać – westchnęła, czytając o tym, że w Domu Seniora Happy End dzięki codziennej rehabilitacji przez wykwalifikowany personel „stawiają na nogi szybciej, niż myślisz”.

No, niestety, czego jak czego, ale stawiania na nogi z prędkością światła pani Helenka naprawdę potrzebowała. Westchnęła głęboko i gdy bezradny lekarz w skórze greckiego boga wyszedł w poszukiwaniu drutów do robienia swetrów, sięgnęła po swoją starą nokię. Nie potrafiła się przekonać do tych telefonów, które Agnieszka próbowała jej podrzucać. Nokia to nokia. Bateria trzymała tydzień i nie odstraszały jej te wszystkie ikonki do dotykania. No i pewnie gdyby nie mogła znaleźć młotka, a chciałaby wbić gwóźdź, tym telefonem również dałaby radę.

– Dzień dobry. Mówi Helena Piotrowska... Nie jestem aż taka stara. I niedołązna też nie jestem. No może chwilowo...

\*\*\*

Agnieszka nie dowiedziała się o złamanej nodze babci. We wszystkich szpitalnych papierach i dokumentach, które pani Piotrowska musiała wypełnić w Domu Seniora Happy End, w rubryczce „kogo powiadomić w razie potrzeby” wpisywała swój numer telefonu.

Wnuczce kazała razem z przyjaciółmi lecieć na Malediwy czy do innej Tajlandii. Ta jej koleżanka, Marta, co chwilę gdzieś latała, więc dlaczego nie miałyby teraz wyruszyć razem. Pieniądze też nie były problemem. Agnieszka nigdy nic nie chciała, ale babcia skrupulatnie co miesiąc wpłacała na jej konto sumę pozwalającą na całkiem godne życie. Tymczasem wnuczka dorabiała korepetycjami, rzadko kiedy sięgając po babcine fundusze, pewnie więc za oszczędności mogłaby pozwolić sobie nawet na kilkumiesięczny egzotyczny urlop.

– Nie chcesz ze mną spędzić świąt? – płacząco zapytała Agnieszka. – Babciu, ale przecież my zawsze spędzamy Boże Narodzenie razem!

Pani Helena przełknęła łyżę. Bardzo chciała spędzić święta z wnuczką, ale znała ją – gdyby ta zobaczyła, w jakim staruszka jest stanie, z pewnością chciałaby jej pomóc. Po świętach chciałaby z nią zostać, opuściłaby zajęcia na uczelni, by tylko się nią opiekować, a potem z pewnością chciałaby jej zorganizować cały czas rekonwalescencji, bo pewnie trochę to potrwa. Nawet kosztem swojego młodego i pewnie w miarę beztrudnego życia. Na to pani Helena nie mogła pozwolić. Zresztą była już za stara na organizowanie wszystkiego na nowo. Miała swoje przyzwyczajenia i nie zamierzała z nich rezygnować. Postawią ją na nogi w tym Happy Endzie i potem z dumą do wszystkiego przyzna się wnuczce. Z dumą, bo przecież dzielnie to wszystko zniesie.

Podrapała się drutem, przyniesionym przez „Apolla” tamtego dnia, gdy jej nogę wsadził w gips (do tej pory nie miała pojęcia, skąd on ten drut wykombinował), i spojrzała na sąsiadkę, z którą dzieliła pokój. Kobięcina wydawała się bardzo niezadowolona z tego, że Helena zajęła sąsiednie łóżko. Z wyższością spoglądała na nią bez słowa. Pani Piotrowska uznała jednak, że jest tam tylko tymczasowo, aż postawią ją na nogi, i w związku z tym doprawdy nie musi się z nikim spoufalać. Nawet z tą kobietą, która wygląda, jakby chciała ją zabić wzrokiem.



## 4.

Sabina Wojtczak myślała, że tym razem naprawdę trafi ją szlag. Za każdym razem tak myślała, ale gdzieś w podświadomości pamiętała słowa swojego świętej pamięci męża, że złego licha nie bierze. A przynajmniej nie tak szybko. Podejrzewała, że coś faktycznie było w tym stwierdzeniu, bo mimo cholerycznego usposobienia nadal miała się całkiem nieźle.

Jak się jednak miała nie irytować, skoro ciągle zdarzało się coś, co wyprowadzało ją z równowagi? Miała nadzieję, że starość spędzi sobie wśród ludzi, którzy jej nie wnerwiają. A ta nowa na łóżku obok wkurzała ją niemiłosiernie! I to stukanie... Raz kulą, a raz gipsem czy co tam ona na nodze miała. I jeszcze to, jak ruszała tymi palcami u stóp, które jej spod tego opatrunku wystawały... Paznokcie miała pomalowane na bordowo! Normalnie musi policzyć do dziesięciu, bo jednak tym razem ją coś trafi!

Wiedziała, że nie ma zbyt łatwego charakteru i Bogusław naprawdę powinien pójść w kapturach do nieba, bo z nią wytrzymał tak długo. Zanim odszedł, jeszcze jej ogórków kiszonych narobił. Chyba ze dwadzieścia słoików. Z tych ogórków, które sam zasadził i potem zebrał na ich działce. Działce, na której może była ze trzy razy przez jakieś dwadzieścia lat, i to tylko dlatego, że było ciepło i chciała się wylegiwać z książką na leżaku.

– Sabinko, ruszać się trzeba. Dla zdrowia – mówił Bogusław. – Na działce skłony robisz i przysiady. Najlepsza gimnastyka. Wszystkie mięśnie pracują. Dzięki temu do końca życia będziesz sprawna i zdrowa.

Bogusław faktycznie do końca był szczupły, sprawny i żwawy, ale to jego życie skończyło się zbyt szybko. No i na co mu to zdrowie było? I ta sprawność? Na nic. Sabina była bardziej schorowana, mniej sprawna, ale do półki z książkami dała radę dojść, a dzięki zakupom spożywczym w sklepie internetowym nawet nie musiała wychodzić z domu. Czasem brakowało jej towarzystwa, ale nie na tyle, by się tym przejmować. Poza tym gdy naruszyła sobie kość biodrową (była pewna, że to złamanie, chociaż lekarz uważał, że przesadzała), i ta sytuacja się rozwiązała. Na jej korzyść, oczywiście. Jak za każdym razem przez ponad osiemdziesiąt lat życia.

Zawsze spadała na cztery łapy. Jak kot. Nie to co jej mąż, który spadł z drabiny na swojej działce i się od razu połamał. Trzeba było? Można było siedzieć na kanapie i czytać książki. Zawsze to bezpieczniejsze dla zdrowia. Albo grać w scrabble. Wtedy właśnie, jak Bogusław się połamał, od dwóch dni z nim nie rozmawiała. Była wściekła, bo ułożył najwyższe punktowane słowo, jakie widziała w życiu. JAŻŃ. Obraziła się, a kilka dni później on umarł. Jakby na złość! I zostawił ją z tą całą działką, której nawet nie lubiła. Cóż miała robić? Pozazdrościła mężowi, a działkowiec był z niej żaden, bo wychodząc ze szklarni, uszkodziła sobie kość biodrową (złamała – była tego pewna!) i tym sposobem wylądowała w Domu Seniora Happy End.

Miała wprawdzie nadzieję, że ten koniec nie nastąpi zbyt wcześnie, ale tam przynajmniej wiedziała, że dadzą jej jeść i nie pozwolą jej umrzeć za szybko. A nawet jak się z kimś miło pogada, to i pierniczki przywiozą, i jakiegoś smacznego wafelka. Tylko rehabilitacji nie lubiła. Podobno już była na nią gotowa. Gotowa? Ona na ruch nigdy nie

była gotowa! Wolą życie stacjonarnie, na przykład grając w scrabble. O! Musi zapytać tę nową, czy gra w scrabble.

Tylko ją przestanie wnerwiać... Tym ruszaniem palcami... Bordowe paznokcie z takim brokatem połyskującym na różne kolory! Jak bombki na choince! Sabina zrozumiałaby w sylwester, ale jak można tak na co dzień?

\*\*\*

Sabina nigdy nie malowała sobie paznokci u stóp. Gdy żył Boguś, to on jej malował. Boguś umiał wszystko. Malował i ściany, i sufity, i paznokcie swojej żony. Sabinie trochę brzuch przeszkadzał w tym malowaniu. No ale skoro Bogusław to robił, to po co miała się gimnastykować?

Nikogo innego nie miała. Oczywiście się do tego nie przyznała, bo to wstyd tak zupełnie samemu iść przez życie. Dzieci z Bogusiem też nie mieli. Najpierw byli zbyt leniwi na to... No dobrze, ona była zbyt leniwa, nie chciała. A bo to wczasy w Bułgarii były w fajnej cenie, a potem budowali daczę nad jeziorem. I bałaganu nie lubiła. A dzieci zawsze robią bałagan. Wrzeszczą i ruszają nie tylko palcami u nóg, ale też wierzgają i kopią...

Ale kiedy koleżanki jedna za drugą zachodziły w ciążę, Sabina uległa Bogusiowi. Obiecał jej, że będzie wstawał do dziecka w nocy i że będą karmili butelką. Zresztą wtedy wszyscy karmili butelką i jakoś te dzieci rosły na dobrych ludzi. Koleżanki miały nawet czworo, a oni nikogo. Bogusław do domu przyniósł tylko psa.

– Podobno jak się zaopiekujesz zwierzęciem i poczujesz instynkt macierzyński, to się uda – powiedział cicho.

Sabina spoglądała wtedy na małą włochatą kulkę, zwiniętą w jego ramionach. Podobała się jej ta kulka, ale żeby od razu instynkt macierzyński? Nic nie poczuła. Nic a nic.

Z psem nie była na spacerze ani razu. Boguś chodził z nim na działkę. Wsadzał go do koszyka przytwierdzonego do rowerowej kierownicy i ruszali razem w drogę. Rozczulał ją ten widok. I wbrew pozorom kochała tego psa. Karmiła go. Wieczorami siadywali razem w fotelu i czytali książki. Znaczący ona czytała, bo pies spał. Ale nie wywołało to w niej takich emocji, które pomogłyby w zajściu w ciążę. Trochę nawet tego żałowała.

Coraz częściej przychodziły takie dni, gdy zdawała sobie sprawę, że jest sama. Zupełnie sama. I nie ma na całym świecie nikogo, kto by ją kochał. A czy ona kochała kogoś oprócz siebie? Przez całe życie chyba nie.

\*\*\*

– Pani Sabinko...

Do pokoju weszła właścicielka Happy Endu, pani Krystyna, kobieta w średnim wieku, o nienagannej prezencji. Zadbana, szczupła i zgrabna. Sabina zawsze myślała, że mogłaby być aktorką w amerykańskich filmach i że zdecydowanie się marnuje w tym „hepiendzie”.

– Pani Sabinko, nie wypełniła pani rubryki, kogo powiadomić w razie potrzeby. Kogo tam wpisać? Ma pani rodzinę?

– Rodzinę? – Sabina poczuła na sobie zaciekawiony wzrok swojej współlokatorki. – Oczywiście, że mam! Mam córkę. Udało jej się w życiu. I śliczną wnuczkę. – Uśmiechnęła się, próbując zejść z łóżka. – Teraz nie mogę wstać, bo trochę mnie noga

pobolewa. Ma jeszcze prawo, prawda? Za szybko ta rehabilitacja została włączona. Ale jak tylko trochę wydobrzeję, to pokażę pani zdjęcia. – Uśmiechnęła się do łóżkowej sąsiadki. –

Wnuczka jest śliczna! Mówię pani. Moja miniaturka! – Spojrzała rozpromienionymi oczami na lekko skrzywioną, pewnie zupełnie przez przypadek i mimochodem, Helenę.

– Cieszę się, że panie już się polubiły. – Krystyna się uśmiechnęła i wyszła z pokoju.

## 5.

Krystyna Sadkowska nigdy nie podejrzewała, że zajmie się sama jakimkolwiek biznesem. A już na pewno nie biznesem, gdzie będzie się musiała kimś opiekować. A na dodatek takim, który powszechnie się kojarzy z nad wyraz smutnym, trudnym i – cóż tu powiedzieć – mało optymistycznym okresem w życiu, jakim jest starość.

Ku jej zaskoczeniu Dom Seniora Happy End był najbardziej optymistyczną instytucją, jaką знаła. Praca tam cieszyła ją jak nic do tej pory i powodowała, że czuła się spełniona jak nigdy wcześniej. Pod każdym względem. No, może nie pod każdym... Czasem zdawała sobie sprawę, że przespała macierzyństwo. Przespała tradycje rodzinne i taką zwyczajną codzienną bliskość.

Nigdy nie umiała okazywać uczuć, bardziej wolała działać, niż mówić. Podobnie jej mąż. Jednak po latach dostrzegła, że ludzi poznaje się nie tylko po ich czynach, ale też po tym, jak się do siebie odnoszą. Wiedziała, że nie była dobrą matką. Może i zadbała o wszechstronne wykształcenie dzieci, bo długo nie pracowała zawodowo. Jej pracą było wożenie ich na zajęcia dodatkowe. To angielski, to niemiecki, to balet, piłka nożna, gimnastyka artystyczna i gitara. Oczywiście zaprocentowało to w przyszłości. I syn, i córka studiowali, Marta była oprócz tego wziętą modelką. A Miś? Miś miał dwie prężnie działające firmy i skupiał się na nich, ale matka wierzyła, że w końcu zdecyduje się ukończyć studia. Znał doskonale angielski i francuski, pod każdym względem był idealny.

„Jeżeli kogoś kochasz, puść go wolno” – przeczytała kiedyś. Ona swoje dzieci puściła wolno dość wcześnie. Przegapiła moment, kiedy mogła spędzać z nimi czas. Zamiast dodatkowej rytmiki mogła przecież poskakać z Martą w kałużach. Albo sprawdzić, kto kopnie piłkę dalej, ona czy jej syn. Teraz było jednak za późno na takie dywagacje. Może będzie jej dane się zrehabilitować, gdy będzie miała wnuki. Tylko czy dzieci wtedy do niej przyjdą, jeżeli teraz widziała je z rzadka?

Nigdy nie przywiązywali wagi do celebrowania świąt, ale wraz z upływem lat Krystyna zrobiła się nieco bardziej sentymentalna. Nie podejrzewała siebie o to, że będzie się wzruszać, gdy usłyszy świąteczną piosenkę w sklepie albo gdy przez okno w centrum handlowym zobaczy małą dziewczynkę, której oczy błyszczą na widok kolorowej bombki na ogromnej choince. Kiedyś tak cieszyła się Marta, dopóki... w niej tego nie zabiła. Krystyna chciała jak najlepiej. Egipt, Turcja, nawet raz spędzili święta na australijskiej plaży. Feeria doznań, nowych smaków, zapachów. Tylko jakoś zabrakło smaku i zapachu domu.

Teraz w święta dzieciaki lecą na Malediwy. Nawet pytały, czy ona i ojciec nie wybiorą się z nimi, ale Adam chyba nie miał na to ochoty, a ona wreszcie czuła się komuś potrzebna. Swoim pacjentom czy raczej domownikom. Ludziom, którym chciała pomóc, by byli szczęśliwi. Tak po prostu. Teraz nie musiała gonić za niczym, więc mogła przy nich być. Nie robiła tego dla pieniędzy. Miała ich sporo, bo przez całe życie zarobili ich z Adamem wystarczająco dużo, by ustawić życie dzieciakom i sobie. Mogli spędzić starość, leżąc do góry brzuchem, jednak ani ona, ani jej mąż nie umieli żyć beczynniami.

\*\*\*

Adam nie był w zasadzie jej mężem. Gdy dzieciaki były małe, podpisał kontrakt, który był bardzo niepewny. Żeby nie ryzykować utraty całego majątku, rozwiedli się i Adam przepisał wszystko na nią. Były plany, by ponownie się pobrać, ale jakoś dotąd nie było na to czasu. I już chyba nigdy się nie znajdzie. Właściwie tak wyglądało całe ich wspólne życie – niby razem, ale jednak osobno...

Adam był właścicielem największego w mieście centrum handlowego, ona założyła kilka lat temu dom seniora. Widywali się coraz rzadziej. Ona pomieszkiwała w wyremontowanym mieszkanku na strychu, tuż nad pokojem pani Sabiny i Helenki, a Adam coraz więcej czasu spędzał w swoim gabinecie na ostatnim piętrze galerii handlowej w samym centrum miasta. Dom na przedmieściach właściwie stał pusty. Najwięcej czasu spędzała w nim młoda kobieta, która regularnie przychodziła tam sprzątać.

Czasem ta dziewczyna nie miała co zrobić z córką i zabierała ją ze sobą. Sadzała ją wtedy przed wielkim telewizorem, włączała bajki na Netfliksie, a sama wykonywała swoją pracę. Gdy kończyła, siadywała obok małej i wyobrażała sobie, że to jest właśnie jej życie. Marzyła o świecie, który był dla niej nieosiągalny.



## 6.

Anna Zielonka pchała przed sobą wózek wypakowany po brzegi zabawkami. Na wierzchu leżało kilka kolorowych bombek, zapachowe świąteczne świeczki i olbrzymia gwiazda do przyczepienia na szczycie choinki.

– Mamuś, a coś dla ciebie? – Obok wózka podskakiwała mała dziewczynka. Na końcach mysich warkoczyków miała związane czerwone wstążeczki.

– Ale ja wszystko mam. Naprawdę nic nie potrzebuję.

– Prezenty nie są od potrzebowania! Prezenty składają się z marzeń! O czym marzysz, mamuś? – pytała, skacząc wokół matki.

Anna pokiwała głową i uśmiechnęła się do córki. Kochała ją najbardziej na świecie i tak bardzo chciała, by chociaż jedno marzenie tej małej istotki się spełniło. Bo Anna chyba już nie miała marzeń. A przynajmniej nie takie, które mogłyby się znaleźć w koszyku wypełnionym po brzegi kolorami świąt Bożego Narodzenia.

\*\*\*

Przychodziły tam już od kilku dni. Za każdym razem wiozła przez sklep wózek wypełniony marzeniami córki. Tak bardzo żałowała, że niestety nie będzie mogła żadnego z nich spełnić. Może kiedyś, gdy zamknie oczy i je otworzy, znajdzie się nagle w takiej sytuacji życiowej, gdy w święta ludzie uśmiechają się do siebie podczas dekorowania choinki kolorowymi bombkami, a pięknie zapakowane prezenty wysypują się spod ustrojonego drzewka na sam środek pokoju. Tak jak w tamtym wielkim domu, który sprzątała raz w tygodniu. A w zasadzie usuwała niewidzialne pyłki, bo nawet nie miał kto tam nabrudzić.

Anna naprawdę wierzyła, że marzenia się spełniają. Tylko kiedy? Czy wtedy, gdy Zosia będzie zbyt duża, by się cieszyć z misiów, lalek czy kolorowej ciastoliny? I co wtedy włoży do koszyka swoich marzeń? Czy w ogóle będzie jeszcze miała jakieś marzenia?

– Chodź, Zosiu, idziemy do domu. – Czule pogładziła małą po policzku.

– Dobrze, mamuś. Przyjdziemy tu jutro?

– Możemy przyjść, kochanie.

– Dziękuję. – Zosia przez chwilę podskakiwała z radości, po chwili jednak spoważniała. – Tata jest w domu?

– Nie, dzisiaj go nie ma.

– Ach, to będzie cudowny wieczór. Tylko we dwie, prawda? Zrobimy sobie czary!

Anna sprawdziła cenę zapachowej świeczki, którą Zosia włożyła do koszyka. Trzy dwadzieścia. Nie tak źle. Trzymając ją, poszła do samoobsługowej kasy. Zapłaciła, wzięła córkę za rękę i ruszyły w stronę wyjścia. Tak, tego wieczoru będą robić czary. Czary, które powinny być codzienną normalnością.

\*\*\*

Kiedyś Anna Zielonka była marzycielką. Wierzyła w to, że ludzie są dobrzy, że wystarczy uśmiech, by zmienić cały świat. Była pewna, że urodziła się po to, by dawać szczęście. Jej dewizą było: „Co zasiejesz, to zbierzesz”. Nie brała pod uwagę, że krzywda spotyka również tych poczciwych, a niektórzy nie odpłacają za dobro wyłącznie dobrem. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ludzie mogą być po prostu źli. Żli z natury.

Artur był od niej dużo starszy. Wydawał jej się taki mądry, bardzo dorosły i nad wyraz dojrzały. Miał pracę, mieszkanie, w którym mieszkał sam, opowiadał o licznych kobietach w swoim życiu. Również o tej, która urodziła mu syna, ale która zupełnie nie pozwalała mu się z tym dzieckiem widywać. Nie chciała od niego alimentów. Nie wiedział nawet, gdzie mieszkali. Anna nie mogła jej zrozumieć. Zapatrzona w Artura, myślała, że nigdy by sobie nie odpuściła takiego idealnego człowieka. Dobrego, ale zarazem skrzywdzonego przez los. Przecież nie było jego winą, że wychowywał się w tak trudnych warunkach! Jego ojciec pił, a matka mu w tym towarzyszyła. Potem, krótko przed osiemnastymi urodzinami, Artur dołączył do rodzinnych libacji. Anna ciągle go tłumaczyła, bo cóż był winien, skoro takie miał wzorce.

Będąc w wojsku, podczas jednej z przepustek, poznał Aldonę. Wydawałoby się, że się ustatkował. Chwilę nie pił, starał się być wzorowym partnerem, ale ona, niedobra, go zostawiła, zabierając mu syna. Nic dziwnego, że znowu zaczął zaglądać do kieliszka. Anna była przekonana, że po takiej traumie tylko najsilniejsi daliby radę żyć normalnie. Długo wierzyła, że Artur jest najsilniejszy. I że w końcu będzie normalnie, a ona, Anna, mu w tym pomoże.

Artur był taki męski... Jego przedramiona zdobiły tatuaże. Tak lubiła, gdy widać je było spod podwiniętych rękawów białej koszuli. Ostatnio jednak rzadko miała okazję oglądać go w takim stroju...

\*\*\*

Miała siedemnaście lat, gdy wypiła po raz pierwszy kilka kieliszków wódki. Zupełnie jej nie smakowała. Robiła dobrą minę do złej gry, obficie zapijając wodą z sokiem malinowym, bo nic innego nie było. Od tej pory nie lubiła ani wódki, ani soku malinowego. Wtedy też kochała się z nim po raz pierwszy. Obiecywał, że będzie fajnie. Nie było. Obudziła się rano, myśląc, że będzie jego królowną. Nie była. Wtedy ani nigdy potem. W swojej dziewczęcej naiwności sądziła jednak, że skoro tamtej nocy oddała mu się cała, to byli dla siebie bardzo ważni. A dla ważnych ludzi w życiu robi się wiele rzeczy, które bliskim mogą się wydawać nierozsądne.

Po latach Annie również zaczęły się zdawać nierozsądne, ale czy miała wyjście? Wyjście z trudnych sytuacji nie zawsze prowadzi przez drzwi. Czasem mogą stać one otworem, a to i tak nic nie zmienia.

Przeprowadziła się do Artura tuż po osiemnastych urodzinach. Rodzice mieszkali na wsi i tak naprawdę wiedzieli tyle, co ona sama im mówiła. A mówiła niewiele. Rzadko też ich odwiedzała, bo musiała pilnować swojego chłopaka, a potem, bardzo szybko, ojca swojej córki.

\*\*\*

Zosia się urodziła, gdy Anna miała lat dwadzieścia. Artur już nie wydawał się jej taki dorosły i zupełnie przestał w jej oczach być odpowiedzialny. Nie chciała się do tego przyznać. Przed sobą, a już przede wszystkim przed swoimi bliskimi.

Ze szpitala wracała sama z dzieckiem. Na piechotę. Na szczęście miała blisko, a sierpniowe słońce uśmiechało się do niej, zaglądając do wózka, który dostała kilka dni wcześniej po dziecku sąsiadki. Oczywiście Artur obiecał, że po nią przyjdzie, ale chyba zapomniał. Albo... po prostu coś mu wypadło. Po raz kolejny Anna mu wybaczyła.

Wózek zostawiła na dole. Wzięła na ramię torbę, Zosię na rękę i weszła na pierwsze piętro. Zaniepokoiły ją uchylone drzwi do ich mieszkania... Na podłodze w korytarzu leżał mężczyzna. Nie był to jej mąż. Zdarzało się to już wcześniej, nie spodziewała się jednak, że w takiej chwili... Że urządzi libację, zamiast czekać na nią i swoje dziecko.

– Pępkowe, kochanie. – Usłyszała nagle pijacki bełkot męża. Potem głośnie beknięcie.

Rozejrzała się, ale nic nie powiedziała. Mężczyzna leżący na kanapie właśnie się budził i przerażony patrzył na Annę. Kolejny siedział w fotelu.

– Wychodzę. Za pięć minut wracam. A wy stąd spierdalajcie! – syknęła. – Jak najszybciej.

– Aniu! – wychrypiał Artur.

Dziewczyna przelknęła łzy. Odwróciła się i skierowała swoje kroki w stronę wyjścia. Leżącego w korytarzu mężczyznę miała ochotę kopnąć z całej siły. Kopnęła jednak tylko pustą butelkę, która uderzyła go w głowę. Ten jęknął.

– Spierdalaj! – powtórzyła i wyszła.

Usiadła na ławce przed blokiem i przytuliła Zosię. Otarła łzy tetrową pieluszką, w którą zawinięta była córka.

– Wszystko w porządku? – Usłyszała męski głos.

Podsłoczyła na ławce, przestraszona. Obok stał policjant i wpatrywał się w nią zatroskanym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – powtórzył.

– Tak, dziękuję za troskę.

– Pani płacze... Mogę jakoś pomóc?

Ania pokręciła głową.

– *Baby blues* – odpowiedziała szybko.

– *Baby blues*? – zdziwił się.

– Takie humory młodej matki. – Uśmiechnęła się na siłę. – Przejdzie mi. Zawirowania hormonalne.

\*\*\*

Młody policjant niezbyt znał się na hormonach, ale intuicja mu mówiła, że nie zaszkodzi, jeśli codziennie przejdzie obok tej kamienicy. Nic się też nie stanie, jak podpyta sąsiadów o to i owo. A czasem zapuka do drzwi na pierwszym piętrze, tych po prawej stronie. Już wtedy, te kilka lat temu, przeczuwał, że to nie będzie jedyne jego spotkanie z piękną, aczkolwiek przemęczoną kobietą i jej dzieckiem, które było tak maleńkie, jakby dopiero co się urodziło.

Posterunkowy Robert Krusz nawet nie podejrzewał, iż tak w istocie będzie. Kiedy poznał Zosię, miała ona zaledwie trzy dni i dopiero wyszła ze szpitala. Potem widywał ją wielokrotnie i wielokrotnie miał nadzieję, że wreszcie jej matka się przyzna, że te siniaki czy podrapane ramiona to nie od tego, że się potknęła albo przewróciła. Jednak Anna była zbyt ambitna, by się przyznać do błędu. Uważała, że kiedyś podjęła decyzję i nie mogła nikogo winić za to, że była ona zła. Trzeba zacisnąć zęby i w spokoju znosić wszystko dla dobra dziecka.

Tylko czasem się zastanawiała, czy nie byłoby im lepiej, gdyby były same. Gdyby tak nagle uciekły. Gdzieś daleko. Albo nawet niezbyt daleko. Na przykład do domu, który

sprzątała, choć tego w ogóle nie wymagał. Ostatnio coraz częściej zabierała tam Zosię. Bawiły się wtedy w udawanie.

– Mamo, chodź, będziemy się bawiły, że ty jesteś moją mamą, a ja twoją córką, a to jest nasz dom? – zapytała kiedyś Zosia.

– Kochanie, ale ja przecież jestem twoją mamą, a ty moją córką.

– No tak, ale nie mamy takiego ładnego domku.

Ania rozejrzała się wokół.

– No tak, nasz jest trochę mniejszy. – Próbowала się roześmiać.

– Tak. I nasz jest czarny.

– Czarny? Jak to czarny? – Zaniepokoiła się.

– Mamusiu, będziemy piły herbatkę, jak królowe. – Dziewczynka zmieniła temat. –

Ja wiem, że nie możemy naprawdę wziąć od tej pani, która tu mieszka, herbaty, ale będziemy pić tak na niby. I będziemy rozmawiać.

– Dobrze, kochanie – zgodziła się Ania. – A o czym będziemy rozmawiać?

– O życiu, mamo – powiedziała poważnie pięcioletka.

Anna czasem miała wrażenie, że jej córka rozumie dużo więcej, niż powinna. I dojrzewała szybciej niż jej rówieśnicy. Zresztą... to życie jest takie dziwne. Duży dom, w którym powinien rozbrzmiewać rodzinny gwar i śmiech, stał pusty, a jej zatęchła kawalerka, która miała być przytulnym gniazdkiem, często stawała się pijacką meliną.

\*\*\*

Potem regularnie zabierała Zosię ze sobą. Domowników nigdy nie było, ale dla spokoju sumienia zapytała nawet kiedyś właścicielkę o zgodę. Pani Krystyna była bardzo sympatyczna i nie widziała w tym żadnego problemu. Od tej rozmowy Anna denerwowała się mniej, bo przychodziły tam jakby bardziej „legalnie”. I coraz częściej bawiły się w dom. Zosia mówiła: „w prawdziwy dom”.

– Pobawmy się znowu w prawdziwy dom, mamusiu. W taki normalny.

Za każdym razem, gdy Anna to słyszała, pękało jej serce. Powoli traciła wiarę, że kiedyś będą miały prawdziwy, normalny dom i życie będzie jedną wielką cudowną zabawą.

## 7.

Robert Krusz był dzielnicowym dokładnie tam, gdzie mieszkała Anna Zielonka wraz z niemężem i Zosią. Na początku się wydawało, że to bardzo spokojne osiedle, ale w miarę upływu czasu każdy dom odkrywał przed nim swoje tajemnice. Jeszcze wszystkich ich nie znał, ale zamierzał poznać.

Nie znał się na kobietach, macierzyństwie i zawirowaniach hormonalnych, ale nie bardzo mu się podobało wtedy, te kilka lat temu, że ta młoda kobieta z noworodkiem siedziała na ławce i płakała, choć pewnie powinien to być jeden z najszcześniejszych dni w jej życiu.

– Gdyby pani potrzebowała kiedyś pomocy, proszę dzwonić – powiedział, wręczając jej numer telefonu.

– Jakiej pomocy?

– Jakiegokolwiek. Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Dopisałem pani mój prywatny numer.

Kobieta bez przekonania schowała wizytówkę pod materacyk wózka, ale Robert miał przeczucie, że prędzej czy później będzie musiała się z nim skontaktować. Nie miał pojęcia, czym jest *baby blues*, o którym mówiła, ale miał policyjną intuicję. I naprawdę liczył na to, że jeśli ta dziewczyna znajdzie się w potrzebie, nie zawaha się poprosić go o pomoc.

– To... do widzenia – powiedział cicho, chociaż wcale nie chciał się z nią rozstawać.

– Do widzenia.

– Nie idzie pani do domu?

– Za chwilę pójdę. – Uśmiechnęła się słabo.

Wtedy drzwi klatki schodowej otworzyły się z impetem i wytoczyli się stamtąd trzej nietrzeźwi mężczyźni.

– Niech się zdrowo chowa! – wydukał jeden z nich, nie patrząc w oczy młodej matce.

– Sto lat, mamuśka! – Drugi próbował złożyć na policzku dziewczyny siarczysty pocałunek, ale gdy zobaczył Roberta, natychmiast zmienił zdanie. – Panie władzo, my tylko świętowaliśmy narodziny tejże panny. – Zasalutował.

– Do domu! Wracaj do domu! – rozkazał ostatni, patrząc karcącym wzrokiem na dziewczynę.

Następnie chwycił wózek i pewnym ruchem skierował go w stronę drzwi. Dziewczyna zareagowała błyskawicznie – odepchnęła pijaczkę i wzięła dziecko na rękę.

– Pomóc pani? – zapytał Robert, nie zwracając uwagi na podchmielone towarzystwo.

– Temu panu już dziękujemy. – Mężczyzna spojrzał złowrogo na policjanta. –

Do widzenia. – Zaborczo położył rękę na talii kobiety, jakby zaznaczając swoje terytorium.

Robert miał wrażenie, że kobieta odsunęła się z odrazą, ale wkrótce bez słowa powoli ruszyła z dzieckiem do bramy.

Policjant jeszcze chwilę zerkał na zamykające się drzwi. Nie miał zbyt długiego stażu w swoim zawodzie, ale wiele już w życiu widział. I ten mężczyzna wcale a wcale mu się nie podobał.

\*\*\*

Jego ojciec był policjantem. Twardym facetem i świetnym gliną. I pewnie dlatego nie mógł znieść faktu, że syn nie chciał pójść w jego ślady, choć pewnie większość chłopaków w jego wieku o tym marzyła. Jednak Robert był delikatnym chłopcem. Wolał czytać książki niż kopać piłkę. Zawsze nieco grubszy od rówieśników i nieco mniej sprawny, co powodowało liczne docinki. W efekcie zamykał się w sobie. Czytał jeszcze więcej i jeszcze mniej się ruszał, zając się smutkami. Błędne koło...

Ojciec niemal rwał włosy z głowy. Miał jedyne dziecko. Miał również marzenia związane z tym synem. Jego samego o marzenia nigdy nie zapytał. Nie zdążył... Mirosław Krusz zginął podczas wykonywania obowiązków służbowych tuż przed wakacjami. Robert kończył właśnie gimnazjum i miał niedługo zacząć naukę w pierwszej klasie szkoły średniej. Wraz z kolegami, których szczerze nienawidził. Ciągłe słyszał za plecami ich złośliwe szeptki. Zdawało mu się, że nawet ściany wołają: „Gruby, gruby”, ale jednocześnie nie potrafił tego zmienić. Do czasu...

Stojąc nad świeżo usypanym grobem ojca, obiecał sobie i jemu, że wszystko się zmieni. Że zacznie nowe życie. Takie, by ojciec był z niego dumny. Takie, by sam codziennie, patrząc wieczorem w lustro, mógł sobie powiedzieć, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, by każdego dnia stać się lepszym człowiekiem.

\*\*\*

Po śmierci ojca wyprowadzili się do Miszewa Murowanego. Stamtąd pochodziła jego matka. Całkiem spora wieś z kościołem, szkołą, sklepem i – co najważniejsze – biblioteką na starej plebanii. Chodził tam tak często, jak tylko mógł. To właśnie tam się nauczył, jak być dobrym człowiekiem. Nawet nie wiadomo, kiedy z grubego chłopca wyrósł na wysokiego i potężnego mężczyznę. Teraz nikt nie ośmieliłby się mu dokuczać.

Po skończonej szkole policyjnej Robert wrócił na stare śmieci, wprowadzając się do mieszkania, które wcześniej zajmował z rodzicami. Najpierw pracował w centrum handlowym, jako ochroniarz, a potem został dzielnicowym. Po jego kolegach nie było śladu. Może i dobrze? Nie chciał weryfikować dawnych znajomości.

Gorliwie wypełniał złożoną nad grobem ojca obietnicę. Wierzył w to, że uda mu się pomóc światu stać się lepszym. Wszystko jest możliwe, jeżeli poświęca się temu wystarczająco dużo energii.

## 8.

Adam Czyżykiewicz siedział w swoim gabinecie na ostatnim piętrze centrum handlowego i wpatrywał się w monitory. Było ich tam kilkadziesiąt. Kilka rzędów, jeden nad drugim. Każdy pokazywał coś innego. A w święta było na co popatrzeć. Przez każdy sklep przewijały się tłumy ludzi, którzy uznali chyba, że wkrótce na pewno nadejdzie jakiś kataklizm i umrą śmiercią głodową albo zamarzną na kość, bo nie będą mieli co na grzbiet włożyć. Byli to bardzo różni ludzie. I biedni, i bogaci. Pełen przegląd społeczeństwa, które we wspólnym szale przedświątecznych zakupów zyskiwało zaskakującą równość.

Niektórzy pospiesznie wrzucali do koszyków to, co im się spodobało, inni z uwagą czytali etykiety. Jedni pchali przed sobą w supermarkecie koszyki po brzegi wyładowane wiktuałami, drudzy musieli się ograniczyć do niezbędnego minimum. Mężczyźni z telefonami przy uchu czekali na instrukcje żon, co mają kupić. Kobiety natomiast, przemierzając kolejne sklepiki, jak w amoku mruczały pod nosem, komu jeszcze muszą sprawić prezent.

Tak, przed świętami zawsze było tłoczno i gwarno. Choć każdy dysponował innym budżetem i miał swoją wizję tego, jak powinno wyglądać idealne Boże Narodzenie, wszystkich zgromadzonych w centrum handlowym łączyło przekonanie, że oto zbliżają się jedne z najbardziej wyczekiwanych dni w roku.

\*\*\*

Adam się zastanawiał, jak będzie spędzał Wigilię. Pewnie tak samo jak pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku. Przed wielkimi monitorami w swoim biurze, dzięki którym mógł obserwować świat po swojemu. Tak jak lubił, bez żadnych interakcji.

Od kilku dni mężczyzna niecierpliwie czekał do godziny siedemnastej, kiedy to w sklepie zjawiała się ładna młoda kobieta z na oko pięcio-, sześćioletnią dziewczynką. Przychodziły codziennie od tygodnia. Dziewczynka, podskakując radośnie, brała największy wózek, a potem z mamą za rękę szły do półek z zabawkami. Rozglądały się, uśmiechały, najwyraźniej dyskutowały zawzięcie, zastanawiając się, którą włożyć do koszyka. Mężczyzna żałował, że może je tylko widzieć, a nie słyszeć, bo mogłoby to być również bardzo interesujące. Zżerała go ciekawość, o czym rozmawiają.

Adam nie mógł oderwać od nich oczu, bo za każdym razem zachowywały się w ten sam, dosyć specyficzny sposób. Pakowały cały wózek zabawek, czasami dokładając też jakieś kosmetyki. Chodziły pół godziny po sklepie i wyglądały przy tym, jakby doskonale się bawiły. Potem dziewczynka siadała grzecznie na ławce, a kobieta odkładała wszystko na swoje miejsce.

Na początku Adam chciał interweniować. Nie podobały mu się te durne sklepowe zabawy. Albo się kupuje, albo nie. Kiedy jednak nazajutrz sytuacja się powtórzyła, nieoczekiwanie poczuł się dziwnie zaintrygowany. Coś nie dawało mu spokoju... Dziecko w niczym nie przypominało nieznośnych bachorów, które często obserwował na swoich monitorach. Kobieta była nad wyraz kulturalna, schludnie ubrana. Na dodatek wszystko odkładała dokładnie w to samo miejsce, niekiedy nawet poprawiając ustawienie innych produktów na półkach.



Oglądanie tego wszystkiego było lepsze niż serial na Netfliksie, choć Adam zupełnie nie wiedział dlaczego. Faktem było jednak, że z niecierpliwością codziennie czekał na kobietę z dziewczynką i każdego dnia coraz bardziej go interesowało, o co w tym wszystkim chodzi. Im dłużej je podglądał, tym mniej rozumiał, po jaką cholerę one to robiły.

## Rozdział 2

*Witajcie o poranku! Za oknami naszego radiowego studia jeszcze ciemna noc, ale słońce dzisiaj wstanie o siódmej czterdzieści jeden, a zajdzie o piętnastej dwadzieścia trzy. Dzień będzie trwał siedem godzin i czterdzieści dwie minuty i będzie krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty.*

*Wczoraj w Lublinie urodziły się pięcioraczki, szczęśliwym rodzicom gratulujemy i ze swojej strony mamy propozycję imion! Co powiecie na imiona naszych dzisiejszych solenizantów? A imieniny obchodzą dzisiaj: Abraham, Anastazy, Beniamin, Bernard, Bogumiła, Dariusz, Eleonora, Grzegorz, Kazimiera, Mścigniew, Nemejusz, Nemezy, Protazja i Tymoteusz. Od świąt Bożego Narodzenia dzieli nas tylko pięć dni!*

# 1.

– A może twoja babcia ma inne plany i nie chciała ci o tym mówić? – zapytała nagle Marta.

Siedziały w akademiku i próbowały się uczyć. Było jednak już późno i żadna z nich nie miała nastroju na ślęczenie nad książkami. Tym bardziej że Marta właśnie otwierała drugie wino.

– Babcia? Ale ona nigdy nie ma żadnych planów niezwiązanych ze mną. – Agnieszka pokręciła głową. – Zawsze byłam na pierwszym miejscu...

– No właśnie! Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale może nadszedł ten czas, że ona zaczęła żyć swoim życiem.

– Babcia? – jeszcze bardziej zdumiała się Aga. – Swoim życiem? – Przyszło jej na myśl, że zachowuje się jak egoistka, ale nadal wydawało jej się to niemożliwe.

– Może obok niej pojawił się jakiś mężczyzna i chcą spędzić te święta razem?

– Mężczyzna? – Agnieszka nie wierzyła w to, co słyszy. Jakoś babcia Helenka nie pasowała jej do roli pogromczyni męskich serc. – No co ty?! Ona urodziła się w czterdziestym czwartym!

Marta spojrzała na nią spod przymrużonych powiek.

– A ktoś, kto urodził się w czterdziestym czwartym, już nie zasługuje na miłość? Może akurat szczęście się do niej uśmiechnęło. Fajna z niej babeczka. Całe życie cię niańczyła, może wreszcie pojawił się ktoś na horyzoncie.

– Ale kto? – Agnieszka niepewnie pokręciła głową. Najwyraźniej przyjaciółka zasiała w niej ziarno niepewności.

– To już tylko ona wie. – Marta nalała wina do kieliszków.

– Pojadę tam wcześniej, choćby i jutro – zdecydowała Agnieszka. – Wybadam sytuację. Zapytam wprost, o co chodzi.

– I jak nie będzie chciała cię widzieć, to przyjedziesz do nas? Może jeszcze się załapiesz na jakieś *last minute*.

– Jak nie będzie chciała mnie widzieć? Marta, to właśnie jest niemożliwe! I dlatego tak się martwię, że coś tu nie gra. Każda z nas, i babcia, i ja, żyje własnym życiem, ale one są ze sobą tak splecione, że nie wyobrażamy sobie tego, by w ważnych momentach być osobno. Tym bardziej że obie nie mamy nikogo innego. Babcia by nie dopuściła do tego, bym samotnie spędzała święta.

– Wie, że byłąbyś z przyjaciółmi...

– Tak, ale nie byłabym z nią. Z rodziną... A ty nie chciałabyś spędzić świąt ze swoimi rodzicami?

– Czy ja wiem... W moim domu święta nigdy nie były jakimś wielkim halo. Zawsze gdzieś wyjeżdżaliśmy. Gdy byłam młodsza, marzyłam, by spędzić ten czas w pięknie przystrojonym domu, w blasku rozświetlonej tysiącem lampek choinki, ale moi rodzice się uparli, by pokazać nam świat. W Wigilię nie dostawaliśmy prezentów, bo nie zabieraliśmy ich nigdy do walizek. Szkoda było na nie miejsca. Nie było choinki, nie było oczekiwania na pierwszą gwiazdkę.

– Smutne... – westchnęła Agnieszka.

– Czy ja wiem? – Marta wzruszyła ramionami. – Po prostu inaczej. W klasie wszyscy mi zazdrościli dalekich podróży i zdjęć ze Świętym Mikołajem w szortach w renifery i surfującym po wysokich falach. A ja chyba trochę zazdrościłam im tego spokojnego odpoczynku i rodzinnej atmosfery. I nawet obżarstwa świątecznego. Takiego zwykłego siedzenia przy stole i rozmów o niczym. I potem spacerów z rodziną, by zrobić miejsce na kolejny posiłek.

Marta wstała, by nalać sobie wody. Po drodze trąciła palcem bombkę, którą Agnieszka powiesiła na gałązce świerku. Przyniosła ją poprzedniego dnia i wstawiła do wazonu.

– Ty wiesz, że ja chyba nigdy nie ubierałam choinki? A przynajmniej tego nie pamiętam. My w domu nawet chyba nie mamy bombek.

\*\*\*

Agnieszka co roku z niecierpliwością czekała na święta. Boże Narodzenie spędzały zwykle we dwie z babcią, ale zawsze zastawiały stół jak dla pięcioosobowej rodziny. Był nakrycie i dla mamy, i dla taty. I jeszcze jedno dla niezapowiedzianego gościa. Mama miała zawsze czerwony talerz ze złotą obwódką. Jej ulubiony. Tata biały z namalowaną gałązką świerku. One z babcią też jadły na różnych talerzach, zależnie od tego, co im wpadło w ręce. Czasem, gdy chciały, by było bardziej elegancko, wygrzebywały z czeluści szafy zastawę, którą babcia Helenka dostała od swojej babci w prezencie ślubnym. Innym razem wybierały nowoczesne czerwone i kwadratowe talerze, które Agnieszka kupiła za swoje pierwsze zarobione pieniądze.

Zawsze to wnuczka wymyślała wystrój świąteczny, a potem z babcią siedziały i tworzyły różne cuda. Kiedyś już od października robiły gwiazdki na szydełku, innym razem dom był przystrojony w same czerwone pompony. Z włóczki sprutej ze starego swetra, który nosiła w dzieciństwie. W tym roku miały być renifery. Agnieszka kupiła babci dwa koce w małe rogowce, termofor i identyczne kapcie dla siebie i dla niej. Miało być pluszowo, ciepło i przytulnie. I tak będzie! Spędzą święta razem, już ona się o to postara!

Jednak mimo tych postanowień, że w tym roku będzie jak zwykle, Agnieszka wciąż czuła niepokój. Babcia z pewnością nie zmieniłaby planów tak nagle. Musiało się coś stać. Coś złego... Od dwóch dni nie mogła się do niej dodzwonić. Dostała tylko lakonicznego esemesa, że wszystko w porządku i babcia nie może teraz rozmawiać. To było do niej zupełnie niepodobne! Babcia zawsze mogła rozmawiać!

Dlatego też Agnieszka postanowiła jak najszybciej jechać na Kaszuby. Musiała załatwić wcześniej jeszcze jedną sprawę. Wzięła telefon i napisała na WhatsAppie do Marty, która była jeszcze na uczelni.

Agnieszka: *Chciałabym się z tobą spotkać przed wyjazdem.*

Marta: *Kiedy jedziesz?*

Agnieszka: *Dzisiaj wieczorem.*

Marta: *Na noc będziesz jechać?*

Agnieszka: *A co za różnica? Poza tym na jutro zapowiadają śnieg i może być ślisko. Wolę więc wyruszyć, zanim zasypie wszystkie drogi.*

Marta: *Szalona jesteś! Będę około drugiej. Może być?*

Agnieszka: *Super!*

\*\*\*

Gdy Marta wróciła do akademika, nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Na środku ich niewielkiego pokoju stała choinka. Prawdziwe drzewko w doniczce. Spojrzała zdziwiona na koleżankę.

– Co to jest?

– Wiedziałam, że kiepsko u ciebie ze znajomością tradycji świątecznych, ale nie sądziłam, że musimy zaczynać od absolutnych podstaw. – Zachichotała. – No ale niech będzie. Lekcja numer jeden: to jest choinka. To nie może tak być, że nigdy nie ubierałaś bożonarodzeniowego drzewka. Spójrz, mam bombki. Kupiłam kilka. Łańcuch też. Nie będzie idealnie, ale miałam za mało czasu.

Marta wpatrywała się w półtorametrowy świerk niczym w największe dziwadło.

– Będziemy miały nową tradycję. Wspólne strojenie choinki. A potem zjemy śledzie. Musisz mi wybaczyć, że tak biednie, ale nic innego nie znalazłam. – Roześmiała się. – Nie spodziewałam się, że będziemy dzisiaj robić wigilię, a ryby to obowiązkowy punkt programu.

– Zwariowałaś! Zaskoczyłaś mnie, inaczej jakoś bym się przygotowała... – Marta bezradnie rozłożyła ręce. – Nawet dzisiaj prezentu dla ciebie nie mam.

– Martuś, nieważne. To nie chodzi o to. Dzisiaj ubieramy choinkę. Najpierw szpic. – Wyciągnęła go z kartonika. – U nas był na wagę złota. W krótkim czasie zbiłyśmy z babcią dwa, jeden całkowicie, a drugi uszczerbiłyśmy, i od lat zakładamy ten nadłuczony.

– Nie kupiłyście nowego?

– Jakoś nawet o tym nie pomyślałyśmy. Zupełnie nie wiem dlaczego. Zawsze był ten sam... Potem lampki. A właściwie lampki powinny być zawieszane na początku. Te są zupełnie nowe, więc odpada nam etap, który w domu babci realizujemy kilka dni wcześniej... sprawdzamy, czy wszystkie świecą. Nigdy nie świecą. Zawsze mnie to wścieka. I jakkolwiek by człowiek nie zwijał łańcucha poprzedniej zimy, zawsze jest poplątany. Czasem muszę wychodzić aż na werandę, by go rozplątać.

Marta się uśmiechnęła, okręcając drzewko kolorowymi światełkami.

– No, kochana, widzę naturalny talent. Pięknie to wygląda! Aha, zapomniałabym, że mam dla ciebie prezent. – Wręczyła koleżance małą paczuszkę. – Tylko uważaj, bo może się zbić.

Marta, coraz bardziej wzruszona, delikatnie rozwiązała wstążeczkę i rozdarła kolorowy papier.

– Bombka! Z moim imieniem! – Wstała, by ją zawiesić na choince, ale Agnieszka ją powstrzymała.

– Nie. – Pokręciła głową. – Zabierzesz ją tam, gdzie będziesz spędzać święta. Powiesz ją na jakimś egzotycznym drzewie, palmie czy choćby oparciu krzesła. Albo na parasolce od kolorowego drinka, który będziesz saczyć na leżaku na gorącej plaży. I wtedy pomyślisz o mnie ciepło.

– Ja zawsze o tobie ciepło myślę.

– Wiem, ale teraz będzie inaczej. Pomyślisz o mnie, wspomnisz, jak ubierałyśmy choinkę i jadłyśmy śledzie, które prawdopodobnie wcale nam nie będą smakowały, i wtedy

zrobi ci się ciepło tak w środku. – Położyła rękę na sercu i nie wiadomo dlaczego w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

\*\*\*

Jadąc do babci, Agnieszka uśmiechała się do swoich myśli. Śledzie okazały się idealne, kolorowe światełka pięknie migotały na choince, a Marta wydawała się zachwycona. Niby zawsze twarda, mało sentymentalna, a jednak i ona uległa klimatowi świąt. Miło było na nią patrzeć. Agnieszka obiecała sobie, że kiedyś zaprosi ją na święta do babci. Tam zawsze było tak pięknie... Marcie na pewno się spodoba.

W samochodowych głośnikach Chris Rea śpiewał o tym, że jedzie do domu na święta, a Agnieszka z każdym kilometrem czuła większy niepokój. Już za chwilę poczuje zapach domu i wtedy pewnie odetchnie z ulgą.

Każdy dom pachnie inaczej. Agnieszka mogłaby trafić do domku w lesie z zamkniętymi oczami i dokładnie wiedziałaby, gdzie się znajduje. Zimą u babci pachniało piernikami. Żadna z nich za nimi nie przepadała, ale tak cudnie wyglądały na choince!

Potem ciasta. Obie wołały jeść słodkości niż konkretne dania, dlatego też zawsze wokół unosił się aromat wanilii, czekolady i bakalii. A czasem nawet spalenizny! Ale to tylko wtedy, gdy za bardzo się zagadały, siedząc przed kominkiem. Czyli zdarzało się to... prawie zawsze. Chociaż ostatnio Agnieszka nastawiała budzik w telefonie, by nie zapomnieć wyjąć ciasta z piekarnika.

Obie kochały wszystko, co było związane ze świętami. Ich świętami. Nawet ten swąd spalonego ciasta. Harmider, gonitwę i otwieranie okien. Babcia zawsze machała ścierką w czerwoną kratkę, by szybciej się wywietrzyło, bo takie wietrzenie przy siarczystym mrozie nie było niczym przyjemnym.

– Ziąb leci! – wołała na całe gardło.

W dzieciństwie Agnieszka próbowała sobie wyobrazić tego „Ziąba”, który leci. Frunie przez cały dom babci i zabiera ciepłą świąteczną atmosferę. Nie można było do tego dopuścić! Nigdy chyba jednak ten straszny osobnik nie doleciał do nich, bo nastrój zawsze był cudowny. I tym razem też tak będzie! Na pewno!

Oczywiście gdy Agnieszka była już w połowie drogi, przemknęło jej przez myśl, że babcia faktycznie może mieć inne plany. Na przykład mogła się zakochać i chcieć spędzić romantyczny czas tylko we dwoje, bez uwzględniania wnuczki. Trudno było jej sobie wyobrazić zakochaną babcię, ale Marta jej uzmysłowiła, że wszystko jest możliwe. Trochę się bała, że tak jest w istocie, że babcię w końcu dosięgła strzała Amora, i nawet obmyśliła pewien plan na tę dosyć przykrą okoliczność. Zajedzie do babci, powie, że wpadła tylko na chwilę, przywitać się, złożyć życzenia, a tak poza tym to jest zaproszona na święta do znajomych.

Na wszelki wypadek miała plan B, w wypadku romantycznego uzasadnienia dziwnego zachowania Heleny Piotrowskiej, ale miłość babci była wielce nieprawdopodobną wersją wydarzeń. Chociaż w miłość jeszcze Agnieszka by uwierzyła, ale w to, że babcia chciała spędzić święta bez niej – nigdy.

– *Minęła godzina dwudziesta. Prognoza pogody już za chwilę, a na razie ostrzegamy kierowców! Na północy kraju śnieżyce. Już jest minus siedem stopni, a temperatura wciąż spada. W okolicach Kościerzyny zawieje i zamiecie. Lepiej siedzieć w domu, z kubkiem*

*gorącej herbaty w dłoni. A jeżeli wyjeżdżacie na święta, pamiętajcie o szalikach i ciepłych skarpetach. Szerokiej i odśnieżonej drogi wam życzę!*

Agnieszka się uśmiechnęła. Prezenterka w radiu nie musiała jej przypominać o ciepłych skarpetach, bo miała takich ze sobą ze trzy pary.

Spojrzała na GPS. Od domu dzieliło ją czterdzieści kilometrów. W ciągu godziny powinna być na miejscu. Miała nadzieję, że zdąży przed zamiecią. Jej opel nie był przystosowany do jazdy w trudnych warunkach. Potem będą mogły jeździć samochodem babci. Helena coraz rzadziej z niego korzystała. Mówiła, że jest już za stara i za ślepa na prowadzenie auta. Zresztą nie była do tego zmuszona, bo pomagał jej Karol vel Zbyszek. A nissan zdecydowanie bardziej nadawał się do podróży po zasypanych Kaszubach niż mała corsa.

\*\*\*

Dwa kilometry. Zaraz, gdy tylko minie ten las, zobaczy światła domu babci, bo zawsze jakieś zostawiała włączone. Agnieszka się śmiała, że wygląda to jak latarnia morska pośród morza zieleni lasu. A teraz bieli, bo sypało coraz mocniej i wokół naprawdę zaczynało pięknie wyglądać. Choinki okrywały skrzące się płatki śniegu, w blasku reflektorów przed przednią szybą rozciągał się magiczny świąteczny widok.

Agnieszka dojeżdżała już na miejsce, ale pierwszy raz ukryty między drzewami dom wyglądał tak, jakby stał pusty. Nie paliło się żadne światło. Nawet to niewielkie przy drzwiach szopy, które babcia zawsze zostawiała włączone.

– Nie boisz się, babciu, że w nocy ktoś zobaczy to światło i przyjdzie? – zapytała kiedyś.

– A czego to się bać? – zdziwiła się Helenka.

– Wszystkiego! W nocy ktoś będzie się błakał po lesie, to zobaczy, że tu jesteś! Światło go do ciebie zaprowadzi.

– To chyba dobrze?

– Dlaczego dobrze? – Agnieszka zmarszczyła brwi.

– No, jak błądzi po nocy, to chyba dobrze, że mnie znajdzie, a ja go nakarmię i mu pomogę. Jakbym światła nie paliła, nie znalazłby mnie. I całą noc by się biedak włóczył między drzewami.

\*\*\*

Agnieszka dotarła na miejsce, gdy już świat przykryła biała kołderka. Wyjęła klucz z samochodowego schowka pomiędzy siedzeniami. Zawsze go tam trzymała. Zwykła mawiać, że dom jest zawsze po drodze i czasem może zupełnie nieoczekiwanie znaleźć się w jego pobliżu. Zdarzało się, że nadrabiała drogi, by chociaż uściskać babcię i chwilę z nią porozmawiać. Kiedyś to Agnieszka sięgała babci do górnego guzika fartucha, teraz babcia jakby się skurczyła i to wnuczka otaczała ją ramionami.

Wyłączyła silnik i wyszła z samochodu. Uzbrojona w telefoniczną latarkę, podeszła do drzwi. Otworzyła je i zapaliła światelko, to dla zbłąkanych wędrowców. Od razu lepiej się poczuła. Weszła do środka. Babci naprawdę nie było. Zajrzała jeszcze do garażu. Samochód stał na miejscu. Zatem babcia faktycznie musiała z kimś gdzieś wyjechać. Ale z kim? Dokąd ona pojechała?

– Babciu, jesteś?! – zawołała.



Oczywiście nikt jej nie odpowiedział.

\*\*\*

Dochodziła dwudziesta trzecia. Babcia pewnie już spała, gdziekolwiek była... Agnieszka wyciągnęła telefon. Jedna kreska zasięgu. Trudno, zresztą i tak nie wypadało chyba dzwonić o tej porze. Szczególnie jeśli babcia była z jakimś podstarzałym amantem, a z każdą minutą ta wizja wydawała się jej wnuczce coraz bardziej prawdopodobna.

Dom był wysprzątny. Jedynym śladem, że ktoś tam całkiem niedawno przebywał, był stojący na stole talerzyk z maślanymi ciasteczkami. Agnieszka sięgnęła po jedno i ugryzła. Z pewnością miało już kilka dni, czyli można było wywnioskować, że wtedy jeszcze babcia była w domu. Teraz jednak Agnieszka skrupulatnie sprawdziła wszystkie pomieszczenia i nie było tam żywego ducha. Westchnęła, z każdą chwilą bardziej zaniepokojona. Przecież nawet jeżeli staruszka poczuła nagły poryw serca i wyruszyła na *rendez-vous* z nieznanym mężczyzną, mogła uprzedzić wnuczkę o swoich planach. Coś tu ewidentnie było nie tak!

Było już późno, a Agnieszka była zmęczona po całym dniu i podróży. Poszła więc jeszcze tylko do szopy i przyniosła drewno, które położyła na podłodze obok kominka. Wstawiła wodę na herbatę, do której miała zamiar dolać dla rozgrzewki trochę rumu. Przez moment pomyślała nawet, że skoro babcia postanowiła o niczym jej nie mówić, to powinna uszanować jej decyzję. Po chwili jednak stwierdziła, że to jakiś nonsens i jeżeli działo się coś złego, to każda minuta była na wagę złota. Ale co niby miało się stać babci? Babci, którą każdy lubił? A nawet kochał? Wszyscy znajomi, sąsiedzi, a nawet Karol...

Właśnie, Karol! Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ, ale może on jeszcze nie spał...

\*\*\*

Kiedyś Karolowi się zdawało, że stworzą z Agnieszką cudowny wspólny świat gdzieś niedaleko Kościerzyny, w pięknym domku nad jeziorem. Agnieszka jednak nie była zbyt zainteresowana, a i on z czasem przestał zabiegać o dziewczynę, która zamiast zabrać się za normalną robotę, nie wiadomo po co wyruszyła na jakieś studia do miasta. Nie zarzucił jednak całkowicie swojego marzenia o wspólnej przyszłości, a postanowił cierpliwie czekać. Widywał ją, co prawda, tylko w wakacje, ale miał nadzieję, że gdy skończy wreszcie tę uczelnię, to przyjedzie do pani Helenki na wieś i wówczas będą mogli porozmawiać o konkretnych. Nic z tego jednak nie wyszło. Mimo to Karol do tej pory miał do dziewczyny olbrzymi sentyment, pomimo iż kochał nad życie swoją żonę. Z wzajemnością. Był też ojcem trojga dzieci i zbudował sobie własny szczęśliwy i nieco beztroski świat.

Agnieszka uśmiechnęła się na te wspomnienia o swoim dawnym adoratorze. Ale to nie był czas, by rozmyślać o życiu rodzinnym Karola. Usiadła przy babcinym stole, nie rozbierając kurtki ani czapki. Wciąż było zimno. Stół znajdował się w pokoju, który był połączony z kuchnią. Gdy Agnieszki nie było w domu, babcia zamykała pozostałe pomieszczenie i grzała tylko tutaj i w kuchni. Kominek i piec kaflowy szybko rozgrzewały to niewielkie pomieszczenie, ale w pozostałej części domu było jak w psiarni. Agnieszka namawiała babcie na centralne ogrzewanie, ale starsza pani wciąż nie mogła się zdecydować.

– Całe życie tak mieliśmy i było dobrze. Wiesz, że nie lubię zmian! Gdyby nie ten piec, to w ogóle bym się nie ruszała. A tak rano wstać muszę i napalić. Za ciepło też nie jest dobrze dla zdrowia, pamiętaj o tym.

Chwilowo więc w domu panowały bardzo „prozdrowotne” warunki, bo z pewnością nie było tam, łagodnie mówiąc, zbyt ciepło. Dobrze, że babcia przynajmniej złamała się w kwestii zakupu grzejnika elektrycznego, bo istniała szansa, że teraz dzięki niemu jej wnuczce uda się uniknąć odmrożeń. Agnieszka podłączyła grzejnik do prądu, żeby chociaż trochę się nagrzało, nim napali w piecu i kominku. Potem usiadła z powrotem przy stole i napisała esemesa.

Agnieszka: *Karol, śpisz?*

Po chwili zabrzączał telefon.

Karol: *Nie.*

Agnieszka: *Mogę zadzwonić?*

Karol: *Dzwoni.*

Wybrała numer.

– Karol, czy ty może wiesz, gdzie jest moja babcia?

– Ja nic nie wiem! – wypalił, stanowczo za szybko jak na kogoś, kto nie miał niczego na sumieniu.

– Coś przede mną ukrywacie. I ty, i babcia – podejrzliwie stwierdziła Agnieszka.

– Nic a nic! – zachnął się. Tym razem zdecydowanie zbyt głośno.

– Gdzie jest babcia?! Mów!

– No przecież już ci powiedziałem, że kto jak kto, ale ja to nic nie wiem.

– Zakochała się? Wyjechała gdzieś? Coś złego się stało?

– O cholera, w kim się zakochała? – zainteresował się nagle. Tym razem zainteresowanie było jak najbardziej prawdziwe.

– To ja właśnie pytam! – zdenerwowała się Agnieszka.

– A! Myślałem, że czegoś się dowiem.

– Karol, ja po prostu się niepokoję... – westchnęła. – Nie wiem, czy babcia żyje, czy nie żyje ani co się z nią dzieje. Zlituj się, jeśli coś wiesz, to mi powiedz, bo zaraz oszaleję.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież jak jest zakochana, to żyje. – Karol doprawdy nie grzeszył inteligencją.

– Ogarnij się! Ja nie wiem, czy ona jest zakochana. Nic nie wiem... Przyjechałam do domu, a jej nie ma. To do niej niepodobne, dlatego się boję, że mogło stać się coś złego. Pomóż mi!

– Ale w czym? – zapytał, jakby dopiero zaczynali tę rozmowę.

Gdyby Karol był blisko, z pewnością uderzyłaby go po łbie. No ale wtedy niczego by się już z pewnością nie dowiedziała.

– W zlokalizowaniu mojej babci. I w sprawdzeniu jej stanu zdrowia. A może nawet i życia.

– Jak ją wiozłem do Gdańska w ubiegłym tygodniu, to nawet była energiczna, tylko noga ją bolała.

– Wiozłeś ją do Gdańska?! I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Ja nic ci nie powiedziałem – zaprzeczył wszystkiemu, zorientowawszy się, że za dużo chlapnął.

– Jezu, zwariuję! Czemu mi nic wcześniej nie powiedziałaś?

– Bo mi pani Helenka nie pozwoliła. Kazała mi przyrzec, że o niczym się nie dowiesz, bo pomyślisz, że ona jest niedołączna czy jakoś tak.

– Jezu, a co jej się stało w tę nogę?

– Złamała sobie chyba. Mówiła, że przez te maślane ciastka. Aga, nie jedz ich na wszelki wypadek, bo nie wiadomo, co ona tam dosypała, że potem łamią się nogi.

W pierwszym odruchu Agnieszka spojrzała na ciastka i naprawdę zaczęła się zastanawiać, czy to nie one są powodem zniknięcia babci. Ale zaraz potem zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Karol, ty coś przede mną wciąż ukrywasz!

– Ukrywam – przyznał prostodusznie. – Pani Helenka nie chciała, byś się martwiła, dlatego też nic nie powinnaś wiedzieć, tylko sobie na święta jechać gdzieś pod palmy. Tak powiedziała.

– Co muszę zrobić, byś mi wyznał, o co chodzi?

– Obiecać, że nie pojedziesz do niej natychmiast.

Agnieszka spojrzała za okno. Na zewnątrz było czarno. Nie było widać nic oprócz lekko prószonego śniegu, a mróz zaczynał malować na szybach fantazyjne obrazy. Teraz i tak nie miała zamiaru nigdzie się ruszać. Wyruszyć z Kaszub planowała dopiero następnego dnia. To mogła Karolowi przysiąc.

– Obiecuję. A teraz gadaj wszystko jak na spowiedzi.

– Zadzwoiła do mnie, bo spadła z drabiny i...

– O Jezu! – Agnieszka z lękiem spojrzała na drabinkę stojącą w kuchni.

– ...i przyjechałem, a potem zawiozłem ją do Kościerzyny, do szpitala. A później do Gdańska. Kilka dni później poprosiła mnie o to, bym ją zawiózł do domu.

– No to gdzie ona wobec tego jest? – zapytała zdenerwowana dziewczyna. – Przecież nie ma jej w domu!

– No nie ma, bo przyjechaliśmy tylko na chwilę. Spakowała dwie walizki i powiedziała, że jedzie do sanatorium, coby ją szybko na nogi postawili.

– Do sanatorium? Jezu, jak ja ją teraz znajdę! Do jakiego sanatorium?

– Coś ty taka nerwowa? Sam ją tam zawiozłem, więc wiem dokładnie, gdzie to jest. Niepotrzebnie robisz aferę, bo wydaje mi się, że to bardzo, bardzo fajne miejsce.

## 2.

W bardzo, bardzo fajnym miejscu babcia Helenka właśnie zasypiała. Dzień można było uznać za udany, bo udało jej się w końcu nawiązać pewną nić porozumienia z Sabina. Z pewnością miał na to wpływ fakt, że pozwoliła jej wygrać w scrabble.

Sabina też stwierdziła, w rozmowie z Krystyną, że ta nowa, Helenka, to nie taka do końca zła jest. Choć, oczywiście, zrobiła to w charakterystyczny dla siebie, uszczypliwy sposób.

– Pani Krystyno, ta nowa, Helenka, wreszcie poszła po rozum do głowy, ale miała chyba bardzo daleko, bo trochę to trwało – westchnęła. – Szła i szła, ale nareszcie dotarła!

Teraz „ta nowa” była zmęczona i nie w głowie jej były spacerunki po rozum ani po cokolwiek innego. Chciała jak najszybciej dojść do siebie, więc niemalże cały dzień kuśtykała, wsparta na kuli, po korytarzach.

– Co pani robi? – Tuż przed południem zauważył ją fizjoterapeuta.

– Rehabilituję się! – odparła zadziornie.

– Pani kochana, na rehabilitację przyjdzie jeszcze pora! Teraz odpoczywać trzeba.

– Odpoczywać, panie Marku, to ja będę w trumnie.

– A wybiera się pani?

Aż podskoczyła, nieoczekiwanie słysząc głos po lewej stronie. Gdyby nie wsparcie pana Marka, chyba by straciła równowagę.

– Gdzie się wybieram? – zapytała niepewnie.

Pochylała się nad nią wysoka, szczupła kobieta, elegancka, ubrana na czarno. Jej twarz pokryta była pajęczyną zmarszczek, a usta miała pomalowane na bladoróżowo. Uszy i szyję ozdabiała biżuteria z pereł. Wrażenie wytworności tej postaci i jej wysublimowanego gustu pogłębiało kolorowe kobiece czasopismo, które służyło jej za prowizoryczny wachlarz.

– Jak to gdzie? To pani nie wie? Odpoczywać – odparła spokojnie, wciąż z gracją się wachlując. – W trumnie – dodała, jakby to było oczywiste. – Ja to bym chciała, by mnie zabalsamowali. Bo jak się balsamuje, to zmarszczki się podobno wygładzają. I wcale ich nie widać. I jeszcze bardzo bym prosiła, a w zasadzie napiszę to w testamencie, by make up mi zrobiła Alicja Stepokura, taka artystka makijażowa. Jak śluby maluje, to i pogrzeby pewnie umie, prawda? Albo taka miła pani Ola z Sephory. W sumie nie wiem, czy one takie pośmiertne malowidła robią, ale doprawdy nie mam pojęcia, czy dam radę iść na makijaż tuż przed śmiercią i czy on będzie na tyle trwały, że w nim dotrzmam do pogrzebu. – Wzruszyła ramionami. – Jak pani myśli?

– Może... Może jakby zrobić jakiś taki kryjący... – gdybała pani Helenka.

– No właśnie, też tak myślałam. I matowy. Chociaż myślę, że po śmierci to ja sama zmatowię i bardziej będą mi potrzebne rozświetlacz i róż.

\*\*\*

Damą nie można zostać, damą trzeba się urodzić. A skoro już pani Eleonora urodziła się damą, jako dama pragnęła umrzeć. Zabalsamowana, w pełnym makijażu, zrobionym przez profesjonalistkę, i w cudownej sukni od Diora. Widziała taką kiedyś na zdjęciu. W jednej z gazet, gdy mieli terapię zajęciową. Wycięła wtedy wszystkie sukienki, które jej

się podobały. Nie to co pan Zenon! On wycinał wciąż same gołe albo przynajmniej niekompletnie ubrane kobiety... Bycie nagą w czasach, gdy tyle pięknych ubrań na świecie, było wielką niedorzecznością. I jakby marnotrawieniem piękna. Eleonora westchnęła. Nie można marnotrawić piękna.

Niepostrzeżenie otworzyła drzwi i wyszła z budynku. Nawet zdążyła nałożyć futro, które trzymała schowane w walizce wsuniętej pod ławkę do zakładania butów. Na głowę wsadziła wielki czarny kapelusz ze sztuczną różą. Dama powinna nosić kapelusze. A ona, jak wiemy, damą była.

Niezauważona w dalszym ciągu przez nikogo, wyszła poza teren Domu Seniora Happy End, wsiadła do najbliższej taksówki i zażyczyła sobie, by ją zawieziono do położonego nieopodal centrum handlowego.

\*\*\*

– Znowu nie zauważyłaś, że wyszła. – Adam zadzwonił do Krystyny.

– Eleonora! – jęknęła jego żona. A właściwie była żona.

– Nie masz się co martwić. Kupiła metaxę, a teraz jest na makijażu. Obserwuję ją od kilku minut. Jak już ją tam pomażą tymi pudrami, chłopaki ją odwieżą do ciebie. Jeden ją cały czas pilnuje.

– Dzięki... – Odetchnęła z ulgą.

Już po raz kolejny w swoim życiu stwierdziła, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mania kontrolowania wszystkiego przez jej męża znów się na coś przydała.

Eleonora uciekała systematycznie. Zawsze schemat był ten sam – niepostrzeżenie się wymykała, by kupić siedmiogwiazdkową metaxę oraz zrobić sobie profesjonalny makijaż. Mówiła, że przecież musi ostatni raz przed śmiercią napić się dobrego trunku. Może już nigdy nie będzie miała okazji? A po co makijaż? Tego Krystyna miała się wreszcie dowiedzieć tuż po tym, jak jeden z ochroniarzy przywiózł uciekinierkę z powrotem.

– Pani Eleonoro! Gdzie pani była?

– Przygotować się! A gdzie miałam być? – zdziwiła się starsza pani. – Już czas!

– Przygotować się? – Zaskoczona Krystyna spojrzała na pensjonariuszkę. – Moim zdaniem jest pani doskonale przygotowana. Pani Eleonoro, pięknie pani wygląda...

– Dziękuję, dziecinko. – Rozpromieniła się.

– Wybiera się pani gdzieś? – zapytała Krystyna niepewnie.

Prawdę mówiąc, wołałaby, by Eleonora nie ruszała się już choćby na krok. Jej eskapady przyprawiły właścicielkę domu seniora o palpacje serca.

– Na tamten świat, kochana. Myślisz, że makijaż dotrwa?

Eleonora malowała się regularnie. Gdy tylko miała okazję, oddawała się w ręce profesjonalistów. Trzeba zawsze być gotowym na tę najdalszą podróż. Podróż, w której żadna walizka się już nie przyda.

\*\*\*

Jak już babcia Helenka zauważyła, Eleonora nie była jedyną pensjonariuszką Domu Seniora Happy End, którą można było uznać za co najmniej oryginalną. Tu nie było chyba miejsca dla zwyczajnych ludzi. Jak wiemy, mieszkał tam też pan Zenon, który kochał wszystkie kobiety, a najbardziej te roznegliżowane. Był po udarze i prawą część ciała miał

sparaliżowaną, jednak w ogóle mu to nie umniejszało. Zwykle był radosny, dowcipny i flirtował ze wszystkimi opiekunkami.

– Ależ, panie Zenonie! – słysząc było zawsze, gdy dziarski staruszek był w pobliżu.

Na szczęście jego komplementy były na tyle przyjemne i na poziomie, że nigdy nikogo nie uraził.

Galerię osobliwości uzupełniała Sabina, która wciąż trajkotała, jaka to jej wnuczka jest do niej podobna. Natomiast pokój obok zajmowała Irenka, która nie ruszała się z wózka, ale sprawiała wrażenie, jakby ten wózek był centrum dowodzenia wszechświatem. Na drugim piętrze mieszkał pan Janek, bibliofil. Wciąż czytał. Chyba z nim najszybciej udałoby się Helenie dogadać. Sabina opowiadała jej jeszcze o innych pensjonariuszach, ale pozostałych nie zapamiętała.

– Jak nie pamiętasz, to coś na pamięć potrzebujesz. Musisz iść do Malwiny – zawyrokowała Sabina. – Albo do Teresy. W zależności od tego, co ci bardziej po drodze. Czy modlitwa, czy gusła. – Zarechotała. – Ja myślę, że Kryśka wsadziła je do jednego pokoju dla rozrywki. Swojej rozrywki.

– Dlaczego niby?

– Pójdiesz, to sama zrozumiesz. – Sabina spojrzała na gips na nodze współlokatorki. – No tak, w tym stanie to pewnie szybko nie pójdziesz. No to ci powiem. Teresa namiętnie słucha Radia Maryja i nieustannie próbuje nawracać Malwinę.

– A Malwinka niewierząca?

– Ależ zupełnie odwrotnie! Malwinka me-dy-tu-je – wyszeptwała konspiracyjnie. – I jogę ćwiczy. Taka trochę dziwna jest, ale zupełnie nieszkodliwa. Tylko świństwa jakies je.

– Świństwa?

– No, zioła jakies. Pije, pali...

– Pali? – przestraszyła się babcia Helenka.

– No nie, nie pali. A mogłaby. Weselej by było, prawda? Paliłaś kiedyś jakies zioło?

Helena gwałtownie pokręciła głową.

– A widzisz! Ja też nie. I coraz bardziej mnie męczy ta myśl, że umrę, nawet nie próbując. I co gorsza, ta myśl mi się zupełnie nie podoba!

\*\*\*

Babcia Helenka zastanawiała się przez cały dzień nad tym, czy jej do szczęścia potrzebne jest palenie zioła. Całe życie się bez tego obywatła, to przecież i teraz by mogła. Ale z drugiej strony... Co człowiekowi może zaszkodzić, gdy ma już siedemdziesiąt pięć lat? Doprawdy niewiele. A jeżeli te ostatnie lata życia miałyby w jakimś stopniu być weselsze... Pomyśli o tym.

Jak na razie siedziała z innymi pensjonariuszami Happy Endu wokół dużego stołu i poznawała swoich towarzyszy na najbliższy miesiąc. Wszyscy zapamiętali wycinali coś z gazet i przyklejali na duże kartki. Marzenia i plany.

Babcia Helenka westchnęła. Nie było w tych gazetach domu na Kaszubach i nie było jej wnuczki. Cóż miała zatem wycinać? Przecież ona o tym marzyła. O tym, by spędzić razem z Agnieszką święta, jak co roku przypalić jakies ciasto i rozmawiać z nią do białego rana. W jednym z czasopism, które wertowała od niechcienia, znalazła natomiast zdjęcie

kobiety z nogą w gipsie. Pasowało, niestety, do jej trudnej sytuacji. Przykleiła wycinek na środku kartki i wszystko przekreśliła grubym czerwonym mazakiem. Tak, to ten gips pokrzyżował jej plany. Dokleiła jeszcze trzy bombki, narysowała choinkę i uznała, że praca była gotowa.

Sabina siedziała naburmuszona. Stwierdziła, że ona nie jest przedszkolakiem, by się bawić w wycinanki. Janek nic nie wycinał, bo się zaczytał w jakimś artykule i nie pozwolił sobie zabrać gazety. Malwina rysowała nagie nimfy nad wodą, a Teresa anioły. Siedziały obok siebie i wyrzywały sobie wzajemnie z rąk srebrną farbę. Malwina to w ogóle wyglądała, jakby sobie tą farbą pomalowała te swoje długie, spływające luźno na ramiona włosy. W przeciwieństwie do Teresy, która ślady po farbowaniu swojej czarnej czupryny miała aż do połowy czoła i wydawała się tym zupełnie nie przejmować, a co gorsza, chyba była z tego dumna.

– Ja stawiam na naturę – z wyższością podkreśliła Malwina. – Nie farbuję włosów.

– Gdyby Bóg nie chciał, bym farbowała włosy, nie pozwoliłby na wymyślenie tej farby! Jak stara baba wyglądasz z tą siwizną – mruknęła Teresa do osiemdziesięcioletniej współlokatorki.

Helenka ze zdumieniem zauważyła, że Zenon, ten połowicznie sparaliżowany, radził sobie chyba najlepiej. A na pewno był ze wszystkich najbardziej zadowolony i zaangażowany w pracę. Lewą, sprawną ręką wydarł z czasopisma, które nie wiadomo jak się w ogóle znalazło w jego posiadaniu, trzy zupełnie nagie kobiety i przykleił je na wielkiej białej kartce.

– Ależ, panie Zenonie, co pan zrobił?! – wykrzyknęła zdumiona terapeutka.

– Wyrwałem trzy gołe laski jedną ręką, pani Marzenko! – zawołał rozpromieniony staruszek.

– Panie Zenonie! – jęknęła z oburzeniem.

– Nieubrane. – Eleonora się skrzywiła, przyklejając kolejny kwiat na wycięty z czasopisma kowbojski kapelusz. – Jak można być nieubranym w tym świecie? Nagość jest marnotrawstwem, kiedy tyle pięknych sukien wokół!



### 3.

Codziennie rano Anna odprowadzała Zosię do przedszkola. Oczywiście Artur nie widział takiej potrzeby.

– Jesteś w domu, to przecież możesz się nią zająć, a nie obcym ludziom dzieciaka podrzucać – mówił. – Co z ciebie za matka? Masz możliwość bycia z dzieckiem, a oddajesz je na pół dnia.

Artur pracował zmianowo. Czasem zniknął na całe noce, ale były też dni, kiedy od rana siedział z kolegami i pił. To głównie dlatego Anna zdecydowała się zapisać córkę do przedszkola. Chciała mieć pewność, że dziecko będzie bezpieczne. Że nie będzie obserwowano kolejnej libacji, a zadowolone będzie się bawić lalkami, misiami i klockami. Tym wszystkim, czego w domu nie miało. Na szczęście nie było problemów z miejscem w przedszkolu. Na początku Anna nie pracowała, ale że nie mieli z Arturem ślubu, wciąż funkcjonowała jako samotna matka. Miejsce w przedszkolu było jednym z niewielu przywilejów matek, które samotnie wychowywały dzieci. Wreszcie coś, co zrównoważyło fakt, że brak ślubu stał się kością niezgody pomiędzy nią a jej rodzicami.

– Nie można tak żyć w grzechu, córeczko – przekonywała mama za każdym razem, gdy rozmawiały. – Ludzie gadają u nas, że ty na kocią łapę żyjesz. Że puszczańska jesteś.

– Mamo...

– Ile już lat to trwa? Musicie sobie przed Panem Bogiem przysiąc, że na dobre i na złe będziecie razem, że będziecie wspierać się w zdrowiu i w chorobie... Pamiętaj, córeczko, to bardzo ważne. To kiedy będziecie sobie przysięgać?

Zawsze, ale to zawsze, gdy spotykała się z rodzicami, poruszany był ten temat. Gdyby rodzice mogli, sami by zaciągnęli swoją córkę wraz z potencjalnym zięciem przed ołtarz. Anna nie była na to gotowa. Na początku, owszem, chciała, ale wtedy jeszcze było dobrze. Nawet rozmawiali o tym z Arturem i obiecywali sobie, że się pobiorą, gdy odłożą nieco pieniędzy na wesele. Potem już nic sobie nie obiecywali. Artura drażniły naciski ze strony niedoszłych teściów, więc Anna sama zaczęła jeździć do rodziców. Z czasem ona też przestała ich odwiedzać, mając wrażenie, że nie może spełnić ich oczekiwań.

Kiedyś nawet próbowała wyjaśnić mamie, że Artur nie był do końca taki, jak oni myśleli, jak dawniej myślała ona, że nie była z nim szczęśliwa, że pił za dużo i czasem podnosił na nią rękę... Wiele ją kosztowało to wyznanie, ale matka kompletnie zignorowała jej rozterki.

– Jest ojcem twojej córki! A wiadomo, że wszystko się sypie, jak bez ślubu żyjecie! Pobierzcie się i zaraz miłość do was większa przyjdzie!

Nie tylko nie mogła więc liczyć na wsparcie rodziców, ale miała wrażenie, że wyznawali oni zasadę: „nieważne kto, byleby portki nosił”. Kiedy Artur ją pierwszy raz uderzył, mama też zupełnie to zlekceważyła. I nadal dopytywała, kiedy ślub. Nigdy! Anna wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Dlatego też już nawet nie rozmawiała z rodzicami przez telefon. Bo i po co? Po to, by usłyszeć, że wszystkie rany się z czasem zagoją, że gdyby miała z nim ślub, toby było inaczej? Że po ślubie Artur zmądrzeje? Nie wierzyła w to.

Fakt, po ślubie byłoby zupełnie inaczej. Byłoby trudniej. Nie mogłaby po prostu któregoś dnia odejść. A ona czasem zasypiała z uśmiechem na ustach, bo wyobrażała sobie, że pakuje rzeczy swoje i córki do starego plecaka, który dawniej służył jej podczas wycieczek w góry, gdy jeszcze chodziła do liceum, budzi małą o poranku i obie wyruszają w świat. Nie wiedziała jeszcze gdzie, ale czuła, że gdzieś tuż obok jest ten świat, w którym czeka na nią jakieś szczęście. Wierzyła, że to tylko kwestia czasu, kiedy faktycznie wyjmie ten granatowy plecak z pawlacza i zapakuje do niego wszystko, łącznie z ulubioną zabawką Zosi.

Raz nawet go wyjęła. Założyła na plecy i przeglądała się w lustrze. Niestety, wtedy wrócił do domu Artur.

– A ty się gdzieś wybierasz? – Zarechotał złośliwie. – Wakacji ci się zachciało? Na Karaiby raczej nie polecisz. Tam byś musiała mieć walizkę. A z tym plecakiem to możesz się wybrać tylko do tej pipidówki, w której twoi starzy mieszkają. Ale nawet tam cię nie chcą, bo mamuśka już nie dzwoni, co nie? Może i dobrze. Zdejmuj ten plecak i chodź do łóżka.

Zawsze czekała, aż zaśnie. Siedziała w łazience, z książką lub telefonem w dłoni, oglądając kolorowy świat Instagrama, i czekała, aż się rozlegnie głośne chrapanie. Często jej się udawało. A czasem nie... Leżała wtedy cicho pod nim, czekając, aż skończy. Cicho. Tak cicho, by nie obudzić Zosi.

Teraz już się chyba do tego przyzwyczaił, ale wcześniej były awantury.

– Wolałbym się pieprzyć z kłodą! – stwierdził kiedyś.

Czasem marzyła, by być taką kłodą. By nie czuć. By nie myśleć. Zaraz jednak przypominała sobie, że ma córkę. A dla niej zrobiłaby wszystko. To dla niej marzyła o pakowaniu starego plecaka i wyruszeniu w świat. Jasny i bezpieczny. Gdzie nikt im nie zrobi krzywdy. Gdzie nawet kłoda wypuszcza gałęzie i zielone liście, które odwracają się w stronę słońca.

\*\*\*

– Dzień dobry, pani Aniu! – Usłyszała głos Roberta, dzielnicowego, gdy wychodziła po córkę do przedszkola.

– Dzień dobry!

– Wszystko w porządku?

Pytał ją o to co jakiś czas i sam doskonale wiedział, kiedy jest lepiej, a kiedy gorzej, ale Anna nigdy się nie skarżyła.

– W jak najlepszym, panie Robercie. Mam dodatkową pracę przed świętami, to i grosza trochę wpadnie.

– Niech pani w domu tego grosza nie trzyma... Na koncie bezpieczniej.

Pokiwała głową. To właśnie dzięki Robertowi założyła konto w banku. Konto, które mogło być przepustką do lepszego świata. Nie miała tam zbyt dużych oszczędności, ale wierzyła, że kiedyś się uda.

– Może niech nie mówi pani nic mężowi o tym, że ma pani konto – doradził jej wtedy.

– On nie jest moim mężem. – Anna pokręciła głową. – I... nie powiem. Tak będzie lepiej.

Robert nie musiał pytać dlaczego. No i trochę ucieszyło go, że to nie był jej mąż.

\*\*\*

Anna na początku miała wyrzuty sumienia, że ma przed Arturem jakiekolwiek tajemnice. Wielokrotnie chciała mu nawet wyjawic, że zalozyła konto, ze nie jest taka ostatnia ofermą, za jaka on ja uwazal. Pochwalic sie, ze potrafi zarobic i troche oszczedzic. Jednak na szczescie nigdy tego nie zrobila.

– Mówisz, że zarabiasz! – krzyzał. – To gdzie jest ta twoja forsa?!

– Przejadasz ja.

– Zaraz mi powiesz, ze ja przepijam?! – Zamachnal sie na nia.

– Nie, przepijasz swoja.

Ciezka dlon Artura wyladowala na jej policzku...

To zdarzalo sie czesto. Tak czesto, ze Anna zdoiala sie do tego przyzwyczaić. Zdoiala sie tez przyzwyczaić do tego, ze nie rozmawia z rodzicami. Nie znioslaby namawiania na slub z czlowiekiem, ktory ja krzywdzil. Wielokrotnie dziękowała Bogu, ze do tego slubu nie doszlo. Temu samemu Bogu, ktorego jej matka prosila, by jej córka wreszcie przestala zyc w grzechu. Wielokrotnie modlila sie tez o to, by zdarzyl sie jakis cud. Cud, ktory sprawilby, ze jej mieszkanie byloby wreszcie domem, ktory sobie wymarzyła. Nie musiala miec tylu pokoi, co pani Krystyna, u ktorej sprzatała. Nie musiala miec ogrodu i tylu cudnych bibelotów, z ktorych scierala co tydzien kurze. Chciala po prostu byc bezpieczna. Pewna, ze gdy wróci do domu, zastanie porzadek, a w kazdym kacie bedzie mieszkal usmiech, a nie strach.

– A o czym ty marzysz, córeczko? – zapytala Zosie, gdy wracaly z przedszkola.

– O wielkiej choince. Taaakiej wielkiej. – Podniosla rączki i podskoczyla. – Az do sufitu!

– A mala nie moze byc? – z nadzieja zapytala Anna.

Miala w piwnicy niewielka sztuczna choinke, ktora co roku przynosila i stawiala na komodzie. Na zywe drzewko Arturowi szkoda bylo pieniedzy. Tej sztucznej tez by pewnie nigdy nie kupila, ale znalazla ja kiedyś na smietniku. Przyczepiona byla do niej karteczka z napisem: „Weź mnie. Moze ci sie przydam. Wesolych Swiat!”. Czasem chcialaby przyczepic taka karteczke sobie. By ktos ja wzial i po ludzku byl dla niej dobry.

– Mala tez moze byc, ale pytalas mnie, o czym marze. – Zosia sie usmiechnela. – Marze o tym, by w swieta biegać naokoło takiej wielkiej choinki! – Podskoczyla znowu. – Takiej wielkiej, az do sufitu.

– To ja mam pomysł!

– Jaki?

– Niespodzianka!

– Mamo, powiedz!

– Jak ci powiem, to nie bedzie juz niespodzianka! – Wziewla córke za reke i skrecily w strone centrum handlowego.

– Jak mi powiesz, to bedzie spodziewanka! A spodziewanki chyba lubie jeszcze bardziej!

– A to niby dlaczego?

– Bo sie mozna dluzej cieszyc. Cieszysz sie wtedy, kiedy na te spodziewanke czekasz i potem, jak juz ona jest, to tez sie cieszysz. Z niespodziankami jest inaczej. Cieszysz sie

mocniej, ale krócej.

Anna się roześmiała, słysząc tak logiczną wypowiedź swojego dziecka.

– To powiesz mi, mamó, gdzie idziemy?

– Do centrum handlowego. Spotkałam dzisiaj pana Roberta i mówił mi, że przywieźli tam największą choinkę na świecie. I że mają ją dzisiaj stroić. Może im pomożemy?

– Mamó! Mamó! – Zosia podskakiwała wokół matki. – To najpiękniejsza spodziewanka na świecie!

Faktycznie, kiedy weszły do centrum handlowego, na jego środku stała największa choinka, jaką Anna kiedykolwiek widziała. Obok niej uwijali się pracownicy. Jedni rozwijali łańcuchy, inni przynosili wielkie kartony z ozdobami świątecznymi. Zosia wyrwała się mamie i podbiegła do mężczyzny, który właśnie zawieszał bombkę na najniższej gałęzi.

– Nazywam się Zosia, czy mogę panu pomóc? – grzecznie zapytała dziewczynka.

Mężczyzna miał już odmówić, ale wówczas zauważył błagalne spojrzenie zielonych oczu, wpatrujących się w niego z ufnością.

– Jasne, powiedziałbym, że nawet mi się przydasz! – Zauważył ulgę we wzroku kobiety, która stanęła nagle obok. – Sam pewnie bym nie zdążył przed przyjściem Mikołaja.

– Widzisz, mamó? Ten pan też mówi, że Mikołaj istnieje.

– A ty nie wierzysz w Mikołaja? – zdziwił się mężczyzna.

– Ja wierzę, proszę pana. Ale moja mama już przestała. A ja wiem, że jak się w niego nie wierzy, to on wtedy nie przychodzi. A tego bym nie zniosła! – powiedziała Zosia, zawieszając ogromną bombkę na jednej z gałęzek.

Anna już dawno przestała wierzyć w Świętego Mikołaja. I może dlatego od dawna nie dostawała żadnych prezentów? Ostatni raz chyba gdy się Zosia miała rodzić. A może wtedy też nic nie dostała? Sama już dobrze nie pamiętała. A co chciałaby dostać teraz? Spokój. Szczęście. Wigilię w gronie osób, dla których zwrot „Wesołych Świąt” nie jest tylko pustym frazesem. Chciałaby się uśmiechać, siedząc przy stole wigilijnym. Chciałaby widzieć radość na twarzy swojej córki. Czy to dużo, czy mało? Niby mało. A takie wydawało się to odległe. I kompletnie niemożliwe do spełnienia.

\*\*\*

Adam Czyżykiewicz, właściciel centrum handlowego, wpatrywał się w monitor oznaczony numerem osiem. Nie było ich. Może są gdzie indziej? Na monitorach obok ósemki też nie było widać dziewczynki i jej mamy. Mężczyzna się zaniepokoił. Przecież zawsze o tej porze robiły zakupy! Znaczą udawały, że te zakupy robią. Dziewczynka za każdym razem wkładała do koszyka takiego ogromnego misia. Tylko czasem z niego rezygnowała na rzecz klocków. Był ciekaw, co wymyśli teraz.

To niemożliwe, by nie przyszły! Podrapał się po siwej brodzie, założył okulary. Po chwili się uśmiechnął. Kamera numer jeden. Hol główny. Dziewczynka wraz z matką wieszały bombki na choince. Uśmiechnął się do siebie. Ufff, były. Zatem wszystko jest w najlepszym porządku.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i obserwował to urocze dziecko i wpatrującą się w nie z miłością matkę. Pomyślał, że właśnie tak wygląda szczęście. W tym samym momencie

bardzo zatęsknił za swoją rodziną. Córką, synem i Krystyną. Uzmysłowił sobie też, że nie miał pojęcia, jak będą wyglądały jego święta. Zupełnie tego nie zaplanował. Po raz pierwszy w życiu potrzebował spokoju i stabilizacji. Nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Gdy kupował największe możliwe drzewko bożonarodzeniowe, przez głowę przemknęła mu myśl, że taka choinka w centrum handlowym jest bardzo niedoceniana, a co gorsza, w święta jest bardzo samotna. Tak jak on.

Krystyna pewnie spędzi Boże Narodzenie ze swoimi pensjonariuszami, a dzieci lecą na Malediwy. Sam ich tego nauczył. Gdy pracował, święta były jedynym czasem, gdy mógł sobie pozwolić na podróż. Myślał, że tak jest dobrze. Wszyscy zdawali się szczęśliwi, ale teraz, po latach, wcale nie był pewien, czy tak powinno to wyglądać. Być może właśnie dlatego on, Adam, będzie teraz święta spędzał tutaj, w centrum handlowym. W miejscu, które stworzył od podstaw i które od dawna zastępowało mu dom. Wszystkich pracowników puści wcześniej. Po co mają pracować w Wigilię? Niech idą do swoich rodzin.

Jego bliscy nie chcieli już spędzać z nim Bożego Narodzenia i dlatego spędzi je samotnie. Z tą największą, najpiękniejszą choinką, przystrojoną milionem światełek. Zapatrzy się w kolorowe dekoracje i będzie marzył o tym, że kiedyś jeszcze uda się rodzinie zasiąść do jednego stołu, przełamać się opłatkiem i zaśpiewać kolędę. Krystyna bardzo fałszowała, ale to było nieistotne. Chciałby ją posłuchać śpiewającą kolędę obok tej choinki. A on by grał na fortepianie. I się do niej uśmiechał. Pewnie gdyby zadzwonił i jej o tym powiedział, to może nawet by przyszła, ale nie chciał psuć jej planów. Wiedział, że tego nie lubiła. Jej marzeniem było stworzenie miejsca, w którym pensjonariusze odnajdą prawdziwy dom. Adam zaczął się zastanawiać, dlaczego nie udało się tego zrobić w ich domu. Nie udało się stworzyć na tyle mocnych więzów, przywiązania do tradycji, by wszyscy razem spotykali się co roku przy wigilijnym stole.

Gdzie popełnił błąd? Przecież zawsze chciał dla nich wszystkich tego, co najlepsze. Harował całymi dniami, by niczego im nie zabrakło. W tym pędzie za pieniądzem zapomniał jednak, że czasu z dziećmi nie można kupić. Relacji z bliskimi nie można kupić. Trzeba nad nimi nieustająco pracować. Każdego dnia. Kiedyś tego nie rozumiał, teraz tego żałował.

Przypomniał sobie rozmowę z Krystyną sprzed kilku lat.

– Krystyno, gdybym pół roku temu kupił złoto, wiesz, ile bym dzisiaj zarobił? – zapytał ją.

– Nie wiem, ile byś zarobił, ale wiem, że gdybyś spędził ze mną cudowny wieczór, zabierając mnie do kawiarni, to zwrot z inwestycji miałbyś dużo większy. I to nie w złocie, a w uczuciach, kochanie.

Wtedy jeszcze mówiła do niego „kochanie”. Kiedy to się kończy? Kiedy ludzie przestają do siebie mówić „kochanie”? I czy zdają sobie sprawę, kiedy to powiedzieli ostatni raz?

Tuż przed snem wyciągnął telefon. Numer Krystyny już dawno zapisał w ulubionych.

– Eleonora dotarła?

– Dziękuję za pomoc, dotarła.

– To dobrze...

– Dzwonisz po to, żeby zapytać, czy bezpiecznie wróciła z wojaży leciwa dama w kapeluszu i z metaxą pod pachą? – Roześmiała się.

– No, tak... – skłamał.

– Dotarła, dotarła. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Nie dodał „kochanie”. Nie umiał. A tak bardzo chciał. Wciąż nie umiał też sobie przypomnieć, kiedy powiedział jej to ostatni raz.

## 4.

Agnieszka po rozmowie z Karolem długo nie mogła dojść do siebie. Wpatrywała się w komórkę, modląc się o lepszy zasięg. Po chwili oczekiwania, która dłużyła się w nieskończoność, udało jej się wreszcie otworzyć w przeglądarce stronę Domu Seniora Happy End. Cóż za dziwna nazwa! Ale cóż, kiedyś sama się zaśmiewała z nazwy niemieckiego domu seniora, w którym pracowała latem jedna z jej koleżanek. Tamten nazywał się Sankt Spiritus. Chyba marzeniem każdego młodego mężczyzny było się znaleźć na starość choć przez chwilę w miejscu, gdzie spirytus zostaje podniesiony do rangi uświęconego płynu. Może marzeniem wszystkich innych powinno być dobiec do brzegu na statku nazwanym Happy End?

Strona wyglądała profesjonalnie, nie można było się do niczego przyczepić. Rehabilitacja, masaże, wykwalifikowana opieka. Dużo pozytywnych opinii na portalu internetowym [trojmiasto.pl](http://trojmiasto.pl). Agnieszka trochę się uspokoiła. Babcia była w dobrych rękach, o ile w ogóle się tam znalazła. Tego jednak była w zasadzie pewna, bo pomimo wielu różnorodnych wad Karol zdecydowanie nie umiał kłamać.

Ziewnęła. Dochodziła druga w nocy. Nie planowała takiego wieczoru, a raczej nocy. Myślała, że przyjedzie do domu, babcia będzie miała przygotowaną dla niej jedną z największych puchowych kołder, na piecu będzie pyrkał rosół, który co chwilę po kryjomu Agnieszka będzie wlewała sobie do kubka. Miało być ciepło i przytulnie. Niestety, było zimno jak cholera. I nie było rosółu. Na szczęście wychowana przez babcię, potrafiła napalić i w piecu, i w kominku. Jednak była już bardzo zmęczona. Stwierdziła, że mały grzejnik elektryczny musi jej chwilowo wystarczyć, a przecież rano i tak pojedzie do Gdańska, do Domu Seniora Happy End. Kolejny niespodziewany punkt wyjazdu do babci.

Włożyła spodnie dresowe, polar, na głowę naciągnęła czapkę, przysunęła grzejnik bliżej łóżka, położyła się, przykryła ciepłą babciną kołdrą i natychmiast zasnęła. Nie śniło się jej nic. Natomiast jak na te niesprzyjające spokojowi ducha warunki zapadła w wyjątkowo głęboki i spokojny sen. Być może byłoby inaczej, gdyby zdawała sobie sprawę, że zapalone światło pomogło pewnemu zbłąkanemu wędrowcowi trafić wprost pod drzwi szopy. Te drzwi, na których były zawieszane jej stare łyżwy. Nie wiedziała również, że tenże zziębnięty do szpiku kości i przemoczony wędrowiec ukrył się w tejże szopie. Przykrył się starym kocem i nawet udało mu się na chwilę zasnąć.



## Rozdział 3

*Witajcie o poranku! Dzisiaj mamy prawdziwą zimę! Padało całą noc! Jeżeli jeszcze nie wyglądaliście za okno, koniecznie to zróbcie, bo jest uroczo. Ostrzegamy jednak, że trzeba będzie odśnieżać samochody. Pamiętajcie, by zawsze zaczynać od tablicy rejestracyjnej, bo potem można się niezłe zdziwić.*

*Dzisiaj imieniny obchodzą: Amon, Bogumił, Bogumiła, Dagmara, Dominik, Eugeniusz, Krystian, Liberat, Łukasz, Makary, Ptolemeusz, Teofil, Ursycyn, Wincenty, Zefiryn, Zefiryna i Zenon. Nasz realizator dźwięku, Łukasz, też przyniósł dzisiaj do pracy imieninowe ciasto! Wszystkiego najlepszego!*

*Mamy dwudziesty grudnia. To właśnie tego dnia w dwa tysiące dwunastym roku z linii montażowej fabryki w Tychach zjechał ostatni fiat panda. Jego produkcję przeniesiono do Włoch.*

*Proszę państwa, wschód słońca o godzinie siódmej czterdzieści jeden, a zachód o piętnastej dwadzieścia cztery. Dzień będzie trwał siedem godzin i czterdzieści trzy minuty i będzie krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty.*

*Do świąt zostały cztery dni. To naprawdę już czas, by kupować prezenty!*

# 1.

Było cholernie zimno. Agnieszka wyciągnęła rękę spod kołdry i dotknęła grzejnika stojącego tuż przy łóżku. Lodowaty. Nie działał? Wydawało jej się, że w nocy paliły się wszystkie światełka i stawał się ciepły. Sięgnęła po komórkę. Dziesięć procent naładowania baterii. Prądu nie ma? Westchnęła. Chyba wysiadły korki. Może wtedy, gdy podłączyła ten kaloryfer. Podobno czasem się tak zdarzało. Naprawdę nie chciało jej się wychodzić spod kołdry. W domu mogło być jakieś dziesięć stopni. Nie więcej. Dobrze, że spała w dresie.

W końcu jednak wstała i poszła do łazienki. Tam też nie było prądu. Z kranu leciała bardzo słabym strumieniem zimna woda. Wzięła wiadro i nalała wody. Potem w kuchni napełniła wszystkie garnki, jakie tylko znalazła. Nie wiedziała zbytnio, po co to robi, przecież i tak za chwilę miała zamiar zadzwonić do babci, a zaraz potem do niej jechać. Zastanawiała się, czy palić w kominku, i uznała, że zanim wyruszy, może upłynąć trochę czasu, więc zmięła gazetę, informującą na pierwszej stronie o tym, że zima tego roku będzie nader łagodna i wszyscy wielbiciele zimowych sportów powinni pomyśleć o wakacjach gdzieś za granicą, bo w Polsce śniegu w tym roku nie uświadczą. Dobre sobie! Na zmiętym papierze ułożyła kilka cienkich gałązek. Babcia ją nauczyła, że trzeba pamiętać, by w domu było wystarczająco dużo drewna do rozpalenia ognia w kominku i wystarczająco dużo węgla, by napalić w piecu. Zawsze tych zasad przestrzegały. Zapaliła zapalniczkę i podpaliła gazetę. Gdy chrust się zajął, dołożyła nieco grubsze gałęzie brzozy, a potem pocięte wzdłuż polana. Uśmiechnęła się, zadowolona ze swojego dzieła. Zaraz będzie cieplej.

Upewniła się, że wszystkie drzwi są pozamykane, i poszła wstawić wodę na herbatę. Idąc do kuchni, spojrzała w okno. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Na szybie mróz nocą namalował cudowne wzory. Spojrzała na termometr. Minus cztery, jeszcze nie tak zimno. Świat na zewnątrz wydawał się cały biały, co wcale nie zachęcało zziębniętej Agnieszki do spacerów. Założyła jednak kurtkę i czapkę i wyszła na ganek. Nie żałowała! Choć z ledwością otworzyła drzwi wyjściowe, bo śnieg leżał aż pod progiem, uśmiechnęła się do siebie. Było tak pięknie! Śnieg srebrzył się wokół, a drzewa wyglądały, jakby były przykryte puszystą pierzynką.

Zawsze lubiła, gdy spadał pierwszy śnieg. Był taki czysty, jeszcze nieskalany niczymi śladami. Potem, w miarę upływu dni, mogła rozpoznać ślady wszystkich okolicznych mieszkańców. Pod sam dom podchodziły nocą sarny i dziki, zdarzały się też tropy ptaków.

Teraz nie było żadnych śladów. Śnieg najwyraźniej padał całą noc. Zresztą wciąż sypało.

– O cholera! – mruknęła nagle Agnieszka. Właśnie uświadomiła sobie swoje położenie.  
– Jezu, wszędzie śnieg!

Pokręciła głową i rozejrzała się wokół. Co najmniej pół metra, a miejscami dużo więcej. Jej corsy w ogóle nie było widać. Tam, gdzie ją zostawiła, tuż obok drzew, wyłaniał się po prostu nieco większy pagórek. Agnieszka jęknęła. Zdała sobie sprawę, że tego dnia na pewno nie będzie w stanie wyjechać do Gdańska.

Zrezygnowana weszła do domu. Usiadła przy kominku, wzięła telefon i wybrała numer babci. Bateria jeszcze powinna wystarczyć, a prąd przecież kiedyś włączy.

– Babciu! Jestem w domu! – zaczęła Agnieszka, gdy usłyszała dziarskie „halo”.

– W jakim domu? – zdziwiła się staruszka. – Mówiłam ci, kochana, że masz lecieć gdzieś w świat!

– Babciu!

– No, wiem, wiem... Namieszałam trochę. Karol dzwonił i przyznał się, że mnie sypnął. Nic się przed tobą nie ukryje. Masz to po mnie.

– Ja cię wezmę na święta do domu! Nie możesz być sama!

– No właśnie, musimy o tym porozmawiać. Nie wiem, czy będę w stanie jechać taki kawał, a tutaj mi dobrze. Myślę, że to ty powinnaś przyjechać do mnie. Tu naprawdę jest bardzo miło. Wigilię spędzimy razem. Będzie inaczej niż zwykle, ale sympatycznie.

– A coś ty na tej drabinie robiła?

– Oj, Aga... Nie warto wracać do przeszłości! – zachnęła się.

– Babciu, nie odpuszczę. Powiedz mi, po co ty na tę drabinę weszłaś.

– Bo w tej górnej szafce są ciasteczka. Mnóstwo ciasteczek. Różnych. I sucharki też są. Jakbyś głodna była.

– Jezu, babciu... Sucharki? – Agnieszka nie mogła powstrzymać śmiechu. – Jak ty się w ogóle czujesz?

– No, dobrze, dobrze. Noga unieruchomiona, już nawet o tym zapomniałam.

– O Boże... Boli cię?

– Nie, już dawno nie, zresztą niedługo zdejmuję ten gips. Na początku swędziało, ale Apollo mi druty przyniósł do drapania – oświadczyła.

– Apollo? – zdziwiła się wnuczka.

– No, chirurg. Apollo czy tam Krzysztof, wszystko jedno. Wyglądał jak Apollo.

– Aha. – Agnieszka nadal nic nie rozumiała. – Ale dobrze ci tam?

– Bardzo! – entuzjastycznie zapewniła Helena. – Ja wiem, że to dom, jak to się mówi, starców. Ale powiem ci, Aguś, że tu wszystko wygląda zupełnie inaczej niż w tych strasznych reportażach. Dbają o mnie, jeść dają, pogadać jest z kim. A dzisiaj mamy wigilię.

– Dzisiaj?

– No bo wiesz, potem niektórzy wyjeżdżają do rodziny. W tę prawdziwą Wigilię wyjeżdżają i dlatego tu musi być wcześniej.

– Przyjadę do ciebie, ale... chyba nie dzisiaj. Zasypało mnie.

– Jak to zasypało? – zdziwiła się babcia. – Przecież nie miało padać!

– No, nie miało. Ale sypało chyba całą noc. Nie wyjadę.

– A gdyby Karol traktorem cię jakoś wyciągnął? – zaproponowała babcia.

– Karol traktorem też chyba nie przejedzie. Potem wezmę może twój samochód i nim się jakoś wydostanę.

– Tu jest pewien problemik... Bo widzisz, kochanie, on nie ma akumulatora. Karol wziął, bo siadł zupełnie. To znaczy akumulator, a nie Karol. Za to Karol dzwonił, że gdzieś wyjeżdża i wraca dopiero w Wigilię rano... – westchnęła babcia.

– Jezu, jak to w Wigilię rano? – przestraszyła się Agnieszka. – A ktoś inny może mnie odkopać wcześniej?

– Dziecko, pomyślę. Ale jakby co, pamiętaj: zapasy masz na czterdzieści dni. A nawet więcej, bo ty mało jesz. A tu i tak wcześniej nie ma co przyjeżdżać, bo gdzie ty spać będziesz? A tak masz tam miło. Napalisz sobie, ciepłą pierzynę masz, a w piwniczce pełno zapiekowanego mięsa i zawekowanych zup. Wiesz, tak na czterdzieści dni!

## 2.

Sabina Wojtczak obserwowała tę z bordowymi paznokciami, podczas gdy ta rozmawiała przez telefon. Chyba się denerwowała, bo co chwilę unosiła paluch. Przecież to niemożliwe, by ktoś tak gestykulował palcami u stóp! Helenka była częściowo odkryta i od dłuższego czasu coś szeptała. Wkurzające było to szeptanie, bo człowiek usiłuje usłyszeć, o co chodzi w rozmowie, wysila się, wysila, a i tak dochodzą do niego tylko strzępy zdań. Sabina bardzo nie lubiła, gdy ktoś szeptał.

Helena denerwowała się tak, że Sabina zaczęła się zastanawiać, czy ona zakwasów od tego ruszania palcami nie dostanie. No nic... Stwierdziła, że po prostu odwróci głowę. Wtedy chyba nawet będzie lepiej słyszeć, bo nie będzie się skupiać na niczym innym. Niestety, w tym momencie Helena skończyła rozmawiać i głośno westchnęła. Zapewne westchnęła tylko po to, by ona, Sabina, zapytała ją, dlaczego tak wzdycha i co się dzieje. Nie z nią takie numery! Ona nie będzie pytać jak jakaś wścibska baba. Nigdy nie była wścibska, to i na stare lata nie będzie. Poczekaj, aż Helena sama jej powie.

Czekała jednak i nic. Nie doczekała się.

– Pani Helenko, co pani tak wzdycha? – zapytała po kwadransie.

– Ja wzdycham? – zdziwiła się babcia Helenka, która już zapomniała, że rozmawiała z wnuczką.

Była spokojna, bo wiedziała, że na przykład z głodu to wnuczka nie zginie. Była też pewna, że nikt jej nic złego nie zrobi, bo niby dlaczego. Dobry człowiek z Agnieszki był, to i wokół pałętało się samo dobro, a nie zło.

– No przez telefon pani wzdychała – powtórzyła Sabina.

– A bo wnuczkę zasypało – poinformowała spokojnie.

– Gdzie zasypało? – Sabina nie do końca wierzyła w słowa nowej koleżanki.

Mówiła o tym, że zasypało jej wnuczkę, jakby przeszła nad tym do porządku. Pewnie żadna wnuczka nie istniała. Kto jak kto, ale ona znała się na kłamstwach w temacie wnuczek. Szczególnie tych wymyślonych.

– Na Kaszubach – ucieła Helena i powróciła do lektury.

– Moja córka zabiera mnie na święta – powiedziała nagle Sabina.

– To cudownie! – Uśmiechnęła się promiennie. – Moja córka zmarła – wyszeptała. –

Święta spędzamy razem z wnuczką. Przyjedzie do mnie. Na początku mówiłam, by nie przyjeżdżała, tylko jechała gdzieś z przyjaciółmi, ale ona nalega...

Sabina nic nie odpowiedziała. Teraz już nie była pewna, czy pani Helena mówi prawdę, czy kręci. Pewnie kręci, bo któż chciałby być sam w wigilijny wieczór? Nikt.

\*\*\*

Właścicielka Domu Seniora Happy End pociągnęła szminką usta przed lustrem. Lubiła ładnie wyglądać. A – jak to kiedyś powiedziała jedna pensjonariuszka – ludzie lubią patrzeć na ładnych ludzi.

– Piękno jest w oczach – stwierdziła wtedy Krystyna.

– A tam, takie pierdolenie – mruknęła dziewięćdziesięcioletnia staruszka. – Jak gębę przypudrujesz koło tych oczu, to jest piękno. I usta wyszminkujesz. Ja jeszcze tej szminki nakładam trochę na policzki, bo inaczej to wyglądam jak trup!

Krystyna uśmiechnęła się do wspomnień. Pani Jagoda była jedyna w swoim rodzaju. Chociaż właściwie tutaj każdy był wyjątkowy. Na przykład Łucja... To ona zapoczątkowała tradycję wcześniejszej wspólnej kolacji wigilijnej. Odeszła dwa lata temu, ale cały czas powracała w myślach Krystyny.

– Ja świąt już nie dożyję – powiedziała w połowie grudnia. – A zjadłabym jeszcze co nieco. Karpia może nie, bo ma ości, ale dobrym barszczykiem z uszkami nie pogardzę.

Tak długo mówiła o tym widmie śmierci, że w końcu Krystyna uległa. Urządziła wigilię dla mieszkańców domu kilka dni przed świętami. To był dobry pomysł, bo na spokojnie wszyscy mogli spędzić ze sobą kilka chwil. Poznawali się bliżej, rozmawiali i naprawdę starali się być mili. Część pensjonariuszy wyjeżdżała na święta do swoich rodzin, więc to były jedyne dni, gdy wszyscy mogli być naprawdę razem.

Tegoroczna wigilia miała się odbyć już za dwa dni. Krystyna zamówiła catering, jeden z najlepszych w mieście, na wypadek gdyby bogate plany pani Melanii, pensjonariuszki uwielbiającej gotować, się nie sprawdziły. Bywało z tym różnie, ale przeważnie trzeba było wietrzyć kuchnię po zapachu spalenizny. Woląla mieć co położyć na talerze, ale skoro Melanii gotowanie sprawiało tak olbrzymią radość, nie chciała jej tej radości odbierać. Tym bardziej że przy wigilijnym stole Melania sama już nie pamiętała, co jest jej dziełem i wszystkie najbardziej zachwalane potrawy przypisywała sobie. Zresztą wszyscy pensjonariusze, jak im coś smakowało, mówili, że to od Melanii. Tak naprawdę niewielu wierzyło, że ona umie gotować, ale przy ważnych uroczystościach, gdy ich podniebienie było mile łechtane, imię „Melania” było często powtarzane. Pewnie tak będzie i tym razem.

Krystyna uśmiechnęła się sama do siebie. Miała nawet dla każdego małe podarki, które zapakowała w czerwony papier i przewiązała złotą wstążką. Lubiła ich wszystkich. Zaczynając prowadzić ten biznes, nie spodziewała się, że przyniesie jej to tyle satysfakcji. Sama nie rozumiała wcześniej męża, gdy całe swoje serce poświęcał pracy. Teraz Adam nie do końca rozumiał ją. Oczywiście popierał to, że żona chce pracować, ale dlaczego w tak pesymistycznej atmosferze?

Krystyna nigdy nie powiedziała, że atmosfera tutaj była pesymistyczna. Nawet gdy Franciszek umarł...

– Ja wiedziałem, że on umarł – powiedział rano Zenon. – Bo on zawsze tak niespokojnie oddychał. I chrząkał. I nawet pochrapywał. Przyzwyczałem się do tego. I nagle wszystko zupełnie ucichło. Spojrzałem na Franciszka i on wyglądał, jakby tak spokojnie spał, jakby już się nie męczył. No to zmówiłem *Wieczny odpoczynek* i też zasnąłem. Po co miałem was w nocy niepokoić, przecież jemu to i tak ulgi nie przyniesie, a wy się nie wyśpicie. Niewyspany człowiek to z życia nie do końca zadowolony jest.

Najtrudniejsze było właśnie to, że oni odchodzili. Czasem pogodzeni z losem i uśmiechnięci, jak Łucja i Franciszek, a czasem skłócenii ze wszystkimi. Jednak Krystyna miała szczęście do pensjonariuszy. Jakoś wspólnie dawali radę. Niektórzy na wózkach, inni leżący, a jeszcze inni całkiem sprawni, tylko leniwi. Jak pani Sabina. Już dawno mogłaby chodzić, tylko nie lubiła się ruszać. A powinna. Dla zdrowia. Tyle razy nabierała Krystynę na swoje różne choroby. Na początku się dawała, teraz jednak bezbłędnie umiała wykryć symulowanie. Zresztą na własne oczy widziała kiedyś, jak pani Sabina trzymała

termometr w herbacie, a innym razem pękł jej, bo chciała nagrzać go na kaloryferze. Staruszka lubiła zwracać na siebie uwagę i gdy wszyscy się o nią troszczyli. Robiła wszystko, by być ważniejszą od Irenki. Nie wiedziała jednak, że od Irenki ważniejszy nie mógł być nikt.

Irenka wiodła prym. W Domu Seniora Happy End prym zawsze wiodł ten, kto trzymał w ręku pilot do telewizora. Irenka zawsze go trzymała albo chociaż wyciągała z niego baterie, po to by inni nie mogli być ważniejsi od niej, nawet tylko przez chwilę.

### 3.

Skoro już mowa o bateriach, niekoniecznie tych od pilota, to zaraz po porannej rozmowie z babcią Agnieszce padła bateria w telefonie. Takiego rozwoju wydarzeń się nie spodziewała. Nie miała prądu, nie miała telefonu, zaraz pewnie nie będzie też wody. Była sama (a przynajmniej tak jej się wydawało), w okolicy żywego ducha. Jedyne, co mogła zrobić, to przystroić dom gałązkami świerkowymi i bombkami. Wiszące na drzwiach szopy łyżwy babcia udekorowała już wcześniej. Całkiem ładnie to wyglądało. Włożyła do nich gałązki świerku, przystroiła małymi kolorowymi bombkami i gwiazdkami. Kiedy tak się im przyglądała, naraz wydało jej się, że drzwi są lekko uchylone. Pomyślała, że nie zamknęła ich, gdy poprzedniego dnia szła po węgiel.

Zawsze starała się odnajdywać pozytywne aspekty w każdej życiowej sytuacji, w której się znalazła, dlatego teraz też uśmiechnęła się do świata.

– No nic, kochana – powiedziała do siebie cicho. – Jest puszysty śnieg, znaczy białe Boże Narodzenie. Jest choinka, nawet bombki są, tylko jeszcze Mikołaja tu brakuje. – Roześmiała się głośno.

Po chwili spojrzała jeszcze raz na szopę. I wtedy serce podskoczyło jej do gardła, bo drzwi nagle się otworzyły i z szopy wyszedł... Mikołaj. A przynajmniej wysoki mężczyzna w jego stroju. Agnieszka krzyknęła, przestraszona. Oczywiście w niecałą sekundę przez jej myśli przemknęło, że jest przemęczona i może mieć halucynacje, ale z ulgą stwierdziła, że nigdy nie widziała horroru z Mikołajem w roli czarnego charakteru. A może czytała jakąś książkę? Wydawało jej się, że w któreś święta gdzieś w niemieckiej telewizji był jakiś film o seryjnym mordercy, który zakładał czerwony kubrak Mikołaja, ale nie mogła, a może zupełnie nie chciała sobie tego przypominać. Szczególnie teraz, kiedy kilka metrów od niej stał obcy facet ubrany w czerwony strój! Nie mogła nawet zobaczyć jego twarzy, bo miał ją zasłoniętą sztucznymi białymi wąsami i brodą. Gdyby miała go później rozpoznać, w życiu by nie dała rady. Przecież to lepsze niż kominiarki i pończochy zakładane tuż przed napadem na bank.

– Dzień dobry – spokojnie powiedział mężczyzna. Miał młody i dość przyjemny głos.  
– Może się przedstawię, Mikołaj jestem.

Agnieszka spojrzała na niego jeszcze bardziej podejrzliwie. „Z gościem trzeba postępować ostrożnie, bo najwyraźniej to jakiś wariat” – pomyślała, zapobiegliwie cofając się o kilka kroków.

– Jasne – powiedziała drwiąco. – A ja Roszpunka. Albo inna Elsa. Mogę też być Babą-Jagą czy jakąś czarownicą, mieszkającą w środku lasu w domku z piernika. Tylko ten domek jest tak zasypany, że nie można, kurde, tego piernika nawet zobaczyć, a co dopiero odgryźć.

Mężczyzna się roześmiał.

– Mikołaj Czyżykiewicz. – Zdjął sztuczną brodę i odkleił wąsy.

– Mikołaj? – Agnieszka zamarła. – Brat Marty? Co ty tutaj robisz?



## 4.

Mikołaj Czyżykiewicz, brat Marty, był jeszcze bardziej zaskoczony niż Agnieszka. Kogo jak kogo, ale tej dziewczyny to się zupełnie tutaj nie spodziewał. Nie to, że nie miał ochoty na to spotkanie, ale naprawdę wolałby się z nią zobaczyć nie po zaledwie kilku godzinach snu w ciemnej szopie, gdy był przemoczony i bardzo zziębnięty po wyczerpującym marszu przez las. Podejrzywał, że po bliskim spotkaniu z węglem, na którym spał, nie był również zbyt czysty.

Nerwowo nasunął mikołajową czapkę na czoło i poprawił pobrudzony czerwony płaszcz. Miał ewidentnego pecha co do spotkań z jedyną chyba koleżanką jego siostry, którą uważał nie tylko za ładną, ale również za taką, która miała poukładane w głowie. I to tak poukładane, że naprawdę mógłby się bardziej nią zainteresować. Nawet próbował się nią interesować, ale z niezbyt dobrym skutkiem. Nic dziwnego, ostatnim razem również widzieli się w niezbyt komfortowej dla niego sytuacji.

– Kiedy to myśmy się ostatnio widzieli? – zapytała drwiąco Agnieszka. – Hm... chyba w Londynie?

Wolałby o tym nie pamiętać. Miał również nadzieję, że Agnieszka również o tym zapomni, jednak chyba trudno było jej wymazać te sceny ze wspomnień.

– Tylko wtedy byłeś jakby mniej ubrany – stwierdziła, intensywnie wpatrując się w niego. Jej oczy ciskały pioruny niczym niebo podczas letniej burzy.

– Bo było trochę cieplej niż teraz – odparł Mikołaj, nie spuszczać z niej wzroku, choć wiele go to kosztowało.

– No, trochę. – Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

– Aga! – zawołał za nią. – Mogę wejść? Szedłem tutaj przez pół nocy. Jestem mokry, głodny i jest mi cholernie zimno. Pomożesz mi?

Agnieszka zmroziła mężczyznę wzrokiem.

– Faktycznie jesteś w kiepskim położeniu. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Wchodź. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że jak na razie nie ma szans się stąd wydostać, więc jesteśmy na siebie skazani. Właśnie się zastanawiam, czy się cieszę, że nie będę tutaj sama, czy się wkurzam, że będę musiała być z tobą.

\*\*\*

W innych okolicznościach Mikołaj może i byłby uradowany z tak niespodziewanego spotkania. Agnieszka podobała mu się od zawsze. Od kiedy tylko przyszedł po raz pierwszy do siostry, do akademika. Nawet się z nią umówił kilka razy. Nie wiązał z nią żadnych planów, ot, podobała mu się. A że w tym czasie podobało mu się jeszcze kilka innych dziewczyn, to też się z nimi umawiał. Jakoś nie dotarło wtedy do niego, że ona mogłaby mieć coś przeciw temu. Przecież nie chciał sprawić jej przykrości. I na dodatek to spotkanie w Londynie... Zupełnie bezsensowne! Gdyby tylko wiedział...

Kiedy Marta go zapytała, czy mógłby załatwić jej koleżance pracę w Anglii, nawet nie pomyślał, że mogło chodzić o Agnieszkę. Przecież Marta mogła to powiedzieć wprost. Ale tego nie zrobiła.

Mikołaj często bywał w Londynie, miał tam wielu klientów. Pomieszkiwał wtedy u swojego przyjaciela, Steve'a, dla którego przeprowadzał regularnie audyt informatyczny

w firmie. Przyjaciel kupił nowe mieszkanie na wynajem i potrzebował kogoś, kto mu je ogarnie po remoncie i zadba o to, by wszystko było na swoim miejscu. Ręczniki, sztucce, garnki i inne niezbędne rzeczy. Według Marty jej przyjaciółka nadawała się do tego doskonale. I tak Agnieszka dostała pracę u Steve'a.

Przyjaciel Mikołaja też był bardzo zadowolony. Najpierw poprosił dziewczynę o wysprzątanie i urządzenie kuchni i jednego pokoju, w którym miała mieszkać w czasie pobytu w Anglii, a potem miała zadbać o pozostałe pomieszczenia luksusowego apartamentu. Agnieszka pracowała prawie miesiąc. Mieszkanie naprawdę było łakomym kąskiem dla turystów, a tym bardziej dla biznesmenów, którzy mają dość hotelowych noclegów i podczas delegacji marzą o substytucie prawdziwego domu. Po skończonej pracy Steve zaproponował dziewczynie, by została jeszcze kilka dni i zobaczyła cokolwiek. Wcześniej była tak zapracowana, że niemal nie wyściubiła nosa z czterech ścian.

– Gdybyś została tydzień, toby się nawet nieźle składało. W piątek przylatuje mój przyjaciel i fajnie by było, gdyby miał przygotowane podstawowe rzeczy. Ręczniki, pościel i takie tam. Mogłabyś też zrobić jakieś zakupy? On ma klucze, więc się nim nie przejmuj. Nie trzeba na niego czekać.

Oczywiście Agnieszka zrobiła wszystko, o co poprosił ją Steve. Jego przyjaciel przylatywał w piątek rano, a ona wylatywała dobie później, więc miała nadzieję, że mu nie będzie za bardzo przeszkadzać. I nie przeszkadzała mu za bardzo. A raczej pomagała. Uratowała mu tyłek, i to dosłownie...

Gdy wracała do domu w piątkowy wieczór, tuż przed drzwiami, na schodach, siedział nagi i dość zrezygowany mężczyzna.

– Mikołaj? Co ty tu robisz?

– O to samo mógłbym zapytać ciebie. Ale już nic mnie nie zdziwi. To chyba tobie załatwiałem robotę u Steve'a? – westchnął. – Mogła mi mała powiedzieć – dodał, myśląc zapewne o swojej siostrze.

– Ja też nie wiedziałam... A dlaczego siedzisz przed drzwiami i to, że tak powiem, niekompletnie ubrany? – Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Mikołaj machnął ręką, ale zaraz uświadomił sobie, że powinien tą ręką jednak zakrywać przyrodzenie, a nie machać.

– Zatrzasnęły mi się drzwi, kiedy byłem na zewnątrz – burknął.

Ta skrótowa wersja wydarzeń miała sporo luk, ale był już dostatecznie zażenowany, by nie drażyć tematu. Nie dodał więc, że próbował złapać dziewczynę, która się na niego obraziła po spędzonych wspólnie kilku całkiem miłych chwilach, gdy przez przypadek odkryła czułe esemesy Mikołaja do innej. Tenże się trochę zdenerwował, bo jakże przez przypadek można przeglądać zawartość czyjejś komórki? Sam był sobie trochę winny, bo miał fabrycznie ustawione hasło, na sześć jedynek. Jego kochanka nie była durna, więc gdy potem zupełnie nagi wyszedł z łazienki, rzuciła w niego tym telefonem i uciekła. Nie miał zamiaru jej łapać, ale tak jakoś wyszło, że pobiegł za nią, tak jak go Pan Bóg stworzył, a drzwi nagle zamknęły się z hukiem. I gdyby nie Agnieszka, pewnie dalej siedziałby na korytarzu i wzbudzał niezdrową sensację. O ile w Londynie w ogóle z jakiegoś powodu można wzbudzać niezdrową sensację.

Wtedy Agnieszka wyratowała go z opresji. Teraz też miał taką nadzieję. Nie uważał siebie za życiowego niedorajdę, ba, z pewnością nie był życiowym niedorajdą, zatem zupełnie nie miał pojęcia, dlaczego ona zawsze widziała go w takich beznadziejnych życiowych momentach.

\*\*\*

Mikołaj otrzepał buty ze śniegu i wszedł do domu. Z rozczarowaniem stwierdził, że nie było tam wiele ciepłej niż na zewnątrz.

– Jeszcze się nie nagrzało. – Agnieszka wskazała głową na kominek. – Zaraz napalę też w piecu.

– Pójdę po drewno – zaproponował. – Masz siekierkę?

Agnieszka spojrzała na niego wnikliwie. Odniósł wrażenie, że przez chwilę się wahała, czy może mu dać potencjalne narzędzie zbrodni, bo chyba nie dowierzała, że będzie umiał wykorzystać ją do jej podstawowego przeznaczenia.

– Lepiej się palą drobniejsze. A zresztą póki mam na sobie ciuchy, to mogę porąbać, potem, jak je zdejmę, będzie mi ciężko na tym mrozie.

– Zdejmiesz? – zdziwiła się Agnieszka.

– Dotknij. – Mikołaj bez pytania wziął dłoń dziewczyny i położył ją na swoim swetrze, który miał pod płaszczem Mikołaja.

– Ty jesteś cały mokry! – zawołała.

– No, jestem. I dlatego muszę to zdjąć, by się wysuszyć, ale najpierw zadbam o ciepło domowego ogniska. – Mrugnął do niej, złapał siekierę i wyszedł do drewni.

\*\*\*

Wyglądało na to, iż Agnieszka po raz drugi w życiu będzie ratować brata swojej najlepszej przyjaciółki i po raz drugi tenże brat będzie się przy niej znajdował w niekompletnym odzieniu albo, co gorsza, w ogóle bez. Nie, ona nie mogła mieć normalnego życia. A jej przyjaciółka najwyraźniej nie mogła mieć normalnego brata. Widocznie w każdym pokoleniu musi zostać zachowana jakaś równowaga.

Agnieszka spojrzała przez okno. Mikołaj właśnie zapamiętał rąbał drewno. Całkiem sprawnie mu to szło. Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Do czasu, aż zerknął na nią. Odwróciła szybko wzrok.

Napaliła w piecu, na gaz wstawiła wielki garnek z wodą. Pewnie chciałby się umyć, a bojler był nieczynny. Licho wie, ile czasu spędził w tych mokrych ciuchach. Koniecznie powinien się rozgrzać, więc Agnieszka otworzyła słoik z zawekowaną babciną zupą i wlała ją do garnka. Jej też przyda się gorący rosół. Spojrzała jeszcze raz przez okno i zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jej nie wkręcał. Przecież były programy w stylu „ukryta kamera”, gdzie wydarzały się rzeczy zupełnie nieprawdopodobne. Tak jak teraz. Była uwięziona w środku lasu, z facetem, z którym była na dwóch randkach sto lat temu, a na dodatek tenże facet zjawiał się w stroju Mikołaja.

Parsknęła śmiechem.

– No nic, żarcia mamy na czterdzieści dni. Możemy tu siedzieć – powiedziała sama do siebie i postawiła talerze oraz rozłożyła sztuce na stole w kuchni.

\*\*\*

Mikołaj zapamiętał rąbał drewno. Gdyby wiedział, że ta czynność tak rozgrzewa, robiliby to już od świtu. To była cholernie zimna noc. Niby zapowiadali opady śniegu, ale myślał, że zdąży wrócić do cywilizacji. A to wszystko przez to, że jego przyjaciel, Sebastian, marzył o prawdziwym Mikołaju dla swoich dzieci.

– Stary, ja innym nie ufam – powiedział tydzień temu. – Kogo mam poprosić, by im dał prezenty?

– Wsadź pod choinkę. – Mikołaj wzruszył ramionami. – Ja nawet nie wiem, czy się zmieszczę w ten mój stary strój.

– Zmieścisz. Przecież zawsze wypychaliśmy sobie jeszcze brzuchy.

– O bicepsy chodzi, baranie. – Roześmiał się, prężąc muskuły.

– Eee, nie schlebiaj sobie – stwierdził Sebastian. – Pomożesz mi? Będziesz tym Mikołajem?

– W samą Wigilię na pewno nie. Dwudziestego trzeciego lecimy na Malediwy.

– Pogadam z Beatą. W końcu Mikołaj ma tyle do obskoczenia, że najpierw może na Kaszuby przyjechać...

– Na jakie Kaszuby? – zdziwił się. – Ty mi nie mów, że ja mam jeszcze jechać tak daleko!

– A... Bo ja ci nie mówiłem jeszcze, że święta spędzamy na Kaszubach. Wiesz, Beata od dziecka marzy, by tam zorganizować Wigilię. Śnieg, przystrojone drzewka i Mikołaj idący połą drogą – zaczął wyliczać.

– I co jeszcze?

– No nic. Poza tym już naprawdę nic. Miki, proszę. Ja rozumiem, że stawki się zmieniły od tamtego czasu, gdy razem się w to bawiliśmy... I za dojazd jeszcze...

– Przestań, stary. Dziewiętnastego grudnia. Pasuje? Tylko daj mi jakiś adres, gdzie mam dojechać.

– Tam nie ma adresu. Jest tylko wieś. Widna Góra.

– Rany... To jak tam dotrzeć?

– Dojedziesz do Gowidlina, staniesz przed sklepem, a ja cię stamtąd odbiorę.

– Ale nie saniami zaprzęzonymi w renifery? I sklep ma jakiś adres? – zapytał złośliwie Mikołaj.

– Nie denerwuj mnie, sam bym cię nie prosił, ale Beata...

Beata była dla Sebastiana wszystkim. Czasem mu zazdrościł takiej Beaty.

– Ale ty z żadną inną kobietą nigdy nic...? – próbował go kiedyś podpytać.

– Z żadną. Po co, jak mi dobrze? – Sebastian przerwał mu w pół zdania.

I tego właśnie mu zazdrościł. I też tego, że mu się imiona w łóżku nie pomyła. Tak jak Mikołajowi wtedy, w Londynie, kiedy ta Kate sięgnęła po jego telefon. A może to nie była Kate? Nieważne.

\*\*\*

Dziewiętnastego grudnia o piętnastej zajechał przed całkiem spory sklep w Gowidlinie. „Markt u Kasi” – przeczytał. Stał na parkingu i zadzwonił do Sebastiana. Przyjaciel po chwili podjechał swoim jeepem.

– Tym będzie wygodniej. Jutro cię odwiozę.

– Dzisiaj.

- Nie posiedzisz z nami? Wypijemy coś, jak za starych dobrych czasów.
- Święty Mikołaj nie pije. – Puścił kumpłowi oko.
- Pije, gdy dzieci pójdą już spać do swoich pokojów, zadowolone z prezentów, które otrzymały.

\*\*\*

Prezenty zostały wręczone, ku olbrzymiej uciesze dzieciaków i chyba jeszcze większej radości Beaty. A Sebastian to już w ogóle był rozanielony. Na tyle, że sam wypił butelkę grzańca, zupełnie zapominając, że miał odwieźć Mikołaja do Gowidlina, na sklepowy parking, gdzie ten zostawił samochód.

Po północy zaczęło sypać, ale wyglądało to uroczo i niewinnie, dlatego Mikołaj zaczął się zbierać do wyjścia.

- Stary, ale możesz przecież zostać.
- Pojadę. Muszę jeszcze się spakować. Wylatujemy z Warszawy.
- Tylko ja cię nie zawiozę! – jęknął Seba. – Chyba już nie jestem w stanie. Myślałem, że jednak się skusisz na nocleg.
- Sam pójdę, nim zaczniesz mocno padać. Bo wygląda na to, że wszystko zasypie do rana.

– Trafisz?

– Jasne. Zawsze trafiam. – Mikołaj mrugnął do Sebastiana, wrzucił do worka ubrania na zmianę i wyszedł. Nie przebierał się, postanowił zrobić to dopiero w samochodzie.

Nie przewidział jednego – las nocą wygląda zupełnie inaczej niż za dnia. Droga, która wydaje się skrótem, może prowadzić w zupełnie inną stronę niż ta, do której się zmierza. Tak też było i w przypadku Mikołaja. Szedł już godzinę. Świecił sobie pod nogi latarką z telefonu, aż w końcu ten mu się wyładował. Śnieg padał coraz bardziej. Tak wszystko zasypał, że nie było widać, którądy prowadzi droga. Przez chwilę nawet szedł szosą, ale stwierdził, że chyba popełnił błąd, i skierował swoje kroki w stronę jeziora. Po drodze mijał puste domki letniskowe, które w ogóle nie wydawały mu się znajome. W końcu uznał, że jednak powinien wrócić do przyjaciół i poczekać, aż rano Seba zawiezie go tam, gdzie zostawił auto. Gdziekolwiek ono było w tym śnieżnym świecie.

To nie był jednak koniec jego kłopotów. Zgubił się. Do cholery, zgubił się! Brnął w śniegu po kolana, a miejscami zapadał się głębiej. Telefon się wyładował, więc nie mógł nawet sprawdzić, która była godzina. Miał wrażenie, że idzie już całą noc. Jak on mógł tak zabłądzić?! Przecież zawsze miał doskonałą orientację w terenie! No tak, ale chyba w całym swoim życiu nie znalazł się w środku nocy w lesie i na dodatek w śniegu po pas. Ba, żeby tylko w śniegu. Po drodze wdepnął chyba też w jakąś rzeczku, ale pewności nie miał.

Nie było to najlepsze życiowe położenie. Rozsądek nakazywał mu iść, bo czuł, że mróz jest coraz większy i gdyby się zatrzymał, to pewnie by zamarznął. Do cholery, albo wreszcie zrobi się jasno i kogoś spotka, albo natknie się na dom Seby, zdejmie te mokre ciuchy i położy się spać. Był wykończony.

Gdy już tracił nadzieję na to, że gdziekolwiek w pobliżu jest jakaś cywilizacja, zauważył światło.

– Jak w jakimś cholernym filmie – stwierdził.

Zawsze się śmiał z filmów z happy endami, ale tamtej nocy uznał, że nic innego niż szczęśliwe zakończenie nie jest mu bardziej potrzebne. Był przekonany, że dostrzegł w ciemności światło na werandzie przyjaciela. Gdy podszedł bliżej, przekonał się, że to zupełnie inny dom. Nie chciał przestraszyć domowników, więc nie zapukał. Postanowił zrobić to rano. Otworzył turkusowe drzwi do szopy, gdzie paliła się lampka, która go tam przyprowadziła, i wszedł do środka. Z pewnością było tam cieplej niż na dworze, ale mimo wszystko zbyt zimno na sen. Usiadł na ławeczce, tuż obok przyzmy węgla, przykrył się jakimiś szmatami i chyba jednak na chwilę odpłynął.

Gdy się obudził, było już zupełnie jasno. Wyszedł z szopy i na ganku zobaczył dziewczynę. Wyglądała na przerażoną. Nic dziwnego, sam by był przestraszony na jej miejscu. Przywitał się uprzejmie, ale wyśmiała go, kiedy poznała jego imię. Temu w sumie też nie mógł się dziwić, bo w otoczeniu śnieżnych zasp nieznamy facet przedstawił się imieniem brzuchatego świętego, którego przebranie akurat miał na sobie. Sam wzięłby się za świra i uciekł gdzie pieprz rośnie. Kiedy jednak podał swoje nazwisko...

– Mikołaj? Brat Marty? Co ty tutaj robisz?

I dopiero wtedy ją poznał. Agnieszkę. Przyjaciółkę swojej siostry. Kobieta, z którą się kiedyś spotykał. Dawno temu. I nie traktował jej, niestety, poważnie. I wiele razy się zastanawiał, jak by to było, gdyby wtedy zachował się wobec niej tak, jak powinien i jak na to zasługiwała. Może patrzyłaby na niego tak, jak Beata na Sebastiana? Może teraz też by chciał wynająć Świętego Mikołaja, który by przyszedł i wręczał prezenty jego dzieciom w domu na Kaszubach?

\*\*\*

Rąbał to drewno i zastanawiał się nad tym wszystkim. W tym roku kończył trzydzieści lat, chyba już nadszedł czas, by powoli się zastanawiać, czego się od życia wymaga. Albo za dużo powiedziane... Wymaga? Chyba nie powinno się od nikogo nic wymagać, tym bardziej od życia. Można się zastanowić jedynie, którą z życiowych dróg wybrać i co po drodze po sobie zostawić. Na razie nie zostawiał nic. A raczej zostawiał same złamane serca i niezadowolone kobiety. Ale przecież on tak naprawdę niczego im nie obiecywał. Nie wyznawał im miłości. Kupował bukiety i mówił, że są piękne jak te kwiaty, bo były. Dziwił się feministkom, że się oburzają, gdy ktoś mówi o pięknie kobiet, bo to rzekomo sprowadza ich wartość tylko do atrakcyjnego wyglądu. Przecież jedno nie wyklucza drugiego. Tak jak w przypadku Agnieszki. Ona była i ładna, i mądra, i złośliwa... Lubił złośliwość u kobiet. Cięte riposty... I nawet drwinę lubił. A w każdym razie mu nie przeszkadzała.

Spojrzał na porąbane szczapy. Powinno wystarczyć, nawet gdyby mieli palić w kominku przez kilka dni. Po chwili jednak się zreflektował, że za kilka dni to on będzie sobie surfował na Malediwach. I śnieg będzie ostatnim, o czym będzie wtedy myślał. Tylko najpierw trzeba się jakoś stąd wydostać.

Zerknął w okna domu i zobaczył wpatrującą się w niego Agnieszkę. A może nie trzeba się wcale stąd wydostawać? Gdy tu zostanie, bilet na Malediwy przepadnie, ale może gdy wyjedzie, przepadnie mu coś dużo bardziej wartościowego niż kolejne wakacje w ciepłych krajach. Przez chwilę przemknęła mu nawet przez głowę myśl, że gdy wyjedzie stąd zbyt szybko, to przepadnie mu całe życie.

Wziął kosz z drewnem i zaniósł do domu. Wyłożył szczapy obok kominka, po czym wrócił po kolejną partię. Potem dołożył kilka polan do ognia, dosypał węgla do pieca i wszedł do kuchni. Agnieszka mieszała coś w garnkach. Była ubrana w różowy polarowy dres. Wyglądał na bardzo ciepły i puchaty. Obecnie dałby wiele, by mieć taki dres albo chociaż się do niej przytulić. Do tego puchatego dresu. Niestety, sam miał przy sobie tylko dżinsy, które zrobiły się sztywne od śniegu i mrozu.

– Wstawiłam wodę, żebyś mógł się umyć. Niestety nie mam żadnych męskich ubrań. Musisz więc wysuszyć te, a na razie chyba po prostu dam ci jakiś ręcznik, koc, może prześcieradło. Wyjmij te mokre ciuchy z torby, powieszę je przed kominkiem, może niedługo wyschną – powiedziała, wychodząc z kuchni.

Po chwili przyszła z ręcznikami i prześcieradłem.

– W łazience zimno jak cholera, ale jak się umyjesz ciepłą wodą, to powinno być ci przyjemniej. Jak się rozbierzesz, wyrzuć ciuchy za drzwi, to ja je rozwieszę. A potem musimy się zastanowić, co dalej robić.

– Zjeść. Wiesz przecież, że głodni faceci zupełnie nie potrafią myśleć. – Spojrzał łakomie na garnek z parującym rosółem.

– Wolałabym zatem, byś szybko zaczął myśleć, bo ja muszę na święta jechać do babci, a wiem, że ty też masz zupełnie inne plany niż siedzenie w lesie z koleżanką swojej siostry.

Chciała dodać coś o tym, że ją trochę zranił kilka lat temu, ale on już zniknął za drzwiami łazienki. Może i dobrze. Jeszcze pomyślałby, że Agnieszkę to w jakiś sposób zabolalo. A przecież tak nie było. Wcale a wcale. Co ją obchodził jakiś Mikołaj? Phi...

\*\*\*

Pewnie gdyby Mikołaj stał pod prysznicem, nawet by sobie podśpiewywał wesoło. Niestety teraz nie było mu do śmiechu. Postanowił umyć się cały w wielkiej misce, którą znalazł w łazience, i doprawdy nie było to łatwe. Człowiek szybko przyzwyczaja się do luksusów, o ile w dwudziestym pierwszym wieku w Polsce kąpiel pod prysznicem jest w ogóle luksusem. Nie było lekko, jednak po chwili już nie śmierdział zgnilizną i nadawał się do tego, by roztaczać przed Agnieszką swój urok. Wytarł się, przepasał prześcieradłem i wyszedł z łazienki.

– Jeszcze tylko wieniec na głowę i mogę udawać Nerona.

– Może lepiej nie. – Pokręciła głową, nalewając zupę. – Zaraz dam ci koc. A przedtem jeszcze mi powiedz, czy masz naładowany telefon.

– Nie, miałem cię zapytać o to samo.

Agnieszka westchnęła.

– No to jesteśmy w czarnej dupie.

Mikołajowi wcale się tak nie wydawało. Jadł na śniadanie swój ulubiony rosół z kluskami, było mu w miarę ciepło, a na dodatek na horyzoncie jawiła się szansa, że spędzi kilka dni z uroczą dziewczyną.

– Kiedyś tak babcię zasypało, że przez dziesięć dni nikt tu do niej nie dojechał. Dopiero potem ktoś tu dotarł saniami zaprzężonymi w konia. Ale też z trudem, bo jak taki śnieg, to nawet nie wiadomo, którądy droga prowadzi.

– Coś o tym wiem. – Mikołaj wzdrygnął się na wspomnienie nocnych wędrówek przez leśne zasy.

– Jakaś masakra! Prądu nie ma, woda leci słabo, najbliżsi ludzie kilka kilometrów stąd, a moja babcia zadowolona w jakimś podejrzanym przybytku o nazwie „Happy End”.

– Gdzie? – zainteresował się Mikołaj.

– W Domu Seniora Happy End – powtórzyła.

– U mojej mamy! – zawołał Mikołaj.

– Jak to u twojej mamy?

– Moja mama prowadzi ten dom. – Roześmiał się. – Możesz być spokojna. Ona nie robi tego dla kasy, a bardziej dla potrzeby pomagania. To cały jej świat.

– Uspokoileś mnie trochę. – Agnieszka odetchnęła z ulgą. – Zresztą babcia twierdzi, że jest zadowolona. Ty wiesz, że ona mi nic nie powiedziała, że spadła z drabiny?

– A po co w ogóle na nią wchodziła?

– Po ciasteczka maślane.

– Ciasteczka maślane? – Mikołajowi zaświeciły się oczy. – Gdzie są?

Agnieszka się roześmiała.

– Musiałbyś wejść na drabinę i zajrzeć do tej szafki, o, tam wysoko.

Mikołaj wydostał się z koca. Stał na boso, owinięty prześcieradłem. Podeszedł do drabiny, wszedł na nią i zajrzał do górnej szafki.

– Same skarby! – wykrzyknął, jakby co najmniej odkrył Świętego Graala wszystkich miłośników słodczy.

Wyjął dwie puszki i po chwili postawił przed Agnieszką.

– Cholerne Malediwy – mruknął, wkładając ciastko do ust.



## 5.

Agnieszka zapakowała Mikołaja do łóżka, bo z rozanieloną miną dosłownie zasypiał nad ciastami maślanymi. Sama postanowiła sprawdzić, czy jest w ogóle szansa dotrzeć do jakichś śladów cywilizacji. Nie była z tych, co siedzą, załamując ręce. Babcia nauczyła ją, że nie ma sytuacji bez wyjścia.

– Mikołaj, ty śpij, a ja pójdę na spacer.

– Na spacer? – zdziwił się, ziewając. – Jezu, ja pod taką kołdrą nie spałem od stu lat. Ostatnio u mojej babci!

– Muszę iść zobaczyć, czy jest jakakolwiek szansa wydostania się stąd.

– Może pójdę z tobą?

– Nie, ty się porządnie wyśpij. Jak odpoczniesz, może coś sensownego wymyślisz. Pójdę sama. Postaram się dojść do szosy i zobaczyć, jak tam wygląda.

– Jak daleko jest stąd do szosy?

– Siedem? Może sześć...

– Siedem kilometrów będziesz szła w takich zaspach?! – Mikołaj był lekko przerażony.

– A mamy inne wyjście? Nie będę czekać, aż się wyśpisz. – Pokręciła głową.

– Idę z tobą. – Usiadł na łóżku.

– Przestań! Nie masz jeszcze dosyć brnięcia w zaspach? – zapytała, zakładając śniegowce.

– Mam – przyznał.

– No, widzisz, to nie strugaj bohatera. Tylko zbadam teren, nie będę kopać tuneli. Z tym poczekam na ciebie. Jakbyś się obudził, to dorzuc do ognia. Wygląda na to, że dzisiejszą noc spędzimy razem.

\*\*\*

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, uzmysłowiła sobie, co powiedziała. Zabrzmiało dwuznacznie. Nie miało tak brzmieć...

Rozważała przez chwilę, czy nie zabrać z szopy łopaty. Rozejrzała się jednak i stwierdziła, że musiałyby chyba przekopać pół świata. Westchnęła i ruszyła w dół czymś, co wyglądało na mocno przysypaną polną drogę. Niełatwo się szło w tak wysokim śniegu. Siedem kilometrów będzie torturą. A potem trzeba jeszcze wrócić... Agnieszka obiecała sobie, że nie będzie szarżować. Jeśli nie uda się jej dotrzeć do szosy w przyzwoitym czasie i nawet jeżeli nikogo nie spotka, wróci. Na szczęście miała zegarek. W dobie telefonów komórkowych niewiele osób nosiło zegarki. Ona tak. Zwykły nakręcany męski zegarek. Po ojcu.

Wokół nie było żadnych śladów. Ani ludzi, ani, na szczęście, żadnych dużych zwierząt. Przypomniała sobie, że na Kaszubach są wilki. Wolałyby ich teraz nie spotkać. Czuła się, jakby nagle znalazła się w jakiejś baśniowej krainie, gdzie panowała wieczna zima.

– Cholerna Narnia... – westchnęła.

Szła jeszcze jakiś czas, gdy zobaczyła, że na środku drogi leżało zwalone drzewo. Zaklęła. Nawet jak śnieg stopnieje, nie uda im się stąd wyjechać. Nie odciągną tego drzewa we dwoje. Zresztą czym wyjechać? Jej corsą? Zaraz by się zakopała. Z niedowierzaniem pokręciła głową. Trudno uwierzyć, że w dwudziestym pierwszym

wieku są na świecie miejsca na tyle odludne, że można nikogo kilka dni nie spotkać. Teraz już rozumiała babcię z tymi zapasami na czterdzieści dni. Po tym wszystkim sama będzie robiła zapasy na całą zimę.

Gdy wróciła, miała już wszystkiego dosyć. Teraz ona była zziębnięta, przemoczona i głodna. I diabelnie wściekła. Zrobiło jej się jednak ciepło na sercu, gdy Mikołaj czekał na nią z gorącą herbatą.

– I jak? – zapytał.

– I dupa.

– Jak wielka? – Uniósł brwi.

– Jakby jej właścicielka zeżarła wszelakie zapasy babcynych ciasteczek. – Wzruszyła ramionami.

– Grubo.

– No, grubo. W połowie drogi do szosy przewróciło się drzewo. Nie wiem, co robić.

– A piła spalinowa?

– Wyobrażasz sobie moją babcię z piłą spalinową? – Agnieszka zamyśliła się na chwilę. – Chociaż w sumie ja sobie wyobrażam. Ale, niestety, nie mamy tu takiego sprzętu. Tutaj wszystko załatwia Karol. A teraz zabrał akumulator od nissana i pojechał z nim w siną dal. Wróci w Wigilię.

– No dobra, to znaczy, że nigdzie dzisiaj nie pojedziemy – stwierdził Mikołaj i dołął Agnieszce i sobie rumu do herbaty. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że porządziłem się trochę w kuchni. Przebierz się w suche ciuchy. Zaziebisz się.

– Jeszcze tego mi brakuje do pełni szczęścia – westchnęła Agnieszka. – Sytuacja bez wyjścia. Co z twoimi wakacjami?

– Muszę jakoś powiadomić Martę. Szkoda, że kiepski ze mnie telepata.

– Będzie się martwić...

– Będzie. Już się pewnie martwi. Chociaż ona przyzwyczajona jest do tego, że ja zawsze i wszędzie jestem na ostatnią chwilę.

– Wsiądzie do samolotu bez ciebie?

– Zakładasz, że nie wydostaniemy się stąd do tego czasu?

– Po tym, co zobaczyłam, to mam wątpliwości... Gdyby był siarczysty mróz, można by przejść na drugą stronę jeziora. Tam jest sklep. Ale lód jeszcze jest za cienki.

– Na jezioro nie wchodzimy, to niebezpieczne – zarządził Mikołaj. – A co do Marty, to nie wiem, czy by poleciała beze mnie. Może pomyśli, że zmieniłem plany?

– Że zdecydowałeś się tym razem spędzić święta z jakąś atrakcyjną laską, a nie z siostrą? – zapytała zaczepnie. Wiedziała, że to było bardzo prawdopodobne rozwiązanie.

– Wygląda na to, że tak będzie w istocie. Ten przedświąteczny czas spędzam z bardzo atrakcyjną laską.

Agnieszka się roześmiała i głośno wysmarkała nos.

– Atrakcyjna laska idzie założyć z powrotem różowy dresik i będzie grzać się przy kominku. Dzięki, że zadbałeś o ciepło domowego ogniska. – Uśmiechnęła się do Mikołaja, chyba po raz pierwszy z nieskrywaną sympatią.

\*\*\*

Mikołaj czuł się dziwnie. Od dawna nie był tak bardzo sobą jak przez te ostatnie kilka godzin. Od dawna nie zastanawiał się też tak często nad swoim życiem. Czuł się tak, jakby ta droga przez śniegi prowadziła do jakiegoś zaczarowanego świata. Świata, w którym wszystko jest możliwe, w którym spełniają się marzenia. Jakie marzenia miał on? Sam nie wiedział. Żył szybko. Może za szybko. Miał wszystko. A jak tylko czegoś zapragnął, od razu sobie kupował. Marta zawsze marudziła, że trudno mu sprawić jakikolwiek prezent. Wiecznie przy komputerze i z telefonem w dłoni. Nawet tutaj łapał się kilka razy na tym, że dotykał komórki i sprawdzał, czy jakimś cudem się naładowała i może chociaż zrobić zdjęcie.

– Piękne by było, zimowy widoczek – powiedział do siebie, wpatrując się w okno.

– To prawda, to bardzo malownicza okolica. – Nie zauważył, kiedy wróciła Agnieszka.

– Zobacz, człowiek się tak przyzwyczaił do tego, że robi zdjęcia, kręci filmy, że przestaje zachwycać się tym, co widzi. Coraz częściej nie patrzy się już na świat oczami, ale przez mały ekran smartfona. – Zamyślił się. – Dopiero tutaj zdałem sobie z tego sprawę. Tak często staramy się uchwycić ulotne chwile, że zamiast się nimi cieszyć tu i teraz, wyciągamy telefony i nagrywamy czy robimy zdjęcia.

Agnieszka spojrzała na Mikołaja zdziwiona.

– Masz rację. A potem się wcale tych filmów nie ogląda. Bo to nie to samo...

Butelka rumu była już prawie pusta. Po obiedzie Agnieszka zrobiła kolejną herbatę z miodem, a Mikołaj dodał do kubków „prądu”.

– Rumu też twoja babcia ma na czterdzieści dni? – zapytał z nadzieją.

– Nie zdziwiłabym się. A nawet jak się rum skończy, na pewno są nalewki. Potem zostaje nam już tylko jakiś ziołowy alkohol do nacierania.

– Będziemy się nacierać? – zainteresował się Mikołaj.

– Ale to dopiero gdy się inny alkohol skończy. – Zachichotała.

– To wyciągaj te nalewki! Poświęcę się dzisiaj. Dla dobra sprawy.

– Może lepiej nie. Niech nam wystarczy tego alkoholu na czterdzieści dni.

– Aż do wiosny?

– Aż do wiosny.

– Wytrzymałabyś ze mną tutaj do wiosny? – zaskakująco poważnym tonem zapytał Mikołaj. – Bez telefonu, bez prądu, bez kontaktu ze światem?

– Tego nie wiem. Ale jak na razie nam całkiem nieźle wychodzi. – Spojrzała na zegarek. – Powoli mija już dwanaście godzin, a nawet nie doszło do rękoczynów czy obelg.

– Z czego przez kilka godzin ciebie nie było.

– No właśnie, możliwe, że to klucz do sukcesu. – Mrugnęła do niego zadziornie.

– Dlaczego nosisz męski zegarek?

– To pamiątka...

– Po mężczyźnie?

– Tak.

– Ważnym dla ciebie?

– Bardzo.

Mikołaj spuścił wzrok.

– Nie pytam. – Wstał i dolał sobie resztkę rumu.  
Agnieszce zrobiło się go żal. Sama nie wiedziała dlaczego.  
– Po moim tacie – wyszeptła. – Nie pamiętam go wcale. Moi rodzice zginęli w wypadku, gdy byłam mała. Wychowała mnie babcia.  
– Przepraszam, ja...  
– Nie szkodzi. To było dawno temu, więc mogę o tym spokojnie rozmawiać, choć wciąż za nimi tęsknię. No, to teraz wiesz, że całą rodziną, jaką mam, jest babcia. I dlatego jest dla mnie tak ważne, by z nią być, gdy jest chora, gdy mnie potrzebuje.  
– Jest pod dobrą opieką. To mogę ci zagwarantować.  
– Wiem, ale... to nie ja się nią opiekuję. I to jest ta różnica, która mnie dręczy.  
– Mieszkałaś tutaj? – Mikołaj zmienił temat.  
– Nie. – Agnieszka pokręciła głową. – To dom babci. Mieszkałyśmy w Gdańsku. Gdy wyjechałam do Warszawy, wróciła tutaj. Niby mam tutaj swój pokój, ale wychowałam się gdzie indziej. Tutaj spędzałam tylko cudne wakacje.

Usiedli przy kominku. Oboje przykryci kocami, każde ze swoim kubkiem pełnym herbaty z rumem. Zapadł zmrok, Mikołaj obserwował profil Agnieszki i jej jasne włosy, które pod wpływem wilgoci skrzyły się w delikatne sprężynki. Miał ochotę ich dotknąć i sprawdzić, czy jak pociągnie za koniec, wróćą na swoje miejsce, czy zostaną proste. Łapczywie wpatrywał się w dziewczynę, chcąc zapamiętać jak najwięcej z tych błogich chwil...

Chyba poczuła na sobie jego wzrok, bo zerknęła na niego.

– Co robisz? – zapytała.  
– Zdjęcie.  
– Zdjęcie?  
– Tak. Patrzę na ciebie i staram się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Żebym mógł sobie to zawsze przypomnieć. I z jednej strony żałuję, że komórka wysiadła i nie mogę tego zdjęcia zrobić naprawdę, a z drugiej strony mam świadomość, że ta chwila się już nigdy w życiu nie powtórzy. I tak sobie myślę, że jestem szczęściarzem, że mogę w niej uczestniczyć. Tak po prostu. Rozumiesz mnie?

– Chyba rozumiem. Najwyraźniej nas oboje ogarnęła jakaś dziwna melancholia. – Uśmiechnęła się smutno. – Za dużo rumu.

– Trochę mi żal tych ulotnych chwil... Żal, że kiedyś się skończą. I powiem ci, że mam takie wrażenie, jakbyśmy byli teraz na końcu świata, gdzie czas płynie wolniej i zupełnie inaczej. W innej czasoprzestrzeni. Tam świat biegnie, a my teraz beztrąsko siedzimy przy kominku, wpatrując się w ogień i rozmawiając. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak siedziałem.

– Prawdziwe wakacje?

– Prawdziwe. Bez pośpiechu. I nawet przestałem się denerwować, czy wydostaniemy się stąd do świąt, czy nie. Z pewnością z głodu nie umrzemy. Twoja babcia przecież o to zadbała.

## 6.

Popołudnie Anna i Zosia spędzały u pani Krystyny i bawiły się w prawdziwy dom. Anna posprzątała bardzo szybko, bo jak zwykle właściwie nie było co sprzątać, i usiadła na kanapie. Zosia już czekała na krzesła, machając nogami.

– Mamo, nigdy nikogo tutaj nie spotykamy. Tutaj nikt nie mieszka? W takim dużym domu?

– Czasem mieszka.

– Mamo, ale oni muszą być bardzo porządni. Zobacz, nigdy nie ma żadnej plamy na obrusie. Myślisz, że oni jedzą spaghetti? Ja myślę, że nie. – Pokręciła głową. – Albo zawsze używają podkładek. Nie tak jak ja...

– Z pewnością używają podkładek. – Roześmiała się. – Albo jadają tylko w restauracji.

– W restauracji? – zdziwiła się Zosia. – Ja bym bardzo wstydziła się jeść w restauracji.

– Wstydziła? Dlaczego?

– Bo ja bym się bała, że ci wszyscy ludzie, którzy tam są, pomyślą, że moja mamusia nie potrafi gotować. A to przecież nieprawda!

– Ale ludzie nie chodzą do restauracji tylko dlatego, że nie potrafią gotować.

– A dlaczego?

– Dlatego, że chcą zjeść coś pysznego.

– Jak ja chcę zjeść coś pysznego, to proszę ciebie, żebyś ugotowała spaghetti.

– To nie pójdziesz ze mną nigdy do restauracji? – Anna z trudem powstrzymywała śmiech.

– Wolałabym tego uniknąć, mamo – powiedziała poważnie pięciolatka. – A jeżeli już będę musiała, to włożę słoneczne okulary, żeby nikt mnie nie poznał!

\*\*\*

Nie chciało im się wracać do domu. Anna się niepokoiła, co tam zastanie, a Zosia po prostu dobrze się bawiła. Wszystkie znane jej kobiety sprzątały przed świętami, a niektóre nawet przygotowywały już wigilijne potrawy. Anna też miała takie plany, jednak w jej przypadku mogły one być bardzo trudne do zrealizowania. Nie wiedziała nawet, czy będzie mogła w spokoju upiec makowiec oraz ulepić pierogi. Kochała gotować i wychodziło jej to bardzo dobrze. Marzyła, że kiedyś razem z Zosią staną przy kuchennym stole i będzie uczyć ją lepić uszka. Kiedyś. W tym lepszym życiu. Tylko trzeba jeszcze trochę poczekać. Anna była cierpliwa. I wiedziała, że na dobro warto czekać. A ta myśl zawsze dodawała jej otuchy i sił, by wytrwać.

Gdy powoli zbliżały się do swojego bloku, z klatki schodowej wychodził dzielnicowy.

– Dzień dobry, panie Robercie – wesoło przywitała go Anna.

Uśmiech jednak szybko przygasł na jej twarzy, kiedy usłyszała w odpowiedzi:

– Pani Aniu, musi pani coś z tym zrobić!

– Znowu? – Skinęła głową w stronę okna na pierwszym piętrze.

– Niestety... – mruknął policjant.

Anna westchnęła i usiadła na ławce. Zosia pobiegła na plac zabaw przed blokiem.

– Pani Aniu, pani jest młoda, szkoda życia...

Dziewczyna splotła ręce na kolanach i kiwała się w przód i w tył, jak bezbronna dziewczynka.

– Ale co ja mam zrobić? – jęknęła. – Dokąd mam pójść? Przecież ja oprócz Zosi nie mam nikogo bliskiego na świecie!

– A rodzice?

– Rodzice... Kiedyś mnie pobił. Wzięłam Zosię i pojechałam do nich. Pekaesem. Było zimno, padał śnieg... – Wpatrywała się w jakiś bliżej nieokreślony punkt przed sobą. –

Miałam ogromnego siniaka pod okiem. Bardzo się wstydziłam. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i wytykają palcami.

– Z pewnością tak nie było... – Robert próbował ją uspokoić.

– Nie było? Pan wie, jak się czuje człowiek wytykany palcami?

Policjant pokiwał głową, przypominając sobie swoje dzieciństwo. Ale Anna chyba nawet tego nie dostrzegła, pogrążona w przykrych wspomnieniach.

– Zapukałam, otworzyła mi matka. Poczulałam zapach placka drożdżowego. Gdy byłam mała, smarowałam go grubo masłem i dżemem. Zaraz też pojawił się kot, którego kiedyś uratowałam przed utopieniem. Wie pan, na wsi topiło się małe koty... Ocierał się o moje nogi i przez chwilę poczułam, że jestem w domu. Zjadłam obiad. Była zupa jarzynowa. Nigdy jej nie lubiłam, ale wtedy smakowała wybornie. Potem ten placek drożdżowy. Zosia zasnęła na tapczanie, w ubraniu, a ja zaczęłam mówić. Chciałam zostać. Błagałam o to matkę... Nie zgodziła się. Powiedziała, że to wszystko przez to, że żyję w grzechu. Poradziła mi, że muszę się zastanowić nad sobą i być lepszą kobietą dla Artura, bo facet bez powodu ręki na babę nie podnosi. I gdybym była dla niego dobra, dawno już byśmy byli po ślubie... Zresztą mówiła wtedy wiele różnych rzeczy. Wszystko pamiętam, choć wolałabym o tym zapomnieć. Każde słowo bolało bardziej niż najmocniejszy nawet cios. A potem było jeszcze gorzej... Kazała mi wracać do Artura. Było już późno i ciemno. Nie miałam żadnego autobusu. Nie chciała nawet słyszeć o tym, że zostanę. Obudziłam Zosię i taką płaczącą, na wpół śpiącą wyniosłam na dwór. Noc spędziłyśmy na dworcu autobusowym w pobliskiej wsi. Całe szczęście, że był zamykany na noc i że pani sprzątaczką pozwoliła nam tam zostać aż do rana. Potem przyniosła jeszcze kanapki i gorącą herbatę. Powiedziała jedno: „Rozumiem”. Szkoda, że moi rodzice nie rozumieli...

Robert delikatnie pogładził dłoń Anny. Dziewczyna się wzdrygnęła i automatycznie popatrzyła na swoje okna. Na szczęście nikogo tam nie było.

– Nie – powiedziała, odsuwając się od Roberta. – Mogłabym tego nie przeżyć. Gdyby Artur zobaczył, że jakiś mężczyzna...

– Wracasz tam dzisiaj?

– A dokąd mam pójść? Chociaż... – Wyciągnęła telefon. – Pani Krystyno, przepraszam, że niepokoję, ale mam duży kłopot. Zapomniałam z domu klucza, a mąż wyjechał dziś w delegację. Stoję z córką przed drzwiami i nie możemy się dostać... Czy mogłybyśmy się przespać z Zosią u pani, na sofie?

\*\*\*

To była najpiękniejsza zabawa w prawdziwy dom, jaką Zosia mogła sobie wymarzyć.

– Ale naprawdę możemy tu spać? – zapytała z wypiekami na twarzy.

– Naprawdę! – Anna się uśmiechnęła. – Możemy spać w tym błękitnym pokoju.

– W tym wielkim łóżku?  
– W tym wielkim łóżku.  
– Mamo, a mogę spać z tobą? – Zosia podskakiwała ze szczęścia.  
– Oczywiście. Zjemy kolację, wykapiemy się w tej dużej wannie. Nawet możemy wziąć płyn do kąpieli, który najładniej pachnie.  
– A potem obejrzymy bajkę?  
– Nawet trzy!  
– W piżamach?  
– No właśnie... nie mamy piżam! Ale trudno, jakoś będziemy musiały sobie poradzić! – zawołała wesoło. – Będziemy w koszulkach i w majtkach, zakryte kołdrą pod samą szyję!  
– A bajka? – zasmuciła się Zosia.  
– A nie widziałas w tym niebieskim pokoju telewizora?  
– Widziałam! Jest o-grom-ny!  
– I dzisiaj cały nasz.  
– Mamo, to będzie najpiękniejszy wieczór! Aż szkoda zasypiać. Bo chciałabym, żeby to się nigdy nie skończyło...

\*\*\*

Anna też chciała, by ten wieczór trwał i trwał. Wiedziała jednak, że tak nie będzie. Że będzie powrót do rzeczywistości, może nawet bardzo bolesny. O ile Artur w ogóle zauważy, że nie spędziły nocy w domu. Spontanicznie dzwoniąc do pani Krystyny, nie wzięła tego pod uwagę. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że Artur będzie tak pijany, że nie zauważy ich nieobecności.

Po chwili doszła jednak do wniosku, że nie będzie ryzykować. Nie bała się jednak o to, że kolejny raz ją uderzy. Do tej pory wszystko skupiało się na niej, Zosi nigdy nie bił. Cały czas się niepokoiła, że i to się kiedyś zmieni. Tego by już nie zniosła.

*Musiałam zostać u pani Krystyny. Potrzebowała, bym popilnowała dziś domu* – wysłała esemesa. Nie kłamała. A przynajmniej było w tym ziarno prawdy. Artur oczywiście nie odpisał, ale i tak odetchnęła z ulgą. Przytuliła się do córki. Też chciała, by te chwile trwały jak najdłużej. Bezpieczny sen bez niechcianych rąk na ciele. Ciepła kołdra, spokojny oddech dziecka i pachnące szamponem włosy. Zanurzyła w nich twarz i się uśmiechnęła. Tak pachnie szczęście? Tak wygląda szczęście? Ciepło i bezpiecznie.

\*\*\*

Robert Krusz postanowił interweniować. Tym razem nie wezwali go sąsiedzi, ale chciał zobaczyć, jak się sprawy mają. Był szczęśliwy, że Anna jest bezpieczna. Znał ją od lat. I od lat nic się w jej życiu nie zmieniało.

Zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Nie zamierzał jednak odpuścić. Kiedy załomotał ponownie, na progu pojawił się mężczyzna ze skrzytem w dłoni.

– Pan władza, zapraszamy! – Ukłonił się teatralnie, ledwo łapiąc równowagę. – Zabawa trwa!

W mieszkaniu było pięciu mężczyzn, z których tylko jeden był na nogach. Wszędzie roznosił się zapach marihuany, a na stole leżały małe woreczki z białym proszkiem. Robert

czuł, że nie powinien sam się w to mieszać. Sięgnął po telefon i wezwał patrol. Po chwili policja zgarnęła wszystkich uczestników imprezy.

„Przynajmniej Anna przez jakiś czas będzie miała spokój. I ten jej facet nie zauważy, że nie było jej w domu” – ciepło pomyślał Robert. I wysłał jej esemesa: *Pani Aniu, pani mąż spędzi noc na dołku*. Potem zaczął się jednak zastanawiać, czy napisał dobrze. Przecież to nie był jej mąż. I przecież taki esemes może doprowadzić kobietę do zawału! Nie wyjaśnił jej, o co chodzi, a w przypadku tego Artura mogło chodzić doprawdy o wszystko!

Spojrzał na zegarek, dochodziła pierwsza w nocy. Najchętniej by do niej zadzwonił, ale było stanowczo za późno. Wyzwalała w nim jakieś opiekuńcze odruchy i po prostu miał teraz ochotę ją przytulić i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Niekoniecznie dla Artura, ale dla niej. Chciałby też mieć możliwość zrobić wszystko, by ta kobieta pozwoliła mu spełnić tę obietnicę. Ale przecież nie powie: „Rzuć wszystko i chodź się całować”.

Doszedł do wniosku, że nic z tego, o czym właśnie marzył, nie miało tego wieczoru szans się spełnić. Mógł więc jedynie napisać kolejnego esemesa: *Zatrzymany za posiadanie narkotyków na 48 h. Wszystko wyjaśniamy*.

A jeżeli ona go kocha? Jeżeli ta informacja ją załamie?

Robert Krusz po raz pierwszy w swoim życiu zwątpił w to, czy nadawał się do pracy policjanta. Do tej pory mu się wydawało, że jest do tej roli stworzony, jednak dzisiejszy wieczór nieco zrewidował jego poglądy.

\*\*\*

Anna spała wtulona w Zosine włosy. Nie obudził jej żaden esemes. Była w beztróskim świecie snów, gdzie nie ma zmartwień, a życie pachnie szamponem stojącym na półce jednej z najbogatszych kobiet w mieście. To był dobry świat...

Nie wiedziała, że w tym samym czasie ktoś o niej intensywnie myślał i zastanawiał się, co zrobić, by jej zabawa w prawdziwy dom trwała wiecznie.

Nie wiedziała też, że kilka ulic dalej ktoś się zastanawia, jak wybić jej z głowy wszelakie zabawy, a nawet myśli o nich.

Spała. Tej nocy była najszczęśliwsza na świecie.



## Rozdział 4

*Dzień dobry, kochani! Dzisiaj ostatni dzień astronomicznej jesieni i jutro już powitamy zimę! Jak na tę porę roku przystało, za oknem pada śnieg, a temperatura wciąż spada.*

*Tego dnia nasi przodkowie obchodzili Święto Godowe– w tradycji słowiańskiej celebrowano wówczas przesilenie zimowe. To właśnie dzisiaj światło zwycięża mrok i zaczyna przybywać dnia, a ubywać nocy – tym samym przynosząc ludziom nadzieję, optymizm oraz radość.*

*Dzisiaj słońce wzejdzie o siódmej czterdzieści dwie, a zajdzie o piętnastej dwadzieścia cztery. Dzień będzie trwał siedem godzin i czterdzieści dwie minuty. Będzie krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty.*

*Imieniny obchodzą: Anastazy, Balbin, Festus, Gliceriusz, Honorat, Kanizjusz, Piotr, Temistokles, Tolisław, Tomasz, Tomisław i Tomisława. Zdradzę wam, że kotka mojej teściowej ma na imię Tomisława. Mamo, jeżeli mnie słuchasz, złóż jej ode mnie najlepsze życzenia!*

*Do końca roku pozostało dziesięć dni, a Wigilia już za chwilę! Tylko trzy dni dzielą nas od świąt!*

# 1.

– Kolejny dzień w rajku – wymruczał Mikołaj.

Agnieszka zobaczyła przed swoim nosem kubek parującej kawy. Usiadła na łóżku i wzięła kubek w dłoń.

– A ty spać nie możesz? – Uśmiechnęła się. – Która godzina?

– Jedyną osobą noszącą zegarek w tym domu jesteś ty. A zresztą szczęśliwi czasu nie liczą.

– Nie mów, że jesteś szczęśliwy. – Ziewnęła. – Taki światowiec jak ty? Uwięziony gdzieś w głuszy? Zegarek leży na stole, zobacz, która godzina.

– Siódma trzydzieści.

Agnieszka jęknęła.

– O nie! Z własnej nieprzymuszonej woli nie będę wstawać o siódmej! Takiej godziny w ogóle nie ma. – Odstawiła kubek na stolik, położyła się, odwróciła się tyłem do Mikołaja i przykryła kołdrą. – Niech będzie jakiś pożytek z tego przymusowego urlopu. Chociaż się wyśpimy. A czemu ty właściwie wstałeś tak wcześniej?

– Tam było trochę zimno. – Mikołaj wskazał głową na pokój, w którym spał. – Przyszedłem rozpalić w kominku, bo już zgasło, i dorzucić do pieca.

– Mhm... – mruknęła rozkosznie, chyba ponownie zasypiała.

Mikołaj się uśmiechnął. Wziął kubek Agnieszki i napił się kawy. Niech śpi, bo cóż robić. Jakby mu się chciało spać, też by się nie ograniczał. Jednak przyzwyczajony był do zdecydowanie bardziej dynamicznego programu dnia, więc teraz niemal go roznosiło z powodu tej beczynności. O żadnej drzemce nie było mowy. Przemknęło mu nawet przez myśl, że próbując jakoś zabić czas, mógłby się zająć odśnieżaniem terenu wokół domu, ale wspominając swoją nocną wędrówkę przez zasy, doszedł do wniosku, że zdecydowanie nie ma ochoty na bliskie spotkania trzeciego stopnia z hałdami śniegu. Aż się wdrygnął na samą myśl i naraz momentalnie zrobiło mu się chłodniej, więc usiadł przed kominkiem.

– Co się, do cholery, robi, jak się nie ma nic do roboty? – powiedział cicho sam do siebie. – Wpatruje się w ogień?

Nie było jeszcze ósmej... Co robili ludzie, kiedy nie było telefonów, telewizorów, prądu? Ileż można siedzieć beczynnie?

Roześmiał się cicho.

Niby tak tęsknimy za wakacjami, za odpoczynkiem, za tym, żeby zwolnić, żeby wreszcie przestać wciąż tak pędzić przez ten świat, a jak mamy szansę na właśnie takie nicnierobienie, to w ogóle nie wiemy, jak się zachować. Odzwyczajiliśmy się od bycia offline. Nowoczesne technologie wymogły na nas, że jesteśmy dostępni non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteśmy zawsze i dla wszystkich. Jeżeli nie ma nas w sieci przez kilka dni, to istnieje prawdopodobieństwo, że coś się nam stało.

Oczywiście niektórzy ludzie robią detoksy internetowe, na początku oświadczając to światu we wszelakich mediach społecznościowych, że ten dzień właśnie nadszedł, że to już, że teraz właśnie przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści dni nie będą dostępni w sieci. Na koniec zdają dokładną relację w tejże sieci, jak się czuli. Najlepiej w kilku odcinkach,

bo przecież przez czas detoksu bardzo spadły zasięgi i trzeba szybko powrócić do poziomu sprzed naszego eksperymentu. Świat zwariował. Ludzie zwariowali. Na własne życzenie.

Mikołaj dorzucił dREW do ognia. Gdyby jego telefon działał, też pewnie wrzuciłby kilka zdjęć na Instagram. Bo chciałby się podzielić ze wszystkimi, że tu jest tak pięknie! Zima, drewniany dom w środku zaśnieżonego lasu... Nawet ta szopa z obdrapanymi niebieskimi drzwiami wyglądała uroczo. Wrzucałby zdjęcia co chwilę. Czy to znaczy, że przestał robić pewne rzeczy tylko dla siebie, a robił je wyłącznie dla innych? Pewnie ci „inni” polubią je, siedząc akurat na sedesie, z telefonem komórkowym w dłoni. I zaraz o tym zdjęciu zapomną. O nim również.

Gdyby zrobił wtedy zdjęcie Agnieszce, gdy siedziała przy kominku, w pierwszym odruchu też by chciał je wrzucić do sieci. Teraz się cieszył, że tego nie zrobił, bo ta chwila należała do niego. Tylko do niego. Tylko on był świadkiem tego magicznego momentu, kiedy ona siedziała zamyślona i się uśmiechała, patrząc w ten ogień. Czuł się dzięki temu jak ktoś wyjątkowy.

Spała teraz dwa metry od niego, a on nawet nie uprawiał z nią seksu. Nie to żeby nie chciał, bo miał na to ogromną ochotę, ale stwierdził, że to mogłoby wszystko popsuć. Zresztą nie wiadomo, czy ona by chciała... Tak, Agnieszka nie była kobietą, z którą chciałby spędzić noc. Z nią chciałby spędzić wiele nocy i wiele dni. Czuł się tak, jakby wszyscy nagle gdzieś zniknęli i na tym świecie pozostali tylko oni. Bo właściwie w tej chwili faktycznie tak było... Przynajmniej w najbliższej okolicy.

Pieprzyć Malediwy! Raj... Adam i Ewa...

Zwariował. Normalnie zwariował. Od rozmyślań o mediach społecznościowych, poprzez seks i Malediwy, aż do Adama i Ewy. No i znowu seks, bo przecież gatunek musi jakoś przetrwać. Mikołaj był ciekawy, jak na te jego rozważania zareagowałaby Agnieszka. Właśnie się obudziła.

– O czym tak dumasz? – zapytała, jakby czytała w jego myślach. – Przypatruję ci się od pewnego czasu i widzę, że mózg ci aż paruje. Wymyśliłeś jakiś nowy sposób ucieczki?

– O życiu. – Uśmiechnął się. – Powiem ci, że brak prądu i tłumów, internetu, telefonu i wiecznego kontaktu ze światem sprzyja refleksjom filozoficznym. Pozwala się chwilę zastanowić nad sobą i nad światem.

– Podzielisz się ze mną tymi świątymi spostrzeżeniami? – Agnieszka zwinęła się w koc i usiadła obok Mikołaja, przy kominku.

– Nie mogę, bo dostanę w łeb. – Roześmiał się. – Jak nic dostanę w łeb...

– Nie mogę cię uszkodzić, bobym sobie kłopotu narobiła. Musiałabym o ciebie dbać, pielęgnować cię i hołubić. O nie, nie ma mowy.

– No chyba że załatwiłabyś mnie na amen.

– Ze zwłokami miałabym jeszcze większy problem. – Zachichotała i dodała: – To o czym myślałeś?

– O Ewie i Adamie w raju.

– O matko! Tego to się nie spodziewałam. – Roześmiała się. – I do jakich wniosków doszedłeś?

– Że my jesteśmy tak odcięci od świata jak Ewa i Adam w raju. I, chcąc nie chcąc, będziemy musieli... przedłużyć gatunek.

Wzruszył ramionami, udając zrezygnowanie i pogodzenie się z tym „przykrym” losem.

– Wariat. – Agnieszka uderzyła go lekko.

Przytrzymał jej rękę. Chwilę spoglądali na siebie, po czym dziewczyna szybko odwróciła wzrok.

– Izolacja społeczna bardzo wpływa na psychikę niektórych jednostek ludzkich. Innymi słowy, zdarza się, że wariują. – Puściła do niego oczko. – Gdzie moja kawa? Wydawało mi się, że budziłeś mnie w środku nocy, podstawiając mi pyszną kawę pod nos?

– Wypiłem.

– No ładnie. I jak tu myśleć o przedłużaniu gatunku, kiedy Ewa nie ma zapewnionych podstawowych porannych potrzeb życiowych, takich jak kawa? Jak mogłeś ją wypić? Pomyliło ci się coś... to Ewa zeżarła jabłko, a nie Adam wypił kawę.

Roześmiała się.

– Jeżeli to ma skłonić Ewę do przychylnego nastawienia do mojej propozycji, to pędzę robić kolejną. – Mikołaj wstał i ruszył w stronę czajnika.

– A to była propozycja? Z tym przedłużaniem gatunku?

– Ależ skąd. – Mikołaj pokręcił głową. – Luźna dywagacja na temat przetrwania rasy ludzkiej. Ja po prostu troskliwy jestem.

– Bardzo. – Uśmiechnęła się.

– To jak?

– Z czym? – zapytała prowokująco Aga.

– Z przedłużeniem gatunku. Znaczący na początku nawet nie musimy go przedłużać, tylko zobaczymy, czy dalibyśmy radę.

– Ha! Wycofujesz się!

– W życiu! To jak? – Patrzył na nią badawczo.

– To zależy od tego, jak długo będziemy sami.

– A jak długo musielibyśmy być tutaj sami?

– Mikołaj!

– No co, dopytuję o szczegóły. Faceci działają zadaniowo. A ja nie wiem, czy po śniadaniu iść na spacer, żeby sprawdzić, czy jest szansa wydostania się stąd, czy lepiej wziąć na przeczekanie. Albo zwalić jeszcze kilka drzew na drogę, by mieć pewność, że długo stąd nie wyjedziemy. – Wyszczrzył się łobuzersko.

– Kilka lat temu byłeś całkiem blisko – wymknęło się Agnieszce. Zaraz gdy to powiedziała, zaczęła żałować swoich słów.

– Wiem – mruknął. – I wielokrotnie się zastanawiałem, co by było, gdyby...

– Ja też – powiedziała cicho Agnieszka.

Przez moment milczeli, oboje skrępowani. Gdy tylko woda się zagotowała, poderwali się z miejsc, chcąc najwidoczniej zająć czymś nie tylko ręce, ale i myśli. Mikołaj wyłączył gaz, nasypał kawy do kubków i zalał je wrzątkiem. Aga otworzyła szafkę i wyjęła mleko.

– Ja czarną poproszę – powiedział Mikołaj.

Agnieszka wolała białą. Upiła łyk, a później wyjęła z lodówki jajka i boczek. Pokroiła boczek w kostkę i położyła na patelni. Cała kuchnia zapachniała śniadaniem. Potem wbiła jajka i po chwili jajecznicą była gotowa.

– Podano do stołu. Smacznego – powiedziała, jakby poprzedni temat w ogóle nie istniał.

– Smacznego – mruknął Mikołaj, łudząc się, że jednak jeszcze powrócą do tego tematu.

Żał mu było tego, co przez tę krótką chwilę zaczęło się pojawiać między nimi. Nić porozumienia, wywołana przez wspólne wspomnienia, gdzieś się zagubiła. Po raz kolejny Mikołaj miał nadzieję, że zbyt szybko nie zakończy się to ich „więzienie”, że za szybko stąd nie wyjadą, że jeszcze się pojawi między nimi to... coś. Że jeżeli będzie to pielęgnował przez chwilę, to ma szansę dotrzeć nawet do momentu, gdy ponownie znajdą się w normalnym, prawdziwym świecie.

Nie chciał stąd nigdzie wyjeżdżać, nawet kosztem kontaktu z rzeczywistością. Przecież gdyby chciał, wstałby rano i nie zważając na pogodę, dotarłby do tej szosy i wezwał pomoc. Załatwiłby traktor, który poradziłby sobie z drogą, ze zwalonym drzewem, a nawet z wyciągnięciem z tego lasu corsy Agnieszki. Dlaczego tego nie zrobił? Nie miał motywacji? Może powinien? Czuł się trochę jak oszust, który udaje, że zgubił klucze od drzwi, a tak naprawdę głęboko je schował, by nie wypuścić swojego więźnia na wolność.

A Agnieszka? Może ona myślała tak samo? Tego nie wiedział. Zajadała jajecznicę, siedząc w tym swoim różowym puchatym dresie, i zupełnie nie wyglądała jak więźniarka.

Dlaczego tak szybko ucieła tamten temat? Dlaczego nie chciała do niego powrócić?

\*\*\*

Agnieszka nie chciała rozmawiać o przeszłości. Pamiętała, jak wtedy ją zranił. Przyjechała na studia do Warszawy, nie znała zupełnie nikogo i nagle pojawił się on. Przystojny, inteligentny i zaradny starszy brat Marty, jej współlokatorki. Na dodatek był Agą wielce oczarowany. Wtedy nie wiedziała, że Mikołaj zwykle był oczarowany kobietami. Wszystkimi i niemal bez wyjątku. Myślała, że jest jedyna, najważniejsza na całym świecie. Chyba nawet się w nim zakochała. Taką świeżą osiemnastoletnią miłością. To był jej pierwszy chłopak. Taki, z którym chodziła po ulicy za rękę i całowała się na przystankach autobusowych i w bramach. Wprawdzie spotkali się tylko kilka razy, ale Mikołaj był dla niej kimś ważnym...

A potem zobaczyła, jak się całował z inną. Najwyraźniej był bardziej rozrywkowy niż ona. Albo pocałunki traktował mniej osobiście niż ona. Bardziej jako czynność samą w sobie, a nie jako środek służący wyrażaniu uczuć. To było dawno temu, ale wciąż pamiętała tamtą chwilę. Zauważył ją, nawet zawołał, gdy tamta się od niego odkleiła. Agnieszka pobiegła wtedy, ile sił w nogach, i wsiadła do pierwszego nadjeżdżającego autobusu. On nie zdążył. Pamiętała, że uderzył z całej siły pięścią w drzwi, ale kierowca się nie zatrzymał. Na szczęście. Jeździła pół dnia tym autobusem, aż w końcu kierowca się zainteresował dziwną pasażerką.

– Stało się coś? – zapytał.

– Stało. – Wzruszyła ramionami.

– Ech, mężczyźni...

Dojechali razem do zajezdni i sympatyczny kierowca przyniósł jej kawę i ciastko. Dopiero wtedy miała siłę wracać do akademika. Miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała oglądać brata Marty.

Potem spotkała go dopiero w Londynie. Siedzącego nago na schodach tuż przed drzwiami mieszkania Steve'a. Wcześniej unikała wszelkiego kontaktu. Nie pozwoliła sobie wyjaśnić, co się stało. Nie chciała go znać, a nawet o nim słyszeć. To, w jakich okolicznościach wpadli na siebie wtedy, w Anglii, tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że nigdy nie powinna się z nim wiązać, a nawet utrzymywać z nim kontaktu.

A teraz? Kiedy na horyzoncie nie było innych kobiet, Mikołaj wydawał się idealny. No, ale tutaj Agnieszka nie miała żadnej konkurencji, a w normalnym świecie były inne kobiety. Nie jest sztuką zachować wierność, kiedy mężczyzna niespecjalnie ma w kim wybierać. Była pewna, że Mikołajowi do szczęścia potrzebne były wyłącznie ładna kobieca buzia i cycki. A że obecnie tylko ona w całej okolicy spełniała te kryteria...

Oczywiście, gdyby zostali jedynymi ludźmi na całym świecie, musieliby myśleć o przedłużeniu gatunku. Agnieszka się do siebie uśmiechnęła. To mogłoby być miłe. Bardzo miłe... A może nie muszą jeszcze wracać do normalnego życia? Może spędzą tutaj razem Wigilię, przysypani śniegiem, przedłużając tenże gatunek albo chociaż próbując go przedłużyć? Ale co z babcią? Całe szczęście, że się umówiły dopiero na Wigilię. Martwiłaby się. A Marta? Przecież mają za dwa dni lecieć na Malediwy...

Agnieszka spojrzała na Mikołaja i nagle zrobiło jej się bardzo smutno. Nie chciała, by to tak szybko się skończyło. Nie chciała, by wyjechał. Chciała, by ta zima trwała wiecznie, a przynajmniej bardzo długo.

## 2.

– Mamo, a możemy się dalej tak bawić? – Annę obudził szept Zosi. – Możemy się bawić w to, że ty śpisz, a ja już się obudziłam?

Anna zerwała się z miejsca.

– Która godzina?

– Nie wiem. Obudziłam się i zobaczyłam, że już jest jasno.

Anna spojrzała na telefon. Dochodziła dziesiąta.

– Ładnie pospałyśmy – westchnęła.

Komórka komunikowała, że esemes do Artura nie został doręczony. Serce podeszło Annie do gardła. Nie wiedział, gdzie były całą noc i nie będzie łatwo mu to wszystko wytłumaczyć. Chciała wysłać go ponownie, wytłumaczyć się, obiecać, że zaraz przyjdzie, byleby tylko jakoś spokojnie zareagował, ale wtedy zauważyła wiadomość od Roberta. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Upiekło jej się. Po raz kolejny jej się upiekło! Odetchnęła z ulgą. Los nad nią czuwał, że esemes o nocowaniu poza domem nigdy nie dotarł do adresata.

Po chwili jednak poczuła się najgorszą kobietą na świecie. Jej facet, ojciec jej córki, wylądował na komisariacie, a ona się cieszyła, że ma dwa dni dla siebie i dziecka. Że jest bezpieczna. Że w tym czasie będzie mogła pożyć tak, jak zawsze marzyła. Bez strachu, bez stresu. Będzie mogła w spokoju posprzątać, przygotować święta. Co prawda Artur wyjdzie tuż przed Wigilią, ale może w celi zrozumie pewne sprawy? Że jego rodzina jest ważna, że to, jak się zachowuje, nie do końca jest dobre dla niego? „Ja pierdołę, jestem pieprzonym szczęściarzem! – powiedział jej kiedyś. – Ty rozkładasz nogi, kiedy chcę, kumple przychodzą, kiedy chcę, mam wszystko!”. Anna miała nieco inną definicję szczęścia. I na pewno nie mieściło się w niej rozkładanie nóg przed facetem, którego najnormalniej w świecie się bała. Dlatego też była szczęśliwa, że może w spokoju wrócić do domu i się przed nikim nie tłumaczyć.

Zadzwoił telefon. Pani Krystyna.

– Dzień dobry, pani Aniu! – zawołała. – Mam nadzieję, że się pani dobrze spało! Powinam dzisiaj przyjść i panią ugościć, ale od rana mam tu zamieszanie. Otóż wydawało mi się, że zamówiłam uszka do barszczu i pierogi, a nie zamówiłam. Teraz chyba sama będę je lepić, a kompletnie nie odnajduję się w kuchni. Jan nie wyobraża sobie świąt bez uszek, Irenka bez pierogów, a ja już w ogóle sobie nie wyobrażam nic. Córka z synem za dwa dni lecą na Malediwy, chociaż nie wiem, czy to dojdzie do skutku, bo syn gdzieś przepadł, a moja córka, zamiast go szukać, mówi, że najpewniej sobie jakąś panienkę przygruchał i jak mu się znudzi, to się odezwie. – Wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Nie mam pomysłu na rozwiązanie tych wszystkich spraw. Istne szaleństwo! Poza tym jestem chyba zmęczona. Że też nie mogę mieć normalnych świąt! Całe moje stado mi się po świecie rozpiezchło, pensjonariusze wyjadą, a na Wigilię chyba pójde do męża, bo w domu, jak pani widzi, nawet choinki nie mamy. A klucze się znalazły? – zapytała nagle.

– Jakie klucze? – zdziwiła się Anna.

– Od domu. Mówiła pani, że klucze pani zgubiła czy zatrzasnęła drzwi i nie może pani wejść.

– A tak! – Anna nie potrafiła jednak kłamać. – Wyobraża sobie pani, że były w torebce? Ale znalazłam je dopiero, gdy Zosia zasnęła...

– Najważniejsze, że się znalazły. Jeden kłopot z głowy. A może wie pani, pani Aniu, gdzie mogę jeszcze zamówić uszka na naszą wigilię? Bo bez tych uszek Jan gotów pomyśleć, że mamy Wielkanoc, a nie Boże Narodzenie.

– Nie wiem, pani Krystyno... – westchnęła. Po chwili jednak wpadła na pomysł. – Ale właściwie ja mogę zrobić te uszka. I pierogi też. To żaden problem. Tylko ile?

\*\*\*

Kilka godzin później Anna siedziała w swojej wysprzątanej już kuchni i uczyła Zosię lepić pierogi. Uśmiechnęła się do siebie. Przecież jeszcze nie tak dawno o tym marzyła. Może faktycznie marzenia się spełniają?

Włączyła świąteczne piosenki. Mama zawsze jej mówiła, że nie wolno, że jeszcze nie, że dopiero po wieczery wigilijnej. Ale Anna chciała się cieszyć świętami jak najdłużej. Ona chyba też lubiła „spodziewanki”, jak jej córka.

– Zobacz, wykrawasz tym małym kieliszkiem takie kółeczka, wkładasz tutaj trochę grzybków, a potem tak zaklejasz.

Małe łapki córki całkiem sprawnie radziły sobie z klejeniem.

– Odkładaj tutaj te zrobione. Będą dla nas, zjemy je w Wigilię.

Była szczęśliwa. To szczęście mącił tylko fakt, że w zaistniałej sytuacji, kiedy Artur został zatrzymany, w ogóle umiała się cieszyć z czegokolwiek. Miała wyrzuty sumienia, że nie było jej go żal, że nie było jej przykro, że pomyślała o tym, iż życie bez niego byłoby takie cudowne. Bez troskie. Nie musiałyby się bać. Strach był najgorszy. Nie ból. Ból szybko mijał. Tylko strach, że Zosia cokolwiek zauważy, że mogłaby się też bać. I że w końcu, któregoś dnia, gdy go czymś naprawdę zdenerwuje, jej też się dostanie. Tego się bała najbardziej.

Poradziłyby sobie same, gdyby miały gdzie mieszkać. Liczyła to już wiele razy. Miała zeszyt, w którym zapisywała swoje wydatki i planowała kolejne. Pracowała w sklepie, sprzątała u pani Krystyny, a nie miała zbyt wielu wymagań. Mogła żyć skromnie. Przed odejściem powstrzymywało ją tylko to, że nie ma dokąd odejść. Wystarczyłyby im na początku jeden pokój. U kogoś. Mogłaby się zaopiekować jakąś starszą panią w zamian za to, żeby u niej mieszkać. Nie bała się ciężkiej pracy. W zamian za spokój i bezpieczeństwo mogła zrobić wiele. Czasem wydawało się jej, że niemal wszystko.

Tak, w domu robiła wszystko, czego od niej oczekiwał Artur. W zamian za trochę spokoju. Kupowała sobie swoim ciałem kilka chwil bezpieczeństwa dla siebie i córki.

\*\*\*

Robert skończył już pracę i mógł iść do domu, ale coś go powstrzymywało. Trzykrotnie podchodził do bloku, w którym mieszkała Anna, i dopiero za trzecim razem zdecydował się stanąć przed jej drzwiami. Jeszcze nie wiedział, czy odważy się do tych drzwi zapukać, ale jednego był pewien – musiał się upewnić, że wszystko jest u niej w porządku. Nie potrafił doprecyzować, co mogło być nie tak, skoro jego koledzy



policjanci zatrzymali Artura na czterdzieści osiem godzin, ale wolał się przekonać na własne oczy.

Chwilę stał i nasłuchiwał. Zza niebieskich drzwi słychać było świąteczne piosenki. Chyba nie miał powodów do obaw. Zapukał. Po chwili otworzyła mu Anna. Włosy miała spięte w luźny koczek na samym czubku głowy. Na sobie miała fartuszek. Musiał przyznać, że wyglądała uroczo. Obok niej stała Zosia, której fryzura wyglądała identycznie jak matki. Fartuszek natomiast był dużo brudniejszy, najwyraźniej mała wciąż wycierała w niego rączki.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, panie Robercie! – radośnie powitała go Anna. Dawno nikt się tak nie cieszył na jego widok. – Bardzo dziękuję za wczorajszą informację... – Pokazała wymownie na Zosię i położyła palec na ustach. – Proszę wejść. My lepimy pierogi i uszka, więc jest trochę bałaganu... Napije się pan herbaty? Albo kawy?

– Możemy też zrobić w jednym kubku kawy, a w drugim herbaty – gościnnie zaproponowała dziewczynka. – Taty nie ma – dodała konspiracyjnym szeptem.

Nawet ona wiedziała, że zdecydowanie spokojniej można wypić kawę i herbatę w tym domu, kiedy nie ma jej ojca.

– Odzywał się?

– Do mnie nie. Jego matka do mnie zadzwoniła. Po raz pierwszy od lat. Mówiła, że prosił, by mi nic nie mówiła...

– Myślał, że się nie dowiesz? Przepraszam... Że się pani się nie dowie...

– Znamy się już tyle lat. Myślę, że śmiało możemy sobie mówić po imieniu. – Podała mu rękę. – Anna.

– Robert.

– Już dawno powinniśmy mówić sobie na ty. Zawsze zjawiasz się u mnie w takich trudnych momentach...

– Jak superbohater – stwierdziła Zosia. – Superbohaterowie zjawiają się w najgorszych momentach i ratują ludzkość.

Robert się roześmiał.

– To nie jest śmieszne. – Zosia z poważną miną pokręciła głową. – Zawsze jest tak, że już wszyscy myślą, że to koniec świata, a oni nagle się pojawiają nie wiadomo skąd i ratują wszystkich. Tak jak pan. Mama mi mówiła.

– Zosia!

– To się porobiło... – mruknął Robert.

Rozejrzał się po kuchni. Był tam wielokrotnie, ale tym razem wyglądało zupełnie inaczej. I zupełnie nie chodziło o to, że mąka pokrywała stół, część podłogi i nosy oraz włosy Zosi i Anny. Po prostu w kuchni mimo małego rozgardiaszu panował... porządek. Nagle zdał sobie sprawę, że zwykle bywał tam, gdy na podłodze leżało kilku pijanych facetów i śmierdziało alkoholem. Teraz pachniało czystością i... radością. Dotąd nie wiedział, że radość może pachnieć, ale tak właśnie było.

– Jestem złym człowiekiem – mruknęła nagle Anna, gdy Zosia poszła do pokoju po książeczkę, by pokazać Robertowi, jak wyglądają superbohaterowie.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Bo teraz jestem szczęśliwa. I chłonę każdą chwilę tego szczęścia, ale przypominam sobie, że on niedługo wyjdzie i wszystko będzie jak dawniej. A teraz jestem jak w bajce.

– Mogłabyś być w takiej bajce cały czas.

– Niby jak? Przecież on nie będzie wiecznie siedział w więzieniu. Chociaż jakby się pozbięrało, pewnie miałyby za co. Wiesz, właściwie... Artur nie jest złym człowiekiem. Tylko bardzo pogubionym.

– Nie rozumiem, dlaczego go tłumaczysz.

– Jest ojcem mojego dziecka.

– Jest dawcą spermy! – warknął Robert. – Na bycie ojcem trzeba sobie zasłużyć.

Anna westchnęła. Bo co miała odpowiedzieć? Robert miał rację. Artur nie był dobrym ojcem, partnerem był jeszcze gorszym.

– Najchętniej bym go tam zatrzymał na dłużej – mruknął.

– Nie można w życiu stale uciekać. Czasem trzeba nadstawić drugi policzek. – Anna powtórzyła „mądrość”, którą przez całe życie powtarzała jej matka.

– Ty nadstawiasz. Bezustannie... – Mężczyzna pokręcił głową. – I co ci to daje? Daje ci to spokój? Szczęście?

– To moje życie, Robert. Każdy w pewnym momencie swojego życia miał wybór. Podejmował pewne decyzje. Jedne gorsze, inne lepsze. Jednak wszystkie one wpływają na to, gdzie teraz jesteśmy. Ale musimy ponosić konsekwencje, odpowiadamy za swoje błędy każdego dnia. A czasu nie da się cofnąć. Zresztą... – Popatrzyła na Zosię. – Gdybyśmy potrafili cofać czas, by dokonywać innych wyborów, mogłoby to mieć również bardzo negatywne skutki.

– To prawda, że czasu nie cofniesz, ale całe życie jeszcze przed tobą. – Miał ochotę ją przytulić, ale wiedział, że to nie był odpowiedni moment. – Może to właśnie jest ta chwila, może właśnie teraz trzeba podjąć tę decyzję, dzięki której za dziesięć lat będziesz w zupełnie innym miejscu?

– Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa.

– Co musi się stać, byś była? Musi iść do paki na kilka lat? Wbrew pozorom wcale nie tak łatwo trafić do więzienia.

– Zjesz uszka, które zrobiłam? – zapytała Zosia, która wbiegła nagle do kuchni.

Może dobrze, że przerwała im tę trudną rozmowę. Tyle rzeczy chciał jej jeszcze powiedzieć. Na przykład, że przyroda również budzi się do życia co rok. I co rok zaczyna wszystko od nowa. Kwitnie, rodzi owoce. Co roku to samo... Nie powiedział.

– Zjesz? – zapytała ponownie.

– Jasne! A kiedy?

– W święta. Bo my będziemy mieć największą choinkę na świecie. I będę biegała wokół tej choinki. I będą bombki!

Robert spojrział na Annę. Ta pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, o czym mówiła Zosia.

– Bo ja mam takie marzenie. A marzenia trzeba spełniać. Mama zawsze tak mówi.

– I ma rację! – Robert pogłaskał małą po główce. – A jakie twoja mama ma marzenia?

– Mama mówi, że ich nie ma. Ale ja wiem, że musi jakieś mieć. Tylko ona nie ma okularów i ich nie widzi.

– Różowych?

– Tak, najlepiej różowych – zgodziła się Zosia. – Mama mówi, że ma małe potrzeby. Takie rzeczy do potrzebowania. A to jest co innego niż marzenia, prawda? Tylko ja nie wiem, dlaczego ma małe, skoro ona jest duża...

– To już wiem, co Święty Mikołaj musi przynieść mamie. – Uśmiechnął się do Zosi. – Różowe okulary! Żeby wreszcie dostrzegła swoje marzenia!

\*\*\*

Wracając od Anny, Robert myślał o tym wszystkim, o czym rozmawiali. Myślał o marzeniach, o potrzebach, myślał też o tym, że będąc małym i grubym chłopcem, który uciekał przed prześladowcami, nigdy by nie wpadł na to, że ktokolwiek może go kiedykolwiek nazwać superbohaterem. Był pewien, że całe życie będzie uciekać. Że całe życie będzie musiał się dostosowywać do tych lepszych, ważniejszych, mądrzejszych, silniejszych. Musiało minąć trochę czasu, nim uwierzył, że nie ma żadnych „lepszych”. A ci, którzy całe życie takimi mu się wydawali, również mieli swoje słabości. Jak każdy człowiek. Naprawdę musiało minąć sporo czasu, by Robert zrozumiał, że wystarczy być najlepszą wersją samego siebie.

Miał nadzieję, że nadejdzie taki dzień, gdy Anna też to zrozumie. I miał nadzieję, że nie nadejdzie najgorszy dzień w jej życiu. Chociaż gdyby jednak tak się zdarzyło, wierzył, że niczym superbohater pojawi się on i uda mu się zdążyć z pomocą.

Gdyby znał przyszłość, prawdopodobnie nie ruszyłby się spod jej wycieraczki.

### 3.

Krystyna miała dobre serce. Chciała swoim seniorom nieba przychylić. Nie dlatego, by mieli do tego nieba lepsze dojście, ale chciała im stworzyć niebo na ziemi. Dlatego też przymykała oczy na różne zachcianki. Dziwnym zrządzeniem losu to Irenka, głównodowodząca, miała zachcianki najdziwniejsze. A w momencie, gdy nadchodziły rzadkie chwile, że dogadywała się z którymś z pensjonariuszy w kwestii zachcianek, to już w ogóle można było się spodziewać różnego rodzaju komplikacji. Tak było i tym razem.

Teresa, jako osoba gorliwie wierząca, zażyczyła sobie księdza, by wysłuchał spowiedzi. Ksiądz zawsze z radością odwiedzał pensjonariuszy, twierdził, że doskonale bawi się w ich towarzystwie. Teresa była oburzona, że osoba duchowna jest tak mało poważnym człowiekiem. Ona Kościół traktowała bardzo poważnie, zatem w jej wykonaniu nawet śpiewne *Radujmy się* brzmiało tak, że wszystkim natychmiast robiło się przykro. Nie mówiąc już o kolędach, którym nadawała żalony ton.

– Ja nie chcę wiedzieć, jak ona śpiewa gorzkie żale – mruknęła cicho babcia Helenka do Eleonory.

– Może się przekonasz, jak jeszcze trochę pożyjesz. Ja... – Wyciągnęła lusterko i poprawiła szminkę na ustach. – ...ja mam nadzieję, że już nie zdążę się o tym przekonać.

– A wybiera się pani gdzieś? – zapytała Helenka, nie wiedząc, że to ulubiony temat Eleonory.

Malwina jęknęła, zamknęła oczy i zaczęła coś szeptać.

– Oczywiście – odparła z godnością Eleonora. – Wybieram się nieustająco na tamten świat.

– Ja tam wybieram się do wnuczki – powiedziała z wyższością Sabina. – Na święta. Jest taka podobna do mnie!

– Z charakteru czy wyglądu? – zapytał jak zawsze konkretny Jan.

– Z wyglądu! – Sabina rozpromieniła się wyraźnie.

– Biedna... – Irenka znad robótki pokręciła głową.

– I z charakteru! – krzyknęła oburzona Sabina.

– Naprawdę biedna – wyrwało się mimochodem i przez zupełny przypadek babci Helence.

\*\*\*

Ksiądz Jarosław przyszedł tuż po śniadaniu. Irenka od rana była niespokojna.

– Ja muszę pierwsza – powiedziała, wjeżdżając wózkiem przed Eleonorę.

– Ale ja się wybieram! – zaoponowała Eleonora, poprawiając apaszkę.

– E tam! – zlekceważyła ją Irenka. – Ty się wybierasz od dawna, a ja nagrzeszyłam ostatnio.

– Nagrzeszyłaś? – zainteresował się Zenon. – Z kim?

– Z szefową! – wypaliła Irena i zasłoniła usta dłonią.

– Z szefową? – Teraz Zenon był już naprawdę zaintrygowany. Wreszcie coś interesującego zaczęło się dziać w tym jakże mało rozrywkowym, nudnym przybytku.

– Aj, dajżeż spokój! – stwierdziła Irenka i wepchnęła się pierwsza do pokoju, gdzie spowiadał ksiądz Jarosław.

Po chwili wyszła. Nie była jednak bardziej zadowolona niż wcześniej.

– I już? – Zenon był zawiedziony. – Widać niewiele nagrzeszyłaś z tą szefową.

– Co nagrzeszyłam, to moje – burknęła, odjeżdżając wózkiem w stronę swojego pokoju.

\*\*\*

Irenka cały dzień była niespokojna. Od rana szukała Krystyny i jak na złość nie mogła jej znaleźć. Wreszcie po południu dorwała ją w kuchni.

– Ja pani dzisiaj wszędzie szukam!

– Ciągłe gdzieś biegam, bo przygotowuję się do naszej wigilii.

– Ja też – przyznała się Irenka. – Ale ja duchowo.

– Du-du-chowo? – zająknęła się Krystyna.

Zupełnie z tego wszystkiego zapomniała o duchowym przygotowaniu. Nie miała potrzeby wypowiedzenia się, ale może warto pogadać z księdzem Jarkiem?

– I ja księdzu wszystko powiedziałam – wyrzuciła z siebie Irenka.

– Co powiedziałaś?

– Wszystko! – Miała to wyszeptać, ale z powodu emocji wyszło tak, że musieli ją słyszeć w całym domu. – Wyznałam mu, że maryskę od szefowej dostałam i trzymam ją w pudełku po zielonej herbacie, w naszej kuchni.

Krystyna jęknęła. O ile wcześniej planowała, że pogada sobie z księdzem Jarosławem, o tyle w tym momencie natychmiast zmieniła zdanie. Z pewnością z nim nie będzie rozmawiać. Ani teraz, ani najlepiej nigdy więcej. Co też ją podkuśiło z tą trawką?

No, właśnie... Starła się spełniać wszystkie zachcianki swoich podopiecznych. Nawet te najdziwniejsze.

\*\*\*

Jakiś czas wcześniej Irenka z Sabiną i Eleonorą pojawiły się u Krystyny z informacją, że czują się bardzo źle i że potrzebują lekarza. Eleonora pchała z gracją wózek Irenki, a Sabina obok kuśtykała o kuli. Irenka zaczęła przekonywać Krystynę, że ma początki alzheimera, a pozostałe starszki powtarzały to samo za nią.

– Dziewczyny, ale wy przecież cieszyicie się dobrym zdrowiem – stwierdziła zdumiona Krystyna.

– Ja się wybieram... – zaraz zaczęła oponować Eleonora.

– Cicho! – rozkazała Irena.

Nie było wyjścia – trzeba było sprawdzić. Paradoksalnie bowiem Krystyna nie mogła zapomnieć o tym alzheimerze. Niepokoiło ją, że coś niedobrego może się dzieć z jej podopiecznymi. Lekarz został więc wezwany, ale to nie pomogło zbyt trzem starszym paniom pozbyć się dolegliwości. Dlatego kolejnego dnia znowu pojawiły się u Krystyny.

– My byśmy chciały innego lekarza – tym razem zaczęła Sabina. – Eleonora się wybiera, a my z Irenką mamy bóle.

– Ja się wybieram – zgodziła się Eleonora.

– Ale przecież wczoraj był pan doktor. Nic nie pomógł?

– Absolutnie nic – dramatycznie jęknęła Irena.

– Był do dupy – skwitowała Sabina.

– Niekompetentny – poprawiła Eleonora. – A nie proktolog.

- Proktolog-srolog. – Irenka się skrzywiła. – Sabina ma rację, do dupy był.
- Niekompetentny... – próbowała jeszcze raz wyjaśnić sprawę Eleonora.
- Dziewczyny, a może powiecie mi po prostu, o co chodzi?
- Osiemdziesięcioletnie „dziewczyny” wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.
- Bo my byśmy chciały zapalić trawkę przed śmiercią – wyznała Irena.
- Medyczne zastosowanie marihuany jest szeroko znane... – zaczęła Eleonora.
- Ja nie wiem, czy bym chciała, ale one kazały mi tak powiedzieć – westchnęła Sabina.
- Faryzeusz! – syknęła Eleonora.
- Ale... Ale ja nie mogę wam pomóc! – jęknęła Krystyna, całkiem szczerze.

Staruszki wpatrywały się w nią z wyrzutem. Krystyna poczuła się najgorszym człowiekiem na świecie.

– Chyba... – dodała.

Pretensje w oczach trzech bardzo leciwych pań natychmiast zniknęły. Pojawiła się natomiast radość i nadzieja.

- Jak tylko będzie okazja.
- Byle szybko – mruknęła Irenka na odchodnym, uznając sprawę za załatwioną.
- Tak, byle szybko – dodała Eleonora. – Bo ja się wybieram...

\*\*\*

Okazja nadeszła szybciej, niż Krystyna się spodziewała. Jej przyjaciółka odkryła u syna trzy zwinięte kulki jakiegoś zielska, które okazało się marihuaną, i natychmiast się tą wiadomością z Krystyną podzieliła. Szukała zrozumienia i pocieszenia, rozmowy na tematy egzystencjalne, chciała przedyskutować z przyjaciółką, dokąd ten świat zmierza i jakie kroki wychowawczo-dyscyplinujące powinna podjąć wobec własnego dziecka. Nie spodziewała się jednego – zaraz po przekazaniu informacji, że jest w posiadaniu marihuany, przyjaciółka biednej matki powiedziała tylko jedno:

– Biorę.

\*\*\*

Jeszcze tego samego dnia zielsko zostało przekazane pani Irencce, która w ogóle nie wyglądała na zdziwioną. Grzecznie podziękowała, po czym schowała zdobycz do swojej szafki nocnej. Jak wiadomo, później ukryła to w pudełku po zielonej herbacie z kaktusem, które wstawiła między naczynia w kuchni. Nikt tej herbaty nie pił od lat, widocznie nie miał ochoty na kaktusa, więc tam z pewnością zioło było bezpieczne. Cała operacja pozyskiwania i przechowywania nielegalnych środków psychoaktywnych przebiegała więc zaskakująco sprawnie i profesjonalnie. Przynajmniej do czasu, kiedy Irenka przy wigilijnej spowiedzi wyznała to księdzu Jarosławowi.

- Ireńko, jak mogłaś mu o tym powiedzieć? – zapytała zrozpaczona Krystyna.
- Księdzu miałam nie mówić? Przecież księdzu trzeba wszystko...
- I co?
- I nic. – Wzruszyła ramionami. – Cztery zdrowaśki. I mam się za panią pomodlić.
- Módl się, Ireńko, módl. Bo to mi chyba będzie bardzo potrzebne!

\*\*\*

Krystyna czuła, że wszystko wymyka się jej z rąk. Ku swojemu zaskoczeniu chyba potrzebowała odpoczynku. Sama starała się załatwiać wiele spraw, ale niektóre po prostu

ją przerastały. Z własnego doświadczenia wiedziała jednak, że nie ma rzeczy niemożliwych. Załatwiła i marihuanę Irencę, i pierogi oraz uszka na wigilijną kolację. To drugie nawet wydawało się trudniejsze. Na dodatek nie będzie musiała po to jeździć, tylko Anna przywiezie. I jeszcze pomoże jej tutaj wszystko przygotować.

Dobrze by było mieć taką Annę na co dzień. Taką zaufaną prawą rękę. Sprzątała jej dom od dwóch lat i zawsze była dyskretna. A to najważniejsze, gdy się prowadzi biznes. Teraz informacja jest najbardziej drogocennym towarem. Nie mogła sobie pozwolić na zatrudnianie kogoś przypadkowego. Taka Anna pewnie nawet jakby znalazła skręty w kuchni, z powrotem równiutko odłożyłaby je na półeczkę, nie mówiąc nic nikomu.

Boże, żeby tylko nikt się nie pomylił i sobie tego nie zaparzył! Chociaż... może wreszcie wtedy wszyscy przestaliby mieć problemy. I życzenia „Wesołych Świąt” zdecydowanie nabrałyby innego wymiaru.

## 4.

Marta kolejny raz zadzwoniła do brata. Chciała z nim ustalić szczegóły wyjazdu. Wylatywali z Warszawy, a Mikołaj mieszkał blisko lotniska, więc miała nadzieję, że prześpi się u niego i następnego dnia razem wyruszą w drogę. A tutaj znów skrzynka pocztowa. Nagrywała się już trzy razy. Ile można? Była porytowana. Oczywiście zdarzało się, że Mikołaj zniknął. Zawsze, ale to zawsze wiązało się to z jakąś kobietą. Marta była pewna, że tak było i tym razem. Pojawi się z wywieszonym językiem na lotnisku, tylko z paszportem, i powie, że i tak wszystko można kupić na miejscu.

Dla spokoju ducha zadzwoniła jeszcze do jego znajomych, czy kontaktował się może z nimi, ale również nie.

– Wiesz, jaki jest Misiek – powiedziała narzeczona jego kolegi. – Pewnie z czyjegós łóżka wyjść nie może.

– Mam nadzieję, że wkrótce jednak wyjdzie – bąknęła Marta z przekąsem. – Odleżyn dostanie.

– Odleżyny chyba mu niegroźne. – Dziewczyna się roześmiała. – Z tego, co pamiętam, to on woli być na górze!

Marta westchnęła. Że też ten jej brat nie może wreszcie się ustatkować. Trzydziecha na karku, a ten z kwiatka na kwiatek. Na wakacje podobno aż dwie z nim jadą. Miała tylko nadzieję, że tych odleżyn nie będzie się nabawiać w towarzystwie obu naraz. Bo kwestia bycia na górze w takiej konstelacji jej nie przekonywała.



## 5.

Na górze lubił być również Adam Czyżykiewicz, ojciec Marty i Mikołaja. Na górze, a dokładniej w swoim punkcie dowodzenia na samym szczycie centrum handlowego. Czekał z niepokojem, bo za chwilę powinna się pojawić dziewczynka z mamą. Miał dla niej prezent. Kupił tego wielkiego misia i chciał jej go ofiarować. Oczywiście sam tego nie zrobi, nie zejdzie na dół i nie powie jej wprost. Tym bardziej że w tych czasach obcy mężczyzna dający małej dziewczynce prezenty może być zaraz posądzony o nieczne zamiary. A on zamiary miał jak najbardziej znaczne. Niemniej jednak kompletnie nie wiedział, w jaki sposób to załatwić. Nie umiał załatwiać takich spraw. Krystyna zawsze miała o to do niego żal.

– Marketing osobisty! – mówiła. – Kompletnie tego nie ogarniasz!

Miała rację. Nie ogarniał. Gdy kupował jej kwiaty, a na początku zdarzało mu się to często, to przecież było oczywiste, że dlatego, by zrobić jej przyjemność. Bo po cóż by innego? Po co składać jakieś deklaracje? Potem, gdy mieli dom i kwiaty rosły w ogrodzie, już ich nie kupował. Bo po co? Przecież w ogrodzie rosły i Krystyna mogła je w każdej chwili mieć.

Tego, że ją kocha, również nie mówił. Na początku małżeństwa mówił jej to kilka razy, ale przecież od tamtej pory nic a nic się nie zmieniło. Owszem, wzięli rozwód, ale to była tylko formalność, na papierze, i nic nie zmieniała w ich relacji. Chyba dla Krystyny to było przykre. Może powinien jeszcze raz się z nią ożenić? Ale czy to nie byłoby głupie? Miałby klękać i prosić ją o rękę? Chyba tak trzeba by było zrobić. Bo jak jej powie, by po prostu poszli do urzędu i podpisali papiery, to się obrazi.

Nie rozumiał kobiet, ale do Krystyny już się przyzwyczaił. Była najlepszą kobietą, jaką znał, bo innych się po prostu obawiał. Dlatego też kompletnie nie rozumiał zamięłowania swojego syna do różnych kobiet, i to w ilościach hurtowych. Mikołaj nigdy żadnej nie przyprowadził do domu, ale Krystyna czasem go wypytywała o te kwestie. Imiona były różne, ale żadne się nie powtarzało. Przecież to musiało być skomplikowane, tak co chwilę przyzwyczajając się do jakiejś kobiety. Adam nie lubił zmian. Najchętniej zaszyłby się w swoim królestwie i z niego nie wychodził. Wiedział jednak, że małżeństwo jest sztuką kompromisów, a Krystyna raczej nie była typem odludka. Na papierze nie był już, co prawda, mężem, ale w sercu nic się nie zmieniło.

A może coś się jednak zmieniło? Krystyna nie pytała, jak spędzą święta. Co roku pytała. On nie zaprzętał tym sobie głowy, bo wiedział, że tydzień wcześniej zapyta, oczywiście wyłącznie kurtuazyjnie, bo już wszystko będzie miała zaplanowane, i on, oczywiście, zgodzi się na wszystko, co ona wymyśliła. Jak zawsze. Nie lubił zaprzętać sobie głowy rzeczami mało istotnymi, a w jego pojęciu to, gdzie będą jeść karpia czy inną rybę, naprawdę było drugorzędne. Nie wysłała mu też w tym roku mejla z listą prezentów. Zawsze wysyłała na początku grudnia! Naprawdę coś się zmieniło...

Wyciągnął telefon i wybrał numer żony, która – jak ostatnio, niestety, coraz częściej sobie przypominał – jego żoną nie była. Przecież nawet jakby pomarli, to będzie kłopot ze spadkiem.

– Krysiu, to ja.

- Słucham.
- Nie dzwoniisz do mnie.
- Adamie, ja mam jutro wigilię i nie wiem, w co ręce włożyć.
- Jak to jutro wigilię? Przecież jutro nie ma Wigilii, dopiero za trzy dni!
- Nasza wigilia. Domowa. Masz coś ważnego czy mogę potem zadzwonić?

Adamowi zrobiło się przykro. Wigilią domową powinna być dla Krystyny ta spędzona z nim. Było jednak inaczej, bo dla niej Dom Seniora Happy End zaczął pełnić rolę domu rodzinnego. Nie chciał tak! Choć właściwie on przez całe życie też z tego domu uciekał i chyba jego żona, będąc samotną, zaczęła sobie po prostu wypełniać pustkę, która rozprzestrzeniała się wokół niej. Kiedy tam ostatnio był? Wpadał raz w tygodniu, zgarniał czyste ciuchy i zostawiał brudne. Ich willa była dla niego stanowczo za duża. Może powinni pomyśleć o czymś mniejszym?

- A co z naszą Wigilią? – zapytał.
- Dzieci nie będzie. Tym razem grzeją się na Malediwach. Tylko nie mogę się do Mikołaja dodzwonić.
- Ja też chciałem z nim pogadać, ale wciąż nie odbiera.
- Wiesz, jaki jest Miki – westchnęła Krystyna. – Chyba się szybko wnuków nie doczekamy. A wydawało się, że będzie zupełnie inaczej... – Roześmiała się. – Muszę kończyć, bo Janek wypił cztery piwa i chyba mu zaszkodziło!

\*\*\*

Pan Janek chodził po korytarzu i śpiewał. Nie byłoby to nawet takie złe, ale dołączyła do niego pani Tereska, która – jak wiadomo – z każdej, nawet najweselszej piosenki potrafiła zrobić hymn zawodzących płaczk. Aktualnie fałszowali o tym, że widzieli Marychę we młynie, jak lazała do góry po drabinie. Kiedy Teresa doszła do momentu, że *widać jej było grube nogi, oj, jakie grubaśne, Boże drogi*, Krystynie zrobiło się tak żal tejże Marychy, że najchętniej usiadłaby i gorzko zapłakała. Zamiast tego westchnęła i zapytała:

- Panie Janku, po coś pan tyle pił? Wie pan, jedno piwko, nawet dwa, ale cztery? Przecież to panu nie służy!
- Ależ służy! – zaoponował staruszek. – Czuję się świetnie, ach, jak wspaniale! – zaczął śpiewać. – Tereniu, jak to leciało?
- *Nie muszę siedzieć, nie muszę leżeć, czuję się świetnie, ach, jak przyjemnie* – zawodziła pani Tereska, a Krystyna pomyślała, że to istny dom wariatów.
- Bo mi potrzebne były kapsle. Czterech mi brakowało – oznajmił pan Jan. – Wszystko przez panią Marzenkę.
- Naszą Marzenkę? – zdziwiła się Krystyna.
- A jakże! Powiedziała, że mamy nasze choinki kończyć, bo na Wielkanoc się nie przydadzą, he, he.

- A co ma do tego piwo i kapsle?
- Pani Krysiu, pani młoda jest, to pani nic jeszcze nie rozumie. Bo to było tak... Uprawialiśmy sztukę. Współczesną sztukę. Każdy z nas robił choinkę z tego, co lubi najbardziej. A że ja lubię piwo... to zrobiłem z kapsli. Trochę pozbierałem, ale kilku mi zabrakło!

– I musiał pan wypić piwo, by móc dokończyć świąteczną dekorację.

Jan skwapliwie przytaknął.

– A nie po to, by się upić, upodlić i takie tam? – Krystyna przesłuchiwała dalej.

– Ja? Upić? Upodlić? Pani Krystyno, co też pani?! Przecież pani mnie zna! Ja nawet nie pomyślałbym o upodlaniu się! Nigdy w życiu!

Nigdy w życiu... No właśnie, i to w tym wszystkim było najlepsze. Krystyna doskonale знаła swoich pensjonariuszy i zdawała sobie sprawę, że choinka jako symbol świąt, choćby i była z kapsli po piwie, była dla pana Jana kompletnie nieistotna. Co innego te piwa...

– Idzie pan, panie Janie, lepiej kończyć tę choinkę.

– Lecimy, Tereniu! – ochoczo zawołał amator chmielu i kapslowego rękodziela.

Po chwili z korytarza dobiegało żałosne zawodzenie na dwa oddalające się głosy:

– *Czy to jawa, czy sen? Co ci przypomina, co ci przypomina, widok znajomy ten?*

Krystyna naprawdę potrzebowała chwili odosobnienia. A powodem tego nie były artystyczno-wokalne pasje jej podopiecznych. Doszła do wniosku, że nie ma ani siły, ani specjalnej ochoty, by się zajmować przygotowaniem świąt w domu. Po pierwsze, mnóstwo energii kosztowało ją okiełznanie tego żywiołu w Happy Endzie. Po drugie, odnosiła wrażenie, że Adamowi nie zależy. Nie angażował się w ogóle w przygotowania, przyjmował bez słowa to, co ona zaplanowała. No to jak raz nie będzie planów i zjedzą normalną kolację we dwoje, świat się nie zawali.

\*\*\*

Adam Czyżykiewicz miał wrażenie, że świat mu się zawalił. Było inaczej niż zawsze. Zupełnie inaczej. A jak wiadomo, mąż, a właściwie były mąż Krystyny bardzo nie lubił zmian.

Tamtego dnia wszystko wskazywało na to, że zmiany nadchodzą. Mama z córeczką się nie pojawiły i wielki miś siedział na fotelu w jego gabinecie, równie samotny, co jego przymusowy właściciel. Poza tym Krystyna nie zaplanowała Wigilii, a zdarzyło się jej to po raz pierwszy, odkąd się poznali, czyli od ponad trzydziestu lat. Na domiar złego Adam poplamiał swój ulubiony, granatowy polar i musiał wyjąć z szafy firmowy, czerwony, w którym przypominał nie kogo innego, jak bardziej cywilizowaną wersję Świętego Mikołaja. A skoro już o Mikołaju mowa, to jego syn wciąż nie odbierał telefonu, a znając swoje dziecko, Adam nawet nie mógł przewidzieć, w której części świata aktualnie się znajdował. Właściwie pretensje powinien mieć tylko do siebie, bo od małego uczyli z Krystyną swoje pocięchy, że mają być samodzielne i niezależne.

Spojrzał na zegarek. Kiedyś w telewizji po dwudziestej drugiej przewijał się pasek z napisem: „Minęła dwudziesta druga, czy wiesz, gdzie jest twoje dziecko?”. No właśnie, minęła dwudziesta druga, a on nic nie wiedział. Nie miał żadnej kontroli nad swoją rodziną. A Adam Czyżykiewicz braku kontroli nie lubił chyba jeszcze bardziej niż zmian.

Westchnął i z braku innych pomysłów usiadł przy biurku, w tym ohydny czerwony polarze, który działał na niego jak płachta na byka. Przeczesał swoją siwą brodę i spojrzał na monitory. Jak na złość jeden z nich właśnie przestał działać. W radiu Korteż śpiewał, że nie lubi zmian i Adam natychmiast wyczuł w chłopaku bratnią duszę.

\*\*\*

Krystyna jeszcze raz zajrzała do pana Janka, by się upewnić, że faktycznie poprzestał na czterech piwach. Chyba poprzestał, ale minę miał niewyraźną.

– Co się stało, panie Janie? – zapytała, wzdychając.

– Chyba uszkodziłem Tereskę – burknął.

– Jak to uszkodziłeś Tereskę?! Gdzie ona jest?!

– Poszła się pomodlić o swoje zdrowie. Stwierdziła, że więcej jej to da niż telefon do lekarza.

– O Boże drogi!

– A widzi pani, Tereska to samo powiedziała, jak upadała na podłogę.

– Jezus Maria, jak to upadała na podłogę? Żyje?

– Żyje, żyje, no przecież nie modli się pośmiertnie. Wydaje mi się, że ona to trochę przesadza. Po prostu chce, by się ktoś o nią zatroszczył.

Krystyna wzięła telefon i zadzwoniła do pielęgniarki, by poszła obejrzyć panią Tereskę.

– Jak to się stało, panie Janie? – Usiadła obok niego na łóżku.

– Bo myśmy się bawili...

– A jak się niby bawiliście? – dociekała Krystyna. – W co?

– W „łonzimny”.

– A co to za gra? – zestresowała się.

– Pan Mareczek nie lubi, jak się w to z Tereską zabawiamy – mruknął Jan. – Mówi, że to się kiedy źle skończy i się połamiemy.

Krystyna denerwowała się coraz bardziej. Nie mogła wpaść na pomysł, jaką to ekstremalnie niebezpieczną zabawę wymyśliła ta para. Tereska przecież była taką spokojną staruszką.

– Panie Janie, błagam, prosto z mostu. Na czym ta zabawa polega?

– Stajemy naprzeciwko siebie...

– Tak? – Na razie wyglądało całkiem spokojnie.

– I śpiewamy...

Krystyna nadal nie widziała w tym żadnego niebezpieczeństwa, więc czekała na moment zwrotny.

– Śpiewamy z pokazywaniem – wyznał Jan.

Krystyna pomyślała, że zaczyna się robić coraz ciekawiej.

– Panie Janku, a co wy tak śpiewacie?

Janek, nagle ożywiony, zerwał się z łóżka, złapał pod boki i zaczął śpiewać:

– *Łon zimny, łon zimny, łona gorąca. Łon nie chce, łon nie chce, łona go trąca. I prawą rękę na niego kładzie: „Ruszaj się, ruszaj się, ty stary dziadzie!”*.

Krystyna z niedowierzaniem spoglądała na podrygującego dziadka.

– I rozumiem, że Tereska kładła na pana rękę, tak?

– No, najpierw tak – przyznał Jan. – Najpierw lewą, potem prawą, a potem próbowała nogę.

– Nogę? – zdziwiła się Krystyna.

– W zeszłym tygodniu jej się udało, a w tym coś nie wyszło.

– Ale dlaczego nogę?

– Bo z nogą to idzie tak... – Jan znowu złapał się pod boki i zaczął rytmicznie podrygiwać. – *Łon zimny, łon zimny, łona gorąca. Łon nie chce, łon nie chce, łona go trąca. I lewą nogę na niego kładzie: „Ruszaj się, ruszaj się, ty stary dziadzie!”*. Najpierw jest lewa noga, potem prawa. Na końcu jest najlepsze, bo ona kładzie na niego całe ciało, ale do tego jeszcze nie doszliśmy z pokazywaniem.

\*\*\*

Teresie na szczęście nic poważnego się nie stało. Bardziej się przestraszyła, niż potłukła. Krystyna odetchnęła z ulgą, jednak piosenka „łonzimny” nie mogła się od niej odczepić przez cały wieczór. I nawet gdy zasypiała, to cicho nuciła: „Ruszaj się, ruszaj się, ty stary dziadzie”. Zastanawiała się, czy Adam to zna. A jak nie zna, to pozna. I bardzo była ciekawa, jak wysoko jest w stanie zadrzeć swoją nogę. Muszą kiedyś spróbować.

*Łon zimny, łon zimny, łona goorąca!*

## 6.

Agnieszka i Mikołaj siedzieli przed kominkiem. Ich wyprawa w celu odnalezienia jakichś śladów życia zakończyła się częściowym sukcesem. Po trzech godzinach brnięcia w śniegu doszli do sklepu w sąsiedniej wsi. Niestety, był zamknięty na cztery spusty, bo prądu nie było.

– Teraz bez prądu to nic się nie da. Kasy fiskalne, kartą chcą płacić. – Napotkana nieopodal pani Stanisława, właścicielka, pokręciła głową. – Musiałam zamknąć. Kiedyś to zeszycik był i wszystko w zeszyciku miałam. Teraz komputery! A jak prądu nie ma, to jakby świat się skończył. Dobrze, że mróz jest, to wszystko z lodówki na dwór wystawiłam.

– A wie pani, kiedy to zreperują?

– Idą od Sierakowic i naprawiają szkody. My będziemy na końcu. Drzewa jakieś pospadały i strażacy je wywożą.

– My też jesteśmy odcięci od świata.

– No tak, Helenka mieszka hen daleko. Tyle razy jej mówiłam, by z gminą zagadała, może by i lepszą drogę jej tam zrobili. Ale ona „nie” i „nie”. Przyroda, las i natura. Tak mówiła! No i teraz macie swoją głuszę. A ty chyba nie jesteś swój? – Popatrzyła na Mikołaja. – Czyj ty jesteś?

Chłopak spojrzał zdezorientowany na Agnieszkę.

– Znajomy, pani Stasiu.

– Znajomy... – Pani Stasia zmierzyła ich wzrokiem. – No dobra... Może chcecie tu przenocować, a nie przez leśne zasy się przedzierać?

– Nie, nie, dziękujemy. Ale gdyby mogła nam pani sprzedać jakiś chleb... Mimo że kasy fiskalnej nie ma.

– Jasne! – Kobieta poderwała się z miejsca i w swoich ocieplanych gumiakach podeszła żwawo do sklepowych drzwi. – Nałożę wam do toreb wszystkiego, bo przecież prądu nie ma, to boję się, że się to popsuje. Przynajmniej będziecie mieli co jeść. – Popatrzyła na Agnieszkę. – Chociaż, znając Helenkę, to u niej zapasów na trzy lata wojny dla całej wsi!

– Dokładnie tak. – Roześmiała się.

– To wracajcie. Świeczki macie? Dorzucę wam, bo co macie po ciemku siedzieć. I powiadomię strażaków, że potrzebujecie pomocy.

– A mógłbym zadzwonić? – zapytał Mikołaj.

– Oczywiście, proszę. – Zaprosiła ich do domu.

Mikołaj wziął telefonu i zaczął się zastanawiać.

– Czy ty wiesz, że ja znam na pamięć tylko numer Marty? Znałem jeszcze domowy rodziców, ale oni już dawno go zlikwidowali. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Cholerna technologia! Wszystkie numery mam wbite w telefonie.

– Ja też. Witaj w dwudziestym pierwszym wieku. Nawet do babci nie pamiętam.

– Do pani Helenki ja mam – poinformowała pani Stasia, wyciągając mały notesik. – Tu jest wszystko.

– Dziękuję. – Agnieszka odetchnęła z ulgą.

Niestety, nie mieli szczęścia. Marta nie odbierała, babcia też nie, zatem podziękowali grzecznie pani Stasi i wrócili do swojego zaśnieżonego świata.

– Zobacz, dorośli ludzie. W miarę wykształceni, dający sobie radę w życiu. A jak znajdują się w nietypowej sytuacji, to są kompletnie bezradni.

– Czyżbyś mówiła o nas?

– Chyba tak. – Zachichotała.

– Ja nie czuję się bezradny. Czuję się...

– A o której masz lot? – przerwała mu Agnieszka.

– Zmieniasz temat.

– Nie, przypominam ci, że masz wykupioną wycieczkę na Malediwy.

– To nie przypominaj... – powiedział cicho Mikołaj.

Zdawał sobie sprawę, że mógł wrócić. Jego samochód nie był zakopany w śniegu. Jasne, stał jakieś piętnaście kilometrów od sklepu, w którym byli przed chwilą, ale czymże jest piętnaście kilometrów? Nawet podczas śnieżycy. Mógł zostawić Agnieszkę i w każdej chwili wrócić do Warszawy. Byłby tam pewnie w nocy, spokojnie by się spakował i mógłby wyruszyć na swoje – jeszcze do niedawna wymarzone – wakacje. Jednak tego nie zrobił.

W ciągu najbliższych godzin musiał podjąć decyzję, co zrobić z końcówką grudnia. Sto razy wolałby, gdyby to los dokonał za niego wyboru.

Był zły na Martę, że nie odbierała. Sam jej kupił telefon, skrupulatnie wybierając najłatwiejszy do zapamiętania numer. Zapisał go pani Stasi i poprosił, by spróbowała się z nią skontaktować. Miał nadzieję, że to zrobi, o ile wcześniej nie zgubi tej karteczki, którą włożył jej do notesika ze wszystkimi numerami.

\*\*\*

Gdy wrócili do domu, ściemniało się już. Oczywiście paliło się światelko przy drewnutni, jak zawsze, i prowadziło ich właściwą ścieżką.

– Prąd włączyli! – ucieszył się Mikołaj.

– Nie... – Agnieszka pokręciła głową. – Lampa solarna. Sama ją tam kiedyś zamontowałam.

Wypakowali zakupy, część z nich po prostu zostawili na ganku i zakryli miską, by żadne zwierzęta się nie poczęstowały. Potem Agnieszka odgrzała kolejną zupę ze słoika, których w spiżarni było chyba ze sto.

– Co dziś serwuje kuchnia babci Helenki? – zapytał Mikołaj.

– Chyba pomidorówka. – Agnieszka spojrzała na słoik. – Wolisz z ryżem czy z makaronem?

– Z tobą – wyrwało mu się.

– Ja jestem niesmaczna. Czasem ostra, często gorzka, a czasem skwaśniała. – Roześmiała się.

Mikołaj pomyślał, że może tak jest, ale przez większość czasu jest naprawdę słodka. I mimo tej antyreklamy chętnie by spróbował.

\*\*\*

– Nie uważasz, że życie może być nudne-cudne? – zapytała Agnieszka, gdy już pozmywali talerze. – Siedzimy sobie, wpatrujemy się w ogień, pijemy domową nalewkę

i ktoś mógłby pomyśleć, że to bardzo nudne zajęcia, ale mimo wszystko ja czuję się błogo.

– Do niedawna ja też bym tak powiedział – stwierdził Mikołaj. – Nie wyobrażałbym sobie jeszcze kilka dni temu totalnego odwyku od informacji, od cywilizacji. Byłem tym gościem, który wciąż sprawdza, czy ma telefon w kieszeni. Tym, który nie może się skoncentrować na jednej czynności, robiąc kilka rzeczy naraz. W wiecznym pędzie i niedoczasy. Stale online... Ja chyba... nie potrafiłem wypoczywać.

– A Malediwy?

– To zmiana otoczenia, odreagowanie od codziennej rutyny, ale ja na urloпах nigdy nie dawałem sobie szansy na błogie nicnierobienie. Tym razem też uznałem, że szkoda na to czasu. Nie wyobrażałem sobie tego, że pojedę tak daleko po to, by beczynnienie siedzieć w hotelu albo leżeć na plaży. Mieliśmy w planie pożyczyć deski, skutery wodne, dużo jeździć. Ciągłe w ruchu.

– No, to tutaj raczej masz coś zupełnie innego – mruknęła Agnieszka.

– Tak... Czuję się trochę tak, jakby ktoś nagle wsadził mnie w środek jakiegoś socjologicznego eksperymentu.

– W każdej chwili możesz z niego zrezygnować. Dotarliśmy do cywilizacji, czyli do sklepu, znasz drogę. Stamtąd masz kilkanaście kilometrów do samochodu. Mąż pani Stasi pewnie cię podwiezie, o ile droga będzie już przejezdna. A jak nie, to po kilku godzinach dojdiesz na piechotę.

– I tu zaczyna się kolejny etap tego eksperymentu. – Mikołaj pokręcił głową.

– Jaki?

– Mam wybór. Mogę zostać z tobą w tym spokojnym świecie, przynajmniej do czasu, aż sama nie zdecydujesz się stąd wyjechać, albo wstać jutro rano i szybko biec do świata, który i tak pędzi zbyt szybko. I mogę się łudzić, że uda mi się gdzieś w biegu złapać moje życie.

– To dlaczego to według ciebie dalsza część eksperymentu? Czy eksperyment powinien zakończyć się tym, że masz możliwość przerwania sytuacji, w jakiej się znalazłeś?

– Dlaczego? Bo ku swojemu zaskoczeniu ja nie chcę tam wracać. Chcę w spokoju posiedzieć, gapić się w kominek, rąbać drewno, dorzucać węgiel do pieca. A eksperyment polega na tym, że właśnie teraz muszę wybrać. I jutro rano, po podjęciu przeze mnie decyzji, jedne drzwi się zamkną. Jak w grze komputerowej. Czas minął. – Spojrzał na Agnieszkę. – Mogłabyś jechać ze mną.

– Dokąd? Na Malediwy?

– Nie, zawiózłbym cię do Gdańska. Poszłabyś ze mną do samochodu i pojechalibyśmy razem.

– Jutro? – zdziwiła się Agnieszka.

Mikołaj pokiwał głową.

– Teraz i ja jestem w twoim eksperymencie. – Mrugnęła do niego.

– I jak ci w nim?

– Nie wiem... Gdybyś zaproponował mi to wczoraj, wiedziałabym, jaką podjąć decyzję, ale teraz naprawdę nie wiem.

– Coś się zmieniło?



– Może.

– Podobno kiedy kobieta mówi „może”, to znaczy, że tak.

Agnieszka nic nie odpowiedziała. Po chwili jednak spojrzała na Mikołaja.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze? – zapytała. – Nie mam również pojęcia, jaką chciałabym, byś ty podjął decyzję. I naprawdę jestem zła, że to my mamy wybierać, czy spędzimy ze sobą kolejny dzień, bo los nie zdecyduje za nas.

– Rozumiem cię. Jesteś zła, bo musiałabyś się przyznać sama przed sobą, że ci ze mną dobrze? – Delikatnie pogłaskał ją po policzku.

Agnieszka przymknęła oczy. Wtedy Mikołaj zdobył się na odwagę i przytulił ją. Bał się, że go odepchnie, że nie będzie chciała być z nim tak blisko, jednak tego nie zrobiła. Zanurzył twarz w jej włosach. Pachniały śniegiem, lasem i ogniem. Pocałował ją lekko w czubek głowy.

– Chyba tak... – powiedziała i nagle wstała z fotela. – Chyba boję się dopuścić do siebie tej myśli. Idziemy spać.

– Brzmi jak propozycja. – Roześmiał się.

– Bez podtekstów! – Znikła za drzwiami łazienki.

\*\*\*

– A co z eksperymentem? – zapytał Mikołaj, gdy Agnieszka kładła się do łóżka.

– Pomyślimy o tym jutro. – Ziewnęła, nakrywając się kołdrą pod samą brodę.

– Dobranoc, Scarlett. – Roześmiał się, dorzucając polana do kominka.

\*\*\*

Nie mógł zasnąć. Bił się z myślami. Nie lubił wydawać kasy na coś, z czego nie skorzysta. Ale jedna myśl powracała do niego jak bumerang – może stracić pieniądze za wycieczkę, ale w zamian za to może zyskać wszystko. Całe życie.

Zupełnie tego nie planował. Miał wyjechać w towarzystwie Marty, przyjaciela, jego narzeczonej i dwóch koleżanek, z których każda miała aspiracje do bycia kimś więcej niż tylko koleżanką. On nie zakładał żadnego scenariusza. Planował się doskonale bawić i czerpać z życia pełnymi garściami. Gdyby ktoś mu powiedział, że spędzi dwa dni w środku lasu, bez prądu i kontaktu ze światem, i będzie z tego powodu szczęśliwy, pewnie kazałby się jak najszybciej zaprowadzić do najbliższego psychiatry.

Wstał. Bez sensu takie leżenie. Dorzuci drewna do kominka, sprawdzi, czy węgiel się nie wypalił. W jego pokoju było dość zimno. Drzwi były otwarte, ale ciepło rozprzestrzeniało się bardzo wolno.

– Nie możesz spać? – zapytała Agnieszka, gdy cicho wszedł do pokoju.

– Nie mogę. – Przysiadł na krawędzi łóżka. – Ty też?

– Też. – Pokiwała głową. – Jak byłam mała i nie mogłam zasnąć, grałam z babcią w karty. W tysiąca albo w garibaldikę. Znasz?

– Niestety nie. – Uśmiechnął się przeproszająco. – Musimy poszukać innych rozwiązań. Jakies propozycje?

– Babcia zawsze siadała przy mnie, tak jak ty teraz. I głaskała mnie po policzku.

Mikołaj spojrzał na Agnieszkę badawczo. W blasku kominka nie mógł jednak rozpoznać, co ona myśli. Podniósł rękę i lekko pogłaskał ją po policzku. Chyba się uśmiechnęła.

- I co teraz? – zapytał cicho.
- I teraz zasnę.
- A ja? – Bawił się jej lokiemi. Tym samym chyba, który miał ochotę dotknąć poprzedniego dnia, by zobaczyć, czy wróci na swoje miejsce.
- Ty też zaśniesz.
- Tutaj? – Głośno przełknął ślinę.
- Weź nie pytaj, weź mnie przytul... – wyszeptała Agnieszka, robiąc mu miejsce na łóżku.

\*\*\*

Nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. „Stary, nie spieprz tego” – powtarzał sobie w myślach, delikatnie układając się obok niej. Leżała tyłem do niego. Wtulił twarz w jej włosy, szyję i nie bardzo wiedział, na co jeszcze może sobie pozwolić. Normalnie wiedziałby co robić, ale teraz? W ich żyłach płynęła nalewka, byli sami, niczym Adam i Ewa w raju, a on się zastanawiał, czy może włożyć rękę pod ten różowy polar, do którego tak bardzo chciał się dziś rano przytulić.

Wreszcie zaczął delikatnie całować jej włosy, policzek, ciepłe miejsce na szyi. Kiedy odwróciła się do niego, pocałował ją w usta, smakując każdą sekundę. Miał rację – była słodka. Dotknął jej ciepłego brzucha i chciał więcej i więcej...

- Nie. – Usłyszał.
  - Nie? – Z trudem się od niej odsunął.
- Pokręciła głową.
- Nie dzisiaj.
  - Okej – zgodził się niechętnie. Był w takim stanie, że zgodziłby się na wszystko, co by zaproponowała. – A co dzisiaj? Pamiętaj, że nie umiem grać w karty. – Jego ręce błądziły po jej ciele, ale tylko tam, gdzie na to pozwalała.
  - Dzisiaj weź nie pytaj, weź mnie przytul.

Otoczył ją ramieniem, ale leżenie przy niej było ponad jego siły. Począł, aż zaczęła oddychać miarowo. Zasnęła. Wstał i nalał sobie babcinej nalewki. Tej mocniejszej, na spirytusie, potem poszedł na chwilę na ganek. Przewietrzyć się, ochłonać. Wydawało mu się, że widzi spadającą gwiazdę. Marta natychmiast kazałaby mu pomyśleć życzenie. Pomyślał.

A może to był lecący samolot? Nie, na pewno nie. To z pewnością była spadająca gwiazda, przecież życzenie musi się spełnić!

## Rozdział 5

*Witajcie o poranku! Dzisiaj od rana mam dla państwa same dobre wiadomości! Jest dwudziesty drugi grudnia, mamy początek astronomicznej zimy i – co najważniejsze – najkrótszy dzień roku! To znaczy, że od jutra tego dnia już zacznie przybywać!*

*Dzień trwa siedem godzin i czterdzieści dwie minuty i jest krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty. Słońce weszło o siódmej czterdzieści trzy, a zajdzie o piętnastej dwadzieścia pięć.*

*Dzisiaj składamy życzenia: Dobrosułce, Drogomirowi, Drogomirze, Dzieszławie, Dziwisławowi, Franciszce, Franciszkowi, Gryzeldzie, Honoracie, Ischyrionowi, Judycie, Ksaweremu i Zenonowi. Obiecałem, że pozdrowię pana Zenona od pani Eleonory, co niniejszym czynię!*

*Mamy trzysta pięćdziesiąty szósty dzień roku, do sylwestra pozostało dziewięć dni, a do Wigilii tylko dwa! Jeżeli jeszcze nie umylicie okien, to już chyba nie ma sensu, bo wciąż pada. Z pewnością będziemy mieli białe święta!*

# 1.

Zosia nie mogła się doczekać tego dnia. W ogóle wydawało się jej, że to, co się zdarzyło wczoraj i działa teraz, to jest po prostu szczęście. Lepiła z mamą pierogi, dokładnie tak, jak sobie to wymyśliła wtedy, gdy spały w tym wielkim domu. Najlepsze z tego wszystkiego było to, że poprzedniego dnia ona z mamą nie bawiły się w dom! Zosia nie umiała tego dokładnie wytłumaczyć nawet sobie, ale dotarło do niej, że nagle znalazła się w samym środku swojej zabawy w dom, tylko to nie była zabawa, a prawdziwe życie! Siedziały z mamą, lepiły pierogi i chyba obie były najszczęśliwsze na świecie. Mama tak się śmiała, gdy przyszedł ten policjant... Zosia też go lubiła. Przecież znała go od zawsze. Był ich prywatnym superbohaterem.

Nie wiedziała, gdzie jest tata. Nie był jej chyba potrzebny. Tata często tak dziwnie pachniał. Nie lubiła tego zapachu. Pił wino. Mama mówiła, że to wino. I wódkę też pił. Mama mówiła, że alkohol jest dla dorosłych. Że wszystko jest dla ludzi, byle z umiarem. Zosia się bała, że jak zacznie jeść te pierogi w wigilijny wieczór, to tego umiaru nie będzie. Będzie jadła, jadła i jadła, aż pęknie. Takie będą dobre!

Nie mogła się doczekać, kiedy mama się obudzi. W domu pachniało czystością. Było tak czysto, że mogła na boso iść do kuchni. Jak przychodzili koledzy taty, nie mogła. Mama nawet nie pozwalała jej wychodzić z pokoju do toalety, a potem tata krzyczał, że taka duża i robi siku do nocnika. A teraz mogła chodzić wszędzie! I to na bosaka!

Poszła więc do kuchni. Nalała sobie wody z kranu, usiadła przy stole i oglądała kartkę, którą mama tam zostawiła. Zosia nie umiała jeszcze czytać, ale na tej kartce zobaczyła trzy uśmiechnięte starsze panie i dwóch panów. Wpatrywała się w nich jak urzeczona. Któraś z nich mogłaby być jej babcią. Gdyby taką miała. Mama mówiła, że ma dwie babcie, ale daleko. Zosia bardzo chciała mieć babcię, choćby jedną. Najlepiej na tyle blisko, by mogła codziennie się z nią spotykać. Na przykład chodzić do parku i zbierać kasztany. Jej koleżanka, Julka, zawsze chodziła z babcią na kasztany. Potem całe przedszkole miało z czego robić ludziki. No i babcia Julki robiła pyszne racuchy z poziomkami. Nic dziwnego, że Julka była dumna z takiej babci.

\*\*\*

Kiedy Anna się obudziła, nie zauważyła przy sobie Zosi. W pierwszym momencie się przestraszyła, jednak szybko sobie przypomniała, że przez chwilę nie mają się czego obawiać.

– Dzień dobry, ranny ptaszku – powiedziała, gdy zauważyła Zosię siedzącą w kuchni i wpatrującą się w ulotkę Domu Seniora Happy End.

– Mamo, co to za karteczka? Kim są te panie i ci panowie?

– To jest ulotka tego miejsca, do którego dzisiaj idziemy zanieść pierogi. Taka reklama.

– Reklama? – zdziwiła się Zosia. – A co tam sprzedają? Babcie?

– Nieee... – Anna zachichotała. – Babcie nie są na sprzedaż.

– Szkoda. – Dziewczynka się zasmuciła. – Mam trochę pieniędzy w skarbonce, może by wystarczyło, żeby kupić jakąś fajną babcię?

Anna śmiała się na cały głos. Kiedy trochę się uspokoiła, zaproponowała:

– Mam lepszy pomysł. Pójdziemy tam i może któraś pani będzie chciała zostać twoją babcią.

– Ale tak za nic? Tak po prostu? Nie będę musiała rozbijać skarbonki? – dziwiła się Zosia.

– Będziesz musiała o to zapytać.

– Bo wiesz, mamo, jak tam jest dużo starszych pań, może każda by chciała być moją babcią. Bo ja jestem całkiem sympatyczna. A ja nie wiem, czy dałabym radę mieć ich aż tyle. Ja bym chciała mieć jedną, taką, co mogłabym jej oddać kawałek mojego serca. Tak słyszałam kiedyś w jakimś filmie o miłości.

– Tylko kawałek?

– Mały kawałek.

– Ale dlaczego mały?

– Bo duży jest dla ciebie. – Wyszczrzyła ząbki w uroczym uśmiechu.

Anna spojrzała na nią z czułością i przytuliła córkę.

– Ja już wiem! Będziesz musiała zrobić konkurs na babcię.

– Konkurs na babcię? – Zosi zaświeciły się oczy. – Ale jak?

– Najpierw musisz pomyśleć, jaka by taka twoja wymarzona babcia musiałaby być.

– Gruba – od razu odpowiedziała Zosia. – I siwa.

– Gruba i siwa? – dziwiła się Anna.

– Tak, bo wtedy się lepiej przytula. A jak ktoś jest za chudy, to jest twardo, bo obijasz się o kości. I musi mieć duże kolana, bo ja rosnę i będę coraz większa.

– No tak, to oczywiste – przyznała Anna.

– To kiedy tam idziemy? Muszę mieć czas, by się zapoznać ze wszystkimi. Nie mogę przecież źle wybrać. Zawsze mi mówisz, że musimy podejmować dobre decyzje, a ja nie będę wiedziała, która babcia jest dobra, zanim nie poznam wszystkich!

– Masz rację, kochanie.

– Oprócz tych kolan to jeszcze nie wiem, co jest dla mnie najważniejsze, ale myślę, że wkrótce się dowiem.

– Z pewnością. – Poglaskała swoją rezolutną córeczkę po głowie.

\*\*\*

Podobał jej się pomysł konkursu na babcię. Sama chętnie by taki ogłosiła. Tyle było chwil, gdy przydałby się jej ktoś do pomocy. Albo chociaż do tego, by czasem wysłuchać, pocieszyć, a nie tylko ganiać do ołtarza.

Wigilia w domu seniora miała się odbyć o siedemnastej. Pani Krystyna poprosiła Annę, by przyszła trochę wcześniej i pomogła jej w przygotowaniach. Z przyjemnością spędziłaby tam cały wieczór. I pewnie kilka następnych dni. Odliczała godziny do tej chwili, kiedy Artur wróci do domu. Pewnie zabrano go około dwudziestej pierwszej, więc o północy powinien być z powrotem. One z Zosią będą spały. Gdyby miał dobry humor, też by się spokojnie położył, ale po wyjściu z więzienia z pewnością tak nie będzie...

Jak to można sobie tak w życiu namieszać? Była normalną dziewczyną, miała marzenia, a zachciało jej się naprawiać świat. I dziwnym trafem znalazła bardzo trudny obiekt do naprawy. Wręcz niemożliwością były jakiegokolwiek zmiany. Nawet się z tym już

pogodziła. Teraz nie miała już marzeń. Faktycznie przydałyby się jej różowe okulary, by te marzenia wreszcie mogła znów dostrzec.

## 2.

Krystyna zastanawiała się, jak połączyć rozsypane kawałki życiowej układanki, by jej się wszystko pospinało. Jak na razie wyglądało na to, że nawet Sabina będzie zadowolona. A jej bardzo trudno było dogodzić, szczególnie że ostatnio chodziła podenerwowana.

Krystyna była już tym wszystkim zmęczona. Rano, gdy przyszła do pracy, przeczytała mejle, a zaraz potem – tylko na chwilę – usiadła w swoim wygodnym fotelu i nie wiadomo kiedy ucięła sobie drzemkę.

Obudził ją telefon.

– Dzień dobry, pani Krystyno. Dzwonię z sanepidu.

Krystyna jęknęła. O Boże! Kontrola przed świętami? Bardzo nie lubiła kontroli. Całe życie była kontrolowana przez męża, więc jak usłyszała, kto dzwoni, od razu zrobiło jej się słabo. Ostatnia kontrola została przeprowadzona w ubiegłym roku i wprawdzie nie wykazała żadnych nieprawidłowości, ale z pewnością o jej przybytku zrobiło się głośno. Do tej pory, jak pomyśli o tym, to trochę jej wstyd, ale wtedy była przepełniona wielką radością. Sukcesy pacjentów zawsze cieszyły ją najbardziej.

\*\*\*

Otóż jakiś czas temu do domu Happy End została przyjęta Edyta, pięćdziesięcioletnia kobieta po wypadku. Była sparaliżowana od szyi w dół i lekarze w zasadzie nie dawali jej szans na jakąkolwiek samodzielność. Jednak Mareczek się za nią wziął i bardzo szybko spowodował, że może nie tyle stanęła na nogi, bo nad tym trzeba było trochę jeszcze popracować, ale zaczęła poruszać rękami, a wyglądało na to, że wkrótce da radę utrzymać w dłoniach długopis czy ołówek.

Krystyna była z niej bardzo dumna. Czekala, aż jej ręce będą sprawne, bo to otwierało dla niej nowe perspektywy. Rehabilitacja Edyty stała się jednym z najważniejszych tematów w domu seniora. Wszyscy staruszkowie kibicowali jej i wspierali ją, to dobrym słowem, to miłym gestem, a czasem nawet nie przebiegając w słowach.

– Ty się nie opierdalaj – mówiła Jagoda. – Jak bym ja się tak opierdalała, to już bym dawno tutaj nie było, tylko bym leżała w zimnej trumnie.

Jak widać, Edyta się „nie opierdalała”, bo pewnego dnia Krystyna została wezwana do jej łóżka. Zagłówek był podniesiony, wielce zadowolona pacjentka siedziała o niego oparta i wyciągała przed siebie rękę z wysuniętym środkowym palcem. Upłynęło kilka sekund, zanim Krystyna zrozumiała. A dokładniej zrozumiała wtedy, gdy Irenka, przejeżdżająca na wózku inwalidzkim z prędkością zdecydowaną niedozwoloną, zatrzymała się w drzwiach pokoju i ryknęła:

– O Jezus Maria, cud się stał! Edyta pokazała „fucka” szefowej!

– O Jezus Maria! – powtórzyła Krystyna i rzuciła się na szyję Edycie, a potem zaraz Mareczkowi, rehabilitantowi, bo doprawdy dokonał cudu. Ktoś, kto jeszcze niedawno nie był w stanie ruszyć ręką, nagle pokazywał jej środkowy palec.

Gdy zbiegała ze schodów, cały dom seniora szumiał od plotek, zachwycony takim obrotem rzeczy.

– Edyta pokazała „fucka” szefowej! – Irenka z radością oznajmiała to każdemu, kogo napotkała na swojej drodze.

- A co to znaczy „fuck”? – zapytał pan Zenon.
- Spierdalaj – powiedziała zawsze uczynna Jagoda.
- A co jej się znowu stało? – zdziwił się Zenon.
- Nic! To właśnie to znaczy! – wytłumaczyła jak zawsze pomocna Tereska.
- Aaa! – Ucieszył się, zupełnie nie wiadomo dlaczego.

I w tym momencie niespodziewanie pojawiła się kontrola sanepidu. Sympatyczna kobieta już na wejściu usłyszała ze trzy razy, jakie doniosłe wydarzenie miało miejsce tego dnia, i nawet się dowiedziała, co to znaczy „fuck”. Oczywiście od pana Zenona.

Krystyna była przerażona. Na szczęście kontrola wypadła pomyślnie, a pani z sanepidu stwierdziła, że na temat innych spraw ona nie będzie się wypowiadała, bo nie leżą w jej gestii. Na szczęście.

\*\*\*

Dzień, w którym Edyta pokazała szefowej „fucka”, był również pierwszym dniem Eleonory w Domu Seniora Happy End. Eleonora była najstarsza z rodzeństwa i siostry uznały, że mogą zrobić zrzutę, by mogła się godnie zestarzeć. Trzy siostry wyglądały niemalże identycznie, bo tak naprawdę była między nimi niewielka różnica wieku. Przyszły w towarzystwie mężczyzny w bardzo ciemnych okularach.

- Dzień dobry – przywitała je Krystyna, uśmiechając się. – U nas dzisiaj trochę wesoło.
- To bardzo nas cieszy – powiedziała dystyngowanie siostra numer jeden.
- Eleonorze bardzo przyda się radosna życiowa iskierka – dodała druga.

W tym momencie na korytarz wjechała na wózku Irenka. Niestety zauważyła cztery osoby, z którymi jeszcze nie zdążyła się podzielić radosną nowiną.

- Edyta pokazała „fucka” szefowej! – wołała już z daleka.
- „Fuck” to znaczy „spierdalaj” – dodała wyjaśniająco Sabina, która przydreptała za Irenką.

– Eleonoro! – zawołała siostra numer jeden. – To miejsce nie jest właściwe dla ciebie!  
 – Wychodzimy – zarządziła siostra numer dwa. Podniosła się z krzesła, a tuż za nią mężczyzna w okularach.

– A mnie się tu całkiem podoba – stwierdziła Eleonora. – Widać szanują słowo pacjenta. Ja też to szanuję. Gdzie jest mój pokój? – zwróciła się do Krystyny.

I Eleonora została.

\*\*\*

Jednak przedświąteczny telefon sanepidu dwa lata później to nieoczekiwanie była zupełnie inna sprawa.

– Proszę się nie stresować, bo ja nic nie zamierzam kontrolować – uspokajała pani z sanepidu. – Chodzi o moich rodziców.

– Tak? – Krystyna czekała na szczegóły.

– Bo oni się... nudzą – wyjaśniła.

– Aha – skomentowała lakonicznie Krystyna, bo cóż miałyby poradzić na to, że rodzice pani z sanepidu się nudzili. Miała im telewizor kupić czy co?

– I wydrapują sobie oczy! – dodała dramatycznie zaniepokojona córka.

– Aha. – Krystyna nie rozumiała, jak można jednocześnie się nudzić i wydrapywać sobie oczy.



– I tatuś musi odpocząć. Potrzebuje się poruszać, potrzebuje dobrego rehabilitanta, a wiem, że wy macie efekty. Sama widziałam.

Krystyna pomyślała, że wolałaby już nie wracać do tematu Edyty. Tym bardziej że Edyta opuściła już ich dom i całkiem sprawnie zaczęła funkcjonować sama w swoim mieszkaniu.

– Czy tatuś może przyjść i sprawdzić, czy by mu się podobało?

– Ale że dzisiaj? Dzisiaj mamy wigilię, znaczy taką wigilię tutejszą, domową... – próbowała oponować Krystyna. – Jeszcze jesteśmy w proszku.

– Na chwileczkę, pani Krystyno. Tatuś też jest w proszku. On musi wyjść z domu. Od mamusi.

\*\*\*

Tatuś, który wydrapywał sobie z mamusią oczy, stawiał się na miejscu godzinę później. Był to dystyngowany starszy pan, ubrany w garnitur, noszący kapelusz i podpierający się laseczką. Krystyna naprawdę nie wyobrażała go sobie jako wydrapującego oczy komukolwiek.

– Pani kochana, bo ja nie mówiłem tego mojej córki... To dobre dziecko, ale się martwi – zaczął.

– Czego pan nie mówił, panie Konstanty? – próbowała uściślić Krystyna.

– Bo my z mamuszką sobie wymyśliliśmy taki plan. Nie wiem, czy córuś wspominała, ale ostatnio z mamuszką się niezbyt dogadujemy.

Krystyna nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Tak było bezpieczniej. Nie chciała się wtrącać w relacje małżonków. Jednak nawet nie przypuszczała, że trochę będzie musiała.

– I my wpadliśmy na pewien pomysł, ale nie wiem, co pani na to...

– Tak? – zapytała niepewnie, już przeczuwając katastrofę.

– Co by pani na to powiedziała, bym ja sobie tutaj posiedział dwa tygodnie, potem wrócił do domu, a w tym czasie mamuska przyszła na dwa tygodnie. I potem znowu ja. Jak nie będziemy się widywać, to jest szansa, że do złotych godów dotrwamy. Bo jak nie, to się szybko pozabijamy. Teraz wszystko w pani rękach! – zakończył teatralnie, a wyglądał co najmniej jak bohater jakiejś tragedii... małżeńskiej.

Krystyna nie wiedziała, co ma na to wszystko powiedzieć, więc nie powiedziała nic. Pan Konstanty milczenie Krystyny uznał za znak zgody. Uśmiechnął się promiennie, pocałował ją trzy razy w rękę i powiedział, że się odezwie po Nowym Roku, bo w święta córuś u nich będzie i z mamuszką muszą zachowywać jakieś pozory. Wyraził też nadzieję, że do tego czasu się z mamuszką nie pozabijają. Jednakże prosił, by Krystyna zapamiętała, że jak jedno z nich umrze, to nie ma się co martwić, bo wtedy drugie przyjdzie i będzie już cały czas. Tak więc finansowo właścicielka Happy Endu nie będzie stratna.

Krystyna po raz kolejny tego dnia jęknęła i zapragnęła sama wyjechać na dwa tygodnie. Gdzieś, gdzie mogłaby się odciąć od wszystkiego. Nie spodziewała się jednak, że najweselsze dopiero miało nastąpić.

### 3.

- O której idziesz? – zapytała Agnieszka przy śniadaniu.
- Idziemy – poprawił ją Mikołaj.
- Ja nie idę. – Pokręciła głową. – Zostaję. W Wigilię rano podwiozą mnie do Pomorskiej Kolei Metropolitalnej, do Kościerzyny, i stamtąd pojedę do babci.
- Przecież nie możesz zostać tutaj sama!
- Nieraz byliśmy tu same z babcią. Gdybyś nie zabłądził, to byłabym sama do tej pory.
- I poradziłabyś sobie...
- Pewnie, i nawet jedzenia miałabym więcej. – Roześmiała się.
- No widzisz. Teraz jedzenia masz mniej, nadal mamy śnieżną zimę, nie masz prądu, nie masz samochodu...
- Dam sobie radę – zapewniła Agnieszka. – Jesteś bardziej przerażony moim losem niż ja sama.
- Nie jestem przyzwyczajony do tego, że zostawiam kobiety na pastwę losu. – Spojrzała na niego, mrużąc oczy. – No, dobra, ten wątek porzucimy... Po prostu do tej pory mi się nie zdarzyło, że jakakolwiek odrzuciła propozycję pójścia ze mną gdziekolwiek.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. – Puściła do niego oczko. – Zresztą co ja bym tam robiła? Nawet za bardzo nie mam gdzie się zatrzymać w Gdańsku. Moje mieszkanie wynajmuję na czas studiów.
- Nie łatwiej byłoby ci studiować w Gdańsku? – zapytał Mikołaj.
- Może i łatwiej. Ale zdecydowałyśmy z babcią, że ona i tak się tutaj przeniesie, a cztery pokoje w Gdańsku dla mnie samej to zbyt dużo. Jak się dostałam do Warszawy, to wynajęłyśmy.
- A potem? Wracasz potem do Gdańska?
- Mikołaj, ja nie wiem jeszcze, czy uda mi się stąd wyjechać, a co dopiero gdzie będę mieszkać po studiach!
- Racja. – Uśmiechnął się, ale wyglądał na rozczarowanego.
- Duszkciem wypił resztę kawę. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce dotrzeć do rana na lotnisko, to powinien wyruszyć stąd w ciągu godziny.
- Te Kaszuby to koniec świata – mruknął.
- I może dlatego je tak kocham. – Uśmiechnęła się. – Prąd by się teraz przydał, ale z reszty mogę zrezygnować. Zrobić ci jakieś kanapki?
- Nie, zostaw sobie chleb. Ja zaraz będę w sklepie, to coś sobie kupię. A to zwalone drzewo kiedy mieli usunąć?
- Agnieszka wzruszyła ramionami.
- Nie wiem, mają sporo roboty. Pani Stasia mówiła, że my jesteśmy na końcu. Mój samochód chyba posiedzi pod pierzynką do wiosny. Mam nadzieję, że da radę potem wyjechać. Może w ramach porannego fitnessu go odśnieżę.
- Nie możesz siedzieć tutaj aż do wiosny! – rozpaczliwie zawołał Mikołaj.
- I nie będę. Ale ty, jeżeli chcesz jutro rano być na lotnisku, a zaraz potem wylegiwać się na plaży, to musisz już ruszać – powiedziała stanowczo.

Mikołaj pokiwał głową.  
– Masz rację... Idę.

\*\*\*

Cały poranek rozmawiał z nią tak, jakby poprzedniego wieczoru nic się nie wydarzyło. Może dla niego to było „nic”? Całował pewnie dziesiątki kobiet. Przytulał dziesiątki kobiet i dziesiątkom kobiet prawił komplementy, po których czuły się wyjątkowo. Jak ona wczoraj... Bo dla niej wczorajszy wieczór nie był zwyczajny. Nawet przez chwilę pomyślała, że Mikołaj zrezygnuje z wyjazdu i z nią zostanie. By jeszcze pobyć razem i cieszyć się tylko sobą. Znowu ją omotał. Powinna być ostrożniejsza.

No ale... Czy gdyby ona wydała tyle kasy na wycieczkę, tak łatwo by z niej zrezygnowała? Z pewnością nie. Pewnie już wczoraj wsiadłaby do samochodu i pojechała do Warszawy, by mieć pewność, że zdąży. Nic więc dziwnego, że chciał jechać. Przecież nie mogła wymagać od niego, by został. Dlaczego niby miałby zostać...

Powoli pakował swoje rzeczy do worka, włożył buty, szyję obwiązał szalikiem. Na głowę wsadził czapkę Mikołaja.

– Ho, ho, ho – próbował żartować.

Uśmiechnęła się, ale nie było jej do śmiechu. Naprawdę chciała, by został. Może wystarczyło poprosić? Chyba nie. Zachowywał się tak, jakby nie było wczoraj. A zresztą cóż takiego wielkiego się wydarzyło? Raptem kilka pocałunków i to, że zasnęła w jego ramionach. Pewnie nieraz ktoś zasypiał w jego ramionach, o całowaniu nie wspominając.

– Powiedziałabym, żebyś dał znać, jak dojedziesz, ale... i tak nie będę miała możliwości tego znaku życia odebrać.

– Chyba że byłby to znak dymny. Albo może wysłę gołębia pocztowego.

– Szkoda gołębia. Może tu nie trafić. No to pa. – Wyciągnęła rękę w jego stronę, tak by nie pomyślał, że oczekuje od niego pocałunku.

– Do zobaczenia – wyszeptał, ściskając jej dłoń.

\*\*\*

Nie odprowadziła go nawet. Pomachała mu tylko z ganku, uśmiechając się. Mikołaj spojrział jeszcze raz na dom. Przy drewnutni paliły się dwie lampki solarne, oświetlające stare drzwi.

Wczoraj był pewien, że coś między nimi może być. Dzisiaj też był w sumie tego pewien, co więcej, bardzo, bardzo na to liczył, ale wydawało mu się, że Agnieszka zmieniła zdanie. Była oschła, taka niedostępna... Gdyby tylko poprosiła go, by został! Gdyby powiedziała na ten temat chociaż jedno słowo! Pewnie zmieniłby zdanie. Na pewno zmieniłby zdanie! I nie brnąłby teraz w śniegu po kolana, tylko siedziałby z nią przy kominku, bawiąc się jej włosami, opadającymi na twarz. Jak były wilgotne, skręcały się uroczo. I nadal miał ochotę się nimi bawić, i sprawdzić, czy jak pociągnie kosmyk i go rozprostuje, ten wróci na swoje miejsce.

Szedł szybkim krokiem. Nie było to już takie trudne jak za pierwszym razem. Może śniegu było trochę mniej, a może się ułożył? Zwalone drzewo wciąż leżało na drodze. Może powinien skombinować piłę spalinową? Wystarczyłoby pociąć drzewo na kilka czy kilkanaście klocków, odciąć gałęzie. Sami daliby sobie radę, a drewno byłoby na opał. Porąbały to już na miejscu, a potem przewieźliby do domu. W szopie widział sanki.

Można by zapakować to drewno na sanki, byłoby szybciej. Może w Kościerzynie można kupić taką piłę? Albo w Kartuzach? A może ktoś we wsi ma i pożyczyłby na jeden dzień? Musi zapłacić.

No tak, musiałby zapytać... Gdyby został z Agnieszką, a nie brnął w śniegu po kolana, po to by wsiąść do swojego auta i popędzić w stronę Warszawy. Przecież jutro leciał na Malediwy.

Po raz pierwszy w życiu nie miał ochoty na urlop. Miał za to ochotę wrócić, przytulić ją i powiedzieć, że może spędzić z nią tam Wigilię, święta, a nawet Nowy Rok. Może zostać dłużej... Do Trzech Króli.

Nie wrócił. Szedł dalej, aż dotarł wreszcie do sklepu pani Stasi.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, a gdzie Agnieszka?

– Została.

– Zostawiłeś ją tam samą? – zdziwiła się kobiecina. – Nigdy nie zrozumieję tych dzisiejszych mężczyzn.

– Chyba nie chciała, bym został... – zaczął Mikołaj. – Nie zatrzymała mnie.

– Taki żigolak, a kobiet nie rozumie. – Machnęła ręką. – To nie trzeba mówić. To było widać, że chciałyby z tobą jeszcze trochę w tych śniegach pobyc. Roman nawet myślał, żeby wam pożyczyć piłę spalinową, ale ja mówię mu: „Romus, też kiedyś byliśmy młodzi, czasem los układa nam życie nie do końca po naszej myśli, czasem nam na naszej drodze kładzie zwalone drzewa, ale może robi to w jakimś celu”. I Romus zrozumiał. W połowie drogi zawrócił. A dzisiaj nie może tam pójść, bo w garażu coś naprawia. Ale skoro sama tam została, trzeba będzie mieć na nią oko. Powiem Romusiowi, że ona sama jedna tam bez opieki...

Mikołaj poczuł się niczym ostatni łajdak. Zostawił bezbronną kobietę w środku lasu, bez żadnego wsparcia. Ale sama przecież mówiła, że tej opieki nie potrzebuje! Z tymi babami tylko kłopot. A jak waleczna, to jeszcze gorzej.

– A pani mąż może mnie zawieźć do Gowidlina? – zapytał Mikołaj. – Tam zostawiłem auto.

– To jak ty żeś przeszedł taki kawał?

– Nie wiem, chyba wzdłuż jeziora. Ciemno było.

– Zapytam Romusia o tę podwózkę. – Pani Stasia zniknęła za drzwiami prowadzącymi do mieszkania.

Po chwili w tych samych drzwiach pojawił się Romus. Mężczyzna szerszy niż wyższy i najwyraźniej zadowolony z życia. Po niezbyt długich pertraktacjach ustalili, że Romus zawiezie Mikołaja do Gowidlina, a na dodatek następnego dnia uwolni Agnieszkę. I w Wigilię zawiezie ją do Kościerzyny, tak aby w spokoju trafiła do babci. Po ustaleniu tych wszystkich szczegółów Mikołaj czuł się trochę lepiej. Ale tylko nieznacznie...

Zaraz wyjechali. Chwilę pogadał z Romusiem, opowiadając mu, że nazajutrz wylatuje do ciepłych krajów, Romus wyglądał, jakby jednym okiem patrzył zazdrośnie, a drugim odczuwał ulgę, że nie musi nigdzie jechać.

– Nie pogadasz... Ciepłe kraje. Nie pogadasz – powiedział cicho i na tym w zasadzie rozmowa się urwała, gdyż zajechali na miejsce.

Samochód Mikołaja stał tak, jak go zostawił. Przed sklepem. Oczywiście był bardzo przysypany śniegiem, ale z pomocą Romusia szybko się z tym uporali.

– Jeszcze poczekam, czy odpali – zaproponował mąż pani Stasi.

Mikołaj wsiadł do samochodu i po chwili słychać było warkot silnika.

– Odpalił – stwierdził i dodał szeptem: – Niestety.

\*\*\*

Mikołaj podłączył telefon do ładowania. Gdy tylko złapał zasięg, zalała go lawina esemesów. Matka, ojciec, kilkanaście od Marty. Karolina, Ewelina, Łucja... Boże, kim była Łucja? Widać była dla niego na tyle ważna, że wpisał jej numer telefonu do książki. Teraz to już nieważne. Naprawdę nieważne, kim była Łucja.

Nie wiedział, do kogo najpierw oddzwonić. Chyba do Marty. Co miał jej powiedzieć? Że spędził dwa dni z jej przyjaciółką i teraz zostawił ją w środku lasu samą, jak ostatni gnój? Czy ten aspekt miał pominąć i po prostu radośnie jej oświadczyć, że jednak zdąży na samolot lecący na Malediwy? Może nie będzie mówił nic o Kaszubach, tylko powie jej, że żyje?

– Cześć, siostrzyczko.

– No, wreszcie! – Potem nastąpiła kilkuminutowa tyrada na temat tego, dlaczego nie odbierał telefonu, że się martwiła i że jak można stracić tak głowę dla jakiejś baby, żeby nawet nie zadzwonić do własnej siostry.

– Marta, ja ci potem wszystko opowiem... – próbował jej przerwać.

– No, nie wiem, czy ja chcę znać szczegóły – mruknęła z przekąsem. – Kiedy ty w końcu będziesz?

– Powinienem za kilka godzin być w Warszawie. Zgarnę cię po drodze, a potem pojedziemy do mnie.

– Dopiero za kilka godzin? – zdziwiła się Marta. – To gdzie ty jesteś?

– Na końcu świata – westchnął.

Nie chciał jej się teraz tłumaczyć. Wiedział, że i tak jej wszystko powie.

Kiedy byli młodszy, ich relacje były dość skomplikowane. Kłócili i czasem nawet dochodziło do lekkich rękoczynów. Ale teraz można było powiedzieć, że byli najlepszymi przyjaciółmi. Mogli na sobie zawsze polegać, zdradzać największe tajemnice i mieć pewność, że zostaną one dochowane.

Spojrzał na telefon. Nawet miał numer do Agnieszki. Zadzwoniłby, że dotarł, ale przecież ona i tak nie miała jak odebrać.

W Kartuzach zatrzymał się na stacji benzynowej. Nalał pełen bak i poszedł zapłacić. Kupił sobie kawę i coś do jedzenia. Na podłodze, tuż obok kasy, stało wiadro, w które wetknięty był bukiet. Nie wiadomo dlaczego, ale pomyślał o Agnieszce. Nawet nie wiedział, jakie kwiaty lubiła. Tak naprawdę nie wiedział o niej nic. Oprócz tego, że niestraszna jej zima na końcu świata.

Zjadł hot doga, wypił kawę, uruchomił silnik i ruszył. Po chwili jednak się zatrzymał. Samochód jadący za nim gwałtownie zahamował, a kierowca mocno wcisnął klakson, gestykułując zawzięcie. Mikołaj pomachał mu na znak przeprosin. Skręcił, zaparkował przed sklepem i wyszedł z samochodu.

– Poproszę jeszcze ten bukiet.

Kiedy wszedł z powrotem do auta, włączył na cały regulator muzykę i ruszył z powrotem w stronę Gowidlina.  
Pieprzone Malediwy!

## 4.

Melania nie lubiła nic wyrzucać. Ona wyznawała ducha „no waste” w momencie, kiedy to jeszcze zupełnie nie było modne. Z ziemniaków, które nie zostały zjedzone na obiad, robiła kopytka, z białek, pozostałych w lodówce po kruchym cieście, piekła piegusa. Miała miliony zastosowań dla resztek, które gdzieś zalegały. Naprawdę nie lubiła, gdy się coś marnuje.

Od pewnego czasu robiła też porządki w kuchni. Wykorzystywała wszystko. Nasiona chia, których nikt nie jadł, dosypywała do jogurtów i wszyscy pałaszowali ze smakiem, z orzechów, których nikt nie mógł pogryźć, robiła przepyszne masło orzechowe, a mąka kokosowa, dla której nikt nie znalazł nigdy zastosowania, wylądowała w porannych omletach, których ku zaskoczeniu wszystkich domowników nie udało jej się przypalić.

Krystyna się cieszyła, gdy któryś z jej podopiecznych miał jakąś pasję. „No waste” było z pewnością pasją Melanii. Tuż przed świętami znalazła ona w starych gazetach przepis na tort, który był obficie nasączony zieloną herbatą. Szybko przypomniała sobie zatem o pudełku, które leżało na górnej półce kuchennej szafki. Zielona herbata z kaktusem. Wreszcie! Przecież nikt jej nie pił od lat!

Zadowolona, postanowiła uraczyć pysznym tortem wszystkich mieszkańców Domu Seniora Happy End na przyjęciu z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Od rana urzędowała w kuchni, podśpiewując pod nosem kolędy.

Naprawdę zapowiadały się wesołe święta.

\*\*\*

Melania zaparzyła napar z herbaty, mocny, jak było napisane w przepisie. Spróbowała. Faktycznie dziwny smak miała ta herbatka z kaktusa. Słodkawa, ale dobra. Wlała sobie pełną filiżankę. Mocno nasączy ciasto, lubiła, jak było takie mokre. Tylko to musi być mocna herbata, bo daje taki fajny aromat. Poprzednio zwykle kawą nasączała, ale teraz to towarzystwo bezkofeinowe, zawały, rozruszniki, to i kawy pić nie mogli. A dobra herbatka jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Nawet taka zielona z kaktusa.

– Bóg się roodzi, moc truchleeeje – rozlegało się w kuchni. – Ależ to słowo jest śmieszne! – Usiadła nad tortem i zaczęła chichotać. Cała podskakiwała, a z jej oczu kapąły łzy. – O matko, truchleje!

Do kuchni weszła Tereska, zwabiona śpiewem, niekoniecznie syrenim.

– Ktoś tu coś nucił?

– Bóg się roodzi, moc... moc tru... tru... – Melania nie była w stanie dokończyć.

– ...chleje – pomogła jej Tereska.

– O rany, chleje! Jakie to jest zabawne, Tereniu. – Trzęsła się ze śmiechu. – Napijesz się ze mną herbatki?

Teresa nie widziała w tym nic śmiesznego, dopóki nie wypila filiżanki herbaty. Potem nawet i ona wpadła w radosny, aczkolwiek nieco filozoficzny nastrój.

– Melanio, muszę ci coś wyznać... – zaczęła poważnie. – Ja dzisiaj po raz pierwszy w życiu się ucieszyłam, że jestem stara – stwierdziła, z fascynacją wpatrując się w kubek z Mikołajem.

– Ja nie jestem stara.

– Jesteś – stanowczo powiedziała Teresa. – Ale to dobrze.

– Bo?

– Kochałaś Mikołaja?

Melania próbowała sobie przypomnieć, czy w jej życiu był kiedykolwiek jakiś Mikołaj, ale nie mogła.

– No tego, z brodą.

– Aaa, tego! Kochałam, a jakże!

– To teraz już byśmy mogli się z nim zadawać, Melanio! – Radośnie zarechotała. – Tak, wiesz, w jaki sposób!

– I ty to mówisz, Teresko? – Melania na chwilę przestała się śmiać z powodu słowa „truchleje”. – Tak bez ślubu?

– Ale czemu bez ślubu? – zdziwiła się. – Bez ślubu to nie. – Pokręciła głową, która – jak jej się wydawało – nie mogła się zatrzymać, falując w powietrzu.

– Ja tam bez ślubu chętnie – podsumował pan Jan, który właśnie wszedł do kuchni.

– Ale że z Mikołajem? – Teresa wzdrygnęła się na tę wizję.

– No nie, ale z Mikołajem to bym mógł ślub wziąć w Anglii.

– Za daleko jechać – mruknęła Teresa. – Chcesz herbatki? Melania zrobiła tę, co jej w ogóle nie piliśmy, a taka dobra się wydaje. I umysł otwiera!

\*\*\*

Po chwili w kuchni zebrało się już spore towarzystwo. Wszyscy grzecznie siedzieli i z filiżanek sączyli herbatkę. Jedyne Melania się zastanawiała, czy tego naparu, co zostało, wystarczy do nasyczenia tortu.

– Bóg się roodzi, moc truchleeeje – zaczęła zawodzić Tereska.

Melania nie potrafiła powstrzymać histerycznego śmiechu.

– Zobaczcie... ha, ha, ha... jakie to... ha, ha... śmieszne... ha, ha, ha... słowo! Truchleje! Ha, ha, ha, ha...

\*\*\*

Kiedy Krystyna mijiała kuchnię, uznała, że wszyscy się dobrze bawią, bo słychać było salwy śmiechu i śpiew seniorów. Przynajmniej tam było w porządku. Do rzadkości należało to, że zgodnie siedzieli, rozmawiali i sobie żartowali. Sądząc po panującej tam atmosferze, bawili się wybornie. Odetchnęła z ulgą i poszła dalej.

W salonie telewizyjnym napotkała Irenkę.

– Pani Irenko, a co pani tak sama? Nie idzie pani do innych? Melania w kuchni tort robi, jest wesoło.

Irenka nie skojarzyła od razu słów „kuchnia” oraz „wesoło”. Zrobiła to dopiero po godzinie. Wtedy szybko wyłączyła telewizor, pilota na wszelki wypadek schowała do kieszeni. Z prędkością światła pojechała swoim wózkiem do kuchni. Gdy tam zajrzała, Tereska właśnie smarowała Jana tortem, a Zenon mówił, że w jednej gazecie była taka naga kobieta, z której można było zjeść sushi, więc może i oni też tak spróbują. Tort był już w połowie zjedzony, a Sabinka siedziała i resztkę kremu wyjadała prosto z miski.

Irenka poczerwieniała. Podjechała blisko stołu i mocno uderzyła w blat. Towarzystwo natychmiast przestało się zajmować sobą i spojrzało na intruza, który nagle... wstał z fotela inwalidzkiego, złapał się pod boki i z żądzą mordy w oczach zapętał:



- Czy w tym torcie jest moja gandzia?
- O Jezu! Zdarzył się cud! – Tereska złożyła ręce jak do modlitwy. – Irenka odzyskała władzę w nogach!
- Ja pierdolę! – podsumowała, jak zawsze w punkt, Jagoda.

\*\*\*

Po dość udanym „biforku”, jak to określił Zenon, niemalże całe towarzystwo udało się na drzemkę. Tylko Tereska nie mogła wybaczyć Irenie, że popsowała tak dobrze zapowiadającą się imprezę.

– Pies ogrodnika! Sam nie zje, a drugiemu nie da. – Wyszła, trzaskając drzwiami, co w ogóle nie było do niej podobne.

Irenka, ku swojej wielkiej rozpaczy, nawet nie spróbowała herbatki. Z prostej przyczyny – dla niej już nie wystarczyło. Spoglądała wnerwiona na fusy, które zostały w imbryku.

– Peeling sobie zrób – cicho zaproponowała Melania, która jako jedyna z grona smakoszy kaktusowych naparów została jeszcze w kuchni.

– Co takiego?! – zapytała Irenka z oburzeniem.

– No peeling, taki na gładką gębę! – ryknęła.

– Słyszę, nie musisz krzyczeć! – warknęła Irenka. – Nie będę sobie robiła żadnego peelingu.

– Nie to nie. Myślałam, że chcesz – westchnęła Melania, sprzątając ze stołu po imprezie. – Czytałam, że taki peeling z herbaty dobrze robi na cerę.

– To nie była herbata! – krzyknęła, zdenerwowana.

– Nie? A tak nam wszystkim smakowała. Szkoda, Irenko, że nie było cię z nami, ale oglądałaś ten swój serial i nikt nie chciał ci przeszkadzać. – Melania przy każdym słowie żwawo machała ścierką. – Przecież wszyscy wiedzą, że jak oglądasz i ktoś ci przerywa, to się bardzo denerwujesz.

Sięgnęła po imbryk, w którym zostały fusy.

– Nie rusz! – syknęła Irena.

– A widzisz, jednak chcesz. To pamiętaj: najpierw oczyszczasz, a potem kładziesz sobie te fusy na twarz i delikatnie masujesz takimi kolistymi ruchami. – Zademonstrowała. – Będiesz piękna dzisiejszego wieczoru. – Przełożyła zawartość imbryka do miseczki.

## 5.

Irenka leżała na łóżku. Na twarzy miała fusy pozostawione po udanej libacji pensjonariuszy domu Happy End. Miała nadzieję, że jak będzie trzymać je dłużej, to poczuje cokolwiek. Niestety, nie poczuła.

Nie poczuła na sobie również wzroku dziewczynki, która przypatrywała się jej chwilę z nieukrywanym zainteresowaniem. Po chwili jednak mała wyszła z pokoju, usiadła pod ścianą na korytarzu i zapisała minus przy pokoju pani Irenki. Zosia nie chciała mieć babci, która ma takie coś na twarzy. Przecież to się można w nocy przestraszyć. Nawet w dzień można się przestraszyć. A poza tym co jej po takiej babci, która nic nie widzi, bo ma coś na oczach? Nie, to na pewno nie była jej wymarzona babcia.

Dziewczynka zamknęła notesik i zajrzała do drugiego pokoju. Siedziała tam kobieta w czarnym kapeluszu. Właśnie malowała usta. Zosi bardzo podobał się taki różowy kolor. Może to mogłaby być jej babcia? Fajnie byłoby mieć taką ładną babcie. Może nawet pozwoliłaby jej przymierzyć taki kapelusz?

– Czy chciałabyś zostać moją babcią? – zapytała.

Eleonora, nie przerywając malowania, powiedziała krótkie:

– Nie.

– Nie? – zasmuciła się dziewczynka.

– Kochanie, z przyjemnością, gdybym tylko miała więcej czasu, ale ja się wybieram!

– To znaczy, że pani już nie będzie? – Zosia poczuła ulgę, że ta śliczna, aczkolwiek zdecydowanie zbyt chuda pani ma jakiś powód, by odrzucić jej propozycję.

– Dokładnie tak. – Eleonora przypudrowała policzki. – Dokładnie znaczy to, że mnie już nie będzie.

Zosia się uśmiechnęła.

– Pięknie pani wygląda – powiedziała z zachwytem. – Gdziekolwiek pani idzie, będzie się tam pani wszystkim bardzo podobała!

\*\*\*

Krystyna zajadała się w kuchni pierogami Anny.

– Niebo w gębie! – chwaliła z pełnymi ustami. – Co pani jeszcze umie gotować?

– Ja? Chyba wszystko. Nigdy nie robiłam mózdków, ozorków...

– Zostawmy mózdzki i ozorki. Nie chciałaby pani u nas gotować? Gdzie pani pracuje?

– Trochę w sklepie i u pani...

– Dziewczyno, ty się marnujesz! – Krystyna z niedowierzaniem pokręciła głową.

Anna nie była pewna, czy Krystyna tak tylko mówi, czy naprawdę proponuje jej pracę. Może otworzyłyby to nowe możliwości? Znała Krystynę, pracowała dla niej już od lat, a tutaj też pewnie byłoby jej dobrze.

– Tylko ja czasem musiałabym z Zosią...

– Nie ma problemu! Myślę, że ona się doskonale dogada z moimi seniorami.

– Ja myślę, że ona tego potrzebuje – zgodziła się Anna. – Wie pani, co ona teraz robi?

Wymyśliła sobie, że robi konkurs na babcie.

– Konkurs na babcie?

– Tak. Ona bardzo by chciała mieć babcie.

– A nie ma?

– Nie utrzymujemy kontaktu. To długa i skomplikowana historia.

– Jak każde historie rodzinne... – Krystyna się zamyśliła.

Znowu zapomniała zadzwonić do Adama. Tyle się działo. Na szczęście Mikołaj się odnalazł. Do niej, oczywiście, nie zadzwonił, ale Marta dała znać. Szkoda, że wybierają się na te Malediwy. Nie miała ochoty i nie mogła sobie pozwolić na to, by jechać z nimi, ale patrząc na te wszystkie samotne osoby, chyba chciałyby spędzić ten czas ze swoimi dziećmi. Czy potem jej wnuki też będą robiły konkurs na babcię? Ich relacje będą skomplikowane? Pewnie będą, skoro nawet w święta nie potrafili być razem.

Do kuchni wparowała Zosia.

– I jak tam poszukiwania? – zainteresowała się Anna.

– Na razie nie jestem za bardzo zadowolona – westchnęła. – Bo, mam, ja szukam idealnej babci.

– Ideały, kochanie, nie istnieją.

– Nieprawda! Ty jesteś idealną mamą.

Krystyna poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

– Pani Irenka byłaby super, ale leży z czymś na twarzy. Ja chyba nie chciałabym takiej babci. Ale ma duże kolana, to jest na pewno zaleta. Pani Melania super gotuje. To mi się podoba. Ale nie miała czasu ze mną rozmawiać, bo coś sprzątała. Powiedziała też, że tyle jest sprzątania, że już gotować nie będzie, tylko będzie chodzić do restauracji. A ja nie lubię – wyliczała, zerkając do notesu.

Anna nie bardzo wiedziała, na co mała patrzy, bo przecież jeszcze nie bardzo umiała pisać.

– A Malwinka? – podsunęła Krystyna.

– Pani Malwina siedziała po turecku i wyglądała, jakby spała. – Zosia zademonstrowała. – Posiedziałam też trochę przy niej, ale to było bardzo nudne. Z kolei pani Tereska zaproponowała mi, bym z nią pokłęczą koło łóżka, ale podejrzewam, że to by było równie nudne i trochę mniej wygodne, więc nie chciałam tego robić i pobiegłam dalej. A pani Jagoda brzydko mówi.

– Jak? – zainteresowała się Anna.

Krystyna się skuliła, oczekując na najgorsze.

– Ja pierdolę... Ja nie wiem, czy ja chcę babcię, która mówi „ja pierrr-dooo-lęęę”.

– Zosiu!

– Mamo, no przecież mówię, że nie chciałabym, by moja babcia mówiła „ja pier...”.

– To jeszcze zostały ci Helenka i Sabina – przerwała jej szybko Krystyna. – Obie są w jednym pokoju, możesz do nich iść.

– A mogę ciasto?

– Nie ma ciasta! – zawołała Krystyna. – Melania piekła od rana, ale potem towarzystwo nie wiadomo dlaczego zebrało się w kuchni i zjadło wszystko. Łącznie z niemalże całym pieczywem na dzisiaj. Ale są pierogi!

– Moja mama robi najlepsze pierogi – z dumą pochwaliła Zosia.

– Wiem, wiem, tak się nimi objadłam, że aż mnie brzuch trochę boli. Ale warto było! Trzymaj kciuki, może się uda mamę namówić, by dla nas tutaj gotowała.

– Jak w restauracji?  
– Jak w restauracji.  
– A to ja nie lubię, bo ja wolę jak w domu – powiedziała dziewczynka i pobiegła do ostatniego pokoju, którego jeszcze nie odwiedziła.

\*\*\*

– Dzień dobry. – Zosia weszła do pokoju Heleny i Sabiny. – Czy pani lubi chodzić do restauracji? – zapytała Helenkę.

Ta właśnie rozwiązywała krzyżówkę i spojrzała na dziewczynkę znad okularów.

– Oczywiście! – Uśmiechnęła się. – Czasem sobie robimy takie wyjścia z wnuczką. Ona sprawdza w internecie, które restauracje są najfajniejsze, a potem tam chodzimy.

– Często? – zapytała Zosia, marszcząc czoło.

– Chciałabym częściej, ale nie zawsze wychodzi. Tak, bardzo lubię chodzić do restauracji.

Sabina rzuciła jej zdeglustowane spojrzenie.

– Phi, restauracja. Jak bym sama sobie nie umiała ugotować najlepiej – mruknęła i zniknęła za drzwiami łazienki, by uniknąć konfrontacji z tym dziwnym dzieckiem.

Gdyby została jeszcze chwilę, zobaczyłaby wpatrujące się w nią z uwielbieniem oczy „tego dziwnego dziecka”. Zosia już nie musiała o nic pytać. Babcia idealna! Nie lubiła restauracji, była gruba, trochę siwa i miała duże kolana! A mama mówiła, że ideały nie istnieją!

## 6.

Mikołaj był pewien, że podjął dobrą decyzję. Czuł się, jakby właśnie jechał na najlepszą randkę wszech czasów. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Musiał jednak powiedzieć Marcie, że nie poleci na Malediwy.

– Siostra... Czy ty wierzysz w miłość?

– Mikołaj, a nie możemy z tymi filozoficznymi rozmowami poczekać, aż przyjedziesz?

– No właśnie nie.

– Bo?

– Bo ja jednak nie przyjadę – powiedział cicho, jakby mając nadzieję, że siostra tego nie usłyszy.

– Chyba żartujesz! – zawołała oburzona.

Mikołaj pokręcił głową, jakby Marta mogła to zobaczyć. Akurat teraz był jak najbardziej poważny.

– Ta historia wydaje się bardzo niewiarygodna... Czy wiesz, gdzie jest teraz twoja przyjaciółka, Agnieszka?

– Chyba u babci, na Kaszubach. Dobrze, że przypomniałeś, muszę do niej zadzwonić przed wyjazdem. Ale jaki to ma związek z naszym wypadem na Malediwy?

– Jest na Kaszubach, to prawda. Ale nie jest z babcią. Babcia Helenka jest u naszej mamy, w Happy Endzie.

– Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z wyjazdem! – denerwowała się Marta. – Możesz mi wreszcie powiedzieć?

– Nie dajesz mi dojść do słowa i przerywasz! Muszę zacząć od tego, że ja byłem Mikołajem...

– I jesteś Mikołajem, braciszku. Jesteś Mikołajem Czyżykiewiczem – stwierdziła zrezygnowana już Marta.

– Do cholery, Świętym Mikołajem byłem! – nie wytrzymał.

Marta na wszelki wypadek wołała już nie przerywać.

– Sebastian poprosił mnie o to, bym pojawił się na Kaszubach i dał prezenty jego dzieciom. Zaparkowałem przed jakimś wiejskim sklepem na końcu świata, on po mnie przyjechał, bo bał się, że nie trafię. Zasiedziałem się trochę i w nocy poszedłem sam w stronę auta. Ale sypał śnieg i wszystko wyglądało inaczej. I wreszcie zobaczyłem światło.

– I usłyszałeś głosy? – zapytała drwiąco Marta.

– Jakie głosy? – zdziwił się.

– Idź do świaaaatłaaa, idź do świaaaatłaaa... – zaczęła upiornie zawodzić Marta.

– Siostra, chcesz się dowiedzieć, dlaczego teraz wracam na Kaszuby z bukietem kwiatów na tylnym siedzeniu czy nie?

– O cholera, grubo.

– To był dom babci Agnieszki. I była tam Agnieszka. Zasypało ją zupełnie. Prąd wysiadł.

– Gubisz się w zeznaniach. Mówiłeś, że było światło.

– Bo było! – zdenerwował się Mikołaj. – Jakież lampki solarne czy coś. Nie przerywaj, bo nie to światło jest najważniejsze!

– A co?

– Agnieszka.

– Ty nie mów, że to jej wieszysz kwiaty? – wydukała Marta.

– Spędziliśmy razem dwa dni. Marta, ja nie wiem, co się ze mną dzieje... – przyznał.

– O, kurde, braciszku! Tylko proszę cię, nie spieprz tego.

– Nie jesteś zła?

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Ale dobra, wiesz te kwiaty. I naprawdę nie spieprz tego, bo ani ja, ani tym bardziej ona po raz kolejny ci tego nie wybaczymy. A Malediwy postaram się jakoś odkręcić. Organizator mówił, że jest lista rezerwowa, może się jeszcze coś da zrobić. Tylko cholera, to już jutro! Ktoś będzie miał niespodziankę...

\*\*\*

Mikołaj uśmiechnął się do siebie. Marta była chyba jedyną osobą, której zawsze mówił prawdę. Z innymi to bywało różnie. Spojrzał na kwiaty. Nagle dostrzegł coś, czego nie zobaczył wcześniej. Czarna wstążka z napisem: „Ostatnie pożegnanie”.

– Cholera! – zawołał.

On przecież nie zamierzał się z nikim żegnać! I to na dodatek ostatecznie!

Jechał jeszcze przez chwilę zły jak osa. Oczywiście rozważał rozwiązanie wstążki i ofiarowanie Agnieszce wyłącznie samych kwiatów, ale bał się, że to będzie zły znak. Nie mógł tego zrobić. Od sklepu pani Stasi dzieliło go już kilka kilometrów. Nagle po prawej stronie drogi zobaczył niewielką kapliczkę. Zatrzymał się tuż obok. Wyszedł z samochodu i położył przed kapliczką bukiet.

Ostatnie pożegnanie... Ewidentny znak. Z poprzednim życiem, z kobietami na jedną noc, z kłamstwami i kręctwami... Cholera! Jakie deklaracje! Ale nie chciał już innych kobiet. Chciał siedzieć z Agnieszką przy kominku, pić domową nalewkę i jeść zupę zawekowaną kilka dni wcześniej przez babcię Helenkę. Niczego i nikogo więcej nie potrzebował.

\*\*\*

Agnieszka szukała sobie zajęcia. Nie mogła przestać myśleć, że po raz kolejny jej oczekiwania przerosły rzeczywistość. Próbowała nie myśleć o wczorajszym dniu, nie wspominać tych pocałunków. Nawet próbowała sobie wmówić, że tych pocałunków i czułych gestów wcale nie było, tylko sobie to wszystko wyobraziła. Ta autosugestia szła jej kiepsko.

Posprzątała mieszkanie, nawet je odkurzyła, bo po południu włączyli prąd. Wstawiła zmywarkę, włączyła bojler, by wreszcie się wykąpać. Podłączyła telefon do ładowania, chociaż w ogóle nie było jej to potrzebne. Gdy tylko się naładował, sprawdziła konto Mikołaja na Facebooku i Instagramie. Nawet nie miała go wśród znajomych. Może to i lepiej, niech tak pozostanie.

Wyszła na dwór, zmiotła z całego ganku śnieg, wzięła łopatę z szopy i odśnieżyła ścieżkę. Potem, by zmęczyć się jeszcze bardziej, zabrała się za odkopywanie samochodu. Po trzech godzinach był w miarę odśnieżony, a Agnieszka zdała sobie sprawę, że przecież

mogła zrobić to wcześniej i reanimować telefon w samochodowej ładowarce. Nie musiał ruszać, wystarczyłoby tylko go uruchomić.

Spróbowała odpalić silnik. Niestety, akumulator nie dał rady. Za zimno. I tak nie mogła nim wyjechać, przez to drzewo leżące na drodze. Cóż, może to i dobrze, że dalej była skazana na tę swoją samotnię? Wróciła do domu, zjadła zawartość kolejnego słoika babci Helenki (tym razem leczo) i zagryzła kabanosem. W trakcie sprawdziła, kto do niej dzwonił i czego chciał. Uznała, że przez ten czas nie działo się nic ważnego, więc zadzwoniła tylko do babci.

– Nie mogę rozmawiać, kochanie – wyszeptła. – Mamy wigilię.

– Wigilię? Dzisiaj? – Agnieszka przez krótką chwilę zwątpiła, czy przez ten brak zasięgu wewnętrzny kalendarz nie zrobił jej psikus.

– No, dzisiaj, potem, jak przyjedziesz, będzie druga! Powiedz mi tylko, czy u ciebie wszystko w porządku.

– W porządku, babciu. Prąd już włączyli.

– Głodna nie chodzisz?

– W żadnym wypadku!

– Dobrze, kochanie, pogadamy, jak przyjedziesz. Czekam na ciebie! Załatwię z Krystyną, byś mogła później przenocować.

– Babciu, a wiesz, kim jest Krystyna? – zaczęła Agnieszka.

– Kochanie, coś rwie! Pogadamy, jak przyjedziesz... Pa, pa...

Agnieszka usłyszała jeszcze w tle męski głos, który nagle huknął: „Bracia, patrzcie jeno”. I w tym momencie babcia Helenka się rozłączyła.

– No, to sobie pogadałyśmy – westchnęła Agnieszka.

Poszła do łazienki i wzięła gorący prysznic. Było jej to bardzo potrzebne. Grzała się w strumieniach ciepłej wody i miała nadzieję, że woda zmyje z niej wszystkie smutki. Gdyby to było takie łatwe!

Owinęła włosy ręcznikiem. Założyła gruby szlafrok i puszyste skarpety. W tak „odświeżonej” stylizacji otworzyła wino i usiadła przed kominkiem. Jutro będzie musiała narąbać drewna. Oczywiście, że umiała. W zasadzie umiała wszystko, tylko czasem się do tego nie przyznawała. Bo przecież mężczyźni nie lubią takich samowystarczalnych kobiet. Mężczyźni podobno lubią się kobietami opiekować. Podobno... Bo Mikołaj jakoś nie chciał. Nie chciał się nią opiekować i zostawił ją samą w środku lasu.

Nalała sobie kolejny kieliszek wina i niemal duszkiem wypiła.

Jak on mógł ją zostawić samą? Na pastwę żywiołów. Śniegu i wiatru. I wilków. Podobno na Kaszubach są wilki. Ona wprawdzie żadnego jeszcze nie widziała, ale czytała o tym w internecie. Ooo, właśnie, ciekawe, czy Mikołaj szalał w mediach społecznościowych! Zajrzała jeszcze raz na Instagram. Coś jest! Zaśnieżona droga i tekst:

*Jadę w kierunku marzeń.*

*#droga #road #dreamscometrue #love #loveisintheair*

Agnieszka już nie nalewała sobie do kieliszka, tylko upiła duży łyk prosto z butelki. *Love is in the air?* Kurde!

Wstała, by wziąć sobie coś słodkiego z żelaznych zapasów babci. Drabinę wystawiła na ganek, kiedy sprzątała. Otworzyła drzwi, by ją stamtąd zabrać, i nie mogła uwierzyć

w widok przed sobą. Droga szedł Mikołaj. Nie święty. Ba, do świętego było mu bardzo daleko! Droga szedł Mikołaj Czyżykiewicz. Przez jedno ramię miał przewieszoną torbę, a w drugiej dumnie dzierżył piłę spalinową.



## 7.

– Czy ten opłatek na pewno jest wegański? – zapytała Malwina, zanim skubnęła kawałek.

– Ja pierdolę, a co w opłatku może być niewegańskiego? – prychnęła Jagoda.

– A mnie gluten szkodzi – stwierdziła Irenka.

– To nie trzeba żreć tyle ciastek – wytknęła jej Sabina.

– No chyba ty! – odcięła się Irenka. – Musisz uważać, bo ostatnio szefowa zamawiała wózek dla osoby ważącej ponad sto kilo.

– Ty sobie uważaj, bo to na pewno nie dla mnie – powiedziała z wyższością Sabina. – Ja już wózka nie potrzebuję!

– Zamawiała dwa! – Melania zarechotała.

– Cóż za miła świąteczna atmosfera! – ucieszyła się Tereska. – Może pośpiewamy kolędy?! Bóg się rodzi!

Melania, nie wiadomo dlaczego, nie była już taka rozbawiona tekstem tej kolędy. Truchleje to niech truchleje, z czego tu się śmiać?

Na szczęście, kiedy mama Zosi podała barszcz z uszkami, atmosfera zdecydowanie się poprawiła, aczkolwiek na krótko.

\*\*\*

– Też mi konkursy! Phi, nienawidzę konkursów! – mruknęła nagle Sabina, gdy tylko Helenka poruszyła temat Zosinego konkursu na babcię.

Sabina zawsze, ale to zawsze przegrywała we wszelakich konkursach. Nigdy nie trafiła w totolotka, nawet z graniem w karty miała problem. Słowem, zawsze porażka. Tylko w scrabble ku jej olbrzymiemu zdziwieniu jej wychodziło. „Tu się liczy inteligencja, a nie spryt i głupi traf” – mawiała, wyraźnie podbudowana sukcesem.

– Kiedy wyniki tego konkursu? – mruknęła, udając kompletnie niezainteresowaną.

– W Wigilię! – zawołała Zosia. – Ale w taką prawdziwą, nie w tę fałszywą. Bo wtedy babcia dostanie w prezencie wnuczkę, a wnuczka babcię. Rozumie pani?

– Rozumiem.

– A coś ty taka zainteresowana? – zapytała Irenka. – Przecież masz i wnuczkę, i córkę.

– Takie podobne do siebie. – Melania skrzywiła się znad talerza.

– Ja wcale nie jestem zainteresowana – powiedziała Sabina na tyle cicho, że Zosia tego nie usłyszała. – Ja się wybieram na święta do mojej rodziny.

– Ja się wybieram! – Eleonora stuknęła w stół.

– Ela, pierdolisz! Ty już się wybierasz od lat! – zdenerwowała się Jagoda.

– Do dalekiej podróży trzeba się dobrze przygotować – dostojnie oświadczyła Eleonora. – Ja już jestem prawie przygotowana.

– Przyjadą po ciebie? – zapytała babcia Helenka.

Sabina przez chwilę spanikowała, bo nie za bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Nie. – Pokręciła głową. – Wsiadam do pociągu i do nich jadę.

– Ale tak sama? Pociągiem? W twoim wieku? – zaniepokoiła się Melania.

– Jestem w twoim wieku, chciałam tylko przypomnieć – obruszyła się Sabina.

– Rocznikowo nie. – Melania spojrzała na nią z wyższością.

– Kobieto, jesteś młodsza za ledwie o trzy miesiące! – oburzyła się Sabina.  
– Ale młodsza. Zapamiętaj, młodsza! To co? Sama będziesz jechać? Szefowa cię samej nie puści.

– Może zięć będzie czekał na mnie na dworcu – skłamała. – On tak kocha moją córkę, że na pewno to zrobi.

– Też mi coś... – Melania wzruszyła ramionami.

– Do mnie moja wnuczka przyjedzie – powiedziała Helenka. – Odprowadzimy cię na dworzec, nie ma problemu.

– Dziękuję, ale ja już sama chodzę i nawet nie potrzebuję tego wózka... – Spojrzała wymownie na Irenkę. – ...więc na pewno nie dla mnie go szefowa zamawiała.

Pomyślała jednak, że jeżeli wnuczka Helenki jest tak samo prawdziwa jak jej wnuczka, to świąt ani jedna, ani druga nie będzie miała udanych. Przecież nie może się nikomu przyznać, że jej wnuczka, córka i zięć są kompletnie wymyśleni! Musi konsekwentnie ciągnąć swoją wersję wydarzeń.

\*\*\*

– Jedno nakrycie za dużo – stwierdziła Malwina.

– To dla zbląkanego wędrowca – powiedziała Tereska. – Albo dla tych, których już nie ma z nami.

– Ja się wybieram... – zaczęła Eleonora.

– Ela, dajżeż spokój, choćby w Wigilię! – strofowała ją Melania. – Nie rób ludziom kłopotu i się dzisiaj nigdzie nie wybieraj.

Eleonora nic nie odpowiedziała, ale wyglądała na niepokieszoną.

– A mój drugi mąż ciągle liczył pieniądze – ni stąd, ni zowąd poinformowała Tereska. – Uwielbiał przeliczać banknoty, które trzymał w domu.

– No tak, kto by tam bankom wierzył – skwitowała Irena.

– Ale wiecie, zamiast coś fajnego kupić i życia użyć, to on tylko liczył i liczył – snuła swą opowieść Teresa. – A ja ciągle mówiłam: „Oj, Stasiu, Stasiu, do grobu kasę zabierzesz?”.

– Miałaś rację, kochana – zgodziła się Melania.

– No, i zabrał koniec końców – westchnęła Teresa.

– Jak to? – Zdziwiona Sabina przestała nawet jeść.

– Bo jak Stanisław umarł, to mu te wszystkie banknoty włożyłam do trumny. Pomyślałam, że niech sobie tam dalej liczy, jak tak lubi.

– Jezus Maria, Teresa! Prawdziwe pieniądze mu dałaś? – Irenie z wrażenia widelec spadł pod stół.

– Dałam. A co! Na nowe to będzie jakieś... dwadzieścia tysięcy.

W sali zapanowała cisza.

– I wiecie co? Potem mi się Stasiu śnił i mówił: „Dobrze, Teresko, że ty mi tę kasę dałaś, bo mogę wszystkim płacić i wszędzie się dostanę bez problemu i bez kolejki nawet”.

– Teresko, a ty spaliłaś Stasia po śmierci? – zapytała z dziwną nadzieją w głosie Sabina.

– Nie, tak ze wszystkim pochowałam. Normalnie w ziemi, w trumnie.

- Ufff... – Zenon wyraźnie odetchnął. Pomyślał, że na pytanie o lokalizację grobu przyjdzie jeszcze czas.
- Ja pierdolę – skwitowała po swoim Jagoda.

## 8.

– Nie pojechałem. – Mikołaj sam by siebie wyśmiał za to mało twórcze stwierdzenie, ale naprawdę nie wiedział, jak ma zacząć.

– Widzę. – Agnieszka stała w drzwiach, obejmując czule niemalże pustą butelkę wina.

– Nie mogłem... – Pokręcił głową. – Piłę spalinową ci przywiozłem.

– Dziwne, mężczyźni zwykle przynoszą kwiaty. Jesteś bardzo oryginalny.

– Były kwiaty. Kupiłem. I dopiero potem zobaczyłem, że mają wstążkę...

– Lubię wstążki! – Rozbłysły jej oczy.

– Wstążkę z napisem „Ostatnie pożegnanie”.

Agnieszka parsknęła śmiechem. Tego jeszcze nie było, by ktoś przyniósł jej w prezencie wiązaną pogrzebową.

– I gdzie one są? – zapytała.

– Przy kapliczce w Puzdrowie. Bo ja... nie chciałem się z tobą żegnać. Ja nie mogłem się z tobą żegnać! Chciałbym się z tobą witać i po prostu z tobą być!

Agnieszka patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mikołaj wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Mocno ją przytulił, a ona, zbyt zaskoczona, nawet nie odwzajemniła uścisku.

– Rozumiesz, co to znaczy się zakochać? Rozumiesz?! To znaczy, że ja w ogóle nie chcę widzieć innych kobiet. Znaczący mogę je widzieć, mogę być miły, uprzejmy, ale po tych naszych wspólnych dniach nie wyobrażam sobie, bym mógł być z kimś innym! Jechałem jak wariat do ciebie. Walczyłem o tę piłę spalinową jak lew. Bo pomyślałem, że ona ci sprawi przyjemność. A potem, zaraz potem, pomyślałem, że wyrzucę ją w las, bo jak wystarczająco długo będziemy siedzieć tutaj razem, tylko w dwoje, to przekonam cię w końcu do siebie.

– Ja... ja chyba za dużo wypiałam – stwierdziła Agnieszka, czując, że świat zawirował jej przed oczyma. – To nie jest sen?

Mikołaj pokręcił głową.

– A co z twoim wyjazdem?

– Mój wyjazd jest teraz najmniej istotny.

Agnieszka spojrzała na niego i pogłaskała go delikatnie po mokrych od śniegu włosach.

– Musiałem do ciebie wrócić. Nie wiem, co myślisz o tym wszystkim, ale musiałem się dowiedzieć. Może nie chcesz, może zaraz wywalisz mnie za drzwi... Jak mnie wywalisz, to sobie pójdę, ale wolałbym, żebyś tego nie robiła.

– Wiesz, co mam ochotę ci powiedzieć?

– Nooo? – bąknął zaniepokojony Mikołaj.

– Weź nie pytaj, weź mnie przytul...

Tak więc bez słowa wziął Agnieszkę w ramiona.

– Tylko najpierw idź się wygrzej pod prysznicem, bo jesteś cały lodowaty. Woda w bojlerze już się nagrzała.

– A nie uciekniesz mi?

– Gdzie niby miałabym uciec?

– Nie wiem... Ale boję się, że wsiądziesz do jakiegoś autobusu i nie będę mógł cię dogonić. Tak jak wtedy.

Agnieszka się roześmiała.

– Masz szczęście. Tu nie jeżdżą żadne autobusy.

\*\*\*

Tej nocy długo rozmawiali. Na spokojnie poznawali się od nowa. Beztrosko leżeli przytuleni pod ciepłą pierzyną i tak naprawdę do szczęścia nic więcej nie było im trzeba. Dzisiaj nie było im potrzeba nawet błękitnego nieba.

– A jutro będziesz pamiętała, że tak leżeliśmy razem? – zapytał.

– Dlaczego miałabym nie pamiętać? – Obruszyła się.

– Dzisiaj rano nie pamiętałaś poprzedniego dnia...

– To ty udawałaś, że nic między nami nie zaszło!

– A zaszło? – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Zaszło tyle, na ile ci pozwoliłam – mruknęła Agnieszka, lekko odsuwając się od niego.

– A dzisiaj? – Mikołaj ją przytulił.

– Co dzisiaj? – droczyła się z nim, bezskutecznie próbując się wyswobodzić z uścisku.

– Na ile mi dzisiaj pozwolisz? – zapytał, całując ją w szyję.

– Na trochę więcej – powiedziała cicho.

– A jutro? – drążył temat.

Roześmiała się.

– Na odrobinę więcej.

– Pojutrze? – Zsunął jej szlafrok z jednego ramienia i pocałował je.

– Na jeszcze więcej – mruknęła, mrużąc oczy pod wpływem pieszczot.

– A potem?

– Potem na wszystko...

## 9.

W tym samym czasie, choć w zupełnie innym świecie, Anna i Zosia wracały do domu. Krystyna je podwiozła. Właścicielka Happy Endu była zachwycona, że wszystko się udało w czasie ich wigilii.

– Pani Aniu, ja mówiłam na poważnie z tą pracą. Chętnie panią zatrudnię, a Zosia może znajdzie u nas babcię. Korzyść dla wszystkich!

– Ja już sobie wybrałam. – Dziewczynka ziewnęła, zmęczona po długim dniu.

– Zdradzisz kogo?

– Jeszcze nie. – Pokręciła głową. – Mama, a tata będzie dziś w domu?

Anna zeszywniała, co Krystyna doskonale wyczuła. Już wcześniej podejrzewała, że historia o zatrzaśniętych drzwiach miała jakiś ukryty przekaz. Nie chciała jednak się mieszać.

– Nie wiem. Może już być.

– Wszystko w porządku?

Anna szybko pokiwała głową. Zbyt szybko, by Krystynie nie zapaliło się czerwone światełko.

\*\*\*

Artura na szczęście nie było. Pewnie świętował gdzieś z koleżkami swoje wyjście na wolność. Coraz częściej zdarzało mu się siedzieć poza domem. Nawet nie informował jej już o tym. Może to lepiej, że nie pałętał się pod nogami z tą bandą wiecznie zawianych kompanów. Ale Anna nie lubiła żyć w zawieszeniu. Najpierw czekała na niego, to z obiadem, to z kolacją. Potem przestała czekać, bo nie przychodził nawet na śniadanie. Powoli przyzwyczajała się do jego nieobecności, a wręcz ją ona cieszyła. Naprawdę było im najlepiej, gdy go nie było w pobliżu.

Wrócił w nocy. Na tyle pijany, że położył się w salonie i od razu zasnął. Nawet się nie awanturował, jak to miał w zwyczaju. Dobrze, że zostało trochę pierogów. Byłby zły, że nie ma obiadu, co byłoby pewnie kolejnym powodem do wywołania awantury. A tak... znajdzie inny. Zawsze znajdował.

## Rozdział 6

*Dzień dobry, kochani! Wciąż pada! Dzisiaj dwudziesty trzeci grudnia. Dokładnie tego dnia w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku w warszawskim dzienniku „Słowo” ukazał się pierwszy odcinek „Potopu” Henryka Sienkiewicza. Z kolei cztery lata później Vincent van Gogh obciął sobie brzytwą kawałek prawego ucha.*

*Zaczynamy dramatycznie dziś z tymi wiadomościami! Ale nie dajemy się smutkom i lecimy dalej! Na przykład powiem wam, że w Hiszpanii została wylosowana nagroda główna w corocznej lokalnej loterii świątecznej. Cztery miliony euro! Co byście zrobili z takimi pieniędzmi?*

*Słońce zobaczymy na horyzoncie o godzinie siódmej czterdzieści trzy. Zajdzie o piętnastej dwadzieścia pięć. Dzień trwa siedem godzin i czterdzieści dwie minuty i jest krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty. Nie mogę się doczekać, kiedy będę państwu mówić, że dzień jest dłuższy! Już niedługo!*

*Imieniny obchodzą: Anatolia, Bazylides, Dagobert, Ewaryst, Ewarysta, Gelazy, Iwo, Iwona, Mardoniusz, Oktawian, Saturnin, Serwul, Sławomir, Sławomira, Teodul, Torlak, Wiktor i Wiktoria. Serdeczności dla wszystkich!*

*Jutro Wigilia!*

# 1.

O piątej rano Marta siedziała na lotnisku Okęcie i zastanawiała się, co ona tam, do cholery, robi. Miała naprawdę ogromną nadzieję, że zdarzy się jakiś cud i nie będzie musiała lecieć na te Malediwy, które przez różne zawirowania dziejowe straciły dla niej w ostatnich dniach cały urok.

Tak ją namawiał, tak zachwalał i co? I w końcu nie poleciał. Gdyby to nie chodziło o Agnieszkę, byłaby na Mikołaja bardzo zła, ale w tym wypadku była skłonna mu wybaczyć. O ile jej nie skrzywdzi. Albo... ona jego.

Wyglądało na to, że teraz jej brat i jej najlepsza przyjaciółka po prostu nie mają wyjścia – muszą się pobrać i żyć długo i szczęśliwie. Dla dobra relacji rodzinnych i przyjacielskich. Czyli ogólnie dla dobra relacji międzyludzkich również.

Za chwilę miała przyjść pracownica biura podróży i powiedzieć jej, czy udało się opchnąć dwa bilety. Marta nie chciała jechać bez brata, z jego znajomymi. Z Mikołajem był cień szansy, że będzie się dobrze bawić, poza tym... Poza tym Wigilia to święto rodzinne i chciała mieć przy sobie kogoś bliskiego. Była bardzo zaskoczona tymi myślami. Nie podejrzewała siebie o takie refleksje. W życiu nie była sentymentalna. No, może ostatnio...

Spojrzała na bagaż podręczny, w którym na samym wierzchu położyła prezent od Agnieszki, bombkę ze swoim imieniem. Pamiętała, że gdziekolwiek będzie, ma ją powiesić i pomyśleć o tym, że nie jest sama na tym świecie. Do cholery, nie jest sama!

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze chwilę. Zajrzała na tablicę informacyjną. Właśnie wyświetlił się samolot do Gdańska. A może by tak zmienić plany? Niekoniecznie dzisiaj, ale na przykład zrobić im wszystkim niespodziankę i w Wigilię się pojawić, niczym niespodziewany gość, zbłąkany wędrowiec? Uśmiechnęła się do swoich myśli. Może to lepsze niż Malediwy?

– Udało się, pani Marto. – Usłyszała nagle. – Państwo z listy rezerwowej polecą.

Z jednej strony poczuła ulgę, a z drugiej – żal i trochę złość na Mikołaja.

– Ale będą musieli państwo pokryć wszelkie koszty związane z przebukowaniem biletów – kontynuowała pracownica biura podróży.

– Jasne, pokryjemy – zgodziła się Marta.

– No, to miłych wakacji życzę państwu, a pani, pani Marto, białego Bożego Narodzenia! – Uśmiechnęła się. – No i zapraszamy panią i pana Mikołaja następnym razem. A mogę wiedzieć, co było przyczyną tak nagłej zmiany planów?

– Miłość – wyznała spontanicznie Marta.

– Miłość? – Kobieta jadąca na wakacje rozpromieniła się i spojrzała na swojego partnera. – Jakie to romantyczne! Trzymamy kciuki.

Marta chciała wytłumaczyć, że to nie o nią chodzi, że ona jeszcze nie trafiła na odpowiedniego mężczyznę, że wprawdzie był taki jeden, kiedyś, dawno, ale wyjechał na studia artystyczne do Paryża i teraz pewnie malował akty francuskich pań do towarzystwa gdzieś w pracowni niedaleko placu Pigalle. Albo gdziekolwiek, gdzie można malować akty pań do towarzystwa. Zdolny był. Marnowałby się w Polsce. A ona nie mogła jechać z nim.



Nie mogła, a może się bała? Jeździła po całym świecie na pokazy mody i może już miała tego dosyć? Czasem żałowała, że tak to się skończyło...

Wychodząc z lotniska, usłyszała, że ktoś ją woła.

– Marta!

– Paweł? – zdziwiła się. Nie wierzyła w to, że go widzi. Przecież przed chwilą o nim myślała. Właściwie po raz pierwszy od dawna go wspominała, a tu taki nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Ale spotkanie! – Ucałował ją w policzek. – Co tu robisz tak wcześnie?

– Miałam lecieć na wakacje, ale... nie poleciałam.

– A co się stało?

– Dużo do opowiadania. – Roześmiała się.

– Może kawa? Będę tutaj chwilę, a w Wigilię lecę do Gdańska.

Marta podjęła szybką decyzję.

– Kawa z przyjemnością! A co do Gdańska, to się doskonale składa, bo ja też spędzam tam święta!

\*\*\*

Pawła poznała podczas kursów rysunku. Niespecjalnie sobie radziła i niespecjalnie ją to interesowało, ale za to Paweł interesował ją bardzo. Chłopak w jej wieku. Maturzysta, który zapisał się na kurs rysunku i malarstwa w sali wynajętej przez mamę w Domu Seniora Happy End. Marta uśmiechnęła się do swoich myśli. Po tym kursie jej mama powiedziała, że już nigdy tej sali nie wynajmie żadnym artystom, bo to obniża morale. Marta się dziwiła, o jakie morale chodziło. Jej zdaniem wszyscy doskonale się bawili.

## 2.

To było kilka dobrych lat temu. Krystyna dopiero zaczynała prowadzić biznes. Uparła się, że za wszelką cenę jej interes od początku będzie rentowny. Miał przynosić dochód, i już! Chciała pokazać mężowi, że nie tylko on daje radę. Takie były plany, ale ponura rzeczywistość jakoś nie chciała jej dopomóc w drodze do szybkiego sukcesu i Krystyna ledwo wiązała koniec z końcem. Nie była nawet w stanie wyremontować wszystkich pomieszczeń i oddać ich do użytku. Miała zaledwie kilkoro pensjonariuszy, w tym panów Jana i Leopolda. Żaden z nich nie przejawiał zainteresowania sztuką. Do czasu, aż wynajęła salę na kursy przygotowawcze do akademii sztuk pięknych. Mężczyźni natychmiast ozdrowieli! Pan Leopold, który zwykle się poruszał wsparty na balkoniku, nagle już go nie potrzebował, a pan Jan w ogóle zaczął częściej spacerować po korytarzu. Szczególnie w czasie, kiedy odbywały się zajęcia.

Krystyna nie wnikała, co się działo w czasie kursu rysunku, jednak panów interesowało to jak najbardziej. Leopold za każdym razem, gdy młodzi artyści uczyli się malować, zaglądał przez szparę w drzwiach i chłonał każde słowo wypowiedane przez nauczyciela. Zresztą chłonał nie tylko słowa! Również widok nagiej modelki o wielce obfitych kształtach był balsamem dla jego zmysłów.

Kiedyś Krystyna go na tym przyłapała.

– Panie Leopoldzie, ja nie wiedziałam, że pan jest tak zainteresowany sztuką – powiedziała, zaskoczona.

– On sam też nie wiedział – mruknął Jan, który pojawił się nie wiadomo skąd.

– Panie Leopoldzie! Trzeba z tym coś zrobić!

Krystyna, która chciała wszystkim nieba uchylić, stwierdziła, że aktywizacja starszych osób to bardzo istotna sprawa, i załatwiła panu Leopoldowi wstęp na lekcje malarstwa. Naprawdę nie zdawała sobie sprawy, iż pan Leopold wolał tę gołą babę obserwować z ukrycia. I że doprawdy nie musi jej rysować, by na nią popatrzeć. Wszyscy studenci malowali akty, a Leopold cierpiał. W przeciwieństwie do Jana, który teraz przejął po koleżdze stanowisko obserwacyjne przy szparze w drzwiach i z wielkim zainteresowaniem podglądał modelkę.

Po pierwszych zajęciach naburmuszony Leopold wyszedł z kartką w dłoni.

– Pokaż – zażądał Jan.

– E tam. – Machnął ręką.

– Pokaż! – upierał się starszek.

Ociągając się, Leopold pokazał rysunek. Jan obejrzał z lewej, potem z prawej. Popatrzył od góry i od dołu. Przekręcił do góry nogami. Nie widział nic oprócz kilku kółek i kilku kresek.

– Co to jest? – zapytał.

– Ta modelka. Kobieta.

– Ale ona jest zupełnie niepodobna! – Jan z niesmakiem pokręcił głową, nie mogąc zrozumieć, jak można tak paskudnie przedstawić te boskie kształty.

– Taka jest moja wizja artystyczna i nic ci do tego – mruknął z wyższością Leopold. – Każdy artysta postrzega rzeczywistość inaczej. Ja tę kobietę tak widziałem.

Jan poklepał Leopolda pokrzepiająco po ramieniu i stwierdził:

– Stary, jeśli ty ją tak widziałeś, jak ją narysowałeś, to ja ci bardzo współczuję. Ona naprawdę wyglądała zupełnie inaczej. Żałuj, że jej nie widziałeś takiej, jaka ona była naprawdę.

\*\*\*

Po tym wszystkim, gdy już wyszedł na jaw prawdziwy powód zainteresowania sztuką przez pensjonariuszy Happy Endu, Krystyna stwierdziła, że nigdy więcej nie będzie wynajmować żadnych pomieszczeń w domu seniora.

Dobłą stroną tych wydarzeń było jednak to, że na kurs chodził Paweł, który po kilku lekcjach uznał, iż rysuje tak pięknie, że mógłby narysować Martę. Zgodziła się bez wahania. Teraz zrobiłaby dokładnie to samo.

### 3.

– Agnieszka, uciekłaś jednak?! – zawołał Mikołaj, gdy się obudził i zobaczył, że nie ma jej obok. – Czy tak naprawdę nigdy cię nie było i po prostu mi się śniłaś?

Z okolic łazienki dobiegł śmiech.

– Słuchaj, ja nie rozumiem, jak w tych wszystkich filmach bohaterowie mogą się namiętnie całować zaraz po przebudzeniu, a nawet nie myją zębów. – Oparła się o framugę drzwi z łazienki.

Mikołaj spojrział na nią zadziwiony. On w życiu by nie pomyślał o tym, by umyć zęby, gdyby się obudził tuż przy Agnieszce, na dodatek trzymając ją w ramionach. I byłaby taka ciepła, rozespana... Ale oczywiście nie przyznał jej racji, bo mogłaby sobie coś złego o nim pomyśleć.

– To znaczy, że jak umyję zęby, możemy powrócić do tematu? – zapytał, puszczając oko.

– Jakiego tematu?

– Tematu namiętnych pocałunków! – zawołał. – Ba, nawet mogę się cały wykapać, mamy już ten luksus, że działa prysznic, jest ciepła woda...

– I nawet działa pralka. Masz coś do prania? Bo wstawiam.

– Ot, proza życia. Ja tutaj o romantycznych uniesieniach, a ty już chcesz wskoczyć na wyższy poziom związku i prać moje gacie.

– Pralka będzie prała, nie ja. Ja ich nawet nie dotknę!

– Będziesz je wieszać na lince.

– Mamy pralkosuszkę. – Roześmiała się. – Po południu będzie wszystko czyste i pachnące.

Mikołaj, prawdę mówiąc, zamiast świeżej bielizny wolałby czystą i pachnącą Agnieszkę tuż obok siebie. E tam, czystą! Mogłaby nawet być brudna i mniej pachnieć. Wstał jednak z łóżka i zajrzał do swojej torby. Wyciągnął brudne rzeczy i poszedł je wrzucić do pralki. Potem dokładnie umył zęby. Na koniec dwa razy wypłukał płynem stojącym w łazience. Tak na wszelki wypadek. Wolał być zwarty i gotowy na... nadchodzący dzień. No dobra, na ewentualne namiętne pocałunki również. I nie tylko.

## 4.

Rano na Artura czekał gorący rosół. Anna poszła też do sklepu po kefir i przygotowała aspirynę. Wiedziała, że po imprezie Artur będzie dochodził do siebie przez kilka godzin, ale nie chciała go denerwować. Nawet jej samej wydawało się to dziwne, ale wciąż marzyła, że „jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie”. Który to już raz? Nie liczyła.

– Jak się czujesz? – zapytała, gdy się obudził.

– Gruba impreza była. – Ziewnął. – Trzy dni trwała.

– Artur, wiem, gdzie byłeś – powiedziała cicho. – Twoja mama do mnie dzwoniła. Nie musisz kręcić.

– Nie mów Zosi. Nie chcę, by o tym wiedziała.

Anna poczuła ciepło w sercu. Jednak mu zależało na córce. A skoro mu zależało, nie mógł być takim złym człowiekiem. Tylko bardzo zagubionym.

Po raz kolejny go tłumaczyła. Jak mało potrzeba naiwnej kobiecie, by uwierzyła w dobro...

\*\*\*

W dobro natomiast nie wierzył Robert. Wiedział, że Artur wyszedł poprzedniego wieczoru. Wiedział również, że tamtą noc spędził w jakimś klubie. Nawet z taką jedną gdzieś wyszedł. Rozmawiali cały wieczór, chyba się też kłócili. Wyglądali, jakby się znali nie od dziś. Robert się dziwił, że jakakolwiek kobieta mogłaby się zainteresować kimś takim. No ale nie wnikał, nie to go interesowało. Nie zauważył, by Artur się awanturował czy był niebezpieczny. Zresztą był tak pijany, że i tak by nic nie działo, o ile w ogóle udałoby mu się dotrzeć do niej, do domu.

Nie miał pojęcia, jak pomóc tej dziewczynie. Przecież nie pójdzie do niej i nie powie, by się do niego wprowadziła z dzieckiem. Że będzie dla nich dobry, że będzie się starał... Jakie to dziwne i zarazem tak często spotykane, że przyzwoici faceci są samotni, a fajne, normalne kobiety trafiają na ostatnich drani. Może właśnie dlatego, że są tak bardzo w porządku, chcą naprawiać świat i w związku z tym myślą, że uda im się również zmienić mężczyznę, który tak naprawdę wcale tej zmiany nie chce? Z daleka przecież widać, że Artur na nią nie zasługiwał i że z każdym dniem w ich związku będzie coraz gorzej.

Zbliżały się święta. Robert jako jedyny policjant pracujący w komisariacie nie miał rodziny. Normalnym było to, że to właśnie on będzie dyżurował. Zgodził się. Nie miał i tak nic lepszego do roboty. A może dzięki temu będzie miał kontrolę nad tym, co się dzieje? I nie dopuści do niczego jeszcze gorszego?

## 5.

Adam miał wrażenie, że już nic nie kontroluje. Szczególnie zaś swojej żony, a w zasadzie byłej żony, która wymykała mu się z rąk. Może gdyby była jego ślubną, byłoby inaczej. Jak normalni ludzie siedliby razem do Wigilii. Mieli duży dom, a i tak każde z nich spędzało czas w małej klitce w swojej pracy. Czy nie pogubili się już w tym wszystkim? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że za dużo pracy, za mało bycia razem. Zawsze tak było i chyba się do tego po prostu przyzwyczaili. Może trzeba zacząć od nowa? Zwykle takim początkiem jest ślub i miesiąc miodowy.

Hm, ślub... A gdyby się tak oświadczył Krystynie? Gdyby wyprawili cudne przyjęcie? Po raz pierwszy w życiu nie dla tych, których wypadałoby zaprosić, ich często nudnych, bogatych znajomych, tylko dla tych, z którymi naprawdę chcieliby dzielić ten dzień. Kiedy ostatnio zorganizowali takie przyjęcie? Nie pamiętał. Ale miał na to ochotę. Miał ochotę, by jego dzieci były na miejscu, by przyprowadziły swoich przyjaciół.

Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał? Dlaczego nie zaplanował, by spędzić razem święta? Zadzwoń do Krystyny i jej to zaproponuj. Może nie zdążą z przyjęciem, ale po prostu będą razem.

\*\*\*

– Krystyno, jakie masz plany na święta? – zapytał oficjalnie, choć aż go rozpiekało z emocji, o których istnienie nawet się nie podejrzewał.

– A nie mamy wspólnych planów? – zdziwiła się.

– Ależ mamy, mamy!

– Coś się zmieniło? – zaniepokoiła się. – Nie chcesz spędzać ze mną świąt?

\*\*\*

Krystyna się rozłączyła. Coś jej się nie podobało... Adam zachowywał się tak, jakby chciał wybadać jej świąteczne plany. Może miał inne i bał się, że będą kolidować z tym, co on sobie zaplanował?

Przetrwali kryzys wieku średniego. Miała nadzieję, że zestarzeją się razem, a od pewnego czasu szli przez to życie jakby osobno. Może przez ten rozwód? Kto normalny rozwodzi się tylko dlatego, że robi biznesy? Przecież to z pewnością źle wróży. Nie można się rozwodzić ot tak. To chyba był błąd. Mieli to szybko naprawić, ponownie się pobrać, ale wciąż to odkładali, bo wiecznie nie było czasu. A może nie było ochoty? Ona by chciała, ale on pewnie nie. Przecież mówił, że załatwi to od razu, a mimo to nie wykonał żadnego ruchu, by znów mogli być małżeństwem.

A może kwestie finansowe były tylko pretekstem? Pretekstem do tego, by mógł iść przez życie sam, w zupełnie innym kierunku niż ona? Pewnie tak. Dobrze, że ma swoje zainteresowania. Ten dom seniora od pewnego momentu był jej całym światem. Chyba już nie będzie szukać miłości. Miłość przeżyła z Adamem. Tak kocha się chyba tylko raz.

*Nie mam planów na święta. Spędzę je tutaj* – wysłała esemesa. Chciała mu jeszcze napisać, że wolałaby z nim te święta spędzać, że wspomina to, jak jej dawał prezenty. Pod choinką zawsze te najbrzydziej zapakowane były jej. Bo wszystkim innym pakowała ona,

a on zawsze się starał zrobić to jak najładniej, ale niestety zupełnie nie miał talentu w tym kierunku.

Uśmiechnęła się do wspomnień. To były fajne czasy. Dzieci były małe i w domu było gwarno. Chociaż uciekali z tego domu często. Zwiedzali świat. Ale zawsze razem. Kiedy to się wszystko rozsypało?

\*\*\*

Adam przeczytał esemesa. Bezosobowy. Zupełnie niepodobne do Krystyny. Nic, trudno, spędzi święta tutaj. Miał najpiękniejszą na świecie choinkę. Szkoda tylko, że ta choinka nie będzie cieszyła nikogo w wigilijny wieczór.

Westchnął i spojrzał na kamery. Uśmiechnął się. Lubił ten widok – dziewczynka skacząca wokół koszyka i kobieta. A gdyby tak zszedł na dół z tym misiem i jej po prostu go dał w prezencie? Przyjęłaby? Postanowił wy badać sytuację.

Zszedł do sklepu, minął kilka półek i nagle je zobaczył.

– Mamo, ktoś chyba kupił mojego misia – rozpaczliwie jęknęła mała.

– Kochanie, wiesz, że my go sobie tylko pożyczaliśmy, a to była zabawka na sprzedaż. Ale pewnie znalazł dobry dom... – Kobieta kucnęła przy córce i próbowała ją pocieszyć.

– Wiem... Ale tak przez krótką chwilę, gdy ten miś był w naszym koszyku, wyobrażałam sobie, że tak prawie jest mój. Bo jak już się wkłada do koszyka, to wystarczy zapłacić, i już! Mamo, a może... Mikołaj przyniesie mi tego misia?

Anna się uśmiechnęła. Miała schowane pieniądze na święta i na misia by z pewnością wystarczyło. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślała, bo teraz już ktoś go kupił i będzie musiała szukać podobnego.

– Wszystko się może zdarzyć.

– Dobrze, że jest Mikołaj, bo ten miś strasznie drogo kosztuje. Tata mi powiedział, że Mikołaj nie istnieje, ale ja wiem, że to nieprawda. Gdyby nie istniał, nie dostawałabym prezentów, a zawsze znajduję coś pod choinką. Tata mówi, że to rodzice tam wkładają. Ale ja mu nie wierzę. Tata nigdy mi nic nie daje, a ty nie masz tak dużo pieniędzy, by kupić mi takiego misia. Prawda?

Kiedy Anna przytuliła córkę, kątem oka zobaczyła, że przypatruje im się jakiś mężczyzna. Wyglądał bardzo sympatycznie, więc uśmiechnęła się do niego. Potem poszły z Zosią dalej bawić się w marzenia.

## 6.

- Siostry przyszły po ciebie – powiedziała Melania zaraz po wejściu do kuchni.
- Ale po co? – zdziwiła się Eleonora.
- Na Wigilię chcą cię zabrać.
- Też coś! Przecież Wigilia już była. Wczoraj. – Wzruszyła ramionami. – Ja się nigdzie nie wybieram.
- Jednak! – ucieszył się Zenon, gdyż szczerze lubił Elę. Ba, nawet mu się podobała i miał nadzieję, że może jeszcze jakaś radość go w życiu czeka.
- Co jednak?
- Jednak się nie wybierasz! W końcu to przyznałaś! – powtórzył uradowany Zenon.
- Na Wigilię się nie wybieram. Do sióstr. A TAM to się wybieram od dawna. Tylko usta poszminkuję – podsumowała wyniośle i z gracją odwróciła się na pięcie.

\*\*\*

Dwie dystygowane siostry Eleonory oraz ich mąż, a właściwie mąż jednej z nich – Krystyna do tej pory nie wiedziała której – nie dopuszczali do siebie myśli, że spędzą święta bez najstarszej w rodzie. Obie się zastanawiały, jak przekonać siostrę do tego, by jak w każdym normalnym i szanującym się domu ich rodzina również zasiadła razem przy wigilijnym stole. Stały w holu i dyskutowały zawzięcie, jakich to użyć argumentów. Mąż jednej z nich jak zawsze siedział bez słowa.

To był dziwny człowiek. Nigdy się nie odzywał. Może niemowa? Krystyna nie wnikała, bo ludzie nie zawsze chcą rozmawiać z obcymi na trudne, a może nawet wstydlive tematy. Zawsze elegancko ubrany, uczesany, delikatnie pachnący wodą kolońską. Dżentelmen starej daty. Na jego nosie zawsze tkwiły bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne. Krystyna zastanawiała się wielokrotnie, dlaczego on tak stale w takich ciemnych okularach. Może niewidomy? No i zawsze milczący. Tak, z pewnością też nie mówi. Bo przecież powiedziałyby cokolwiek chociaż raz. Biedne te siostry Eleonory, tyle smutku w ich życiu.

Teraz ten mąż też siedział bez słowa na krześle. Gdy obie poszły jeszcze raz namawiać siostrę na wspólne spędzenie świątecznego czasu, Krystyna po cichu stanęła przed mężczyzną i się do niego uśmiechnęła. Nie zareagował. Pomachała mu przed oczami. Nic. Drugi raz. Również nic. Nie wiadomo, dlaczego przyszło jej to do głowy, bo była przecież poważną panią dyrektor tego przybytku, ale postanowiła zatańczyć. Kilka seksownych ruchów biodrami, kilka obrotów i noga w górę, jak przy kankanie. Odwróciła się do niego tyłem i zaczęła trząść pośladkami, niczym na karnawale w Rio. Mężczyzna nie reagował. Był jak skała. Biedny człowiek... coś z nim było nie tak. Na końcu nie mogła się powstrzymać, by mu nie wytknąć języka. Ostatnie dni zdecydowanie ją przerosły i musiała dać upust nagromadzonemu emocjom.

- Eleonora nie idzie z nami. – Jedna z sióstr zjawiała się w przedpokoju.
- Nic więcej nie możemy zrobić – dodała druga. – Albercie, idziemy do domu – rozkazała.
- Czy za drugą osobę z rodziny jest jakaś zniżka? Skorzystałbym chętnie – odezwał się nagle mężczyzna. – Ładnie pani tańczy – dodał, patrząc w kierunku Krystyny.



## 7.

– Ja się szykowałem na romantyczny dzień, a ty mi tutaj każesz fizycznie pracować. – Mikołaj udawał niezadowolonego.

Agnieszka z zaczerwienionymi policzkami odpałała właśnie piłę spalinową i ze skupionym wyrazem twarzy wbiła ją w drzewo leżące na ziemi. Piłowali na zmianę. Nie była to łatwa robota.

– Z tą piłą wyglądasz jak dziewczyna z okładki kalendarza dla niegrzecznych mężczyzn – mruknął z zachwytem Mikołaj. – Tylko jesteś nieco za bardzo ubrana.

– Co? – Agnieszka wyłączyła piłę.

– Za bardzo ubrana jesteś! – powtórzył.

– Zaraz normalnie się rozbiore, bo gorąco. – Pokręciła głową, ocierając pot z czoła. – Większe drzewo to nie mogło spaść.

– Gdyby spadło mniejsze, przesunęlibyśmy je z łatwością i nie spędzilibyśmy tych kilku dni razem.

– Racja – przyznała. – Ale ja na dzisiaj mam już dość.

– Jutro też jest dzień.

– A jutro też ze mną zostajesz? – zapytała zadziornie Agnieszka.

– Najchętniej jutro i pojutrze...

– Każdej tak mówisz?

Posmutniał nagle i uciął temat:

– Nie.

– A skąd mam wiedzieć, że potrwa to dłużej niż tydzień? Że znowu nie będę przez ciebie płakać?

– Płakałaś przeze mnie? – wyszeptał.

Skinęła głową.

– Przepraszam...

– Chyba niejedna przez ciebie płakała.

– Nie mówimy teraz o innych.

– A będziemy o nich mówić kiedykolwiek?

– A chcesz?

– Chyba nie.

– Nieważne to, co było. Ważne to, co jest teraz. – Próbował odciąć się od kłopotliwych tematów z przeszłości. Nie był święty, ale teraz naprawdę chciał być lepszy, najlepszy... dla niej.

– A co będzie jutro?

– Tego ani ja, ani ty nie wiemy. Można jedynie się starać, by to jutro było co najmniej tak piękne, jak dziś.

– Albo jeszcze piękniejsze.

– To jest chyba niemożliwe. Rozejrzyj się, jak tu jest pięknie. Potrzeba nam czegoś więcej?

To prawda, było zjawiskowo pięknie. Śnieg nadal utrzymywał się na koronach drzew. Wszędzie biało.

– Jak z pocztówki. Można by dodać, że jeszcze tylko Mikołaja brakuje. – Roześmiała się. – Ale nie brakuje. Ostatnio, jak sobie to pomyślałam, pojawiłeś się ty.

– Może już wystarczy Mikołajów? Wolałbym się z nikim tobą nie dzielić.

– Taki jesteś zaborczy?

– Jak kocham, to tak – powiedział cicho Mikołaj.

– Nie sądzisz, że to chyba za wcześnie na takie deklaracje? – zapytała poważnie Agnieszka.

– Czy ja wiem? – Zamyślił się na chwilę. – Czasem pewne rzeczy zdarzają się nagle. W ogóle na nie nie czekamy, w ogóle się ich nie spodziewamy. I wydaje się, że to zupełnie nie jest odpowiedni moment...

– Tak jak teraz?

– Tak jak teraz – zgodził się. – Kilka razy pomyślałem, że lepiej byłoby, gdyby to wszystko zdarzyło się po moim powrocie. Zawsze chciałem polecieć na Malediwy.

– Żałujesz...

– Nie, nie żałuję. Zawsze też chciałem poczuć coś takiego, jak poczułem wtedy... jak czuję teraz.

– Mówiłam już, że zbyt wcześnie na deklaracje. – Agnieszka pokręciła głową.

– Może masz rację. – Zmarszczył brwi. – Może za wcześnie. Tym bardziej że ja, stary facet, pewnych rzeczy sam nie ogarniam. Jak dzieciak. Na przykład teraz nie ogarniam, że mamy randkę z piłą spalinową. I na dodatek jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

– Chodź. – Podała mu rękę. – Pogadamy w domu.

\*\*\*

– A czym według ciebie jest miłość? – zapytał, gdy leżeli na podłodze tuż przed kominkiem. Okryci kocem. Obok nich stały kubki z grzańcem.

– Lojalność. Przyjaźń. I to coś.

– To coś?

– Coś nieuchwytnego. Takiego, co powoduje, że uśmiechasz się do całego świata. Chyba tak masz tylko wtedy, gdy jesteś zakochana. Kiedy idziesz sobie, rozglądasz się i myślisz, że jesteś szczęściarą. Oczywiście jeżeli kochasz z wzajemnością.

– A jak bez? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– A jak bez, to uciekasz – powiedziała, zapatrzona w ogień w kominku. – Płaczesz. Jeździsz bez celu nocnym autobusem...

– Nie chcę pytać... – Mikołaj złapał Agnieszkę za rękę.

– Nie pytaj. Bo i tak ci nie powiem.

– A po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój... – zanucił.

– I znowu słońce wstaje.

– Zawsze wstaje. Taka jego rola.

– Właśnie, kiedy jesteś zakochany z wzajemnością, to cieszy cię to, że słońce wschodzi, cieszysz się też jego zachodami. Podoba ci się księżyc i gwiazdy. A kiedy masz złamane serce, to się dziwisz, że twój świat runął, a nikt wokół tego nie dostrzega. I myślisz wtedy, że to bardzo niesprawiedliwe...

Rozmawiali do późna. Poruszali wiele tematów, niektóre specjalnie omijając z daleka. Na nie jeszcze miał przyjść czas. Zasnęli potem razem, mocno się przytulając.

- Nie chcę cię wypuścić. Nie chcę, byś uciekała.
- Jak nie będę musiała uciekać, to nie będę.
- Dlaczego uciekasz? Ze strachu? Przecież nie jesteś bojaźliwa.
- Nie. Uciekam dlatego, że jestem dumna. Nie chcę się nikomu narzucać. I wolę pierwsza odejść, niż zostać porzucona.
- Ale dzisiaj nigdzie nie odchodź, dobra? – poprosił, wtulając się w jej włosy.
- Dzisiaj mam zupełnie inne plany...

## 8.

– Gdzie są pieniądze, które były schowane w kuchni? – zapytała Artura wieczorem, gdy Zosia już zasnęła.

– Jakie pieniądze? – Udawał, że nic nie wie.

– Pięćset złotych! To były pieniądze na święta i prezent dla Zosi.

– Aleś je dobrze ukryła! – Zaczął rechotać. – Gdyby nie to, że założyłem się z kumplem, że zjem całą cebulę, nigdy bym ich nie znalazł. Przecież wiesz, że do garów to ja się nie garnę.

– Gdzie są te pieniądze? – powtórzyła pytanie, czując, że powoli traci spokój.

– Nie ma! Wyparowały. – Artur podniósł ręce i zaczął udawać motyla. – Odfrunęły.

Anna była coraz bardziej zdenerwowana.

– To były moje pieniądze – powiedziała twardo. – Oddaj mi je.

– A od kiedy się tak dzielimy? Od dzisiaj? Proszę bardzo, jeżeli od dzisiaj, to ja sobie wzięłam te pieniądze za to, że u mnie mieszkasz!

– Artur! – Anna myślała, że już się uodporniła na jego zagrania, jednak oczy jej się zaszklily. Tym razem zupełnie nie chodziło o nią, a o jej córkę. – To co damy Zosi pod choinkę?

– Pod choinkę? Czy ty tu widzisz jakąś choinkę?

– Jeszcze nie, ale będzie. Jak co roku.

– Zosia już jest za duża, by wierzyć w Mikołaja, więc po problemie – burknął Artur, otwierając kolejne piwo. – Ale ja nie jestem za duży. – Podniósł butelkę, jakby chciał wznieść toast. – Zdrowie Mikołaja! On jest sponsorem dzisiejszego alkoholu.

Anna nie wytrzymała. Jej ręka wylądowała na policzku Artura. Był równie zaskoczony, jak ona.

– Co... Co ty właśnie...? – Złapał się za policzek i spojrzał na nią z nienawiścią.

Ruszył w jej stronę, ale była szybsza. Uciekła z mieszkania, a potem zaraz wybiegła z klatki. Popędził za nią, ale stanęła za ławką, więc Artur nie mógł jej dosięgnąć.

– Wróćisz. – Uśmiechnął się złośliwie. – Nie zostawisz jej ze mną samej – dodał kpiąco. – To co, wracasz teraz czy trochę się pobawimy w kotka i myszkę? – Próbował ją złapać.

– Ej! – Usłyszała nagle Anna. Po drugiej strony ulicy stał wierny kompan Artura od kieliszka. Znienawidzony przez nią Michał. – Arti, idziesz czy pierogi lepisz? – Zarechotał, jakby udało mu się powiedzieć najlepszy dowcip.

– Upiekło ci się dzisiaj. Ale tylko dzisiaj. – Posłał jej całusa i poszedł w stronę Michała. – Mamy kasę. Patrz, Mikołaj jednak istnieje, a nigdy w niego nie wierzyłem!

Anna się nie spodziewała, że kiedykolwiek będzie dziękowała Bogu za Michała, a tym bardziej za to, że wyciągnął Artura na picie.

Wróciła do domu. Zosia na szczęście się nie obudziła. Uśmiechała się przez sen. Anna pogłaskała ją po włosach. Jak dobrze, że mimo tego, w jakich warunkach się wychowywała, zdawała sobie z tego nic nie robić. Anna ją chroniła, by nie widziała zbyt wiele, ale tak do końca nie było to możliwe.

Pozbierała puste butelki po piwie, starła stół. Usiadła przy nim i schowała głowę w dłoniach. Od razu dopadł ją wisielczy nastrój... Tak nie może być! Myślała o tym wielokrotnie, ale zupełnie nie miała pomysłu, co zrobić. Może powinna wrócić do mamy? Powiedzieć stanowczo, że jest jej źle, że dłużej nie może tak żyć. Wiedziała jednak, co usłyszy. Usłyszy to, czego uczyła Zosię – że trzeba ponosić konsekwencje podejmowanych decyzji. Westchnęła.

Na tym polega dorosłe życie? Rozumiała już Piotrusia Pana, który zawsze chciał pozostać mały. Szkoda, że nie doceniamy tego, kiedy tak beztrosko śpimy, gdy mamy pięć lat. I tak szybko chcemy dorosnąć. Gonimy za tą dorosłością, tylko zapominamy przy tym, że w tym wypadku już nie można zawrócić. A czasem tak bardzo byłoby potrzebne, by cofnąć czas i dokonać innych wyborów.

Ile jeszcze będzie takich wieczorów i nocy, kiedy będzie się cieszyć, że Artur gdzieś wyszedł, i modlić o to, by wrócił jak najpóźniej? Najlepiej na tyle pijany, by już nic od niej nie chciał. To było chyba jeszcze gorsze niż bicie.

Nie zdawała sobie sprawy, że nie będzie już w jej życiu wielu takich chwil. Z jego strony chyba naprawdę przestało jej grozić cokolwiek. Przynajmniej na jakiś czas. Życie jednak przyzwyczaiło Annę, że zawsze nadstawiała drugi policzek. Dlatego pewnie nie rozumiała, że czasem, aby wypłynąć na powierzchnię, trzeba się odbić od dna. Anna myślała, że już dawno tego dna sięgnęła, jednak los szykował dla niej jeszcze niemiłe niespodzianki.

## 9.

Krystyna siedziała na swoim poddaszu w domu seniora. Na dole Irenka po kryjomu popijała piwo z sokiem malinowym. Zawsze myślała, że wielka z niej konspiratorka, ale tak naprawdę Krystyna zawsze przymykała na to oko. Bo co jej już mogło zaszkodzić? Jedno piwo?

Pamiętała, kiedy zauważyła to po raz pierwszy. Seniorzy oglądali jakiś mecz. Irenka jak zawsze dzierżyła pilot w dłoniach, głośno pokrzykując. Krystyna na chwilę weszła cichutko do pokoju telewizyjnego, więc nikt jej nie zauważył. Zdziwiła się, kiedy jej oczom ukazała się taka oto scena: Irenka piła piwko, Zenon raczył się czerwonym winem, a Eleonora sączyła szampana. Krystyna nie chciała psuć im wieczoru, dlatego też uznała, że nie ma o co kruszyć kopii.

Następnego dnia jednak spotkała Irenkę przy śniadaniu.

– Irenka, co to za alkohol był wczoraj przy meczu?

– Alkohol? Jaki alkohol? Ja nic nie pamiętam! Ja kompletnie nie pamiętam wczorajszego meczu. Ja go w ogóle oglądałam? To musi być alzheimer!

Dlatego właśnie Krystyna postanowiła następnym razem nie reagować. Podejrzewała, że gdyby znowu interweniowała, Irenka też by się wszystkiego wyparła. A nie było przecież możliwości upilnowania wszystkich przez całą dobę. Zwłaszcza że trafiła jej się wyjątkowo kreatywna i dziarska gromadka podopiecznych.

\*\*\*

Zapowiadał się spokojny wieczór. Chociaż Krystyna już się nauczyła, że jak zapowiada się spokojny wieczór, to zawsze następuje coś niespodziewanego. Taki chichot losu, by nie myślała sobie, że jest tak łatwo i przyjemnie.

Wigilia w Happy Endzie mogła zostać uznana za spektakularny sukces. Teraz można było odpocząć. Zdjęła buty i włączyła sobie świąteczne piosenki. Michael Bublé. Bardzo go lubiła. Nalała sobie wino do kieliszka. Ze świątami zawsze bardziej kojarzyło jej się czerwone, ale najbardziej lubiła białe półśłodkie. Adam twierdził, że półśłodkie to nie jest wino... Fajnie im było kiedyś. Za dawnych lat, za dawnych czasów...

Już miała do niego zadzwonić, gdy na dole usłyszała jakiś harmider. Po chwili kroki na schodach do góry i głośne pukanie. Krystyna westchnęła. Wstała i otworzyła drzwi.

– Ja już dłużej tego nie zniosę! Ja nie wytrzymam!

– Czego nie wytrzymasz, Eleonoro? – zaniepokoiła się Krystyna.

– Bo ja się wybieram! A bez zębów nie pójde!

Dopiero teraz zauważyła, że Eleonora nie miała włożonej sztucznej szczęki.

– Znowu mi zabrały! – histerycznie krzyknęła Eleonora przez otwarte drzwi.

– Nikt nikomu nic nie zabiera! – Z dołu dobiegał głos Irenki.

– Tym razem to nie my! – Usłyszała nieco cichszy głos. Chyba należał do Tereski. – Ja już byłam u spowiedzi, nic nikomu bym nie zabierała.

– Grabieżcy! – wydarła się Eleonora.

– Spokojnie... – westchnęła dyrektorka tego całego zamieszania. – Zaraz rozwiążemy problem.

– Byle szybko! – żądała poszkodowana. – Bo ja się wybieram.

\*\*\*

Eleonora wybierała się od zawsze. Już pierwszego dnia, gdy przyszła do domu seniora, powiedziała, że długo tam nie zabawi, gdyż się wybiera. I to nie wybiera się byle gdzie, tylko na tamten świat. Nie byłoby w tym żadnego kłopotu, a przynajmniej nie tak duży, gdyby przed wybieraniem się na tamten świat niemalże za każdym razem Eleonora nie wybierała się do Sephory czy Douglasa, na profesjonalny makijaż.

Gdyby jeszcze Eleonora mówiła o tym, że gdziekolwiek wychodzi, ale nie. Nigdy się nie zwracała z tych bardziej przyziemnych planów i zawsze udawała jej się niedostrzeżoną opuścić budynek. Wszyscy ją szukali. Krystyna niemalże rwała włosy z głowy, atmosfera robiła się nerwowa i odbijało się to na całym domu. Głównie tym, że nie było deseru, a Krystyna przestawała ogarniać wszystko i w zasadzie cała robota spadała na personel. A ci, jeżeli chodzi o opiekę nad pacjentami, sobie radzili doskonale, ale jeżeli chodziło o rozmowę, to pani dyrektor była niezastąpiona. I właśnie po każdym takich poszukiwaniach Krystyna powątpiewała, czy nadaje się na szefa takiego przybytku, jakim jest dom seniora. Jednak żaden z seniorów w to nie wątpił.

Pewnego dnia, kiedy Eleonora szczególnie wszystkich zapewniała, że wybiera się właśnie dziś, a najdalej pojutrze, Irenka i Teresa postanowiły nie dopuścić, by przed potencjalną podróżą na tamten świat Ela wybrała się gdziekolwiek dalej niż do ogrodu. Długo debatowały, co mogłoby ją zatrzymać. Gdyby jej schowały płaszcz – poszłaby w swetrze. Gdyby schowały buty – wyszłaby w kapciach. Mimo że była damą, nawet nie potrzebowała kapelusza. I właśnie dlatego, że Eleonora była damą, wpadły na genialny pomysł. Żadna dama nie pokaże się publicznie bez zębów. Nago się pokaże, ale bez zębów nigdy. Zatem Tereska i Irenka schowały sztuczną szczękę. I faktycznie Eleonora nie wybrała się nigdzie tamtego dnia, ale też nie rozmawiała z nimi przez dobry tydzień.

\*\*\*

Tym razem Eleonora również była bez zębów, ale Irenka i Teresa przysięgały na wszystkie świętości, że teraz nie miały z tym nic wspólnego. Irencie to tak ślepo nie można było wierzyć, ale Teresa była po spowiedzi i z pewnością mówiła prawdę.

– Tyle by było ze spokojnego wieczoru – westchnęła Krystyna.

Zeszła na dół, na poszukiwania sztucznej szczęki. Niestety, nie dość, że jej nie znalazła, to jeszcze zauważyła, iż pani Malwina nie ma swojej.

– Malwinko, a gdzie pani zgubiła zęby?

– A zgubiłam? – zdziwiła się staruszka. – Nawet nie zauważyłam.

– Ja tam zęby mam swoje – powiedziała z dumą Melania.

– Akurat! – skwitowała Sabina.

Kwestia zębów się nie wyjaśniła, mimo że w zasadzie wszyscy zostali przeszukani. Po cóż komuś były zęby? Na zapas?

## 10.

Wieczorem w Happy Endzie panował jeszcze większy harmider. Bo zęby zginęły również Melanii.

– Te zęby, co mówiłaś, że masz wszystkie swoje? – zarechotała Jagoda. – Ja pierdolę, ale kłamczucha!

Melania natychmiast się obraziła. Zakryła usta i siedziała tak bez słowa. Po chwili rozległo się z pokoju Tereski „omatkoboskaojezusmaria”. W jej szklance, którą postawiła na stoliku, również nie było zębów.

Krystyna zaczęła się zastanawiać, czy jej przybytek na pewno powinien się nazywać domem seniora, czy może raczej domem wariatów. Przecież to niemożliwe, by w środku dnia ktoś zapamiętałe kradł pensjonariuszom sztuczne szczęki!

\*\*\*

– Agatha Christie – powiedział pan Jan znad okularów, gdy zebrali się wszyscy w kuchni, by omówić drażniący ich problem.

– Co Agatha Christie? – zapytała Malwina.

– Ona w swoich książkach miała taki motyw, że był trup, pełno ludzi w zamkniętym pokoju i prowadzone było śledztwo, kto zabił.

– I kto zabił? – zainteresowała się Melania, wciąż zakrywając usta.

– Nie rozumiem, bo zakrywasz usta – odparł Jan.

– Nie dlatego nie rozumiesz, tylko dlatego, bo ona nie ma zębów i sepleni – skwapliwie wyjaśniła Irenka.

– Wcale nie seplenię! – wysepleniła Melania.

– Ona pytała, kto zabił.

– A to różnie – mruknął Jan, co ani odrobinę nie posunęło naprzód ich śledztwa.

– Ja pierdolę. – Jagoda załamywała ręce.

\*\*\*

Mijające godziny nie przybliżały Krystyny do rozwiązania zagadki znikających zębów. Dopiero córka Jana, która nazajutrz przyszła go zabrać na święta i opróżniała jego szafkę, znalazła ładnie zawinięte w ręcznik papierowy sztuczne szczęki. Sztuk pięć.

– Tatuś, a po co ci tyle zębów? – zapytała.

– Żebym cię mógł zjeść! – wykrzyknął z drugiego łóżka Zenon, któremu to pytanie zupełnie słusznie skojarzyło się z Czerwonym Kapturkiem.

Cztery sztuczne szczęki zaraz potem zostały oddane poszkodowanym, jednak Krystyna zupełnie nie wiedziała, co zrobić z piątą, gdyż nikt się do niej nie przyznawał. Po dokładnej analizie stanu uzębienia można też było oszacować, że nikomu tych zębów nie brakowało, zatem Krystyna włożyła je do szklanki, postawiła na parapecie w kuchni i cierpliwie czekała, aż ktoś się po nie zgłosi.

– Krysiu, pani jest najlepsza na świecie, bo znalazła mi pani zęby. – Eleonora weszła bez pukania do gabinetu szefowej.

Krystyna westchnęła i stwierdziła, że dla takich chwil warto żyć.



## 11.

Anna wiedziała, że jak Artur ma pieniądze, to szybko nie wraca. Często się mu to zdarzało. Teraz zabrał jej oszczędności, to miał za co pić.

Weszła do kuchni. Lubiała takie ciche wieczory, gdy się wydawało, że nazajutrz wszystko można zacząć od nowa. Tak jak codziennie słońce od nowa wstaje i codziennie księżyc wschodzi na niebo.

Wstawiła wodę i po chwili zalała sobie herbatę. Tuż przy lodówce leżała kartka. Anna jej wcześniej nie zauważyła. Chciała ją wyrzucić, jednak się zorientowała, że to pismo urzędowe, zaadresowane do Artura. Gdy zobaczyła, o co chodzi, zrobiło jej się słabo. Przed oczami przelatywały jej strzępy zdań: „Stawiennictwo w areszcie śledczym”, „osiemnaście miesięcy pozbawienia wolności”... Czytała dalej... Narkotyki.

Czy to miało znaczyć, że ona będzie wolna? Czy miało znaczyć, że jej córka ma ojca kryminalistę? Boże...

Było jej przykro, szczególnie z powodu córki, ale przede wszystkim czuła radość. Rozglądała się po mieszkaniu, jakby znalazła się tam po raz pierwszy. Na początku pozbędzie się całego alkoholu. Wszystkiego. Wyleje do ubikacji, a puste butelki wyrzuci od razu na śmietnik. Potem posprząta. Tak gruntownie. Wyczyści wszystkie kąty, poodsuwa każdą szafkę, wypoleruje każdy widelec. By zatrzeć po nim ślady. Przetawi łóżko w inne miejsce i da inną narzutę. A szafę zamieni miejscami ze stołem. Nowe życie! Osiemnaście miesięcy to wystarczająco, by stanąć na nogi. By pomyśleć o tym, że trzeba odejść. By znaleźć sobie miejsce, dokąd można pójść. Osiemnaście miesięcy to naprawdę długo. Wystarczająco długo na to, by wypracować w sobie więcej siły.

Uśmiechnęła się do siebie. Dochodziła dwudziesta druga. Może Robert jeszcze nie śpi. Chciała się upewnić, czy dobrze wszystko zrozumiała. Zrobiła zdjęcie dokumentu i wysłała je do niego.

Robert: *Możesz rozmawiać?*

Anna: *Tak.*

Zadzwoił.

– Czy to znaczy, że go nie będzie przez osiemnaście miesięcy? – zapytała cicho, by nie obudzić Zosi.

– Na pewno przez jakiś czas masz go z głowy – przyznał.

– Pomożesz mi przestawić meble, gdy on już tam pójdzie? – zapytała, łykając łzy.

\*\*\*

Ironia losu. Ojciec jej dziecka idzie do więzienia, a dla niej najważniejsze było przemeblowanie. Anna miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Przeszwanie mebli było jednak dla niej gestem symbolicznym, znakiem, że zmienia się jej świat. Była pewna, że potem już będzie wszystko dobrze. Na święta miał jeszcze zostać w domu. Jakoś wytrzymają. A potem obieca Zosi, że będą niedługo bawić się w święta. I wtedy dostanie prezent. Tego dużego misia, którego sobie upatrzyła.

Cholerny Artur! Zawsze trzymała pieniądze na koncie. Koncie, o którym on nawet nie wiedział. Tym razem jednak pani Krystyna zapłaciła jej gotówką. Anna myślała, że jak schowa pieniądze w pojemniku na warzywa, on ich nie znajdzie. Bo nigdy tam nie

zaglądał. Niestety, tym razem zajrzał i wyglądało na to, iż Zosia w tym roku będzie musiała się zmierzyć z faktem, że Mikołaj tak naprawdę nie istnieje.

# Rozdział 7

*Dzień dobry, kochani! Dzisiaj Wigilia! Wciąż pada! To będą cudowne święta!*

*Słońce wszędzie kwadrans przed ósmą, a zajdzie o piętnastej dwadzieścia sześć. Dzień będzie trwał siedem godzin i czterdzieści dwie minuty i będzie krótszy od najdłuższego o dziewięć godzin i cztery minuty.*

*Imieniny obchodzą: Adam i Ewa oraz Adamina, Adela, Adelajda, Delfin, Druzjan, Druzjanna, Eryk, Eryka, Ewelina, Godzisława, Grzegorz, Grzymisława, Hermana, Hermina, Irma, Irmina, Józef, Paula, Tarsylia, Zenobia, Zenobiusz.*

*I jeszcze jedna miła wiadomość! Dwa dni temu mówiłem o szczęśliwcu, który wygrał cztery miliony euro w corocznej hiszpańskiej loterii świątecznej, i zastanawialiśmy się wspólnie, co zrobilibyśmy z takimi pieniędzmi... Otóż zwycięzca nie miał takich dylematów! Całość postanowił przeznaczyć na cele charytatywne! Grudniowe cuda! Czy ktoś jeszcze nie wierzy w Świętego Mikołaja?*

# 1.

Nad ranem słyszała, że wrócił. I jakiś śmiech. Wydawało się jej, że kobiecy, ale z pewnością jej się wydawało. Przecież nie sprowadziłby do domu, gdy ona w nim była, żadnej kochanicy! Tym bardziej w Wigilię. Artur robił różne rzeczy, ale do tego nie byłby przecież zdolny.

Zasnęła jeszcze na chwilę. Już nie pamiętała, kiedy ostatni raz spali razem w jednym łóżku. Na szczęście. Chyba wyczerpał się limit upokorzeń. Nie zniosłaby, gdyby ją tknął. Bała się jednak, że przed pójściem do więzienia będzie jeszcze chciał sobie poużywać...

Skromna to będzie Wigilia. Dobrze, że mają barszczyk i uszka. Te, które z Zosią lepiły na wigilię w domu seniora. Może Artur nie będzie dzisiaj pił? Poprosi go, może przynajmniej raz spędzą spokojne święta. Tak bardzo chciałyby, by jej córka była szczęśliwa. Może ojciec robi to dla niej ten jeden jedyny raz. Nieważne, że zabrał pieniądze. One nie są wszystkim.

Wstała i poszła do łazienki. Nie budziła Zosi, niech sobie pośni. Tym bardziej nie budziła Artura. Zawsze gdy ktoś go obudził, do wieczora chodził skwaszony. Nie chciała go denerwować. Tego dnia postanowiła obchodzić się z nim jak z jajkiem.

Ubrała się i poszła do piwnicy po choinkę. Sztuczną choineczkę obwieszoną bombkami. Kilka dni wcześniej obiecała sobie, że kupi żywe drzewko. Niestety, kolejny raz nic z tego nie wyszło. Pieniądze na to przeznaczone znalazły się w kieliszkach wypitych przez Artura.

Gdy wróciła, Zosia już nie spała. Siedziała na łóżku i oglądała książkę, którą dostała od Krystyny. O tym, że Mikołaj istnieje. Anna usiadła obok niej, by przygotować córkę na twarde zderzenie ze smutną rzeczywistością. Nie spodziewała się, że mała zrobi to pierwsza.

– Mamo, kim jest ta pani w łazience?

\*\*\*

Pani, która była w łazience, najwyraźniej czuła się jak u siebie w domu. Właśnie otworzyła szafkę z kosmetykami i wyciągnęła balsam do ciała. Jeszcze nieotwarty. Anna zawsze zapominała go użyć. Dostała go dwa lata temu od koleżanki i wciąż go nie otworzyła. Bez chwili wahania otworzyła za to drzwi do łazienki i zobaczyła kobietę owiniętą ręcznikiem. Na głowie miała ręcznik Zosi w księżniczki. Trzymała nogę na wannie i smarowała ją balsamem.

– Co pani tu robi?! – krzyknęła Anna.

Nie tak wyobrażała sobie wigilijny poranek. Zupełnie nie tak!

Z impetem otworzyła drzwi do sypialni. Artur jeszcze spał.

– Co się tu dzieje, do cholery?! Tym razem to już przesadziłeś! – Zrzuciła z niego koldrę.

Artur leniwie się przeciągnął.

– Kim ona jest?! – wrzasnęła. – Ja naprawdę zniosę wiele, ale nie życzę sobie sprowadzania żadnych bab do naszego domu!

– Do waszego domu? – Do pokoju jakby nigdy nic wkroczyła nieznajoma. Nadal była owinięta ręcznikiem, ale na włosach nie miała już turbanu. – Może wreszcie jej wyjaśnisz?

– O co tutaj chodzi?! – denerwowała się Anna.

– No właśnie, powiesz jej wreszcie, o co tutaj chodzi? – zapytała ta nieskrępowana niczym wywłoka, która w Wigilię przechadzała się półnaga po ich domu.

Anna najchętniej wyrzuciłaby ją przez okno, jednak Artur nie bardzo się do tego kwapił. Co gorsza, wydawało się, że nie ma nic dziwnego w tym, że sprowadził sobie jakąś obcą babę do domu, która na dodatek się panoszyła, używając nawet ręcznika ich córki.

– Wychodzę nakarmić Zosię. Potem włączę jej bajkę, a ty... – wskazała Artura – wyjaśnisz mi wszystko. Mam nadzieję, że do tego czasu ciebie już tutaj nie będzie, bo nie ręczę za siebie – dodała, patrząc z niechęcią na kobietę.

Nie zobaczyła już, jak tamta uśmiechała się pod nosem. Wyszła z – jeszcze do niedawna – ich sypialni, trzaskając drzwiami.

\*\*\*

– Kim jest ta pani, mamó? – dopytywała Zosia, gdy jadły śniadanie.

– Nikim, córeczko. Zupełnie nikim.

Naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się myliła.

\*\*\*

Gdy Zosia oglądała już swoją ulubioną bajkę, Anna weszła do sypialni. Niestety, ta kobieta wciąż tam była.

– Wynoś się! – Annie puściły nerwy.

– Nie przedstawisz nas? – ze złośliwym uśmiechem zapytała ta druga.

Artur westchnął.

– Aniu, to Aldona. Moja... żona.

Faktycznie! Anna sobie przypomniała. Znała skądś tę kobietę. Kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze starała się zaprzyjaźnić z mamą Artura, widziała zdjęcia ślubne w ramce. Artur, chudy szczyl, i ta kobieta, w białej sukni z welonem, z wyraźnie zarysowanym brzuchem. Pamiętała ją! Szczególnie ten jej złośliwy uśmieszek. Że też od razu nie skojarzyła!

– Chyba twoja była żona! – wycodziła Anna.

– No właśnie to jest trochę skomplikowane... – powiedział cicho Artur. Po raz pierwszy w życiu wydawał się stracić pewność siebie. I był jakby... zakłopotany?

– Nigdy nie wzięliśmy rozwodu – tryumfalnie wyjaśniła Aldona.

– I przyjechałaś po to, by tę sprawę teraz załatwić?

– Niekoniecznie – dodała z uśmiechem.

## 2.

Marta wiedziała, jak zrobić wrażenie na mężczyznach. Lata praktyki na wybiegach i podczas sesji zdjęciowych dla modowych magazynów zrobiły swoje. Oczywiście do samolotu wygodniej byłoby jej w dżinsach i puchowej kurtce, ale dlaczego miała ukrywać swoje atuty, skoro je miała? Poza tym istniało wielkie prawdopodobieństwo, że tego dnia na lotnisku spotka Pawła, który również się wybierał do Gdańska.

Gdy spotkała go wracającego z Paryża, udało jej się kupić bilet na samolot. Choć graniczyło to z cudem, najwyraźniej los jej sprzyjał. Miała tylko nadzieję, że on wybrał ten sam lot. Ale często miała szczęście, więc dlaczego miałoby jej nie dopisać teraz? Przecież za wyrzeczenia w postaci rezygnacji z lotu na wymarzone wakacje coś jej się chyba od życia należało. Niestety dostała tylko miejsce w klasie biznes. W święta biznesmeni nie latają... Drogo, bo drogo, ale czego nie robi się w imię potencjalnej miłości?

Stała, wpatrując się w tablicę odlotów i nie mając zielonego pojęcia, że kilka metrów za nią pewien mężczyzna wpatrywał się z uwielbieniem w jej pupę oraz nogi. Oczywiście robił wszystko, by się ostentacyjnie nie gapić, gdyż był zadeklarowanym feministą, ale dziewczyna przed nim najwyraźniej ubrała się w ten sposób po to, by ściągać spojrzenia takich jak on. Co gorsza, albo co lepsza, on tę dziewczynę doskonale znał. I nawet kilka razy miał okazję widzieć, jak te nogi i te pośladki wyglądają bez ubrania, i w duchu przyznał, że tamten widok był bardziej intrygujący.

Zastanawiał się, czy jeszcze trochę pocieszyć wzrok i dopiero potem dać znać, że stoi tuż za nią, czy od razu zdradzić swoją obecność, ale dziewczyna pomogła mu w podjęciu decyzji, bo sama do niego się odwróciła.

– Paweł? – zapytała, zdziwiona. – Znowu się spotykamy!

– To chyba przeznaczenie.

Marta uśmiechnęła się uroczo.

– Teraz lecisz do Gdańska?

– Tak, a nie mówiłem ci?

– Mówiłeś, że spędzasz tam święta, ale zupełnie nie spodziewałam się, że będziesz leciał samolotem.

– Lubię latać, a rodzice mieszkają tuż przy lotnisku.

– Ja planowałam pociąg, ale samolotem chyba jednak szybciej.

– Nieznacznie.

– Nie było już biletów, mam w klasie biznes.

– Ja też. Ale w tych samolotach klasa biznes różni się chyba tylko tym, że będziemy siedzieli za zasłonką.

Według Marty zasłonka brzmiała całkiem niezłe, ale nie skomentowała tego głośno.

\*\*\*

Można by powiedzieć, iż cały lot upłynął im w bardzo miłej atmosferze, gdyż niemal ciągle namiętnie się całowali, ukryci w klasie biznes, za zasłonką. Oboje uznali, że lot trwał zdecydowanie zbyt krótko i żadne z nich nie miałyby nic przeciwko lądowaniu awaryjnemu, na przykład w Bydgoszczy, i długiej podróży autokarem do miejsca destynacji. Najlepiej jakoś po ciemku. Niestety, a może na szczęście dla innych pasażerów,

lot przebiegł bez żadnych opóźnień, a turbulencje wystąpiły tylko w sercach Marty i Pawła.

### 3.

Sabina nie czuła atmosfery świąt. A nawet nie chciała jej poczuć. Co miała powiedzieć wszystkim? Miała się przyznać do porażki i wyjaśnić, że cały czas kłamała? Że tak naprawdę żadna wnuczka, nawet taka niepodobna do niej, nie istnieje? Że nie ma żadnej córki, żadnego syna, brata, siostry...? Że nie ma nikogo?

Dla Sabiny nie było zaskoczeniem, że jest sama jak palec. Ale tylko przez swoją głupotę, do której wciąż nie chciała się przyznać, miała spędzić tę Wigilię samotnie. Sama w swoim mieszkaniu, które po śmierci męża i jej przeprowadzce do domu seniora trzymała nie wiadomo dla kogo. Pewnie już wszystko tam było pokryte grubą warstwą kurzu. Wszystkie jej bibeloty i pamiątki. Co się z tym stanie po jej śmierci? Pewnie zajmie się tym firma, która sprząta po starszych ludziach. Jej książki, listy, które pisała do Bogusia, i przepisy, które zbierała przez całe życie, wylądują na śmietniku. Bo przecież dla kogoś to będą jakieś stare i nikomu niepotrzebne papierzyska. Kiedyś czytała o czymś podobnym w gazecie. Ktoś wyrzucił rysunki znanej autorki komiksów. Sabina Wojtczak nie była znana i nawet nie rysowała, więc z jej rzeczami z pewnością rozprawią się jeszcze gorzej.

Gdy już Sabina umrze, to nie będą jej obchodziły te wszystkie szpargały. Ale w sumie nie wiadomo... Może gdzieś z góry będzie ze smutkiem patrzyła, jak bez szacunku i sentymentów wszystko ląduje na śmietniku. I nie będzie mogła nic zrobić. Nie będzie mogła ich przed tym powstrzymać. To chyba jest takie uczucie, jak czasem we śnie. Chcesz pobiec, a twoje nogi poruszają się w spowolnionym tempie. Po śmierci pewnie też tak jest. Widzisz, co robią z tobą, twoimi rzeczami, ale kompletnie nie możesz zareagować. I po chwili lądujesz na śmietniku i ślad po tobie zaginie, jakbyś nigdy nie żyła... Straszna perspektywa.

Gdyby chociaż te jej rzeczy komuś się mogły przydać. Ale komu? Chyba nikt by ich nie docenił. Miała taką ładną porcelanę w drobne kwiatki. Z Ćmielowa. Prezent ślubny od teściowej. Teściową miała fajną. Czasem wydawało się jej, że ona lubiła ją bardziej niż swojego syna. Zresztą Boguś też był idealny.

A co do porcelany... Na początku wyciągała ją z witrynki tylko w święta. Ładnie nakrywała do stołu – serwetki, kwiatki i świecznik. A potem Boguś powiedział:

– Sabinko, ale przecież to życie jest takie krótkie. Może powinniśmy celebrować każdą chwilę? I jeść codziennie śniadanie na tych talerzach, skoro je tak lubisz?

Jedli na nich często. Potem Boguś je ręcznie czyścił, by zmywarka nie poniszczyła tego poślacanego rantu. Mieli przecież zmywarkę. Boguś kupił, by żona nie musiała stać przy zlewie. I nie stała. Gotować lubiła, ale przestała, gdy mąż umarł. Wcześniej wychwalał, że podobno jej kuchnia była najlepsza na świecie, a ona bardzo lubiła mu dogadzać. Jak więc później miała gotować tylko dla siebie? Jak to samej ze sobą celebrować posiłki na ćmielowskiej porcelanie?

Na początku próbowała to robić. Nawet kwiaty sobie kupowała i stawiała je na stole. Boguś już jej przecież z działki nie przynosił. Zawsze stawiała dwa nakrycia. Wyobrażała sobie wtedy, że właśnie zjadła z mężem kolację i ona zmywa... Wtedy nawet stała przy tym zlewie i gderała, jak to ona:



– Boguś, Boguś, a obiecałeś, że to ty będziesz robił, i co? I jak zawsze zostawiasz mnie z tym samą.

A potem sobie przypominała, że już nie ma żadnego Bogusia. I że on chyba jej nie słyszy, a na pewno nie odpowie.

W sumie dobrze, że miała problem z tym biodrem, bo przynajmniej mogła iść do ludzi. I wreszcie przestać być sama. Mieszkania nie wynajęła, cały czas miała zamiar to zrobić, ale musiałyby najpierw wszystko posprzątać. Bo nie zniosłaby, gdyby ktoś obcy czytał jej listy. Albo jadł na tej porcelanie i potem wkładałby ją do zmywarki. Przecież zniszczyłby się ten złoty rant, a Bogusiowi tak zależało, by się to nie stało.

## 4.

– Nie rozumiem... – Zdezorientowana Anna patrzyła to na Artura, to na Aldonę.

– Nie mamy rozwodu – potwierdził.

– I ty mi tego nie zdążyłeś przez tyle lat powiedzieć?

Anna nie umiała tego zrozumieć. Mówił jej, że miał tylko ślub cywilny, że kiedyś będzie mogła pójść do ołtarza w białej sukni z welonem, ale zapomniał jej powiedzieć, że nie wziął jeszcze rozwodu?

– Zbierałem się – wymamrotał.

– Ale ja wciąż nie rozumiem, co ty tu robisz? Nagle sobie o nim przypomniałaś?

Anna wstała i chciała zrobić sobie kawę, ale zaraz usiadła, bo ostatnie, na co miała ochotę, to częstować kawą żonę faceta, z którym była od lat. Po chwili jednak zmieniła zdanie...

– Nie poczęstujesz naszego gościa? – zapytał Artur.

– To nie jest mój gość – mruknęła Anna. – I nadal nie wiem, co ona robiła w naszej sypialni.

– Spała. W sypialni się śpi – odkrywczco stwierdziła Aldona. – Ty jej powiesz czy ja mam to zrobić? – zapytała Artura.

On jednak milczał, skrywając twarz w dłoniach. Anna zaniepokoiła się jeszcze bardziej, choć jeszcze chwilę wcześniej jej się wydawało, że gorzej być nie może.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tutaj, do cholery, chodzi?!

– Będziecie się musiały z Zosią wyprowadzić – poinformował, bez specjalnych emocji.

– Wyprowadzić? – Anna pobladła. – Ale...

– Jak wiesz, dostałem odsiadkę. – Pomachał jej przed nosem kartką, którą już znała. – Nie będzie mnie tutaj jakiś czas i Aldona chce tu zamieszkać.

– Ale... – Anna traciła grunt pod nogami. – Jak to zamieszkać?

– Mieszkanie jest w połowie moje – z satysfakcją kontynuowała Aldona. – Mamy wspólnotę majątkową, więc chyba normalne, że skoro Artur będzie w kiciu, to nie chcę, by jakieś obce osoby kręciły się po moim mieszkaniu.

\*\*\*

Mama płakała, a tatuś krzyczał. Zosia wszystko słyszała, mimo że drzwi były zamknięte. Bardzo nie lubiła, kiedy mama płakała. Płakała, gdy była nieszczęśliwa. Zosia też czasami płakała, gdy było jej smutno. Wtedy często zamykała oczy i marzyła. Od razu było jej lepiej. Ale przecież mama w ogóle nie marzyła. Mówiła, że jej potrzeba różowych okularów do tych marzeń. Może by znaleźć Mikołaja i poprosić go, by dał mamie w prezencie takie okulary?

Mama mówiła, że dzisiaj jest Wigilia, a w Wigilię na pewno można spotkać gdzieś Mikołaja. Przecież on chodzi od domu do domu i rozdaje prezenty. Jak tak chodzi, to z pewnością Zosia na niego się gdzieś natknie. A może w tym dużym sklepie? Tam gdzie jest ta najpiękniejsza choinka? Jeżeli Mikołaj miałby być gdziekolwiek, to z pewnością niedaleko tej dużej choinki.

Może pod tą choinką już leżą jakieś prezenty? Może wśród nich jest również prezent dla mamy? Widziała go oczami wyobraźni, takie małe pudełeczko owinięte papierem

w gwiazdki i z wielką czerwoną kokardą.

Musiała iść to sprawdzić. Z pewnością trafi do tego sklepu.

Najchętniej teraz przytuliłaby mamę, ale gdyby weszła do kuchni, tata byłby zły i pewnie mama przez to by płakała jeszcze bardziej. Tego już Zosia się nauczyła.

Spojrzała przez okno. Padał śnieg. Żeby wyjść z domu, musiała się ciepło ubrać. Inaczej mama mogłaby być zła. Musiała mieć czapkę, szalik i rękawiczki. I dodatkowy sweter, na wszelki wypadek. Stała na krzeselku, by dosięgnąć, i wyciągnęła sweter z szafki. Włożyła go i cichutko wyszła do przedpokoju. Dobrze, że nie miała wiązanych butów, tylko na rzepy, bo sama nie umiała jeszcze dobrze wiązać i musiałaby poprosić mamę o pomoc. A nie chciała im przeszkadzać. Drzwi do kuchni były zamknięte. Tata bardzo nie lubił, jak im przeszkadzała. Gdy zamykał drzwi, to wiadomo było, że Zosia ma nie przeszkadzać dorosłym. Nie będzie...

Włożyła buty, założyła płaszczyk. Dokładnie owinęła szyję szalikiem i naciągnęła czapkę na uszy. Po cichutku, tak aby nikt nie słyszał, wyszła z domu.

\*\*\*

– Ale my nie mamy dokąd iść! – Anna mówiła przez łyzy.

– No i cóż mam powiedzieć? – zaszcebiotała Aldona. – To już nie moja sprawa.

– Artur!

– Ja nie mogę nic zrobić. – Wzruszył ramionami. – Może jedźcie do twojej mamy?

Anna pokręciła głową. Dobrze wiedziała, co powiedziałyby matka – wszystko dlatego, że nie mieli ślubu kościelnego, że sama jest sobie winna, skoro rozbiła czyjeś małżeństwo. I wyrzuciłaby ją z domu. Nie było sensu jechać do matki. Już to przerabiała.

– Artur... – zaczęła, ale nie chciało jej to przejść przez usta. Nie powinna o to pytać, była zbyt dumna, ale teraz nie chodziło tylko o nią. – Masz odłożone jakieś pieniądze? Żebyśmy mogły chociaż jakiś pokój wynająć?

– Nie możecie o tym porozmawiać kiedy indziej? – niedbale rzuciła Aldona. – Naprawdę czuję się niezręcznie, gdy omawiacie przy mnie takie sprawy.

– A nie czujesz się niezręcznie, że włączysz z butami w nasze życie?

– Jesteś pewna, że to ja weszłam z butami w wasze życie? – Aldona z wyższością spojrzała na Annę.

Właściwie Aldona miała rację. To ona weszła w ich życie. Kiedy związała się z Arturem, on miał żonę. Nie wiedziała o tym wtedy. Pewnie gdyby wiedziała, nie angażowałaby się tak mocno. Obiecywał ślub, nawet ten kościelny, na którym tak zależało jej matce. Ale właściwie na początku obiecywał jej gwiazdkę z nieba. Na obietnicach się skończyło.

Wszystkie meble, wszystkie rzeczy należały do niego. Anna nie miała tutaj nic swojego. Przyjechała do niego z jedną pierzyną i jedną poduszką, które dostała od matki. Nie miała nic więcej. Dopiero niedawno zaczęła pracować. Kupiła najpierw kilka rzeczy Zosi – nowe buty i płaszczyk. To wszystko kosztowało. Sobie też zimowe buty kupiła, bo jej stare nie nadawały się już do niczego. No i odłożyła pięćset złotych na święta. Wiadomo, co się z nimi stało. Boże, nie miała nic i nie miała pieniędzy, by zacząć wszystko od nowa!

Spojrzała za okno. Właśnie zaczynał sypać śnieg. Gdzie ona miała się teraz podziać? Z małym dzieckiem, w zimie, w dodatku w święta... Jedyne, co jej przyszło do głowy, to poprosić o pomoc panią Krystynę. Może ona znalazłaby jej coś, chociaż na jeden dzień? Nie potrzebowały z Zosią luksusów. Może...

– To kiedy się wyprowadzacie? – Aldona przerwała gorączkowe rozmyślenia Anny. – Dasz radę dzisiaj?

– Dzisiaj? Przecież dzisiaj jest Wigilia!

– No właśnie. To rodzinny czas, więc mogłabym go już spędzić u siebie.

– U siebie... – Anna rozejrzała się wokół.

Faktycznie, to ona nie była u siebie. Tutaj nic do niej nie należało. Jak się okazało, nawet facet, z którym miała dziecko, był mężem innej.

– Wielokrotnie się zastanawiałam, jak będą wyglądać te święta – wyszeptwała. – Jednak w najgorszych koszmarach nie przeczuwałam, że tak.

Aldona krzątała się po kuchni. Zrobiła sobie herbatę i rozsiadła się przy stole. Jakby była u siebie. Bo właściwie była u siebie. Drugi właściciel mieszkania zareagował na sytuację we właściwy dla siebie sposób – wyciągnął butelkę wódki i nalał sobie pełną szklankę. Wypił duszkiem i nalał jeszcze raz.

Anna nie chciała już na to patrzeć. Spakuje siebie i Zosię i pójdą do Happy Endu. Przynajmniej na chwilę. Może pani Krystyna ich od razu nie wyrzuci. Może uda im się przeżyć jakoś te święta.

Poszła do łazienki. Chciała zmyć z siebie łzy i zrobić lekki makijaż, by przed Zosią udawać, że czeka ich nowa, wspaniała przygoda. By jej opowiedzieć, że idą znowu na święta tam, gdzie wybrała sobie babcię. Bo mówiła, że wybrała, ale jeszcze nie chciała zdradzić, kto zwyciężył. O właśnie! Anna powie jej, że idą, by mogła ogłosić zwyciężczynię.

Wytuszczała rzęsy, pomalowała lekko usta, musnęła różem policzki. Ot, ironia losu. Wyrzucają ją z domu, który jeszcze przed chwilą wydawał się jej własnym domem, a ona szykuje się jak na imprezę. Stojąc przed pokojem, w którym zostawiła oglądającą telewizję Zosię, zrobiła trzy głębokie oddechy. Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi. Telewizor był włączony, ale dziewczynki tam nie było.

– Zosiu? Gdzie jesteś?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Zosiu? Bawisz się w chowanego? Wyjdź, proszę, nie chcę teraz się bawić! – powiedziała stanowczo.

Cisza.

– Zofia! Natychmiast wyjdź! – krzyknęła tonem, który córka dobrze знаła. Wiedziała, że wtedy należy matkę bezwzględnie słuchać.

Anna zaczęła się denerwować. Zajrzała do szafy, pod łóżko, pod biurko. Pokój był niewielki i Zosia naprawdę nie miała się już gdzie schować. Wybiegła do przedpokoju. Nie było butów ani płaszczyka. Nie zauważyła też czapki i szalika.

Otworzyła drzwi do kuchni.

– Artur! Zosi nie ma!

On już jednak w zasadzie nie kontaktował. Zdążył osuszyć całą butelkę. Anna szybko założyła buty, płaszcz i czapkę. Wzięła telefon komórkowy i wybiegła z domu. Rozglądała się bezradnie wokół, a po chwili wybrała numer do jedynej osoby, na którą zawsze mogła liczyć.

– Robert, pomóż... – wyszeptała. – Zosia zniknęła.

## 5.

Robert już z samochodu poinformował patrol, by zwróciły uwagę na małą dziewczynkę, która najprawdopodobniej się zgubiła. Kiedy parkował na poboczu, zauważył Annę, biegnącą drogą i rozglądającą się na wszystkie strony.

– Jak to się stało?

– Nie wiem... – Pokręciła głową. – Naprawdę nie wiem... Po prostu zostawiłam ją w pokoju, oglądała telewizję. Ja rozmawiałam z Arturem i jego... jego... żoną, a potem już jej nie było.

Robert nic z tego nie rozumiał, jednak uznał, że pytania na tematy inne niż Zosia będzie można zadawać później, teraz trzeba szukać dziewczynki.

– Założyła buty, czapkę, płaszcz, nawet sweter założyła, i wyszła!

– Aniu, muszę zadać ci to pytanie... Czy jest możliwe, że ktoś do was wszedł i ona wyszła z nim?

– Niemożliwe. Drzwi na pewno były zamknięte. Zawsze zamykam. Rano wyszłam do piwnicy po choinkę i wróciłam. Ale na pewno zaryglowałam drzwi. Zresztą sama wyciągnęła sweter z szafy. Nie odstawiła krzesła na miejsce. Zawsze jej zwracam uwagę, żeby odstawiała. I tak często zapomina... – Anna zaczęła płakać.

Robert ją przytulił.

– Znajdziemy ją... Nie denerwuj się, przecież nie mogła odejść zbyt daleko!

## 6.

- Boję się wracać do rzeczywistości – mruknęła Agnieszka.
- A ja myślałem, że ty się niczego nie boisz – stwierdził Mikołaj. – Nawet jestem o tym przekonany! Szalejesz z piłą spalinową, z łopata, mieszkasz sama w lesie... A boisz się wracać do rzeczywistości?
- Fajnie mi było tutaj z tobą. – Przytuliła się do niego.
- Może ci będzie fajnie gdzie indziej, ale też ze mną? Zmieni się tylko miejsce.
- A myślisz, że będziemy umieli się wpasować w inne miejsce?
- Tego się nie dowiemy, dopóki się w tym innym miejscu nie znajdziemy.
- Życie jest skomplikowane, prawda?
- Właściwie to... chyba nie. Tylko my czasami je komplikujemy. I zbyt długo zastanawiamy się nad podjęciem decyzji. A jak już dokonamy wyboru, to czujemy ogromną ulgę.
- Nie żałujesz tego, że nie poleciałeś na Malediwy?
- W życiu! Mieliśmy i wciąż mamy nasze śnieżne Malediwy. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.
- Tylko jest nieco zimniej.
- Ale momentami było gorąco. Chociaż gdybyś chciała, byłoby jeszcze bardziej gorąco. Nawet teraz... – Położył rękę na jej brzuchu.
- Na wszystko przyjdzie czas. – Uśmiechnęła się, gładząc go po policzku.
- Obiecujesz? – Spojrzał jej głęboko w oczy.
- Ja nic nikomu nigdy nie obiecuję.
- A na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie?
- A tego nie znam, co to? – zapytała z przekąsem.
- To lepiej się tego naucz, bo nie znasz dnia ani godziny.
- Szybki jesteś. Nie jest sztuką planować przyszłość, gdy jedna Ewa na świecie. Później się rozejrzysz i odkryjesz, że jest ich wiele.
- Ale żadna nie wygląda tak cudownie w różowym dresie. I chyba nie znam drugiej kobiety, która umie rozpalać w kominku, palić w piecu, odśnieżać trzy kilometry drogi i uruchomić piłę spalinową.
- Agnieszka się roześmiała.
- Ewa musi sobie radzić w życiu.
- Nigdy bym nie pomyślał, że to może mi się spodobać. Zawsze sądziłem, że lubię eteryczne blondynki.
- I zmieniłeś zdanie?
- Zdecydowanie! Z eteryczną blondynką nie przeżyłbym zimy w lesie.
- Mało pożyteczna uwaga. Nieczęsto człowiek znajduje się zasypany zimą w środku lasu.
- Jak widać, może się znaleźć raz i wystarczy.
- A nie żałujesz, że to się kończy?
- Nie, moim zdaniem to dopiero pierwszy rozdział.

Uśmiechnął się do niej i zaczął ją całować. Mimo że jeszcze nie myli zębów. Jak w filmach.

\*\*\*

Do sklepu pani Stasi doszli w milczeniu. Trzymali się za ręce i brnęli razem w śniegu.

– Myślisz sobie, że... ta zima kiedyś musi minąć? – zapytała Agnieszka, parafrazując słowa piosenki.

– Wyjątkowo w tym roku zima mi nie przeszkadza.

– Kiedy się pojawiłeś na progu domu babci Helenki, nie wyglądałeś, jakby ci nie przeszkadzała. – Zachichotała.

– Wtedy mi cholernie przeszkadzała – przyznał.

– Wesołych Świąt, pani Stasiu!

– Wesołych Świąt! – Sklepową pomachała im na powitanie. – Poczekajcie, makowiec dam dla Helenki! Wczoraj specjalnie dwa upiekłam. A jakby was gdzie po drodze zasypało, to będziecie jedzenie mieli.

– Mam nadzieję, że tym razem będzie bez przygód – stwierdziła Agnieszka.

– Ale chyba źle nie było? – zapytała pani Stasia, patrząc przenikliwie na dziewczynę.

– Ależ skąd!

– Bo powiem ci... – Zniżyła głos. – ...jak zobaczyłam, że on zostawia cię samą w środku lasu i jedzie dupę w ciepłym trzymać, to sobie pomyślałam o nim najgorzej. Nie będę ci mówić dokładnie, co pomyślałam, ale naprawdę najgorzej! A potem sama nie wierzyłam, jak Romuś mówi, że trzeba piłę spalinową pożyczyć, bo ten od wnuczki Helenki z powrotem przyjechał. To mówię mu: „Pożycz, Romuś, pożycz, niech chłopak się wykaże i zrehabilituje, że chciał jechać dupę w ciepłe grzać”.

– Ależ, pani Stasiu!

– No co, naprawdę tak pomyślałam! Bo kobiety lubią być ratowane. Tak jak w bajkach. Od dawna królewicze walczą ze smokami i potworami. To pomyślałam, że można trochę tę walkę ułatwić i pożyczyć tę piłę. Ech, dobra, ja wracam do kuchni, a wy jedźcie, bo przed pierwszą gwiazdką nie zdążycie do Helenki dotrzeć! A wtedy to już ona z pewnością będzie się martwić!

\*\*\*

Do Happy Endu zajechali przed pierwszą gwiazdką. Zdążyli. Po drodze mało rozmawiali. Każde z nich chyba musiało się zastanowić nad tym, czy to, co się wydarzyło między nimi w ostatnich dniach, ma szansę przetrwać.

– Tu będziesz na wigilii? – zapytał Mikołaj.

– Tak. – Agnieszka pokiwała głową. – Babcia mówiła, że mieli już uroczystą wieczerzę wigilijną, zatem zrobimy sobie taką kameralną, tylko we dwie. Chyba że ktoś jeszcze do nas dołączy... Mówiła też, że pewnie będę mogła tutaj zostać na noc.

– A może u mnie? – zaproponował Mikołaj. – Bardzo bym chciał cię ugościć.

– A to nie finał przygody?

– Już ci mówiłem... Mam nadzieję, że dopiero jej początek. – Uśmiechnął się, całując jej dłoń.

\*\*\*



Weszli do Domu Seniora Happy End. Agnieszka od razu popędziła do babci, a Mikołaj w tym czasie poszedł do gabinetu matki. W godzinach pracy zawsze tam siedziała.

– Babciu! – Dziewczyna wparowała do pokoju. Dopiero po chwili zobaczyła wpatrującą się w nią Sabinę, więc powiedziała entuzjastycznie: – Dzień dobry! Przepraszam, nie zauważyłam pani, tak bardzo się cieszyłam, że wreszcie widzę moją babcię!

Sabina skrzywiła się w uśmiechu. Dziwne tłumaczenie. Przecież nietrudno było ją zauważyć, nie należała do najmniejszych.

– Ja to doskonale rozumiem. Wkrótce też zobaczę się z moją wnuczką – burknęła.

Agnieszka jednak nie zwracała już na nią uwagi.

– Babciu, ty nawet nie wiesz, co się działo! Kompletnie nas odcięło od świata! I po raz pierwszy w życiu dziękowałam za te zapasy na czterdzieści dni. Połowę zjedliśmy!

– Zjedliście? – nieśmiało zapytała Helena.

– Zjedliśmy! Wszystko było pyszne.

– To rozumiem, ale nie wiem, kto zjadł!

– No tak... To długa opowieść... Ja zjadłam i Mikołaj. Brat Marty, mojej przyjaciółki. I okazało się, że to syn właścicielki tego domu. Świat jest mały, prawda?

– Ale ty z nim tam pojechałaś? – Babcia nic nie rozumiała.

– Nie, ja pojechałam do ciebie. Ale ciebie tam nie było! I on przyszedł w nocy, bo trafił do mnie tylko dzięki tej lampce dla zbłąkanych wędrowców!

Sabina usiłowała podsłuchiwać. I zastanawiała się, czy nic nie rozumie, bo czegoś nie dosłyszała, czy ta opowieść po prostu jest taka dziwna. Dorosła dziewczyna, a opowiada o Mikołaju, który wyszedł z drewni o poranku. To nie było normalne! Ale cóż, Sabina już się przyzwyczaiła, że tak naprawdę nie ma normalnych ludzi. Nawet ona sobie wnuczkę wymyśliła. Ale za to ta wymyślona wnuczka mogła być najnormalniejsza na świecie.

Helena z Agnieszką zaśmiewały się co chwilę. W końcu dziewczyna wstała i zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Babciu, to ja lecę. Jakies sprawunki jeszcze zrobię. I Mikołaja poszukam. Muszę ci go przedstawić! Pani Sabinko, potrzebuje pani czegoś ze sklepu?

– Nie, o wszystko zadba moja wnuczka – burknęła z wyższością.

– No, to lecę, babciu! A pokój pani Krystyny to na dole?

– Pierwszy z prawej – odpowiedziały zgodnie.

– Dzięki! – rzuciła Agnieszka i wybiegła z pokoju.

\*\*\*

– Mamo, przyjechałem z dziewczyną – od progu zakomunikował Mikołaj.

– To nie nowość. – Krystyna wzniosła oczy ku niebu. – Zawsze się prowadzasz z jakimiś dziewczynami.

– Mamo, przecież żadnej tu nie przywiozłem. Ja cię bardzo proszę, bądź miła.

– A czy ja kiedykolwiek jestem niemiła?

– No, czasem coś palniesz...

– Ja palnę? – obruszyła się.

– Na przykład nie opowiadaj o moich byłych, o tym, jakie były cudowne i tak dalej.

– Rozumiem... – Matka cmoknęła z niezadowoleniem. – Mam ją traktować, jakby była całym twoim światem.

– Mamo, ale ona... chyba jest całym moim światem.

Krystyna spojrzała na niego badawczo. Tym razem syn chyba naprawdę się zakochał. To zmieniało postać rzeczy, skoro być może miała zaraz poznać swoją przyszłą synową. Uśmiechnęła się do niego i poklepała go po plecach.

– Jasne, synek. Zostaniecie z nami na wigilii? Nie wiedziałam, że przyjedziesz, nic w domu nie zrobiłam – zaczęła się tłumaczyć. – Miałeś wyjechać...

– Czasem plany się zmieniają. Niekiedy los wie, jak nami pokierować, by było tak, jak ma być.

– Masz rację. – Zamyśliła się. – Może namówisz ojca na to, by spędził z nami tutaj święta?

– A gdzie on chciał być?

– Jak zawsze, u siebie. Powiedział mi, że ma najpiękniejszą choinkę na świecie.

– Byłaś ją zobaczyć?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Może warto?

Nie uzyskał jednak odpowiedzi, bo do pokoju Krystyny ktoś zapukał.

– Mamo, pamiętaj, bądź miła.

\*\*\*

Krystyna za cholerę nie mogła sobie przypomnieć, jak ta dziewczyna miała na imię. Nie była też pewna, czy Mikołaj jej to powiedział. Katarzyna? Karolina? Trzeba zaryzykować.

– To ty jesteś Karolina? – zapytała z uśmiechem. – Cudownie! Mikołaj tyle mi o tobie opowiadał!

– Ja nie jestem Karolina... – Zdezorientowana Agnieszka pokręciła głową.

– Katarzyna? Agnieszka? – Krystyna zmrużyła oczy.

Gdyby teraz spojrzała na syna, zauważyłaby wzrok mrozący krew w żyłach. Jednak wpatrywała się w Agnieszkę, próbując sobie przypomnieć, czy to o niej syn jej ostatnio opowiadał. Tyle było tych kobiet, że nie mogła ich spamiętać.

– Nieważne. – Uśmiechnęła się, poklepując ją po ramieniu. Podobała jej się ta dziewczyna. Była zupełnie inna niż dotychczasowe koleżanki jej syna. Taka normalniejsza i zdecydowanie mniej sztuczna. – Mikołaj tak się cieszył, że to właśnie z tobą pojedzie na te Malediwy. Szykował się już od dawna. Apartament z widokiem na morze i takie tam. Czuję, że mu na tobie zależy – powiedziała konspiracyjnie.

Agnieszka pobladła. Rzuciła Mikołajowi pełne wyrzutu spojrzenie i wybiegła z pokoju. Krystyna dopiero wtedy zerknęła na syna.

– Synek, co jest? – zapytała cicho.

Mikołaj jednak nic nie powiedział, bo pobiegł za trzaskającą drzwiami wyjściowymi Agnieszką.

– Nic z tego nie rozumiem... – Krystyna pokręciła głową. – Stara się człowiek, koloryzuje co nieco, by dziewczynie się przypodobać, a ten wiecznie niezadowolony. I ona też jakaś dzika – westchnęła.

Ani młodych, ani starych człowiek nie rozumie. Może to czas, by na emeryturę wreszcie iść?

\*\*\*

– Agnieszka! To zupełnie nie tak, jak myślisz! – zawołał Mikołaj w ślad za nią.

Nie słuchała. Biegła prosto przed siebie. Chciała mu uciec i wreszcie raz na zawsze o nim zapomnieć. Że też człowiek nie uczy się na błędach! Już raz ją skrzywdził, teraz drugi raz! Ależ była naiwna!

Odwróciła się. Mikołaj biegł za nią. Zauważyła właśnie zatrzymujący się na przystanku autobus. W ostatniej chwili do niego wsiadła. Mikołaj zdążył jedynie uderzyć pięścią w ledwo co zamknięte drzwi. Agnieszka nie wierzyła w to, co się stało. Siedziała zmarznięta w autobusie i zalewała się łzami.

Na ostatnim przystanku podszedł do niej kierowca, przynosząc jej kawę.

– Czy ja panią skądś znam?

Cóż, historia, jak widać, lubi się powtarzać.

## 7.

Zosia wyszła z domu niezauważona przez nikogo. Przeszła przez ulicę, uważnie patrząc najpierw w lewo, potem w prawo, a potem znowu w lewo. Tak jak ją uczyła mama. Pewnie by była zadowolona, gdyby widziała, że ona tak doskonale sobie daje radę.

Gdzie był sklep z tą dużą choinką? Chyba trzeba skręcić w prawo. Za tym dużym domem. Zosia skręciła więc w prawo i dziarsko pomaszrowała dalej. Znowu przeszła przez ulicę. Tym razem były światła. Grzecznie się zatrzymała na czerwonym i czekała, aż wyświetli się zielony ludzik. Gdy go zauważyła, równym krokiem poszła dalej. Mama zawsze jej mówiła, że przez ulicę się nie przebiega.

Jak daleko był ten sklep? Wydawało jej się, że bliżej. Ale z mamą wszystko wydawało się bliżej. I w ogóle z mamą wszystko wydawało się łatwiejsze. Bardzo żałowała, że mamy z nią nie było. No ale ona chyba wołała niespodzianki, a nie spodziewanki, dlatego też Zosia nie powiedziała jej o tym, że zamierza poprosić Świętego Mikołaja o różowe okulary. A mogłyby teraz iść za rękę. Obie miały czerwone buty i gdy szły razem, to wyglądało to tak, jakby miały cztery nogi. Tylko dwie trochę dłuższe i dwie krótsze.

Zosia zobaczyła przed sobą jakiś duży budynek. To nie był sklep. Wydawało jej się, że nigdy nie była w tej okolicy. Chyba zgubiła drogę. Postanowiła wrócić do domu, ale zupełnie nie wiedziała jak. Pamiętała, że szła obok takiej wielkiej reklamy, ale jak teraz się rozejrzała, to wielkie reklamy były wszędzie. I po lewej stronie, i po prawej... I tam trochę dalej też była reklama...

Zosia odetchnęła głęboko trzy razy. Mama zawsze tak robiła, gdy się denerwowała i nie chciała pokazać, że się denerwuje. Mówiła, że to jej pomaga. Zosia nie bardzo wiedziała, czy jej to pomaga, ale chciała spróbować. Zapytałaby kogoś o drogę, ale mama zawsze jej powtarzała, że nie może rozmawiać z obcymi. Znowu się rozejrzała. W pobliżu byli różni ludzie, ale nikogo z nich nie знаła, więc nie mogła zapytać. Mógłby chociaż Święty Mikołaj się pojawić, bo jego znała od zawsze. Z pewnością by wiedział, gdzie jest sklep z tą piękną dużą choinką.

Wreszcie poszła najszerszą drogą. Mama zawsze mówiła, że najszersza droga prowadzi do centrum miasta. A ten sklep pewnie był w centrum. Dziewczynka była już zmęczona. Najchętniej usiadłaby gdzieś, ale wszystkie ławki były bardzo zaśniewane i jakby usiadła, pomoczyłaby sobie płaszczyk. I potem nie byłoby jej miło w takim mokrym płaszczyku chodzić.

Nagle usłyszała nadjeżdżający pociąg. Zobaczyła go, jak mknie po torach. Za chwilę zatrzymał się niedaleko. To chyba był dworzec. Kiedyś jechała z mamą pociągiem. Fajnie było. Siedziały obok siebie i mama pokazywała jej różne rzeczy przez okno. Jedno miasto, przez które przejeżdżały, nazywało się Pszczółki. Bardzo ładnie! Poszła więc w stronę dużego budynku z ogromnym zegarem nad wejściem. Z trudem otworzyła ciężkie drzwi i zobaczyła mnóstwo ławek. Było tam kilka osób z wielkimi kolorowymi walizkami. Najbardziej podobała jej się taka różowa, dlatego usiadła obok jej właścicielki i przypomniała już sobie, co to jest za miejsce! To była poczekalnia! Wtedy, gdy jechała z mamą pociągiem, mama mówiła, że to takie specjalne miejsce do czekania na pociąg. Ale przecież czeka się nie tylko na pociąg. Można czekać na wiele rzeczy, na przykład na

Mikołaja albo na mamę. To ona posiedzi na tej ławce i grzecznie poczeka na mamę. Ona na pewno zaraz się zorientuje, że Zosi nie ma, a wtedy zacznie szukać i ją znajdzie.

– Czy ty tutaj na kogoś czekasz? – zainteresowała się pani, która siedziała obok.

– Tak, na mamę – powiedziała Zosia, zgodnie z prawdą.

Były umówione, że jeśli się zgubi, ma stać w jednym miejscu i się nigdzie nie ruszać. A wyglądało na to, że się zgubiła. No to poczeka w tej poczekalni, byle nie za długo, bo przecież oprócz mamy musi spotkać Świętego Mikołaja. A może Mikołaj też będzie w poczekalni na kogoś czekał? To by było!

\*\*\*

– Gdzie ona mogła pójść? – zapytał Robert. – Ja wiem, że jesteś kłębkim nerwów, ale postaraj się pomyśleć logicznie. Gdzie byłyście ostatnio? Czy coś szczególnie zwróciło jej uwagę? Gdzie czuła się bezpiecznie?

– Ostatnio? Byłyśmy w Domu Seniora Happy End, w domu jego właścicielki, bo tam sprzątam, raz na sankach byłyśmy, do sklepu chodziłyśmy... Nie wiem, Robert, naprawdę nie wiem... Nie możemy beczynn timer stać, musimy chodzić i jej szukać!

## 8.

Agnieszka nie chciała wracać do Happy Endu. Bała się, że Mikołaj będzie tam na nią czekał. Ale po co miałby czekać? Przecież wszystko się wyjaśniło. Znowu. Gdyby nie to, że była Wigilia, pewnie jeździłaby tym autobusem aż do rana. Kiedy się przemieszczała, było mniejsze prawdopodobieństwo, że ją znajdzie.

Kiedy jednak zmarznięta i zmęczona postanowiła jednak zmienić plany, na szczęście w Happy Endzie nie było Mikołaja. Westchnęła głęboko i poszła do pokoju babci i pani Sabiny. Postanowiła, że nie da nic po sobie poznać. Zresztą... powinna się już uodpornić.

– Pani Sabinko, babcia mówiła, że pani się spotyka z zięciem czy wnuczką. O której ma pani być na dworcu? – zapytała Agnieszka.

– Ja?

Sabina do końca miała nadzieję, że uda jej się nigdzie nie wychodzić. Tylko ona wiedziała, że nikt nie czekał na nią ani na dworcu, ani nigdzie indziej. Czekają tylko stare, zakurzone mieszkanie, w którym nawet nikt nie wietrzył od tygodni.

– Jest już pani gotowa? Bo mogłabym panią teraz odprowadzić na dworzec.

– Nie fatyguj się, sama mogę pójść – mruknęła Sabina. – Nie musi mnie nikt odprowadzać.

– O nie, pani Sabino. Gdyby moja babcia miała zamiar wędrować sama podczas takiej ślizgawicy, nie byłabym zadowolona.

– Sabinko, ty się dobrze czujesz? – zaniepokoiła się Melania. – Wyglądasz, jakbyś nie była ucieszona z powodu rodzinnego spotkania.

– Nie, nie... Ja po prostu się martwię... – Nie dokończyła, bo nie bardzo wiedziała, czym mogła się martwić, jadąc do ukochanej wnuczki. Gdyby taką miała, pomknęłaby do niej na skrzydłach radości.

– Ale czym? – zapytała, niestety, Helenka.

– Że... Że jej się prezent świąteczny nie będzie podobał! – jęknęła Sabina i spojrzała na Agnieszkę.

– Ależ, pani Sabinko! Pani będzie wystarczającym prezentem!

\*\*\*

Sabina chyba nigdy dla nikogo nie była prezentem. Zazdrościła Helence. Zazdrościła jej takiej PRAWDZIWEJ wnuczki. Zazdrościła jej tej relacji, tej miłości w oczach. Tego, że ta młoda kobieta opowiadała babci o swoim życiu, że babcia była dla niej autorytetem. Zazdrościła takiego porozumienia bez słów. Tak się ma z wnuczkami? Chyba tak. Nigdy się o tym nie przekona...

– My się doskonale z wnuczką rozumiemy – powiedziała Sabina współlokatorce.

– To cudowne, prawda? – stwierdziła babcia Helenka.

– Prawda.

– Gdy moja córka zginęła w wypadku, myślałam, że moje serce umrze wraz z nią. – Ukradkiem otarła łzę. – Nie życzę tego nikomu. Zazdroszczę ci, że masz córkę. Doceniaj to każdego dnia. I dziękuj za to Bogu.

\*\*\*

Sabina poczuła się podle. Ale cóż miała robić? Jak miała to odkręcić? Powiedzieć, że wszystko, co wymyśliła do tej pory na temat wnuczki, podobnej do niej jak dwie krople wody, było kłamstwem? Nie mogła tego zrobić.

Wyciągnęła z szafy walizkę i spakowała do niej kilka rzeczy. Pojedzie na święta do swojego mieszkania. Mieszkania, w którym będzie sama, w którym wszystko będzie jej przypominało przeszłość, w którym każdy kąt będzie pachniał Bogusiem, a każdy słoik stojący w kuchni będzie jej mówił, że to ona powinna umrzeć pierwsza. Czuła się taka nieprzydatna. Taka zupełnie nikomu niepotrzebna do niczego. Nikt nie patrzył na nią tak, jak wnuczka na Helenę. Dla nikogo nie była najważniejsza na świecie. I pewnie już nie będzie. Bo dla kogo? Na miłość była już za stara. Za gruba, za duża... Nie należała do filigranowych kobiet, jak Helena. Takie przysadziste się nikomu nie podobają. Zresztą kobiety osiemdziesięcioletnie nie są od podobania. Powinna jak Eleonora się wreszcie wybrać. Wybrać na tamten świat.

Sprawiłaby sobie kota, ale na to też jest za późno. Przecież każdy kot by ją przeżył. I co potem? Co by się z nim stało? Też zostałyby sam, jak teraz ona? I też nie miałyby się do kogo przytulić w nocy? Nie może tego zrobić kotu.

Szkoda, że się z Bogusiem nie umówiła, że to ona pierwsza odejdzie z tego świata. Boguś był słownym człowiekiem i na pewno by się z tej umowy wywiązał.

\*\*\*

Mikołaj bez celu jeździł po mieście. Krystyna siedziała obok niego.

– Ja cię, synek, bardzo przepraszam, naprawdę chciałam być miła. – Nie wiedziała, jak się zachować.

– Ty już lepiej nic nie mów, mamo.

– Nie mówię... – Po czym zaraz zaczęła znowu go przepraszać za tak koszmarny rozwój sytuacji. – Myślałam, że robię dobrze, a nie wiem, dlaczego ubzdurałam sobie, że to Karolina. No ja cię naprawdę bardzo przepraszam.

– Mamo!

– Już siedzę cicho. – Pokazała, jakby zamykała usta na klucz. Długo jednak nie milczała: – A przynajmniej wiesz, w jaki numer autobusu wsiadła? Bo jak nie wymyślimy jakiegoś planu działania, możemy tak jeździć do rana.

– To będziemy jeździć – mruknął Mikołaj.

Krystyna się uparła, że będzie z nim szukać Agnieszki, bo przecież to ona namieszała.

– Pomogę ci to wszystko naprawić – obiecywała, skruszona.

– Mamuś, wolałbym, żebyś już po prostu więcej nie psuła.

Krystyna poczuła się najgorszą matką na świecie. A w zasadzie utwierdziła się w przekonaniu, że z pewnością nią jest.

## 9.

– To jak, pani Sabino, gdzie ten zięć? – zapytała Agnieszka. – Tutaj się pani z nim umówiła?

Dziewczyna rozglądała się wokół i nie widziała, by ktoś na kogoś tutaj czekał.

– Tak, kochana, tutaj. Idźcie już, dziecko, przecież masz swoje sprawy. Ja sama poczekam, nie musicie tu ze mną stać. Zresztą moi na pewno zaraz będą.

– Pani Sabino, w życiu pani nie zostawię samej na tym mrozie!

– Ale zaraz to wy zmarzniecie! – oponowała Sabina.

– Jesteśmy ciepło ubrane – zapewniła radośnie babcia Helenka. – Powiem wam, że od dawna nie byłam na tak miłym spacerze. I to w cudowną wigilijną noc!

Sabina uśmiechnęła się niewyraźnie. Cudowna wigilijna noc... Liczyła tylko na to, że jej asysta zaraz się znudzi. Mogłaby udawać, że dostała esemesa albo ktoś do niej zadzwonił, ale, prawdę mówiąc, na to nie wpadła. Stała za to, przestępując z nogi na nogę. Było jej zimno. Nie spodziewała się, że tak długo będzie stała na mrozie.

– A może pani zadzwoni do zięcia, pani Sabinko? – zaproponowała Agnieszka. – Może coś mu wypadło?

– W Wigilię? Wypadło? Niemożliwe! – zawołała Sabinka, może nieco zbyt wylewnie.

Musiała coś zrobić. Stały na tym mrozie chyba ze czterdzieści minut i naprawdę nie było sensu ciągnąć tego przedstawienia. Już miała się przyznać, że wszystkich okłamała, że nie ma żadnej córki, nie ma wnuczki, nie ma nikogo, gdy nagle go zobaczyła. Stał tam i patrzył na rozkład pociągów. To był ten moment. Teraz albo nigdy.

– Jest! – zawołała.

Nie zważając na Helenkę i Agnieszkę, szybko pokuśtykała w stronę mężczyzny. Kiwnęła ręką na swoje towarzyszki, by zostały na miejscu. Podeszła do nieznanego i rzuciła mu się na szyję. W pierwszym odruchu ten obcy człowiek chciał ją odepchnąć, ale Sabina spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i udawał, że na mnie czeka? – poprosiła. – Bardzo pana proszę.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, ale przytulił ją mocno.

\*\*\*

– Dziękuję panu bardzo – bąknęła zawstydzona Sabina, gdy Helena i Agnieszka wsiadły do taksówki. – I przepraszam. Nie zwykłam się rzucać obcym mężczyznom na szyję.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnął się. – Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Nie, nie. Czekam na kogoś.

– Na pewno?

– Tak. Pójdę do poczekalni, napiję się herbaty. I poczekam.

Mężczyzna spojrzał na staruszkę.

– Wesołych Świąt pani życzę.

– Wzajemnie. – Uśmiechnęła się, choć była pewna, że dla niej z pewnością nie będą wesołe.



## 10.

Zosia trochę się niecierpliwiła. Była głodna i chciało jej się pić. Nie wiedziała, jak długo tam już siedziała, ale taka długa wskazówka zegarka prawie dwa razy zdążyła się okręcić. Znudziło jej się siedzenie. Wstała, przeszła dwa razy wkoło poczekalni. Jak ten zegar.

Kiedy kończyła drugie okrążenie, zauważyła, że na podłodze coś błysnęło. Pięć złotych! Znalazła pięć złotych! Musi mamie powiedzieć, że jednak Mikołaj istnieje. Bo przecież im były potrzebne pieniądze. To na pewno od niego, by mogły sobie coś kupić.

Chociaż już bardzo jej się nudziło, nie mogła sobie stąd pójść. Bo przecież kiedyś obiecała mamie, że jak się zgubi, będzie siedzieć na miejscu i ona po nią przyjdzie. No chyba żeby spotkała jakiegoś policjanta. Albo kogoś znajomego. Zosia ciągle się rozglądała, ale nikogo znajomego nie widziała. Zauważyła wprawdzie panią w mundurze, która trochę przypominała policjantkę, ale gdy ją zapytała, czy jest z policji, ta się roześmiała i powiedziała, że nie. Zatem Zosia usiadła znów na ławce i czekała.

Pani z różową walizką już pojechała, a na jej miejsce przyszedł pan z komputerem. Zaglądała mu przez ramię, ale to, co robił, było nudne. Siedziała więc i machała rytmicznie nogami. Kiedy duża wskazówka po raz kolejny zrobiła kółko, drzwi do poczekalni się otworzyły i Zosia poczuła się prawie najszczęśliwsza na świecie. Prawie, bo najszczęśliwsza byłaby wtedy, gdyby tam weszła mama, ale to nie była mama, a pani, która wygrała jej prywatny konkurs na babcię. Była Wigilia i mogła jej już o tym powiedzieć.

\*\*\*

Boże Narodzenie powinno być najwspanialszym świętem. Tymczasem Sabina była przekonana, że czekają ją wkrótce najgorsze chwile w ostatnim czasie. Słaba i zziębnięta weszła do poczekalni. Rozejrzała się, ale przez zaparowane okulary nic nie widziała.

Nagle poczuła, że ktoś, ktoś zupełnie niewielki, wpada na nią z impetem i z całej siły ją przytula.

– Babcia! – zawołał ten ktoś.

Ktoś ją z kimś pomylił...

Sabina zdjęła okulary i wytarła je o szalik. Kiedy założyła je z powrotem, ten mały ktoś okazał się ładną i uśmiechniętą dziewczynką.

– Zosiu, co ty tu robisz? – zdziwiła się.

– Ja... czekam na ciebie! Bo ja sobie ciebie wybrałam na babcię! Zgodzisz się nią być?

– Ty mnie wybrałaś na babcię? – zdziwiła się Sabina. – Ale ja... ja przecież jestem niezupełnie ładna... Jestem trochę za gruba, za duża i nie lubię chodzić do restauracji... – Z wrażenia przysiadła na ławce.

– I właśnie dlatego! – wykrzyknęła Zosia, sadowiąc się na kolanach staruszki. – Jesteś duża i miękka, masz duże kolana i będziesz mi robić placuszki z poziomkami. Babcie tak robią.

Sabina mocno przytuliła dziewczynkę. Z trudem powstrzymywała łzy. Gdzie ona zimą znajdzie poziomki?

## 11.

Mikołaj nie znalazł Agnieszki. Przez kilka godzin krążył po całym mieście, co jakiś czas wypominając matce, co ona najlepszego zrobiła. Krystyna w końcu miała dość i kategorycznie zażądała, by się zatrzymał. Zamówiła ubiera i kazała się zawieźć do domu seniora.

– Taki piękny dzień, a pani coś niezadowolona... – zauważył kierowca.

Krystyna nie miała ochoty na konwersacje. Dzwoniła do niej Sabina, kilka razy, ale też nie chciała z nią gadać.

– To się porobiło! – mruknął kierowca. – Chodzą ci ludzie tacy naburmuszeni w święta, nawet im życzyć Wesołych Świąt nie można, bo w łeb dadzą. A potem się dziwić, że dzieci same wychodzą z domu, szukając szczęścia. Nie wiem, czy słyszała pani o tej dziewczynce? Wyszła z domu dzisiaj, pewnie ze trzy godziny temu, i wszyscy jej szukają.

Krystyna nie odpowiedziała. Bo cóż miała powiedzieć? Że jedni szukają dziewczynki, a jej syn szuka kobiety? Wszyscy wszystkich szukają... Nawet nie wiedziała, jak mało się pomyliła.

Bez słowa wyszła z samochodu. Nie życzyła Wesołych Świąt, bo się obawiała, że dla niej one takie nie będą. Z jednej strony Adam, który nawet nie raczył się odezwać, z drugiej – zły na nią Mikołaj. A do tego zaginiona dziewczyna, która miała focha, i pensjonariusze, którzy zostali w domu seniora na święta. Niedużo ich było. Jagoda i Melania miały wyjechać później, a zostawały Helenka i jej wnuczka, a także Eleonora i Sabina. Reszta porozjeżdżała się po rodzinach. Pusto będzie. Zrobią sobie skromną wigilię. Będzie miło. Mimo wszystko.

\*\*\*

Weszła do kuchni. Zwykle tętniła życiem, teraz było nieco ciszej. Melania i Jagoda wyglądały przez okno, wyczekując krewnych, którzy zabiorą je na święta, a Eleonora siedziała przed lustrem i robiła makijaż. Helenka rozmawiała z wnuczką, pijąc herbatę. Znowu zapomniała, jak ta dziewczyna miała na imię! Już chciała do niej podejść i wyjaśnić to nieporozumienie, ale nagle zauważyła, że kogoś brakuje.

– A gdzie jest Sabina? – zapytała.

– Pojechała się spotkać z wnuczką – powiedziała Eleonora, podkreślając zalotką rzęsy.

– Jak to spotkać się z wnuczką? – Krystyna złapała się za serce. – Jakim cudem ona pojechała się spotkać z wnuczką?

– Osobiście zawiozłyśmy ją taksówką na dworzec. Ale trochę też pospacerowałyśmy. – dodała Helenka, zadowolona z dobrego uczynku, który zrobiła. – Oddałyśmy ją w dobre ręce. Zięć na nią czekał.

– Zięć? – Krystyna była przerażona. – Jaki zięć? Ona żadnego zięcia nie ma!

– Nie ma? – zdziwiła się Melania. – Jak to?

– To kim był ten młody mężczyzna, któremu rzuciła się na szyję? – zaczęła się zastanawiać Helena.

– Mężczyzna? Na szyję? – jęknęła Krystyna.

– Spokojnie, może to był narzeczony jej córki – próbowała załagodzić sprawę Agnieszka.

- Ale ona nie ma żadnej córki! – krzyknęła bliska omdlenia Krystyna.
- Ja pierdolę. To się porobiło – podsumowała Jagoda.

\*\*\*

– Trzeba szukać Sabiny – zarządziła szefowa domu seniora, kiedy już zdołała odzyskać względną równowagę.

– A słyszała pani o tej dziewczynce? – zapytała Melania. – Wyszła z domu i nie wiadomo, gdzie jest...

– Słyszałam – ucięła. – Powiedzcie mi dokładnie, dokąd ją zawiozłyście.

## 12.

- A co ty tu w ogóle robisz? – zapytała Sabina.
  - Mówiłam już, że czekam na ciebie – odparła beztrąsko Zosia. – Albo na moją mamę.
  - To ja wiem, ale jak się tutaj znalazłaś?
  - Przyszłam. I chyba zablądziłam.
  - A mama wie, że tutaj jesteś? – drążyła temat Sabina.
  - Wie, że wyszłam. Ale nie wie chyba, że jestem tutaj, bo jakby wiedziała, toby po mnie przyszła. A czekam już trzy okrążenia zegarka i jeszcze jej nie ma.
  - A dlaczego ty wyszłaś z domu? Na dodatek sama?
  - Bo ja... szukałam Świętego Mikołaja – przyznała się dziewczynka.
  - I myślałaś, że on będzie tutaj, na dworcu?
  - Nie, w takim dużym sklepie. Tam, gdzie jest największa i najładniejsza choinka na świecie.
- Sabina się rozpromieniła.
- To ja wiem, gdzie jest ten sklep! Ale on już chyba jest zamknięty.
  - A pójdziemy zobaczyć? – zapytała Zosia.
  - Musimy najpierw zadzwonić do twojej mamy, że jesteś bezpieczna. Znasz numer?
- Dziewczynka pokręciła głową.
- To musimy zadzwonić na policję i powiedzieć, że wszystko jest w porządku.
  - Babciu, a możemy najpierw iść poszukać tego Mikołaja? Bo jak zwołasz policję, oni od razu zawiozą mnie do domu, a ja muszę przynieść mojej mamie różowe okulary, żeby zaczęła marzyć.

\*\*\*

Po kilku minutach marszu zasapana, a raczej zmęczona do granic możliwości Sabina oraz szczęśliwa Zosia stanęły przed drzwiami galerii handlowej.

– Zamknięte – mruknęła rozczarowana Zosia. – Naprawdę zamknięte – dodała ze łzami w oczach.

Rozejrzała się i zobaczyła, że tuż za krzakami jest okno. Wybite okno, przez które mogła wejść i znaleźć Świętego Mikołaja. Nie patrząc na Sabinę, pobiegła w tamtą stronę.

– Zosiu! Zaczekaj!

Dziewczynka jednak nie zamierzała czekać. Dosyć się naczekała w tej poczekalni, a teraz była już tak blisko... Szybko prześlizgnęła się przez dość dużą dziurę w oknie wystawowym i pobiegła dalej, do centralnego miejsca sklepu, gdzie stała najpiękniejsza i największa na świecie choinka.

Centrum handlowe wyglądało dziwnie. Nikogo tam nie było. Obeszła choinkę i się uśmiechnęła. Pod taką choinką z pewnością będą leżały różowe okulary dla mamy. Zajrzała, ale nic tam nie było. To mogło oznaczać tylko jedno – Święty Mikołaj jeszcze tam nie zawitał. Pewnie robił zakupy gdzieś w tych wszystkich sklepach. Rozejrzała się. Były wprawdzie zamknięte, ale Mikołaj z pewnością ma do nich wszystkich klucze. Albo takie specjalne karty, co otwierają te drzwi.

Gdyby miała czas, poczekałaby spokojnie na Mikołaja, ale czuła, że nie powinna się spieszyć. Przed sklepem czekała na nią babcia, mogła zmarznąć. A mama mogła się

martwić. Chociaż co mogło jej się stać, gdy była z babcią? Nic!

Mimo wszystko wolała działać szybko. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Mama mówiła, że Święty Mikołaj patrzy na świat z góry. I wszystko widzi. Zatem musiała się dostać na ostatnie piętro i tam go poszukać.

\*\*\*

Sabina stała przed rozbitą szybą i zastanawiała się, czy wejść do środka. Pewnie by się nawet zmieściła. Zosia pobiegła bardzo szybko, więc nie mogła za nią nadążyć. Co robić? Boguś by wiedział. Boguś zawsze wiedział, co robić.

Tak, powinna siedzieć tutaj, koło tej dziury, żeby zobaczyć, kiedy Zosia wyjdzie z tego sklepu. Ale jak będzie siedziała na mrozie, to zamarznie i tyle z niej będzie pożytku. Nie mogła zamarznąć, była przecież babcią. A babcie są potrzebne.

Sabina się uśmiechnęła i poczuła ciepło w samym środku serca. Pilnując, by się nie skaleczyć, wyjęła resztki szkła z okna. Może przecież na Zosię poczekać w środku. Na spokojnie zadzwoni do Krystyny i powie jej, co się stało.

Krystyna nie odbierała. Raz, drugi, trzeci... Gdy za czwartym razem zadzwoniła, przerwało połączenie. Telefon jej się rozładował. Zawsze zapominała podłączyć go do ładowarki na noc. Bo i po co miała to robić, skoro nigdy do nikogo nie dzwoniła, a do niej też nikt się nie odzywał? Teraz już będzie inaczej. Bo jest babcią.

## 13.

Adam Czyżykiewicz naprawiał niedziałający monitor. Kiedyś trzeba to było zrobić. A że była Wigilia... Cóż, i tak nie miał innych planów. Siedział w czerwonym polarze, którego szczerze nie znosił, i próbował wymusić, by wreszcie wszystkie monitory chodziły jak w zegarku. Zresetował system. Miał nadzieję, że będzie dobrze.

Przez chwilę monitory pokazywały obraz nagrany dwie minuty temu. Znowu jakiś błąd! To niemożliwe! Na jednym z ekranów Adam zobaczył biegającą wokół choinki dziewczynkę. Tę samą, którą obserwował, gdy wraz z mamą robiła zakupy. Tę samą, dla której kupił misia. Zerknął na krzesło stojące pod ścianą w jego gabinecie. Miś nadal siedział na nim dumnie.

Adam westchnął i jeszcze raz spojrzął na monitor. Dziewczynki tym razem nie było. Musiało mu się przywidzieć. Natomiast ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział automatycznie.

– Dzień dobry, jestem Zosia. Wiedziałam, że pana tu znajdę! To pan jest Świętym Mikołajem!

– Ale... – Adam próbował coś powiedzieć, ale widząc błyszczące oczy dziecka, postanowił nie zaprzeczać.

– Tata mówił, że pan nie istnieje, ale ja bardziej wierzę mamie. Ma pan długą siwą brodę i czerwony polar. Mikołaj też ma czerwone ubranie. Poza tym mama mi opowiadała, że Święty Mikołaj patrzy z góry i wszystko widzi. Tak jak pan. – Spojrzała z podziwem na monitory. – Tylko ja się nie spodziewałam, że to wszystko jest takie nowoczesne. Myślałam, że to się dzieje jakoś inaczej, jakoś tak bardziej magicznie. A może mi pan pokazać moją mamę na tym monitorze? A potem babcię? Bo ja się boję, że one jednak się o mnie trochę martwią. A ja nie lubię, jak mama się martwi, bo wtedy płacze.

\*\*\*

Po dłuższych pertraktacjach i obietnicy, że Adam Czyżykiewicz, w zupełnie nieoczekiwanej roli Świętego Mikołaja, na milion milionów procent da mamie dziewczynki różowe okulary, Zosia się zgodziła, by poinformować policję, że ona tam jest. Policję, gdyż Adam był pewny, że ktoś jej szuka, a do mamy Zosi nie znali numeru telefonu.

Adam unikał kontaktów z policją, bo mimo iż zawsze był naprawdę uczciwym człowiekiem i wszystkie swoje biznesy zbudował w pełni legalnie, widok mundurowych powodował, że wyliczał wszystkie swoje grzechy i w myślach recytował formułkę, której się nauczył tuż przed pierwszą komunią: *Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystko szczerze żałuję, przyrzekam poprawę i proszę o rozgrzeszenie*. A potem zaraz szybko sobie przypominał, że to nie ten mundur, przed którym ma wyznawać winy, ale mimo wszystko przed wszystkimi „mundurami” – nieważne, czy była to sutanna, lekarski kitel albo strój policjanta – czuł ogromny respekt.

Jedynym policjantem, któremu ufał i przed którym nie bał się otworzyć, był Robert Krusz. Kiedyś, gdy chłopak wrócił do miasta i potrzebował pracy, zatrudnił go jako ochroniarza. Teraz Adam uznał, że chłopak jest jedyną godną zaufania osobą w mundurze, jaką zna.

– Ale najpierw musimy iść po prezenty – zarządziła Zosia.  
– Po prezenty? – zdziwił się Adam.  
– Tak, chyba że już wszystkie masz. – Zosia oglądała uważnie monitory.  
– No, nie mam – przyznał Adam, który właśnie się zreflektował, że właściwie nie ma żadnego prezentu. Dla nikogo. No, oprócz Zosi. – Mam tylko dla ciebie. – Wskazując krzesło, na którym siedział miś.  
– Ja nic nie widzę, ja nic nie widzę... – Mała zamknęła oczy, ale po chwili je otworzyła i dodała konspiracyjnym szeptem: – Musi być zapakowany, wiesz?  
– Zapakowany? – jęknął.  
– Tak, bo wtedy się tak fajnie cieszysz. Masz taką spodziewankę.  
– Spodziewankę?  
– Już wiesz, że dostaniesz prezent, ale rozwijasz to opakowanie tak powoli, powoli i tak bardzo powoli. Kiedyś dostałam prezent od mamy. Na urodziny. I go nie rozpakowywałam bardzo długo.  
– Nie byłaś ciekawa?  
– Byłam bardzo ciekawa!  
– Ja bym nie wytrzymał. – Mężczyzna pokręcił głową, drapiąc się po brodzie.  
– A Mikołaj od kogo dostaje prezenty? Sam sobie kupuje?  
Adam nie wiedział, co odpowiedzieć na to pytanie.  
– Słuchaj, dzwoniemy do pana policjanta, a potem idziemy na zakupy.  
– Ja znam jednego policjanta – powiedziała Zosia. – Jak mama z nim rozmawia, to zawsze się uśmiecha.

\*\*\*

Tym razem mama Zosi się nie uśmiechała. Płakała. Jeździli po całym mieście, ale jej córka jakby zapadła się pod ziemię.

– A jak ktoś ją porwał? Dla okupu? Przecież ja nic nie mam! Nawet nie mam gdzie mieszkać...

– Jak to nie masz gdzie mieszkać?

– Nieważne... Mogę nawet mieszkać pod mostem, byle Zosia się znalazła.

I wtedy jak na zwołanie zadzwonił telefon. Pan Adam, u którego Robert kiedyś pracował. Dobry człowiek. Pewnie dowiedział się o poszukiwaniach i chciał pomóc. Robert odebrał, włączając głośnik.

– Nie znam nikogo w policji, to dzwonię do ciebie. Bo nagle u mnie w sklepie znalazła się mała dziewczynka. Mówi, że przyszła przez wybitą szybę w niezajmowanym przez nikogo sklepie. Nazywa się Zosia.

– O Boże! Zosia! – wykrzyknęła Anna i nic już z siebie nie wydusiła, bo szloch radości i ulgi odebrał jej na chwilę głos.

– Panie Adamie, jestem z jej mamą! My szukamy jej cały dzień!

– Jest cała i bezpieczna. – Spojrzał na Zosię, która siedziała na biurku i wesoło machała nogami. – I chyba zadowolona.

– Cześć, mamó – zaszczębiotała. – Przyjedziesz po mnie?

– Kochanie! Pędzimy już do ciebie.

– Mamo, ale nie za szybko. Bo mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Pa. – Oddała telefon Adamowi.

– Kilka spraw do załatwienia? – zdziwiła się Anna.

\*\*\*

– Tylko jest jeden problem... – Adam wziął telefon do ręki i poszedł na drugi koniec pokoju. – Ona myśli, że jestem Świętym Mikołajem – wyszeptał.

– Jakby nie patrzeć, to chyba pan jest – ze śmiechem stwierdził Robert.

– Daleko mi do świętego – westchnął.

– A jak pan dał na ten dach zawalonej szkoły?

– E, to drobiazg.

– A na wyjazd do Bangkoku dla tego chorego chłopca?

– No a jak miałem chłopaka nie ratować? – zdziwił się Adam. – Przecież dzięki temu żyje!

– A zabawki i przybory szkolne dla domu dziecka?

– Eee, przesadzasz. Po co te wyliczanki?

– Panie Adamie, dla wielu osób to nie drobnostka, to całe życie. Dla mnie też jest pan Świętym Mikołajem. I dla mamy Zosi również. Bo Zosia się odnalazła i mamy pewność, że jest bezpieczna. Pilnuje jej pan tam.

– O, właśnie, mama Zosi! – przypomniał sobie Adam. – Bo Zosi bardzo zależy, bym zdążył jej mamie kupić różowe okulary.

– Zdązycie. Będziemy za pół godziny. Jesteśmy na drugim krańcu miasta.

– To dobrze, to dobrze... Mam też pewne pytanie... Czy jak teraz wejdę do optyka i wezmę te różowe okulary, a po świętach za nie zapłacę, to będzie kradzież? Nie włamię się przecież, mam klucze...

– Pyta mnie pan jako policjanta?

– No nie wiem właśnie...

– Muszę kończyć, niedługo będziemy – szybko powiedział Robert i się rozłączył.

Zaraz jednak przystanął na chwilę na poboczu pod byle pretekstem i napisał esemesa do pana Adama: „Niech pan nie pyta, tylko działa. Annie, mamie Zosi, te okulary są bardzo potrzebne. Bo chyba ma większe kłopoty, niż podejrzewałem”.

\*\*\*

– Zosia się znalazła, możemy odetchnąć, to teraz powiedz mi, o co chodzi z tym mieszkaniem.

– To długa historia... – mruknęła Anna, która wcale nie miała teraz ochoty na poważne rozmowy. – Zosia na pewno jest bezpieczna?

– Na pewno. Pan Adam to najlepszy człowiek, jakiego znam. Jego żona też. On jest właścicielem centrum handlowego, mógłby spać na pieniądzach, a pomaga każdemu, kto się do niego zwróci z prośbą.

– Jak Święty Mikołaj.

– Tak, też tak pomyślałam. A jego żona prowadzi dom seniora.

– Dom seniora? – zdziwiła się Anna. – Pani Krystyna?

– Tak. Znasz ją?



– Znam. – Uśmiechnęła się. – To teraz mogę już odetchnąć. Jestem najszczęśliwsza na świecie! – wykrzyknęła i przytuliła się do niego, a dłoń położyła na jego kolanie.

Robert też poczuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Kiedy Anna była tak blisko, że czuł jej oddech na swoim policzku, mógłby tak jechać jeszcze godzinę. Niestety, GPS wskazywał tylko pół godziny do celu.

– Nie będzie przestawiania mebli... Okazało się, że Artur wciąż ma żonę. Nie mieli rozwodu. I jak on pójdzie do więzienia, ona ma zamiar się wprowadzić do swojego mieszkania.

– A co z tobą? Z wami?

– Nie wiem, Robert, po prostu nie wiem... Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. A potem było mi wszystko jedno, bo zaginęła Zosia. Teraz na szczęście się znalazła, chociaż dopóki jej nie zobaczę i nie przytulę, to jeszcze w to nie wierzę.

– Kiedy masz się wyprowadzić?

– Chyba jak najszybciej – westchnęła. – W takich przypadkach chyba nie ma okresu wypowiedzenia.

– Nie może cię wyrzucić ot tak!

– Nie jestem jego żoną, nie jestem tam nawet zameldowana. Artur nie chciał płacić za wywóz śmieci za dodatkowe osoby czy coś. Jeszcze przed chwilą powiedziałabym ci, że gorzej być nie może, ale jak zaginęła Zosia, to zobaczyłam, że może. Zawsze może być gorzej...

– Zawsze może też być lepiej – próbował ją pocieszyć.

– Teraz bardzo trudno mi w to uwierzyć...

\*\*\*

Zosia uważała, że jest najlepiej na świecie. Rzadko kiedy ktoś ma okazję pójść do sklepu z samym Mikołajem i na dodatek mu pomagać.

– A to prawda, że Mikołaj ma Śnieżynkę?

– Śnieżynkę? – zapytał Adam z zakłopotaniem.

– Tak, taką dziewczynkę, która pomaga mu wybierać prezenty. Przecież to oczywiste! To jak, masz taką Śnieżynkę?

– Mam! – Adam wpadł nagle na pomysł. – Ty jesteś Śnieżynką!

– Ja? – zdziwiła się Zosia.

– Tak. Co roku Śnieżynką jest ktoś inny. Zawsze jest to wyjątkowa dziewczynka.

– I w tym roku to jestem ja? – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tak. To bardzo odpowiedzialne zadanie! Musimy zejść na dół i kupić prezenty dla wszystkich.

– Dla wszystkich? Jak to dla wszystkich? Dla wszystkich na całej ziemi? – Spojrzała na niego z przerażeniem. – My nie damy rady!

– Nie dla wszystkich. Dla najbliższych. – Adam się roześmiał. – To co? Idziemy? Będziemy mieli wszystko załatwione, zanim mama przyjedzie.

– Idziemy!

\*\*\*

Zosia była wniebowzięta. Klucze Świętego Mikołaja otwierały wszystkie drzwi. Nie wiedziała, że to tak działa. Najpierw brali różne rzeczy ze sklepów, a potem Mikołaj robił

zdjęcie.

– Zosiu, musisz wiedzieć jedno: ja pewnie jutro nie będę już pamiętał, że byłem Mikołajem. To taki jedyny dzień w roku, kiedy dzieją się czary.

– Dobrze! To musimy się pospieszyć – powiedziała, z trudem pchając pełen wózek. – Jeszcze nie wiem, co dla babci.

– Dla babci? – zdziwił się Adam.

– Tak, dla babci. Bo babcia przyszła tu ze mną. Przecież nie przyszedłabym sama.

– Babcia przyszła z tobą? To gdzie ona teraz jest?

– Czeka na mnie. Pewnie usiadła gdzieś na ławeczce, bo ona już jest trochę stara, a jak ktoś jest stary, to nie może za dużo chodzić. Koc jej musimy kupić. I termofor. Bo babciom często jest zimno.

Adam po raz drugi sięgnął po telefon.

\*\*\*

– Jest jeszcze jeden kłopot... – wydukał.

Pchał przed sobą wózek wypełniony po brzegi różnymi rzeczami i kierował swoje kroki w stronę kasy supermarketu. Nie sądził, że uda mu się tę kasę uruchomić, ale posadził w środku Zosię, by po kolei każdemu produktowi robiła zdjęcia. W końcu po świętach musi jakoś za to zapłacić. Nawet Mikołaj nie dostaje nic za darmo.

– Jaki kłopot? – zaniepokoił się Robert. – Coś się stało?

– Bo Zosia powiedziała, że przyszła tu z babcią.

– Z babcią? – Spojrzał na Annę, która słyszała całą rozmowę. Jechali samochodem w stronę centrum handlowego i był włączony zestaw głośnomówiący.

– Ona nie ma tutaj babci – powiedziała Anna.

Adam westchnął. Małe dziewczynki chyba go przerastały. Wolał prowadzić trudne negocjacje biznesowe z brzuchatymi rekinami finansjery. Przy negocjacjach z małymi dziewczynkami zawsze był nikim.

– Ale mów, że przyszła z babcią, która teraz na nią czeka.

– To niemożliwe. – Anna pokręciła głową.

– Robert, przyjeżdżaj, mnie naprawdę to przerasta... – wyszeptał Adam. – I proszę, sprawdź, czy oprócz dziewczynki nie zginęła komuś jakaś miła staruszka. A ja idę zaraz się rozejrzeć, czy ktoś naprawdę tam jest.

\*\*\*

Miła zaginiona staruszka siedziała na ławeczce tuż obok pomieszczenia, w którym kilka dni temu mały i nieświadomy wagi swojego czynu chłopiec wybił okno. Było jej zimno. Na zewnątrz jednego ze sklepów stała dekoracja świąteczna – wielkie łóżko zasłane pościelą w renifery. Na pościeli leżał puszysty koc, również w renifery, ozdobiony czerwonymi bąbelkami. Na ten widok Sabina nagle poczuła się zmęczona. Chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko, jeśli troszkę się zdrzemnie pod tym puszystym kocem? Przecież i tak po świętach zmienią dekoracje i nikomu to się już nie przyda. A jej to było bardzo potrzebne... No i lokalizacja jest dobra, bo jakby Zosia tędy przechodziła do wyjścia przez rozbity witrynę, to Sabina ją usłyszy. Nie wyjdzie przecież ze sklepu sama. Nie pójdzie bez swojej babci.

Zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramę łóżka. Buty postawiła równo na dywaniku.

– Same renifery... – wymruczała. – Wszędzie renifery.

Położyła się do łóżka. Wsunęła się pod kołdrę, przytuliła do puszystej poduszki i jeszcze przykryła kocem. Było jej miło i ciepło. Śniło jej się, że chodziła po łące i zebrała mnóstwo poziomek. Dla wnuczki.

## 14.

– Przecież tu jest wszystko pozamykane – jęknęła Anna, gdy stanęli przed drzwiami galerii handlowej. – Jak ona tam weszła?

Robert się rozejrzył i zobaczył wybitą szybę w oknie wystawowym.

– Chodź tędy. – Wziął Annę za rękę.

Po chwili minęli wielkie łóżko, całe obłożone reniferami, i poszli na środek holu, gdzie stała choinka. Obok niej sklep z porcelaną wystawił pięknie nakryty stół z bożonarodzeniowymi dekoracjami.

– Usiądźmy tutaj. Poczekamy na nich. Widzisz? – Robert wskazał ręką w stronę marketu.

Anna zobaczyła, że po przeciwnej stronie sklepu jej córka, ubrana w czapkę Świętego Mikołaja, pcha zapakowany wózek. Poskakiwała. Obok niej szedł starszy mężczyzna z długą białą brodą, który pchał drugi wózek, jeszcze bardziej wypełniony.

– Zawsze podskakuje, gdy jest szczęśliwa – z rozczuleniem powiedziała Anna. – Często tu przychodziłyśmy.

– Na zakupy?

– Nie. – Pokręciła głową. – Bawić się w marzenia.

– Bawić się w marzenia? – Robert nie wiedział, o co chodzi.

– Tak. Pakowałyśmy do koszyka to, o czym marzyłyśmy. Albo to, co chcieliśmy kupić komuś w prezencie.

– I kupowałyście?

– Przyjemność sprawiało nam samo wyobrażanie sobie, że to kupujemy. Wiedziałyśmy, że nigdy nie będziemy mogły sobie na to pozwolić.

– I co potem?

– Odkładałyśmy na miejsca. Czasem Zosia siadała na ławce i czekała, a ja odkładałam. Mówiła, że jak nie będzie widzieć, jak opróżniam koszyk, to dłużej będzie się bawić w marzenia.

– Jesteś bardzo dobrą mamą – stwierdził Robert z podziwem.

– Dobrą? Chyba nie bardzo, skoro nie mogę nawet zapewnić dziecku dachu nad głową. Nawet nie wiem, czy mogę tam dzisiaj wrócić.

– Musisz wrócić. Po swoje rzeczy.

Anna pokręciła głową.

– Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie mogę.

– To jak zamierzasz spędzić Wigilię?

– Nie wiem.

– Możesz zatrzymać się u mnie... – zaproponował nieśmiało.

– Jak zawsze superbohater. – Poglaskała go po policzku. – Naprawdę zjawiasz się przy mnie, gdy tego potrzebuję. Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

Robert pamiętał. Pamiętał każdy szczegół. Malutką Zosię, łzy w oczach Anny. Pamiętał też, że potem w internecie czytał, co to jest ten *baby blues*...

– Nie – skłamał.

Właściwie nie wiedział dlaczego, ale chyba chciał usłyszeć prawdziwą wersję wydarzeń, bo wtedy Anna wszystkiego się wypierała.

– Wracalam ze szpitala. Zosia się urodziła. Miał po mnie przyjść, ale się nie zjawił. Imprezował z kolegami. Gdy tam weszłam, myślałam, że zobaczyłam piekło. Potem, przez kolejne lata, to piekło miałam oglądać bardzo często... Wybiegłam, usiadłam na ławce i wtedy zobaczyłam ciebie. Grzecznego, pachnącego świeżością, zupełnie innego niż Artur. Z takim dobrem w oczach, zrozumieniem i chęcią wysłuchania i niesienia pomocy. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że źle wybrałam w życiu. Żałowałam, że los nie sprawił, że wybrałam ciebie. Potem jeszcze wiele razy tak myślałam.

Robert głaskał Annę po dłoni.

– Możecie się u mnie zatrzymać – powtórzył.

– Ale ja nie powiedziałam ci tego po to, by mieć miejsce do spania! – zawołała urażona Anna.

– Ale ja nawet tak nie pomyślałam!

– Robert, będę próbować stanąć na nogi. Nie chcę cię wykorzystywać i muszę sobie sama poradzić z pewnymi sprawami. Ale mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się nie tylko wtedy, gdy ratujesz mnie z opresji. Tylko po prostu spędzimy razem czas. Może kiedyś ugotuję coś dla ciebie, upiekę ciasto, ugoszczę cię. Jak już będę miała swoje miejsce na ziemi. Na razie nawet nie potrafię marzyć.

– Wiesz, o co poprosiła Zosia Świętego Mikołaja?

Anna pokręciła głową.

– O różowe okulary dla ciebie. Byś mogła dostrzec swoje marzenia.

Anna uśmiechnęła się lekko.

– A wiesz, że ja wam nie pozwolę zginąć. – Zamyślił się. – Skłamałem... Dokładnie pamiętam, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Nawet pamiętam, że pytałem, dlaczego płaczesz. I wiem już teraz, co to *baby blues*. Wtedy to zdecydowanie nie był *baby blues*.

– No, nie był.

– Żałowałem wtedy, że nie mam tyle odwagi, by cię stamtąd zabrać do siebie.

– A teraz miałbyś?

– Nie wiem... Nie wiem, dlaczego taka dziewczyna jak ty chciałaby ze mną pójść.

– Bo jesteś superbohaterem. A dziewczyny takich lubią.

\*\*\*

Zosi niemalże nie było widać zza tych wszystkich paczek.

– A kto zwykle je pakuje? – zapytała Adama. – Ty sam?

– Ja nie umiem pakować.

– To kto? – dociekała Zosia.

– Śnieżynki.

– Ale ja też nie umiem. – Zmartwiła się. – Nie umiem jeszcze wiązać butów i kokardek.

– A koniecznie muszą być zapakowane? – Skrzywił się. – Może w tym roku sobie to odpuścimy?

– No, może nie muszą. Nalepimy naklejki, co dla kogo. I weźmiemy torebki. Włożyłam takie ładne do koszyka. Dla mnie też wzięłam taką dużą, by miś się zmieścił!

A pani Mikołajowa? – zapytała nagle Zosia.

– Co pani Mikołajowa?

– No czy masz żonę? – denerwowała się jak zawsze konkretna Zosia.

– Mam. Znaczy nie mam... – Adam przypomniał sobie, że od pewnego czasu Krystyna, niestety, nie była jego żoną.

– Nic z tego nie rozumiem... To masz czy nie masz?

Adam westchnął. Naprawdę rozmowa z małymi, w dodatku nad wyraz rezolutnymi dziewczynkami stanowiła pewną trudność.

– Miałem żonę. I potem ona przestała być moją żoną. Ale tylko na papierze przestała, bo nadal ją kocham.

– Aha – mruknęła.

– Rozumiesz? – zapytał z nadzieją.

– Nie.

Adam westchnął głęboko.

– Chciałbym, by była moją żoną też na tym papierze, ale jak to zrobić?

– No jak to? Ożenić się! – Dziewczynka wzruszyła ramionami. Dorośli naprawdę czasem nie rozumieli podstawowych spraw. – Na papierze.

– A jak ona nie chce?

– Na pewno chce! Kto by nie chciał wziąć ślubu z Mikołajem! Morze prezentów każdego roku! – rozmarzyła się Zosia. – Właśnie! Co masz dla niej?

– Nic. Ona wszystko ma.

– Wszystko ma? – Pokazała rękami wszystkie sklepy naokoło i zmarszczyła czoło. – Niemożliwe, by wszystko miała! Musisz jej coś kupić... Najlepiej... brylanty.

– Brylanty?

– Kiedyś widziałam taki film i jedna pani, która wszystko miała, powiedziała, że nigdy za dużo brylantów. Tylko nie mów mamie, bo to nie był film dla dzieci. Ale i tak był nudny.

Adam się zasepił. Jego karta otwierała również sklep z biżuterią, może powinien tam pójść? Swoją drogą, nie spodziewał się, że kobiety już od dziecka posiadają niesamowitą umiejętność wydawania tylu pieniędzy w tak krótkim czasie.

\*\*\*

– Mamo, co za piękny dzień! – Zosia rzuciła się Annie na szyję, tuląc się do niej. – Trochę się martwiłam, że po mnie nie przyjdiesz, ale ty zawsze mnie znajdziesz, prawda? Mamo, czemu ty płaczesz?

– Bo... bo... bo cię... w końcu znalazłam – szlochała.

– Mamo, na początku trochę się denerwowałam, ale potem czekałam w poczekalni i przyszła do mnie babcia, i mnie tu przyprowadziła.

– Zosieńko, jaka babcia? Przecież ty nie masz babci!

– Ależ skąd! Już mam!

Anna spojrzała na nią wnikliwie.

– Kochanie, nic nie rozumiem... Jaka babcia?

– Babcia Sabinka. Obiecała mi placuszki z poziomkami.

– Sabinka? – Anna spojrzała na Zosię, zdezorientowana. – A gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. Gdzieś tutaj. Musimy jej poszukać. – Po chwili dodała głośniejszym głosem, patrząc w stronę Adama: – My z mamą poszukamy babci, a Mikołaj pewnie w tym czasie położy wszystkie prezenty pod choinką, prawda?

Adam spojrział z przerażeniem na dwa wypchane koszyki z supermarketu, a potem błagalnie na Roberta. Policjant się uśmiechnął, kiwając głową, i powiedział:

– Pewnie tak będzie. Idźcie szukać babci. Mam nadzieję, że znajdziecie najfajniejszą na świecie.

– Innej bym sobie nie wybrała – z pełnym przekonaniem stwierdziła Zosia.

\*\*\*

Sabina w swoim śnie dalej zbierała poziomki. Miała ich już tyle, że wystarczyłoby na placuszki dla całego tabunu wnuczek, ale pod pościelą w renifery spało jej się tak dobrze, że nie mogła się obudzić, więc zbierała dalej.

Była tak otulona, że Zosia z mamą przechodziły obok niej kilka razy i żadna z nich jej nie zauważyła. Dopiero głośne chrapnięcie, dochodzące od strony wielkiego łóżka, zdradziło miejsce ukrywania się poszukiwanej przez nie babci.

– Babciu, wyspałeś się? – zapytała Zosia, mocno ją przytulając.

Sabina usiadła na łóżku i włożyła okulary. Przez krótką chwilę zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Potem wszystko sobie przypomniała, ale to, że uciekła z domu seniora, potem weszła za swoją przyszywaną wnuczką przez rozbite okno do galerii handlowej i zasnęła w łóżku stanowiącym dekorację sklepu, było tak absurdalne, że zaczęła się zastanawiać, czy jej sen trwa nadal, czy się już naprawdę obudziła.

– Chodź, babciu, tam jest choinka, Mikołaj i będą prezenty – ekscytowała się Zosia, łapiąc ją za rękę.

Chyba jednak jeszcze się nie obudziła... Przetarła ponownie okulary, wstała z łóżka, spojrzała na podobnie zaskoczoną co ona sama matkę dziewczynki i poszła za dzieckiem w stronę choinki.

Nieważne, czy to sen. Skoro jest wnuczka, Mikołaj i mają być prezenty, niech ten sen trwa jak najdłużej. Tylko gdzie ona ma to wiadro pełne poziomek, które przed chwilą w tym śnie nazbierała? Pewnie się znajdzie pod choinką.

## 15.

Krystyna właśnie wysiadała z taksówki przed dworcem. W ślad za nią podążały babcia Helenka i Agnieszka.

– Tu ją zostawiłyśmy. O tam, tam! – Agnieszka pokazała ręką. – Stał taki mężczyzna, ona do niego podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

Krystyna z trudem mogła uwierzyć w taką wersję wydarzeń, jednak nie z powodu tajemniczego mężczyzny, ale w związku z tym, że naprawdę nie mogła sobie wyobrazić biegnącej Sabiny. Co prawda odstawiła już wózek i całkiem nieźle sobie radziła o kuli czy lasce, ale biegać? Nie kleiła jej się ta historia.

– Może jest w poczekalni? – zapytała z nadzieją w głosie babcia Helenka. – Albo może ktoś ją widział?

– Zapytajmy – zaproponowała Agnieszka.

Weszły do poczekalni. Niestety, nikogo już tam nie było. Któż by jeździł pociągami w wigilijny wieczór?

– Dzień dobry, czy może zauważyła pani dzisiaj tutaj starszą kobietę? Samotną... Miała taki siwy płaszcz z futerkiem, okulary i beret. Była wysoka i taka dość potężna. Duża... – zapytała panią w okienku, która właśnie kończyła swoją pracę.

– Samotna? – upewniła się kobieta.

– Tak! – Krystyna się łudziła, że natrafiły na jakiś trop.

– Nie, samotnej nie widziałam.

Spieszyła się do domu na wigilię i nie widziała sensu, by opowiadać, że widziała dokładnie taką kobietę, jaka została jej opisana, tylko ta kobieta nie była samotna. Siedziała i rozmawiała z małą dziewczynką, a potem z nią gdzieś poszła. Z pewnością zatem o nią nie chodziło, bo tamta zdecydowanie nie wyglądała na samotną, a poza tym dziecko mówiło do niej „babciu”.

\*\*\*

– To co teraz? – zapytała Helenka.

– Nie wiem... Naprawdę nie wiem. – Krystyna była bliska załamania nerwowego. – Trzeba powiadomić policję.

– A rodzina?

– Sabina nie ma nikogo.

– Zupełnie nikogo?

– Zupełnie. Jej mąż zmarł jakiś czas temu, oboje byli jedynakami. Nie mieli dzieci. Jediną rodziną, jaką ma, jesteśmy my.

– Wezwę taksówkę. Pojedziemy na komisariat. – Agnieszka postanowiła działać, bo szefowa domu seniora wyglądała jak siedem nieszczęść.

Gdy czekały na kierowcę, do Krystyny zadzwonił telefon.

– Krysiu, powinienem do ciebie zadzwonić wcześniej w sprawie wigilii... – zaczął Adam. – Bo ja chciałbym bardzo się z tobą spotkać i nawet prezent mam dla ciebie...

– Adam, ja teraz nie bardzo mogę rozmawiać...

– To ja tylko na szybko. Nie zgubiła się wam dzisiaj jakaś staruszka?

\*\*\*



– Poczekaście – powiedziała, gdy zajechały przed dom seniora. – Ja tylko pójdę po Eleonorę, a potem pojedziemy do Adama. Nie wiem, co ten mój mąż wykombinował, ale chyba za bardzo nie mamy wyjścia. Nie zdążyłam nic przygotować. – Wypadła z taksówki i poszła prosto do pokoju ostatniej z obecnych pensjonariuszek.

– Eleonoro, dzisiaj bardzo nietypowo. Pojedziemy na wigilię do centrum handlowego. Tam jest piękna duża choinka i wielki stół, przy którym możemy wszyscy usiąść. Było zamieszanie z Sabiną i tak się to porobiło.

– Ale ja już miałam wigilię – powiedziała stanowczo Eleonora. – Kilka dni temu. Nigdzie nie idę, bo ja się wybieram i muszę być przygotowana.

– A nie będzie ci przykro, jak zostaniesz sama? Bo ja naprawdę muszę jechać po Sabinę.

– W życiu! Pani Krysiu, wie pani, że ja o niczym innym nie marzę, jak o świętym spokoju. Wesołych Świąt! I dziękuję za wszystko!

## 16.

Prezenty leżały już pod choinką. Było ich dużo. Zosia zadbała o to, by było kilka takich, które nadawałyby się dla wszystkich. Mama jej zawsze opowiadała, że ten pusty talerz był dla niezapowiedzianego gościa albo zbłąkanego wędrowca. Zosia się dziwiła, że talerz dla niego jest, a prezentów nie ma. Przecież gdyby ona przyszła niespodziewanie do kogoś na wigilię, nie musiałyby nic jeść, ale gdyby nie dostała prezentu, byłoby jej bardzo przykro. Nie mogła do tego dopuścić.

Stół koło choinki był ogromny. Adam się cieszył, że uległ namowom pani od marketingu ze sklepu z porcelaną i zgodził się na zrobienie takiej wielkiej świątecznej dekoracji. Tylko nie bardzo mieli co na ten stół postawić. Jak sobie pomyślał o tym, że znowu miałby iść do sklepu i wybierać te wszystkie rzeczy do wielkiego koszyka, to natychmiast robiło mu się słabo. Przecież musiał zrobić jeszcze wszystkiemu zdjęcia, żeby potem nabili na kasę cały zakupiony towar, bo przecież trzeba uregulować należności.

Przy stole siedziała Anna, mama Zosi, zapatrzony w nią Robert, po drugiej stronie Sabina, która najwyraźniej rozmawiała z Anną na poważne tematy. Dalej Krystyna, potem jedna z jej pensjonariuszek z wnuczką. Było kilka wolnych miejsc, ale chyba nikogo się już nie spodziewali.

– A co będziemy jedli? – zapytała nagle Zosia.

Adam jęknął.

– Mikołaju, idziemy do sklepu? – zapytała i z radością chwyciła wciąż stojący nieopodal koszyk. Tym razem pusty.

– Może pan sobie usiądzie, a ja pójdę z Zosią? – nieśmiało zaproponowała Agnieszka, widząc minę umęczonego Adama.

Odetchnął z ulgą i skinął głową, ciesząc się, że pozostała mu rola Świętego Mikołaja, a nie jeszcze dodatkowo Master Chefa.

– Pamiętam, że musimy zrobić wszystkiemu zdjęcia – zapewniła Zosia. – Ale powiem ci, że musisz to jakoś, Mikołaju, inaczej zorganizować w przyszłym roku, bo to zajmuje mnóstwo czasu. Ja nie wiem, jak ty masz zamiar całą Ziemię w takim tempie oblecieć!

\*\*\*

– Wierzysz w Mikołaja, Aga? – zapytała, gdy dziarskim krokiem szły obie do supermarketu.

– Chyba nie. – Dziewczyna smutno pokręciła głową.

Pomyślała o cudnym czasie spędzonym w leśnym domku z Mikołajem Czyżykiewiczem. To wspomnienie wydawało jej się tak odległe...

– Musisz w niego uwierzyć! – krzyknęła Zosia.

– Dlaczego?

– Bo świąt nie będzie. – Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Ale on oszukuje! – odpowiedziała spontanicznie. Nie miała na myśli porzucanych prezentów w szafkach czy pochowanych pod łózkami rodziców.

– E tam, czasem trzeba oszukiwać – westchnęła Zosia, mając na myśli zupełnie coś innego niż jej cztery razy starsza znajoma.

– Trzeba? – zdziwiła się Agnieszka.

– No, trzeba.

– A to niby dlaczego?

– Dla dobra ludzkości – z pełnym przekonaniem stwierdziło dziecko.

Agnieszka kompletnie nie wiedziała, jak może skorzystać ludzkość na tym, że Mikołaj Czyżykiewicz skakał z kwiatka na kwiatek, umawiał się z wieloma dziewczynami naraz, prawdopodobnie wmawiając każdej z nich, że jest tą jedyną. A teraz jeszcze pewnie jej zacznie to wmawiać. I jak tu uwierzyć Mikołajowi?

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz – mruknęła Zosia. – A ja ci właśnie opowiadałam, że tej nocy dzieją się cuda! Ja to wiem!

## 17.

– Ojciec, szybko macie wybitą – zakomunikowała dziewczyna, która nagle pojawiła się tuż obok choinki.

– Marta! – Krystyna zerwała się z miejsca.

– Marta! – zawołał Adam. – Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj!

– A gdzie miałabym być, jak nie z rodziną? Wesołych Świąt! – powiedziała, witając się ze wszystkimi. – Aga! – Wycalowała przyjaciółkę. – Zobacz, co mam! – Powiesiła bombkę ze swoim imieniem na wielkiej choince. – A gdzie Miki?

Agnieszka milczała.

– Znowu nabroił? – burknęła Marta.

– Ja nabroiłam – westchnęła Krystyna. – I powinnam się chyba wytłumaczyć. W tym całym zamieszaniu z Sabinką nawet nie było na to czasu.

– Pani? – zdziwiła się Agnieszka.

– Do tej pory... Hm... – Chrząknęła, zastanawiając się, jak przedstawić niewygodne fakty z przeszłości, by znów nie pogorszyć sytuacji. – Do tej pory mój syn nie przywiązywał wagi do imion kobiet, z którymi się spotykał...

– Powiedz, mamo, wprost – poprawiła ją Marta. – Twój syn, a mój brat nie tyle nie przywiązywał wagi do imion kobiet, z którymi się spotykał, ale do tychże kobiet również.

– O właśnie! Ale teraz chyba coś mu się stało i wyraźnie uprzedził mnie, że tym razem to coś innego i że mam być miła.

– Ty zawsze jesteś miła, Krysiu – zauważył Adam, patrząc na nieżonę z czułością.

Krystynie przez głowę przeszła myśl, że mąż, a w zasadzie były mąż, będzie od niej coś chciał. Postanowiła być twarda i nie ulegać.

– Zawsze jestem miła, ale teraz chciałam być miła szczególnie – westchnęła Krystyna.

– I nie wyszło? – zapytała babcia Helenka.

– Zupełnie nie wyszło. – Machnęła ręką. – Powiedziałam do Agnieszki, że miło mi ją widzieć, ale pomyliłam imiona i zostałam zrozumiana zupełnie inaczej. – Popatrzyła na Agnieszkę. – Przepraszam cię, kochanie. Mikołaj naprawdę nic tu nie zawinił...

– A właśnie, gdzie on teraz jest? Nie powinien być tutaj, z nami?

– O Boże, on pewnie wciąż jej szuka! – krzyknęła Krystyna. – Zapomniałam mu powiedzieć, że już ją znaleźliśmy i ja jej tak łatwo stąd nie wypuszczę!

Agnieszka wstała z miejsca.

– Nie wypuszczę! – Babcia Helenka chwyciła za ramię wnuczkę, która posłusznie usiadła.

– Bo dzisiaj wszyscy się gubili i odnajdywali, więc potraktowałam to jako normalną sprawę i zapomniałam do niego zadzwonić – tłumaczyła dalej Krystyna.

– Mamo! – zawołała oburzona Marta, wyciągając telefon. – Miśku, gdzie jesteś? A co ty robisz w Żukowie? Na jakie Kaszuby? Tam jej nie ma! Twoja zguba się znalazła. Wszyscy ją trzymamy i nie puszczamy. Przyjeżdżaj do galerii ojca... Tak, jest choinka, biały obrus, sianko i nawet prezenty są. Tylko Mikołaja brakuje! – Roześmiała się serdecznie.

Zosia spojrzała na nią ze zdziwieniem. Drugi Mikołaj? Jeszcze więcej szczęścia? Potem jednak zrozumiała, że ten drugi to syn tego pierwszego. Cóż, ktoś musi przejąć rodzinny biznes. To też było w tym filmie. Tym o brylantach. Tym, który kiedyś Zosia oglądała nocą po kryjomu i nie chciała, by mama się o tym dowiedziała.

## 18.

Mikołaj szalał z radości. Wytłumaczy jej wszystko, choćby miał się z nią zamknąć na klucz w małym pokoju. Byleby go wysłuchała. Kompletnie nie wiedział, co chciałby jej powiedzieć, ale wierzył, że gdy tylko ją zobaczy, to się dowie.

Zaraz po telefonie Marty zawrócił na rondzie w Żukowie i pojechał z powrotem do Gdańska. Cały dzień szukał Agnieszki. Oczywiście wrócił do Happy Endu, ale pielęgniarka powiedziała mu, że nikogo nie ma. Nie wiedział, że Agnieszka była tam chwilę wcześniej. W desperacji postanowił pojechać do domu jej babci. Myślał, że może tam uciekła, bo w tym miejscu czuła się najlepiej. Gdy zadzwoniła Marta, miał ochotę śpiewać i tańczyć.

GPS wskazywał dwadzieścia kilometrów. O tej porze w Wigilię nie było już ruchu, wszyscy powoli zasiadali z rodzinami przy stole. Mikołaj się uśmiechnął. W radiu śpiewali Majka Jeżowska i De Mono:

*Chcę z tobą spędzić święta,  
bo tylko wtedy dla mnie liczą się,  
gdy w twojej dłoni moja dłoń zmarznięta.  
Przyjedź do mnie jak najprędzej.*

– Jadę – powiedział sam do siebie. – I już zawsze chcę z tobą być.

Po raz pierwszy w życiu wiedział, że to, co czuje, to jest miłość. I sam był tą świadomością zaskoczony, bo nigdy dotąd w jego trzydziestoletnim życiu mu się to nie przydarzyło.

\*\*\*

Po dwudziestu minutach zatrzymał się na zaśnieżonym parkingu obok centrum handlowego. Próbował się dostać przez główne wejście, ale było zamknięte. Już miał dzwonić do Marty, gdy zauważył, że tuż obok jest wybite okno. Nie namyślając się długo, wszedł przez to okno, a potem przez nieużywany sklep dostał się do środka. Już z daleka zobaczył rozświetloną największą i najpiękniejszą, jaką w życiu widział, choinkę. Usłyszał też gwar rozmów.

– Ojciec! Ktoś ci okno wybił w tym niezajętym sklepie na dole.

Marta parsknęła śmiechem.

I wtedy ją zobaczył... Siedziała i wpatrywała się w niego. Jej jasnobrązowe włosy jeszcze bardziej skręciły się w sprężynki. Jego dłonie pamiętały, jak ich dotykał, jak je rozprostowywał i jak wracały niesfornie na swoje miejsce.

– Nie uciekaj mi już więcej – wyszeptał, stając przed nią. – Ja już nie chcę gonić szczęścia. Ja chcę złapać je w swoje ręce i mocno trzymać. By go już nigdy nie wypuścić.

„Ja pierdolę” – powiedziałyby pani Jagoda, gdyby tam była. A że jej tam nie było, wszyscy tylko się uśmiechnęli. Robert otarł Annie łzy wzruszenia, a Adam zaczął się zastanawiać, kto powinien pierwszy wziąć ślub: czy on z Krystyną, czy jego syn z tą zjawiskową dziewczyną z włosami jak sprężynki.

**Happy End**

# 1.

To były niezapomniane święta. Adam postanowił, że to będzie ich nowa rodzinna tradycja. Ta piękna choinka faktycznie by się zmarnowała, gdyby stała samotnie. Nie spodziewał się, że czas, którego tak bardzo się bał, będzie czasem tak cudownym. Krystyna się uśmiechała i rozmawiała z Agnieszką. Adam obiecał sobie, że musi zapamiętać jej imię, bo faktycznie wiele tych dziewczyn było w życiu Mikołaja i łatwo było się pomylić. Chociaż syn na żadną nie patrzył w taki sposób.

Przypomniała mu się Krysia w młodości. Też kiedyś tak na nią patrzył... Też najchętniej wtedy zamknąłby ją w złotej klatce i nie wypuścił. Potem pojawiły się dzieci, on coraz częściej przesiadywał w pracy, a złota klatka stała cały czas otwarta. I nie było w niej przytulnie. Krystyna nie chciała już w niej siedzieć sama. Kiedy i dlaczego to się stało? Nie wiedział sam.

Z żalem spojrział w przeszłość. Młodość już nie wróci. Ale... przecież to jeszcze nie koniec życia! Mimo wieku wciąż był całkiem sprawny i nadal mógł spełniać marzenia. Swoje i innych. Przecież Zosia powiedziała, że jest najlepszym na świecie Mikołajem.

Marzenia dziewczynki już spełnił. Siedziała na kolanach Sabiny, pensjonariuszki z domu seniora prowadzonego przez jego żonę. Widział, jak za każdym razem, gdy mówiła do niej „babciu”, starsza pani się lekko uśmiechała. I wyglądała wtedy na jakieś dziesięć lat mniej. Na kolanach Zosi siedział natomiast miś. Prezent, który miał jej dać już dawno.

Tymczasem jej mama założyła różowe okulary. Czy dostrzegła marzenia? Nie wiadomo. W każdym razie uśmiechała się do Roberta. To dobry człowiek, a Adam miał wrażenie, że Anna zbyt dużo dobroci w swoim życiu nie zaznała. On znał się na ludziach i już wielu wyciągał z życiowych tarapatów. Jak będzie trzeba, Annie też pomoże. Ale miał przeczucie, że pomoże jej ktoś inny.

Pani Helenka wpatrywała się z uśmiechem we wnuczkę. Tak jak Mikołaj, który sprawiał wrażenie, jakby był zazdrosny o każdego, kto oddycha tym samym powietrzem, co jego ukochana. Och, jakże dobrze Adam znał to uczucie!

Marta się uśmiechała, zerkając na ekran telefonu... Adam nie wiedział jeszcze, co to oznacza, ale miał przeczucie, że coś dobrego. Ostatnio w jego rodzinie działało się jakby lepiej. Udały mu się też te święta. Oczywiście w kieszeni trzymał pierścionek z brylantem dla Krystyny. Nie chciał go wkładać pod choinkę. Obiecał sobie, że zdobędzie się na odwagę i wręczy jej go, gdy będą sam na sam. Uklęknie jak człowiek i poprosi ją o rękę. Kochał ją nad życie. Nie była to zaborcza miłość, potrafił bez niej żyć. Ale po co? Była jak ukochany miękki koc, do którego lubił się przytulać. Trochę już zniszczony przez życie, ale taki ulubiony. Nie będzie robił porządków. Trzeba się tym kocem okryć. I tak posiedzieć niespiesznie...

Dobrze, że są święta. Dobrze, że po raz pierwszy od dawna nie pakowali się w pośpiechu, nie pędzili gdzieś na samolot, ale też nie siedzieli w garach przez cały tydzień. Po prostu w radosnej atmosferze spędzali czas przy stole. Jak to się stało? Zosia weszła tu przez to wybite okno. Nawet nie zauważył, jak to się stało. I kiedy. Jednak nie miał nad wszystkim kontroli. I to chyba dobrze. Gdyby wiedział o rozbitej szybie, natychmiast by ją zakleił jakąś dyktą. Nikt by tutaj nie wszedł i nie byłoby takich świąt.



Może monitoring nagrał moment wybicia szyby? Ktokolwiek to zrobił, chciałby mu za to podziękować.

\*\*\*

Dochodziła północ. Staruszki już ziewały. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Może jutro zjemy wspólnie śniadanie? – zaproponował Adam.

– Może w Happy Endzie? Coś dam radę przygotować, bo zrobiłam zakupy na naszą wigilię w kameralnym gronie.

– Ja wszystko przygotowuję – zaproponowała Anna.

– To znaczy, że przyjmujesz moją propozycję? – zapytała Krystyna.

– Od zaraz!

– Krystyno, śpimy u mnie czy u ciebie? – zapytał nagle Adam.

Wszyscy nagle zamilkli, oczekując na odpowiedź. Krystyna rozejrzała się wokół.

– Teraz! – krzyknęła Zosia.

Adam chrząknął. Miało być sam na sam, ale jego Śnieżynka chyba miała rację – lepszy moment się nie nadarzy.

– Bo ja mam do ciebie pewne pytanie, Krysiu... – zaczął niepewnie.

– Tak! – wypaliła ni stąd, ni zowąd Krystyna.

– Co tak? – zdziwił się.

– Chciałeś zapytać, czy wyjdę za ciebie znowu. – Roześmiała się.

– A skąd wiesz?

– Znam cię już od tylu lat! Gdybym ja tego nie powiedziała, czekalibyśmy kolejne dziesięć lat. A poza tym jak ostatnio mnie zapytałeś, czy śpimy u mnie, czy u ciebie, to zaraz potem mi się oświadczyłeś.

– Nie pamiętam nic takiego. – Adam pokręcił głową. – To jak?

– Zgadzam się!

– Brylanty! – przypomniała Zosia.

– Brylanty! – Adam pacnął się w czoło, że zapomniał, i wyciągnął pierścionek.

Wsunął na palec Krystyny koszmarny, jakby odpustowy pierścionek z olbrzymim świecącym różnokolorowo oczkiem.

– Przepraszam, Zosia wybierała – wyszeptał. – Brylanty jej nie urzekły. Potem sama sobie wybierzesz taki, jaki będziesz chciała.

Krystyna ze śmiechem rzuciła mu się na szyję.

\*\*\*

– Do mnie czy do ciebie? – zapytał Mikołaj.

Agnieszka spojrzała przestraszona na babcię.

– Ja nie wnikiem – stwierdziła staruszka. – Przynajmniej Krystyna nie będzie miała kłopotu ze ścieleniem łóżka.

– Babciu! – zawołała Agnieszka.

– W końcu mam sprzymierzeńca. – Mikołaj łobuzersko puścił oko do babci Helenki.

Babcia dokładnie zrozumiała, dlaczego wszystkie kobiety kochały Mikołaja. Była jednak jedną z nich.

– A ja będę spała z babcią – oświadczyła nagle Zosia.

– Ale... – zaczęła Anna.

– To bardzo dobry pomysł! – ucieszyła się Sabina. – Mam duże mieszkanie w centrum. Trochę zakurzone, bo od dawna tam nikt nie był...

– Moja mama doskonale sprząta – szybko zareklamowała Zosia. – Niektórzy nawet jej za to płacą! Prawda, mamo?

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Nocleg u staruszki by ją ratował. Chociaż na tę jedną noc. Rozmawiała z Sabiną, ta wiedziała o jej sytuacji. Serdeczna atmosfera przy stole sprzyjała zwierzeniom...

– Będę mogła spać z babcią? – zapytała ponownie Zosia.

Anna pokiwała głową.

Robert się uśmiechnął. Jeszcze dzisiaj nie będzie pytał, czy śpią u niego, czy u niej. Właściwie nie miał pewności, czy kiedykolwiek zdobędzie się na to, by o to zapytać. Ale przeczuwał, że Anna właśnie odbiła się od swojego życiowego dna. Podejrzywał, że takie kobiety jak ona mogą pofrunąć wysoko. Miał tylko nadzieję, że w tym lataniu będzie potrzebowała towarzysza. Przecież łatwiej przemierzać przestworza w tandemie...

Marta zapamiętała stuknięcie czegoś w telefonie.

Paweł: *Chciałbym namalować twój akt.*

Marta: *Kiedy?*

Paweł: *Teraz!*

Marta: *A naprawdę musisz malować? \*\*\**

Paweł: *Nie, ale to był pretekst, by zobaczyć cię nago.*

Marta: *Gdzie mam być?*

Paweł: *A gdzie jesteś?*

Marta: *W galerii ojca.*

Paweł: *Będę po ciebie za dziesięć minut. Pojedziemy spełniać nasze marzenia.*

Marta: *Czekam!*

## 2.

Różne mają ludzie marzenia. Niektórzy pragną miłości, inni po prostu chcą czuć się bezpiecznie. Niektórzy chcą malować akty, a inni po prostu marzą o dalekich podróżach. Niekiedy się zdarza, że dobry los postanawia im w tym pomóc.

W tym czasie, kiedy dobre anioły spełniały życzenia wielu ludzi na świecie, jeden z nich również postanowił spełnić największe marzenie Eleonory. W wigilijny wieczór położyła się jak co dzień do łóżka. Tuż przed snem wypijała szklaneczkę siedmiogwiazdkowej metaxy, potem poprawiała makijaż, który według niej był wyjątkowo udany, i z uśmiechem na pomalowanych na różowo ustach zasnęła.

Nad ranem, kiedy niemalże wszyscy spokojnie spali, zadowolona żwawo przekraczała bramę świętego Piotra.

– Tak długo się tu wybierałam! – szepnęła. – I wreszcie jestem!

### 3.

Sabina nie była mistrzynią w szybkim podejmowaniu decyzji. A właściwie zawsze nad wszystkim zastanawiała się bardzo długo.

Gdy usłyszała historię Anny i Zosi, to po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że mogłaby komuś pomóc. Że to mieszkanie mogłoby jeszcze komuś sprawić przyjemność, że porcelana z Ćmielowa mogłaby kogoś jeszcze cieszyć, i na co dzień, i w święta. A w kwestii złotego rantu jakoś miała do Anny zaufanie. I meble by cieszyły, i ten dywan. I na pewno Anna i Zosia dbałyby o to mieszkanie. Sabina знаła się na ludziach.

Tak bardzo podekscytowała się tą myślą, że nie mogła zasnąć. Jednak nie była jeszcze pewna... Gdyby żył Boguś, pomógłby jej podjąć decyzję. Powiedziałyby kilka mądrych zdań, które niekoniecznie by zrozumiała, ale to by wystarczyło, by nie wątpiła w słuszność swoich wyborów.

Wstała, poszła do kuchni i nalała sobie wody. Usiadła i stwierdziła, że skoro nie może spać, to sobie poczyta albo pomyśli jeszcze raz co robić. Sięgnęła po gazetę. To była ostatnia gazeta, jaką Boguś czytał przed śmiercią. Nie miała śmiałości jej wyrzucić. Leżała tak, jak ją zostawił tamtego dnia, kiedy umarł. Nie interesowała ją ta tematyka. Jakiś „Dziąlkowiec” czy inny tygodnik o insektach. Otworzyła na chybił trafił. Przeczytała kawałek artykułu zatytułowanego „Kanibalizm seksualny modliszek”:

*W czasie godów samiec ostrożnie podkrada się do samicy, zazwyczaj od tyłu, i dokonuje kopulacji. Samica chwytą partnera, kiedy ten już skończy i usiłuje odskoczyć, często jednak samiec pada łupem wybranki jeszcze podczas miłosnych wysiłków. Modliszka sprawnie odgryza kochankowi głowę, o dziwo, pozostała część ciała amanta nie jest pozbawiona popędu płciowego. Makabryczny owadzi seks trwa w najlepsze, na koniec jednak z pana modliszki zostają tylko skrzydełka\*.*

\* <https://www.tygodnikprzeglad.pl/kanibalizm-seksualny/> [dostęp: 30.08.2019]

„Ot, ciekawe – pomyślała. – Szkoda, że tak nie dzieje się w niektórych przypadkach ludzkich”. Napiła się wody, spojrzała jeszcze raz na gazetę i uznała, że to znak. Znak od Bogusia. Jak zawsze pomógł jej podjąć decyzję.

Otworzyła szafkę i nalała sobie nalewki, którą Boguś zawsze trzymał na specjalne okazje, gdy coś świętowali. Tym razem była okazja bardzo szczególna.

Sabina Wojtczak nie mogła się doczekać rana. Faktycznie, wyglądało na to, że dostała w prezencie najlepszą córkę i najlepszą wnuczkę na świecie. I mogła im też ofiarować prezent, którego się w życiu nie spodziewała. Był potrzebą, ale też marzeniem, na które Anna mogła spoglądać przez różowe okulary.

Jak to dobrze, że Boguś wciąż nad nią czuwał!

## 4.

Agnieszka z Mikołajem spacerowali zaśnieżonymi uliczkami. Pewnie za lat dwadzieścia będą woleli wigilijną noc spędzić w swoim własnym łóżku, jednak miłość i młodość zawsze rządzą się swoimi prawami. Nie znają chłodu, nie znają nocy i zmęczenia. Gwiazdy wtedy jaśniej świecą, a księżyc oświetla życiową drogę, która wydaje się wtedy beztraska i bez żadnych przeszkód.

– Ale jak ja mam mieć pewność, że teraz jest inaczej? – zapytała Agnieszka. – Że nie pobawisz się mną chwilę i nie będę znowu musiała uciekać?

– Nigdy nie masz tej pewności... – powiedział, ku jej zaskoczeniu. – To od ciebie zależy, czy mi uwierzysz. Ja tym razem sobie wierzę. Wierzę, że czasem trzeba się zgubić w gęstym lesie, by znaleźć coś, czego się wcale nie szukało, a bez czego nie można żyć. Nie będę cię zapewniał, że będziesz najszczęśliwsza na świecie. To nie zależy tylko ode mnie. Ale obiecuję ci, że zrobię wszystko, byśmy byli razem szczęśliwi. – Zatrzymał się i nasunął jej mocniej czapkę na uszy. – Uwierz w Mikołaja, Agnieszko. Proszę...

KONIEC

*Amalka, 31 sierpnia 2019, 4.44 (godzina do wschodu słońca)*

# Przecież to było tak niedawno...

*Wcześniej albo później, czas nie gra roli... Przecież to było tak niedawno, zaledwie wczoraj.*

Pani Genowefa, lat prawie dziewięćdziesiąt, jak co rano zupełnie bez trudu wstała z łóżka. Napawało ją to niekłamana radością, bo, prawdę mówiąc, niektórzy w tym wieku z łóżka nie wstają wcale.

Pani Genowefa nie chciała nawet myśleć, skąd musiałyby wstawać jej wszystkie przyjaciółki, które pożegnała w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nawet wolała, by stamtąd nie wstawały, gdyż ona mogłaby tego po prostu nie przeżyć. Serce miała wprawdzie jak dzwon, ale nawet ci najodważniejsi, gdy widzieli ducha albo inną zjawę, tracili animusz. Ona nie chciała niczego tracić, a już w żadnym wypadku życia, gdyż uważała, że jeszcze trochę ma do zrobienia i zobaczenia na tym świecie.

Ot na przykład okno... Codziennie rano patrzyła w to okno. A raczej bardzo chciała oglądać to, co pojawiało się za nim. Lubiła na przykład patrzeć na pewnego dość wiekowego potężnego mężczyznę, który codziennie wychodził z sąsiedniego domu. Rozglądał się bacznie, jakby nie chciał przez nikogo być zauważony, potem wyciągał jakiś przedmiot z kieszeni, schylał się i kreślił coś na płocie. Niczym więzień, który liczy, ile dni musi jeszcze spędzić w celi. Nie dziwiło jej to specjalnie, bo ona też codziennie zrywała kartkę z kalendarza i nakłuwiała ją na specjalny szpikulec, zastanawiając się, ile dni musi minąć, aż pewna sprawa zostanie załatwiona i pozostanie mglistym wspomnieniem. Pewnie gdyby miała mur, też by zaznaczała na nim mijające dni, ale szkoda było jej ściany, poza tym w zupełności wystarczał jej kalendarz. Mężczyzna rysował te kreski niczym więzień w celi, aczkolwiek nie wyglądał na specjalnie przetrzymywanego. Zdawało się, że może tam, do tego budynku, wchodzić i wychodzić, kiedy chce, więc trochę dziwiło Genowefę to wątpliwe ozdabianie płotu.

Potem nieznamy się prostował. Czasem bardzo dziarsko, a czasem przychodziło mu to z trudem. Poleciłaby mu swoją maść na korzonki, pewnie byłoby mu lepiej, ale do tej pory, niestety, nie miała okazji zamienić z nim słowa. Obawiała się, że zanim zeszlaby ze swojego pierwszego piętra i dotarła do sąsiedniego budynku, mężczyzna by już znikł. Rzadko wychodziła z domu, coraz rzadziej. Wnuk wystawił jej na balkon fotel, by mogła pooddychać świeżym powietrzem, i to miało jej zrekompensować wszelakie spacerki.

Postanowiła zatem zapisywać na kartce godziny, w jakich mężczyzna wychodził na dwór, i po dwóch tygodniach zauważyła pewną prawidłowość. Jeżeli wnuk kupi jej balkonik, ośmieli się podążyć na sam dół, by zamienić słówko z tym starszym panem. W jej wieku nie było na co czekać, a nie wyobrażała sobie, że odejdzie z tego świata, nie poznawszy tajemniczy systematycznego rysowania na płocie okalającym sąsiedni budynek.

Genowefa wiedziała nie od dziś, że w tym dużym domu obok mieścił się Dom Seniora Happy End. Ktoś miał ułańską fantazję z tą nazwą. Happy end kojarzył się zawsze ze ślubem, chociaż ona już знаła przypadki (niekoniecznie odległe), gdy ten ślub był

początkiem końca, i to nie takiego szczęśliwego. Może więc ta nazwa dla domu seniora jednak była bardziej adekwatna? Bo, jakby się zastanović, to lepiej, jak ten ostateczny „end” będzie „happy” niż jakiś smutny. Bo że kiedyś nastąpi, to przecież wiedzą wszyscy.

\*\*\*

Mieszkała w tym mieszkaniu od zawsze. Na początku oczywiście miała inne zainteresowania niż okno. Dawniej kochała grać w brydża, jednak jej karciani współtowarzysze po kolei ją opuszczali. Najpierw grali we czwórkę, potem we trójkę „z dziadkiem”, a kiedy zostały tylko we dwie z najbliższą przyjaciółką Klarą, przerzuciły się na garibaldkę, a potem... potem już głównie wyglądała przez okno. Bo co jej pozostało?

Odkał w domu naprzeciwko zamieszkali ludzie w jej wieku, lubiła ich podglądać. Często nie zasłaniali okien, więc mogła bez skrępowania śledzić niemal każdy ich ruch. Pensjonariusze często grali w karty. Miała ogromną ochotę do nich dołączyć. Niestety dawniej budynki stawiano od siebie w większej odległości, pewnie gdyby było to nowe budownictwo, mogłaby podpowiedzieć temu dużemu facetowi, czy dwa bez atutu to dobre rozwiązanie na początek, albo nawet przeczytać tytuły książek leżących na stole w bawialni domu seniora. Niestety, z daleka nawet nie mogła poznać, czy grali w kanastę, remikę czy brydża.

Musi pamiętać, żeby wnuk jej lornetkę kupił. Albo lunetę. Chociaż może na początek pożyczyc od sąsiada. Widziała, że kilka razy podglądał, co się tam dzieje naprzeciwko, ale widać gustował w młodszych, bo szybko zaprzestał obserwacji.

Genowefa lubiła panujące tam zamieszanie. Coraz częściej myślała, że życie w tym gwarnym domu byłoby znacznie ciekawsze niż to samotne w jej własnym mieszkaniu. Nie mogła narzekać na rodzinę, troszczyła się o nią ogromnie, ale to nie to samo. Oni mieli swoje zajęcia, a ona chciała mieć swoje. Na razie musiało jej wystarczyć okno.

Ostatnio nawet wolała tamten widok niż telewizor, który kupił jej syn. Włączała tylko jakieś wiadomości, czasem serial. Nie chciała, by Adasiowi było przykro, że jej się prezent nie spodobał. W ogóle im była starsza, tym bardziej dochodziła do wniosku, że w życiu wszyscy robią różne rzeczy tylko po to, by innym nie było przykro. Ale nawet nie porozmawiają z nikim w tej sprawie, tylko bawią się we wróżki i myślą, że doskonale wiedzą, co ta druga osoba czuje. Zamiast pogadać od serca, zatrzymać się nieco w tym życiu, ofiarowują prezenty, różne niepotrzebne graty, z którymi potem nie wiadomo, co robić.

Ot, na przykład ten telewizor. Kiedy popsuł jej się stary, przyszli syn z wnukiem i zaczęli ją wypytywać, jaki by chciała model. A czy ona się znała na modelach telewizorów?

– Najlepszy – powiedziała jednak. – Najbardziej wypasiony, jak to mówisz, Brunonku – zwróciła się do wnuka.

Bruno spojrział na nią z podziwem.

– Babciu, ale ty nie wykorzystasz wszystkich możliwości tego sprzętu. Może nie warto?

– Dziecko drogie, ale ty wykorzystasz. Ja jeszcze trochę pożyczę, ale już nie tak długo. I chodzi przecież o to, że jak odziedzicysz po mnie to mieszkanie, z tym telewizorem, to

się ucieszysz z tego, że on jest taki wypasiony. Kupuj więc jak dla siebie.

– Taki z głośnikami...?

– Oczywiście! Głośniki akurat mi się przydadzą, bo słuch to mi się ostatnio pogorszył.

– Mama wszystko przecież słyszy doskonale – wtrącił się milczący do tej pory Adam, syn Genowefy.

– Ale chciałabym lepiej słyszeć. A może mi powiecie, czy są takie urządzenia, dzięki którym ja mogę słyszeć to, co dzieje się dwadzieścia metrów ode mnie? – zapytała niewinnie.

– Babciu, do czego zmierzasz? – zaniepokoił się Bruno.

– Każdy zmierza do jednego... – Wskazała na niebo. – Tam albo tam. – Spuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Ależ mam! – obruszył się jej syn.

– Nie rozumiem, skąd ta niechęć do rozmów o śmierci. Trzeba ją oswoić. A lepiej przecież, gdy zostawię Brunonowi dom z wypasionym telewizorem, niż gdy będzie tu jakieś stare pudło, którego on nie będzie chciał. Prawda, Brunonku? Potem kłopot tylko z wyrzucaniem.

Szesnastolatek wzruszył ramionami i jeszcze bardziej ukrył twarz w wielkim kapturze.

– Prawda, wnusiu? – zapytała głośniej Genowefa.

– Prawda, babciu – powiedział w końcu chłopak.

– Bruno! – Jego ojciec od razu się zdenerwował.

– Przynajmniej jeden w tej rodzinie mówi prawdę – westchnęła Genowefa. – Wszyscy nieustannie kręcą i coś ukrywają. Zatem wybierz, Brunonku, jakiś telewizor, coby miał pilota z dużymi przyciskami, te wszystkie *fliksy* i *flokxy* i inne *ejcze*, i kupujcie.

– Mamo, ale po co ci taki drogi telewizor? – Adam próbował jeszcze ratować majątek swojej matki przed kompletnym roztrwonieniem.

– Adaś, ja cię naprawdę życia nie nauczyłam – jęknęła. – Zostawię pieniądze po sobie, to rozpuścicie na głupoty, a z telewizora przynajmniej się ucieszy mój wnuk. A może i ja też trochę jeszcze skorzystam, jak przyjdzie do mnie i wspólnie jakiś film obejrzymy. W sumie moje horyzonty to też poszerzy.

Na szczęście ich przekonała. Bała się, że po jej śmierci Adam znowu przygarnie jakąś kobietę, ożeni się z nią i będzie po ptakach. A tak chociaż Bruno skorzysta.

No i kupili ten telewizor. Na szczęście gdy Genowefa włożyła okulary, widziała wszystko, co jest napisane na pilocie, i umiała go włączyć. Oglądała jeden program informacyjny, programy przyrodnicze, a najbardziej kochała wszelakie opowieści o zbrodniach.

– Babcie moich kolegów to tylko oglądają romanse – powiedział kiedyś Bruno. –

Zdziwili się, że nie chcą oglądać z nimi kolejnego sezonu *Domu z papieru*, bo zaplanowałem wspólny maraton filmowy z babcią.

– W moim wieku to jedyny maraton, na jaki mogę sobie pozwolić. – Genowefa zachichotała. – Te inne możesz dzielić z nimi, ja biegać nie będę.

– Nie jest tak źle. Przecież dobrze sobie radzisz.

Genowefa usiadła tuż przy nim i położyła swoją dłoń na jego kolanie.

– No właśnie. Czy ty mógłbyś jakoś kupić mi balkonik?



– Balkonik?

– No ja wiem, że to upokarzające chodzić z balkonikiem...

– Babciu, ty masz osiemdziesiąt osiem lat!

– Kobiecie się wieku nie wypomina – obruszyła się staruszka. – Ja po prostu chciałabym taki balkonik, bo z tą laską czuję się trochę niekomfortowo. Wiesz, może i dostojnie wyglądam, ale myślę sobie, że balkonik doda mi wolności. Będę mogła sama iść na spacer.

– Babciu, ale ja z tobą mogę iść na spacer!

– Dziecko, ty na spacer sobie chodź z jakąś cztery razy młodszą ode mnie. Chociaż... ona wtedy miałaby dwadzieścia dwa lata... – Zmarszczyła brwi. – Za stara dla ciebie. No ale wiesz, o co mi chodzi, znajdź sobie dziewczynę w swoim wieku, a ja sobie znajdę towarzystwo w swoim. Już nawet mam kogoś na oku, tylko muszę go bliżej poznać. Balkonik mi załatw. Tylko tak, żeby się ojciec nie dowiedział, bo zaraz będzie mnie ciągał po lekarzach, a tych mam dość. Przeleję ci pieniądze tym *blimpem* czy jak mu tam.

– Blikiem.

– No właśnie. Sam sobie przelejesz, bo ja nic nikomu nie przelewam, tyle się teraz słyszy o tych oszustwach na wnuczka. Ja wnuczka mam jednego i jak coś potrzebuje, to sam sobie przelewa, bo do wszystkiego ma dostęp. Ja to jestem sprytna!

\*\*\*

Genowefa Szymczak była nad wyraz ostrożna w swoich działaniach. Nie puszczała nikomu żadnych pieniędzy *blimpem* ani niczym innym. Najchętniej wszystkie swoje oszczędności trzymałaby w domu, zaszyte w poduszce, ale po tych wszystkich programach kryminalnych w telewizji oglądanych wieczorami zdawała sobie sprawę, że nie byłoby to zbyt rozsądne, a Genowefa była nader roztropną starszą panią.

Miała konto w banku, później dla asekuracji podpisała pod nie konto wnuka, gdyż ufała mu bardziej niż swojemu synowi.

– Ty pamiętaj te wszystkie hasła – powiedziała. – Na mnie w tej kwestii nie licz. I tak bez ciebie nic nie będę nikomu przelewała. Pamiętasz ten program, który oglądaliśmy razem?

Bruno pamiętał. Sam był zadziwiony, że babcia ma do niego takie zaufanie, że wszystko mu powierza. Cały majątek.

– Nie boisz się, że wszystko wydam?

– Pamiętaj, dzieciaku, wszystko po mnie odziedziczysz. To wszystko będzie twoje. – Machnęła ręką wokół. – Jak teraz rozpirzysz na głupoty, później nic nie będziesz miał. – Wzruszyła ramionami.

– Ty też nie będziesz miała.

– E, nie dacie mi z głodu umrzeć. A co mnie, starej, więcej potrzeba? Zresztą ja jem tyle co wróbel. Karmię je czasem, to wiem, tu skubną, tam skubną.

– Zdumiewasz mnie, babciu!

\*\*\*

– Zdumiewasz mnie, mamó – powiedział jego ojciec kilka chwil później.

Genowefa rzadko widziała jakiegokolwiek podobieństwo pomiędzy swoim jedynym synem i jedynym wnukiem, ale tym razem byli zgodni jak nigdy.

- A to niby dlaczego?
- Oddajesz w ręce nastolatka cały swój majątek!
- No powiem ci, że w kwestii majątku bardziej ufam jemu niż tobie. – Sceptycznie spojrzała na Adama.
- Przecież ja dobrze zarabiam i majątek mam całkiem spory! – obruszył się.
- O właśnie! A mógłbyś pracować nieco mniej albo nawet wcale. Bo gdyby nie wszystkie twoje żony, którym chciałeś zabezpieczać przyszłość, to mógłbyś teraz leżeć do góry brzuchem i nic nie robić. Tyle dobrze, że wnuk mi się udał i przyzwyczaiałam się do tego, że mam jednego, chociaż innych też bym pewnie pokochała, gdybyś się nie zabezpieczał...
- Mamo!
- No co, mamo? To, że kochliwy jesteś, to jeszcze jestem w stanie znieść, ale dlaczego tak szybko podejmujesz życiowe decyzje? Śluby jakież...
- No ja jak w biznesie, tak samo w życiu...
- Dziecko, o ile w biznesie czas się liczy, o tyle w życiu prywatnym mniej. Chociaż... Chociaż czasem się liczy, ale w relacjach, a nie w zbędnej papierologii.
- Ślub to nie jest zbędna papierologia. Ja je wszystkie naprawdę kochałem.
- To kochaj je sobie bez świstków. W kochaniu żaden ślub nie pomaga, a czasem nawet przeszkadza. One bardziej kochały twoje decyzje biznesowe. Te trafne, które generowały pieniądze. Wszystkie oprócz Darii. No ale takiej to ze świecą szukać. – Spojrzała na toaletkę, na której stało zdjęcie jej syna z piękną kobietą. Uśmiechnęła się bezwiednie.
- Mamo!
- Mamo, mamo! Umiesz ty, dziecko, zarabiać ogromne pieniądze, ale wcale się one ciębie nie trzymają. Pozwól więc, że ja będę swoje pieniądze trzymała blisko siebie. A tobie, Brunonku, powiem, że nie ma nic lepszego, jak oddzielne konta i niezależność finansowa. Wtedy od razu wiesz, czy kobieta kocha ciębie czy twoje pieniądze.
- Jak na razie, babciu, jestem zależny finansowo od ciębie i ojca.
- Ode mnie sobie możesz być. – Genowefa machnęła ręką. – Ojciec i tak ci nic nie da, bo mówi, że masz się nauczyć zarabiać. Pewnie! Ale jeżeli wiesz, że masz zaplecze finansowe, to łatwiej podejmujesz wyzwania.
- Jest wtedy mniej ostrożny – próbował tłumaczyć Adam.
- Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. Czasem warto ryzykować.
- Właśnie. Nie boisz się, że wyda twoje pieniądze na głupoty? Na alkohol? Narkotyki?
- Adaś! Gdyby Bruno chciał, dawno by sobie nakupował alkoholu i narkotyków. Tyle że wystarczyłoby dla nas wszystkich. – Zerknęła przez okno. – I jeszcze byśmy sąsiadów obdzielili.
- Niby gdzie by to kupić?
- Wszędzie. Oglądamy z Brunonkiem telewizję i widzimy, co się dzieje. Ty non stop pracujesz, to nawet nie wiesz. Czy gdybyśmy chcieli kupić narkotyki, wiedziałbyś, wnusiu, jak je załatwić?
- Bruno spuścił oczy i wzruszył ramionami.
- Widzisz. Trzeba tak wychować dziecko, by miało tuż obok siebie wszystkie pokusy i nie sięgało po nie. I powiem ci, Adamie, że wspólnymi siłami to się nam jakoś udało. –

Poklepała syna po ramieniu. – A co do tego, czy wyda wszystkie moje pieniądze... – Zamyśliła się. – Pamiętaj, nie sztuką jest nie zjeść cukierka, gdy się go nie ma. Sztuką jest go nie zjeść, gdy się ma barek pełen słodczy. To co, po cukiereczku? – Genowefa wstała i otworzyła barek, jak zawsze wypełniony łakociami.

– Ja dziękuję – powiedział Adam, z trudem się powstrzymując.

– Nie to nie. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Będzie więcej dla nas. – Postawiła talerz ze słodyczami na stole.

– Kiedyś czytałem o teście samokontroli dla dzieci – powiedział Bruno. – To test odroczonej gratyfikacji. Mnie się wydaje, że babcia testuje mnie tak przez całe życie. Jak teraz nie wydam jej pieniędzy, potem będę miał więcej.

– O, ciekawe! – zainteresowała się Genowefa, rozwijając paperek od czekoladowego cukierka.

– Test polegał na tym, że dzieciom pokazywano przepyszne słodkie pianki i dawano im wybór. Mogły od razu zjeść jedną albo poczekać dłuższą chwilę i zjeść dwie.

– Wybór oczywisty – stwierdził Adam.

– Czyżby? – zdziwiła się Genowefa. – Ty byś pozał piankę od razu. Przecież się zenisz natychmiast z pierwszą lepszą, zamiast poczekać na księżniczkę z bajki. Pamiętaj, synu, odroczone gratyfikacja. Jak chwilę poczekasz, porandkujesz, to z pewnością znajdziesz lepszą! Zupełnie tak jak Bruno, jak poczeka z trwonieniem kasy, to z tej mojej emerytury i ze spadku po twoim ojcu nabiera się dużo więcej. Pracowałam całe życie, miałam tylko jednego męża – i o jednego za dużo – to pieniądze się mnie trzymają. Podobnie jak będą się trzymać mojego wnuka. To dziedziczne w drugim pokoleniu.

Adam westchnął. Aczkolwiek szóstym zmysłem wyczuwał, że jego matka miała rację. Jak zawsze.

\*\*\*

Genowefa gderała, ale robiła to z miłości. Miała tylko ich dwóch i uważała, że kto jak kto, ale oni obaj od tego życia nieźle w tyłek dostali. Wcale na to nie zasłużyli i naprawdę miała nadzieję, że dożyje tego dnia, kiedy będą szczęśliwi. O ile Bruno nie wydawał się specjalnie pogubiony, o tyle Adam był jak dziecko we mgle. Staruszka nie należała do osób, które specjalnie się umartwiają albo rozpaczają nad krzywdami, które los na nie zesłał, ale tutaj trzeba było stwierdzić fakt – nie było lekko. Najpierw nie było lekko ze względów niezależnych od kogokolwiek z jej rodziny, a potem już zdecydowanie zależnych. Od jej syna. I musiała bardzo pilnować, by Bruno w tym wszystkim jakoś dał sobie radę i wyrósł na fajnego faceta. Tak sobie czasem na niego patrzyła i była dumna z siebie, że to się udało.

Adama wychowywała sama. Jak to zawsze mówiła, była silną, niezależną kobietą i nigdy nie chciała, by jakiś mężczyzna ją „szlifował”.

– Jesteś moim diamentem – mówił jej mąż Remigiusz.

Wtedy jej się to podobało. Odbierała te słowa jako najpiękniejszy komplement. Nie spodziewała się tylko tego, że Remigiusz będzie chciał ją szlifować, by stała się brylantem.

Poznała go na jednej z potańcówek. W czasie wakacji dorabiała sobie jako barmanka w kantynie w jednej z nadmorskich miejscowości nieopodal Ustki. Przychodzili tam żołnierze z pobliskiej jednostki. Nie wiedziała, czy byli na przepustce, czy po prostu się

urwali z jakichś manewrów. Od razu zwrócił jej uwagę. Wysoki, potężny, charyzmatyczny. Śpiewał tubalnym głosem. A kiedy do niej podszedł i poprosił o piwo, patrząc jej prosto w oczy, już była jego.

Dlatego też nie lubiła tego, że Adam się tak szybko zakochał na śmierć i życie. Tak jak kiedyś ona. I, jak wiemy, poza synem i wnukiem nic dobrego z tego nie wyszło. Po prostu widziała w Adamie siebie. Swoje odbicie sprzed lat w zwierciadle, które potem rozprysło się w drobny mak.

Remigiusz nie był dobrym człowiekiem. Wiele lat go tłumaczyła. Bo wojskowy, bo tam został nauczony porządku i bezwzględnego posłuszeństwa. Bo nie miał wyjścia i nie mógł inaczej...

Na początku podobała jej się ta jego charyzma, poukładanie, dyscyplina, jednak potem coraz bardziej zaczynała ją to uwierać.

Za mąż wyszła dwa miesiące po pierwszym spotkaniu. Był piękny ślub, potem cudowne chwile, kiedy wyjechali na tydzień do Zakopanego. Prawie nie wychodzili z pokoju. Myślała, że to dlatego, iż nie mogą się sobą nasycić, prawda była zupełnie inna...

Jej mąż był chorobliwie o nią zazdrosny. Nie pozwalał jej na nic. Spódniczki zawsze były zbyt krótkie, dekolty zawsze zbyt wyzywające. Spacery zawsze zbyt długie i zapewne w nieodpowiednim towarzystwie. Musiała zrezygnować z pracy, z przyjaciół. Po roku małżeństwa jedynym miejscem, dokąd mogła wychodzić, był kościół, lecz wkrótce i tam nie było jej wolno przebywać.

Tłumaczyła go długo. I pewnie nadal by go usprawiedliwiała, gdyby nie pierwszy siniak na jej policzku i pierwszy guz, który rósł szybciej, niż zdążyła pójść po zamrożone mięso, by przyłożyć sobie do głowy.

– Obcego faceta do domu zaprosiłaś! – krzyczał. – I jak na niego patrzyłaś!

– Rany boskie! To był kominiarz! – próbowała się tłumaczyć.

– Mówiłem ci, że jeżeli zobaczę u nas w domu jakiegoś obcego gacha, to będziesz miała kłopoty! I co? Wracam zmęczony ze służby i widzę tego łachudrę!

– Remigiusz, opanuj się! To przecież był kominiarz! Przyszedł sprawdzić, czy przewody wentylacyjne są drożne.

Wtedy ścisnął mocno jej ramię, popatrzył jej głęboko w oczy i wysyczał:

– Żadnych innych facetów w moim domu! Nigdy!

Uderzył ją mocno w twarz. Osunęła się wprost na krawędź łóżka. Remigiusz nawet na nią nie spojrzął, tylko wzburzony wziął płaszcz. Z korytarza usłyszała jeszcze, że jeżeli zobaczy kiedykolwiek w ich domu innego mężczyznę, to ją zabije. Nie wątpiła w to.

Kiedy tylko zniknął za drzwiami, wstała i poszła do kuchni. Usiadła na taborecie przy stole, przykładając do głowy i policzka zimne mięso, które jakiś czas temu zamroziła, i gorączkowo zaczęła się zastanawiać nad swoimi możliwościami życiowymi.

Nie miała nic? Miała wszystko. Miała dwie ręce, głowę, rozum. Miała też rodzinę i przyjaciół, którzy o niej jeszcze pamiętali. A przynajmniej miała taką nadzieję.

Nie zastanawiając się dłużej, uciekła z domu, do którego jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić, bez słowa. Nie zabrała nic, poza walizką ze swoimi rzeczami. Nie chciała,

by ją gonił, oskarżał, domagał się zwrotu pierścionka, który jej kupił, czy perełek, które włożyła na ślub.

Jak się później okazało, przyjaciele byli jej bardzo potrzebni, bo nie uciekała sama. Pod jej sercem rosło już nowe życie. Adam.

\*\*\*

Kiedy się o tym dowiedziała, najpierw była przerażona. Nie wyobrażała sobie, jak to się wszystko poukłada.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży – pocieszała ją Klara. Ta, która potem, kiedy miały lat osiemdziesiąt, grała z nią w garibaldkę. – Będiesz jeszcze szczęśliwa, że go masz. Zobaczysz.

– A jak mi go Remigiusz zabierze?

– No co ty! Jest wygodnicki. Poza tym... – Roześmiała się. – Mały z pewnością będzie podobny do kominiarza!

\*\*\*

Adam na szczęście nie był podobny do Remigiusza. Pewnie gdyby ten kiedykolwiek go zobaczył, uznałby tę okoliczność za dowód zbyt bliskiej zażyłości Genowefy z kominiarzem, sprzedawcą czy jakimkolwiek sąsiadem. Zresztą taką prowadził narrację w miasteczku, w którym mieszkali. Że żona się z kimś puściła i musiał ją po prostu wypędzić z domu. Nie spodziewała się, że z niego taki konfabulant. Może po prostu nie chciał się przyznać do swojej porażki.

Nie szukała go. Przez długie lata nie był jej do niczego potrzebny.

Na początku zatrzymała się u Klary, potem, gdy przyjaciółka wyszła za mąż, odstąpiła jej swoje mieszkanie. Genowefa pracowała w domu, przepisując teksty na maszynie. Mąż Klary (ten trzeci do brydża) był wykładowcą na uniwersytecie i przynosił jej zlecenia. Pisała magisterki, rozprawy doktorskie i inne teksty naukowe. Na początek tyle jej wystarczało, by przeżyć. Potem Adaś poszedł do żłobka, a Genowefa dostała etat w dziekanacie i powoli wszystko wracało do normy.

Kilka lat mieszkała u Klary, a potem zmarli jej rodzice i odziedziczyła domek na Mazowszu. Domek sprzedała i kupiła niewielkie mieszkanie w kamienicy na pierwszym piętrze. To obok Domu Seniora Happy End.

Była szczęśliwa. Umiała tak sobie zorganizować życie, by to szczęście łapać pełnymi garściami.

Do Ustki po raz pierwszy pojechała, gdy Adaś miał dziesięć lat. Ktoś życzliwy podrzucił jej nekrolog, informujący, że kapitan Remigiusz Nawrocki poległ, służąc ojczyźnie. Wycinkowi z gazety towarzyszył list i kilka zdjęć. Dom, w którym mieszkała, samochód, którym jeździł jej mąż, i informacja, że jest o co walczyć. Nie walczyła zbyt długo. Zgodnie z prawem dziedziczenia należał jej się majątek męża. Dzieci żadnych więcej nie miał, żony innej też nie, bo przecież na papierze wciąż był w związku małżeńskim z Genowefą.

Kiedy sprzedała wszystko, co do niego należało, dopiero poszła na cmentarz. Usiadła na ławeczce przy sąsiednim grobie. Nie mogła się przemóc, by podejść bliżej.

– Znała go pani? – Tuż obok niej przycupnęła jakaś kobieta.

– Znałam.

- Kawał drania z niego był.
- Fakt.
- Podobno ta jego żona też nieźle go wyrolowała. Odeszła od niego bez słowa. Zostawiła go i się chłopina stoczył. Z rozpaczy skoczył do morza.
- Rozpaczał po niej? – beznamiętnie zapytała Genowefa.
- Czy ja wiem? Rozpaczał w ramionach innych.
- Dzieci miał?
- Nie wiem, ze mną nie miał. – Uśmiechnęła się smutno. – Niestety... Odziedziczyłyby wszystko po nim.
- W pani ramionach też rozpaczał?
- Nie. W jego ramionach ja rozpaczałam. Bo nigdy mnie nie pokochał, tak jak kochał ją. I nie mogłam tego przeżyć. Lafirynda z niej była, proszę pani. A przynajmniej tak mówili na mieście.

\*\*\*

Genowefa nie mogła zrozumieć takiej miłości. I tak naprawdę nie chciała. To był ostatni raz, gdy w ogóle mąż zaprzętał jej głowę. Kiedy załatwiła wszelakie formalności, odetchnęła z ulgą. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym domem, z tym miejscem. Na wakacje nad polskie morze nie jeździła przez lata i nikt tak naprawdę nie wiedział dlaczego. A ona nikomu się nie zwierzała. To właśnie wtedy, kiedy siedziała nad grobem ojca swojego syna, postanowiła, że wychowa swoje dziecko tak, by nigdy nie skrzywdziło żadnej kobiety. I by każdej nieba przychylił. I jak się później okazało, nawet w tej kwestii można przedobrzyć.

\*\*\*

Adam był fantastycznym dzieckiem, a później fantastycznym młodym człowiekiem. Długo zdawał się w ogóle niezainteresowany kobietami, aż w końcu poznał Darię. I nie wiadomo, kto w Darii był bardziej zakochany, on czy jego matka. Dziewczyna była młodsza od Adama o ponad dziesięć lat, ale sprawiała wrażenie dużo dojrzalszej.

- Po kolei... – Śmiała się. – Najpierw skończę studia, a potem ślub.
- Ja bym chciał natychmiast.
- „Ja też” – dodawała w myślach Genowefa.
- Co nagle, to po diable. – Studziła zapędy obojga.
- Diabła w to nie mieszaj. – Adam kręcił głową. – To kiedy obrona magisterki?
- A po co ci konkretna data?
- No jak to po co? Na zapowiedzi trzeba dać, salę rezerwować, kieckę białą kupić. Powiedziałaś, że ślub po magisterce!

Kiedy Genowefa zamykała oczy, to słyszała jej zaraźliwy perlisty śmiech. Żałowała często, że wtedy nagrywanie filmów nie było tak popularne, bo mogłaby go chociaż jeszcze raz usłyszeć, odtworzyć w chwilach zwątpienia.

Daria zmarła, kiedy Bruno miał półtora roku. Genowefa do tej pory nie mogła sobie wybaczyć, że szybciej nie wygoniła jej do lekarza. Może jakoś by zaradził, pomógł, uleczył. Niestety, było za późno.

- Ty masz lepiej – powiedział kiedyś Bruno do ojca. – Bo ją pamiętasz. Pamiętasz chociaż jedną jej wadę, pamiętasz to, jak była zła na ciebie albo się pokłóciliście. Ja znam

ją tylko z opowieści twoich i babci. A w tych opowieściach mama była bez wad. Idealna.

– Bo była bez wad – westchnął Adam. – Nie kłóciliśmy się wcale. Nigdy nie była zła. Genowefa słuchała tych słów i skłonna była mu przytaknąć, trzymając rękę na sercu.

\*\*\*

Adam starał się być dla Brunona i ojcem, i matką, jednak nie bardzo mu to wychodziło. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że matkę, a w szczególności Darię, będzie mu trudno zastąpić. Bruno pomieszkiwał to u Genowefy, to u niego. Adam uciekał w pracę, a w wolnych chwilach szukał nowej matki dla syna.

– Nic na siłę – przekonywała Genowefa.

Adam nie słuchał.

Najpierw była Laura. Po miesiącu się jej oświadczył i szybko wzięli ślub. Równie szybko spragniony matczynego ciepła Bruno zaczął mówić do niej „mamo”. Związek trwał dwa lata. Tuż po tym, jak Adam kupił większe mieszkanie i mieli się do niego przeprowadzić we trójkę, zastał w nim Laurę w dwuznacznej sytuacji z innym mężczyzną.

Nawet nie pytał. A ona nic nie mówiła. Rozwód dostali szybko, bez orzeczenia o winie. Adam wrócił do swojego starego mieszkania, Bruno zamieszkał u babci, a Laura wraz ze swoim nowym narzeczonym wyla gniazdko w mieszkaniu kupionym przez Adama.

Potem była chwila spokoju. Do czasu, gdy Adam poznał Kalinę. Historia się powtórzyła, może nie z kolejnym gachem, ale z rozwodem. Również zostawił Kalinie mieszkanie. Ładnie wyremontowane, w starej kamienicy.

I kiedy już się wydawało, że Genowefa odzyskała względny spokój, na horyzoncie pojawiła się Jessica. Albo Dżesika. Genowefa nie śmiała zapytać, jak to imię się pisze, ale też miała nadzieję, że nie będzie musiała nigdy tego zapisywać. Bo niby po co?

Jessica tudzież Dżesika była co najmniej dwa razy młodsza od jej syna i – o ile jej wiadomo – miała męża. Prawdę mówiąc, Genowefa była wdzięczna Bogu za tego męża Dżesiki, bo to znaczyło, że minie jeszcze trochę czasu, zanim ta się rozwiedzie i ewentualnie usidli jej jedyne syna.

– A ty nie masz nic przeciwko niej? – zapytała któregoś dnia wnuka.

– A co mam mieć przeciwko? – Bruno wzruszył ramionami. – Tacie się podoba, to jest git.

– Ale to będzie twoja macocha.

– Babciu, jakie to ma znaczenie? Skoro tata jest szczęśliwy...

– No nie pasuje mi ona do ojca, nie pasuje...

Dżesika była jak kobieta żywcem wyjęta z teledysku disco polo. Jak też Genowefa się dowiedziała, nowa wybranka jej syna wielokrotnie w takowych występowała. Kiedy Bruno pokazał jej na Instagramie konto Dżesiki, mogła sama przeczytać, że jej specjalnością jest twerking.

– Co to jest twerking? – zapytała Genowefa.

– Taki taniec, babciu.

– Taniec? – zdziwiła się. – Coś jak samba? Rumba, tango albo walc?

– No chyba niekoniecznie – powiedział Bruno. Przez chwilę znalazł w internecie filmik, na którym można było zobaczyć twerkującą Dżesikę.

Niestety, jego wścibska babcia, zerkając mu przez ramię, to zobaczyła. A, prawdę mówiąc, wolałaby nie widzieć....

Dzień, w którym Genowefa dowiedziała się, czym jest twerking, był dniem, w którym zaczęła odrywać kartki z kalendarza i wbijać je na specjalny szpikulec, odliczając. Wierzyła, że dobry Bóg ma nad nią litość i nie będzie zwlekał z tym, by jej chwilowo zamroczony na umyśle syn wreszcie odzyskał swoją codzienną mądrość życiową i przejrzał na oczy.

W życiu by nie podejrzewała, że z potrząsania tyłkiem można zrobić sposób na życie. Też coś! Za jej czasów chyba tego nie było.

\*\*\*

Natomiast Walerian Kosmowski nie zdierał kartek z kalendarza i nie nabijał ich na specjalny szpikulec. Miał szpikulec, a jakże, którym wydrapywał kreski na płócie. Dzięki tym kreskom wiedział, ile dni już trwa pomrocność, którą ogarnięta była jego wnuczka Klaudia. Jego idealna wnuczka Klaudia, jak zawsze o niej zwykł był myśleć.

Była jedynym powodem, dla którego gotów był zrezygnować z życia, które obecnie wiódł, a które nad wyraz mu się podobało. Równy rok temu przekroczył próg Domu Seniora Happy End i po spędzonych tam pierwszych godzinach doszedł do wniosku, że może tam umierać, byle nie za szybko.

– Klaudusiu, to taka wieczna kolonia dla dorosłych – opowiadał z zachwytem swojej wnuczce. – Niczym dożywotni obóz harcerski!

– Dziadku, ale mówiłeś, że pobędziesz tu tylko przez dwa tygodnie, podreperują cię i do mnie wrócisz!

– I podreperowali! – zawołał donośnym głosem Walerian. – A zobacz, jak zostanę tutaj dłużej, to w jakiej będę formie!

– Dziadku, ale ja nie mogę cię oddać do domu starców! – denerwowała się Klaudia.

– Ależ ty mnie nigdzie nie oddajesz! Ja wręcz tobie uciekam! Zwiewam z domu!

– Ja tobie nigdzie nie uciekałam...

– Bo ty byłaś dobrze wychowana. – Uśmiechnął się. – Przeze mnie. A ja? Cóż... Trochę gorzej.

– Dziadku...

– Klaudia, naprawdę będzie mi tu dobrze. Nie musisz się mną zajmować. Ja nawet tego nie chcę. Nie chcę, by towarzyszenie mi wiązało się z poczuciem obowiązku. Bo trzeba mi dać jeść, pomóc mi się ogarnąć... Ja chcę, byś przyszła tu raz na jakiś czas na kawę i po prostu ze mną pogadała. Bo chcesz, bo się lubimy, a nie dlatego, że musisz.

– Ale nie jest ci przykro?

– Przykro? Skąd! Mówiłem ci, to najlepsze kolonie, na jakich w życiu byłem. Jak chcę mieć święty spokój, mam święty spokój, jak potrzebuję towarzystwa, zawsze je znajdę. Dostanę jeść i pić, nie ma nudy. W poniedziałek brydż, we wtorek mamy bingo. W środę puszczają seriale, ja telewizji nie lubię, to siedzę w pokoju i rozwiązuję sudoku. W czwartek przychodzą dzieciaki z pobliskiego liceum. Mają za zadanie nas zabawiać. Na początku nie wiedzieli, jak się zachowywać i o czym z nami gadać, ale w pewnym momencie ich olśniło, że my jesteśmy dokładnie tacy sami jak oni. Z jednym ciągle wygrywam w szachy, ale skubaniec się uczy i myślę, że już wkrótce przegram. Piątki



mamy wolne, ale pani Krystyna włącza radio i się kołyszemy do muzyki. Kto może, ten tańczy. Ostatnio nikt nie mógł. – Walerian zarechotał.

– No dobrze... – westchnęła Klaudia. – Ale jak tylko będziesz chciał wrócić do domu, to powiesz?

– Powiem. Pewnie, że powiem.

– Kocham cię, dziadku.

– Ja też cię kocham.

– A co u ciebie tak poza tym? – Walerian uśmiechnął się do wnuczki.

– Poznałam kogoś... – Zarumieniła się. – I chyba się zakochałam!

\*\*\*

Dzień, w którym Klaudia opowiedziała o Kacprze, nie był jeszcze dniem, w którym Walerian zaczął rysować kreski na płocie. Tym dniem nie był również ten, gdy zauważył, że Klaudia płakała. Nie był również nim ten, kiedy przyszła, próbując ukryć siniaka pod mocnym makijażem.

– Uderzyłam się w szafkę kuchenną. – Roześmiała się. Kochał jej śmiech, jednak od pewnego czasu zauważał w nim pewnego rodzaju melancholijną nutę. – Gapa ze mnie straszna.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał, patrząc na nią uważnie.

– Pewnie – powiedziała szybko. Nieco zbyt szybko.

– Nie kręcisz? – Walerian spojrzał wnuczce głęboko w oczy.

– Nie do końca... Kacper pije. Za dużo pije. Pije i chyba jeszcze coś. Nie wiem. Nie przyłapałam go na tym, ale po prostu to wiem. Obiecywał mi wielokrotnie, że przestanie, ale nie daje rady. Muszę coś z tym zrobić.

– Ty nie musisz. On musi. Dopóki nie odbije się od dna, nie przestanie.

– Nie mogę mu pozwolić znaleźć się na dnie.

Walerian zaczął rysować kreski na płocie tego dnia, gdy Klaudia zadzwoniła do niego, że nie może przyjść w odwiedziny. Chyba się bała, że tym razem nie zdoła ukryć siniaków pod grubą warstwą pudru. Obiecał sobie, że jeżeli to wszystko nie skończy się w ciągu dwóch miesięcy, to wróci do domu, do wnuczki, i mimo że był już stary, to zrobi z tym porządek. „Stary” nie zawsze znaczy „niedołężny”.

Codziennie oprócz rysowania kreski na płocie je liczył. Tuż przed Wigilią było ich czterdzieści. Do podjęcia ważnej dla niego decyzji pozostało dwadzieścia dni. Miał nadzieję, że opatrność czuwa nad nimi wszystkimi i Klaudia zauważy w końcu, że litość i troska nie mogą być jedynym powodem, by z kimś planować wspólną przyszłość.

\*\*\*

Genowefa jak co rano wyjrzała przez okno. Oczywiście najpierw zerwała kartkę z kalendarza i nabiła ją na szpikulec. Stosik niepokojąco rósł. Zajrzała na Instagrama, który założył jej Bruno. Nie udostępniała tam żadnych zdjęć, bo jeszcze nie do końca odnajdywała się w tym świecie, ale obserwowowała tam dwie osoby: Brunona i Twerky Jessicę, czyli efekt chwilowego – jak miała nadzieję – zaćmienia umysłowego jej mądrego syna.

Naprawdę starała się do niej przekonać, argumentowała to sobie na wszelkie sposoby, ale gdy już było lepiej, Dżesika wrzucała do internetu coś tak durnego, że Genowefa

przypominała sobie od razu, dlaczego musi być w dobrym stanie fizycznym – by dożyć chwili, kiedy drogi jej idealnego syna i zdecydowanie mniej idealnej Dżesiki się rozejdą.

Na szczęście dziewczyna od tygodnia wrzuciła tylko jedno zdjęcie. Z jakiejś imprezy, na której była z innym facetem (hurrra!). I na dodatek pod tym zdjęciem jej syn nie dał serduszka. A wszystkie inne serduszkował, co Genowefa, niczym stalker z powołania, dokładnie sprawdziła, przy nieznaczonej pomocy Brunona. Wszystko było na dobrej drodze, ale – jak to się mówi – nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. Zachód słońca jeszcze nie nadszedł, więc należało zacząć dzień jak zawsze. Od ruchu.

W celu poprawy kondycji fizycznej Genowefa regularnie się gimnastykowała. Odkąd codziennie wymachiwała z rana rękami i oglądała się za siebie, wstawiała bez bólu kręgosłupa. Zaskakujące, nieprawdaż? Przecież się mówi, by w życiu nie oglądać się za siebie. Ona przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent swojego życia tego nie robiła, teraz zaczęła i już były efekty. Trzy skłony, pięć razy krążenia biodrami w jedną stronę i pięć razy w drugą...

Odsunęła zasłonkę i otworzyła okno. Mroźne grudniowe powietrze wpadło do pokoju. Podobno to zdrowe. Przeciągnęła się kilka razy. Mężczyzna, którego od pewnego czasu obserwowała, właśnie wyszedł z sąsiedniego domu. Czyżby ją zauważył? Pomachał jej! Spłonęła rumieńcem. Zupełnie jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Kiedy to było? Przecież całkiem niedawno! Jakoś wczoraj!

\*\*\*

Walerian jak co dzień wyszedł na dwór. Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien narysować kreskę na płocie, jednak uznał, że wprawdzie wszystko jest na dobrej drodze, ale jeszcze nie przecięto linii mety. Zatem trzeba rysować.

Tydzień wcześniej odwiedziła go Klaudia z płaczem, że Kacper od niej odszedł. Walerian ze wszystkich sił musiał się powstrzymać, by nie okazać swojej niebywałej radości, czym niewątpliwie skrzywdziłby wnuczkę. Aby nie zauważyła jego prawdziwych emocji, przytulił ją po prostu do piersi. Ona płakała, a on ją głaskał po jasnych włosach.

– Nie płacz, dziecko. – Starał się ją pocieszać, ale wiedział, że gdy chodzi o kobiece zawody miłosne, żadne słowa pocieszenia nie wystarczą. – Albo może płacz? Przecież jak wszystko wypłaczesz, to będzie ci lepiej. Kiedyś te łzy się skończą. I nastanie nowy dzień. Może to źle, że ludzie powstrzymują łzy?

Walerian naprawdę musiał się gryźć w język, by nie mówić wnuczce prawd życiowych, jakich nasłuchał się od swoich rodziców i dziadków. Że tego kwiatu jest pół świata, że po burzy nadejdzie spokój, że rycz, mała, rycz i tak dalej... Bardzo musiał się powstrzymać, więc tylko przytulał, głaskał i nic nie mówił. To jej było najpotrzebniejsze.

\*\*\*

Kiedy tak rozmyślał o tym, co się wydarzyło w ubiegłym tygodniu, zauważył starszkę w oknie naprzeciwko. Miał wrażenie, że już ją dobrze znał, bo często towarzyszyła mu w jego codziennym rytuale. Teraz miał nowe, dobrze dobrane okulary, więc mógł po raz pierwszy dokładnie się jej przyjrzeć. Była mniej więcej w jego wieku i wyglądała bardzo sympatycznie. Uśmiechnął się i odważył się jej pomachać. Po prostu impuls. Nawet nie zastanawiał się nad tym, co robi. Kobieta w oknie najwyraźniej była zaskoczona. Najpierw

stanęła bez ruchu, a potem chyba się zaczerwieniła, bo dotknęła dłońmi policzków. Po czym podniosła rękę i mu szybko odmachnęła. Poczł się jak sztubak. Jak kiedyś, na obozie harcerskim, gdy podglądał dziewczyny kąpiące się na drugim brzegu rzeki i one go zauważyły. Kiedy to było? Minęło już wiele lat. A wydawało się, że to było tak niedawno. Zaledwie wczoraj.

\*\*\*

– Ojciec chyba się rozstał z Dżesiką. – Bruno wparował po szkole. – Babcia, przyniosłem pizzę, bo dziś muszę lecieć.

– A gdzie ty lecisz?

– Ciągłe zapominam ci powiedzieć. Mieliśmy wolontariat i chodziliśmy do tego domu naprzeciwko. Mieliśmy zabawić pensjonariuszy.

– W zabawianiu staruszków ty jesteś całkiem niezły. Masz przecież szesnastoletnie doświadczenie w zabawianiu swojej babci. Nie narzekam.

– Właśnie. Bo ja tam z takim panem Walerianem gram w szachy. Jeszcze nigdy nie wygrałem, ale czuję, że dziś jest ten dzień. Nie obrazisz się, jak pójdę?

– Dlaczego miałabym się obrazić? Ograj go! I jak tylko to się stanie, wyślij mi wiadomość!

– Babciu, a oni organizują wigilię. I zaprosili nas, wolontariuszy. I powiedzieli, że możemy przyjść z osobami towarzyszącymi. Czy...

– Ale co ty mnie pytasz? Pewnie, że możesz iść.

– Babciu, ale czy ty byś poszła ze mną?

Genowefa popatrzyła na wnuka. Spoglądał na nią tymi swoimi mądrymi oczami. Jaki to był świetny chłopak! Dobrze go wychowali!

\*\*\*

### *Wigilia w Happy Endzie, tego samego roku*

Genowefa najpierw usłyszała śmiech. Nie mogła w to uwierzyć. Miała déjà vu. Tak śmiała się tylko Daria. Szybko spojrzała w tamtą stronę. Przy pianinie siedziała młoda, na pierwszy rzut oka trzydziestoletnia kobieta i wraz ze starszym mężczyzną próbowali grać na cztery ręce *Przybieżeli do Betlejem*. Zupełnie im to nie wychodziło, więc zaśmiewali się do łez.

– Babciu, przedstawię cię – powiedział Bruno, prowadząc staruszkę do pianina. – To pan Walerian. Ten, z którym raz wygrałem w szachy.

– My... My się chyba znamy. – powiedziała cicho Genowefa. – Ja... Ja pana czasem widzę przez okno.

– Panienska z okienka? – Ucieszył się.

– Z okienka tak, ale nie panienska. – Zarumieniła się jak dzierlatka.

– To moja wnuczka – przedstawił dziewczynę. – Klaudia.

– A to mój wnuk. Bruno. Ale przecież wy się znacie.

Genowefa chwilę milczała, jakby nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

– Przepraszam, że nie umiem się wysłowić. – Spojrzała na Klaudię. – Ale bardzo mi pani kogoś przypomina.

– Ja już poznałem Klaudię. – Bruno się uśmiechnął. – Właściwie to od pierwszego spotkania mam wrażenie, że znam ją całe życie. Gra tutaj na pianinie, czasem się

wydujemy i próbuję grać razem z nią, ale chyba lepiej mi szachy wychodzą. Szczególnie ostatnio. – Uśmiechnął się zadziornie do Waleriana, a Klaudia się roześmiała.

Kolejne déjà vu... Genowefa zamknęła oczy i w myślach znowu zobaczyła Darię. Wyraźnie jak nigdy. Wzięła głęboki oddech.

– Źle się pani czuje? – zapytał z troską Walerian. – Może pani usiądzie? – Przysunął jej krzesło.

– Może ja zadzwonię po tatę? – Bruno się zdenerwował.

– Wszystko jest w porządku, ale racja, zadzwoń po tatę. Koniecznie musi tu przyjść. – Genowefa usiadła na krześle. – Bardzo mi kogoś przypominasz, Klaudio. Jesteś wręcz identyczna...

\*\*\*

Po piętnastu minutach do Domu Seniora Happy End wbiegł zdenerwowany Adam. Życie ostatnio znowu nie szczędziło mu zmartwień. Jego dziewczyna, a w zasadzie eksdziewczyna, utonęła w ramionach innego mężczyzny, a teraz jeszcze Bruno zadzwonił z informacją, że babcia słabiej się czuje. I to kilka dni przed Wigilią! Wszystko naraz!

Stał w progu i rozejrzał się w poszukiwaniu swojej mamy. Na początku nie mógł jej dostrzec. Po chwili jednak zobaczył ją przy pianinie. Siedziała na krześle, obok niej stał Bruno i jakiś potężny starszy pan. A obok... siedziało cudowne zjawisko. Inaczej tej kobiety nie można było nazwać! Od razu mu się zrobiło cieplej na sercu.

A potem usłyszał śmiech. Zamknął oczy i poczuł się jak w niebie. Nie chciał ich otwierać. Bał się, że czar nagle pryśnie. Dziewczyna roześmiała się jeszcze raz. Jak Daria! Jakby wróciła z zaświatów!

Na jego ustach również pojawił się uśmiech. Podeszedł do pianina i położył dłoń na ramieniu matki.

– Dzień dobry – powiedział, patrząc na Klaudię. – Pani mi bardzo kogoś przypomina. I to są najlepsze wspomnienia mojego życia.

Walerian i Genowefa popatrzyli na siebie. Każde z nich zrozumiało, że już nie trzeba liczyć dni, by coś się skończyło. Teraz świat na nowo liczył piękne chwile czegoś, co dopiero rozkwitało.

„Oni nie muszą się spieszyć – pomyślała Genowefa. – Mają czas”. Poczowała na sobie wzrok Waleriana. „A my? My chyba musimy. Ale czy ja jeszcze umiem kochać? Chyba umiem. Przecież to było tak niedawno. Kilka chwil temu. Zaledwie wczoraj”.

*Gdańsk, 30 sierpnia 2023 roku*

# Od autorki

Kochani!

Jak zawsze w moich książkach piszę podziękowania. Te są niemalże takie jak w pierwszym wydaniu książki, chociaż lekko je zmodyfikowałam.

Ta książka to specjalne wydanie. Wydanie filmowe, więc na początku dziękuję Ilonie Łepkowskiej, że... uwierzyła w Mikołaja! Tadeuszowi Lampce, że podzielił jej wiarę i w kinach będzie można zobaczyć fantastyczny film. Ja już go widziałam i Wam go serdecznie polecam!

Wyobrażacie sobie, by pisać świąteczną książkę w ponadtrzydziestostopniowym upale? Kiedy dzieciaki wyciągają cię wciąż do jeziora, słońce cię wyciąga na spacer, las cię też wyciąga... No nie było łatwo! Ale dałam radę, oczywiście po raz kolejny ku swojemu zaskoczeniu.

Pisząc tę powieść, rozmawiałam z wieloma osobami, które nieustająco mnie inspirowały i pomagały mi, bym wytrwale stukała w klawiaturę!

Dziękuję moim dzieciom, Lilce i Mateuszowi, za to, że dzielnie towarzyszyli mi podczas mojej pracy, podawali kawę, herbatę, orzeszki, ciasteczka i inne specjały, bym miała energię do pisania.

Dziękuję Bognie Kozłowskiej za niesamowite opowieści o seniorach. Bogna prowadzi w Gdańsku dom seniora, Centrum Opieki Activ Senior, i tam jest tak cudownie, że mam nadzieję, że za kilkadziesiąt lat przygotuje tam dla mnie pokoik.

Za opowieści dziękuję też Alicji Glinie – nie wykorzystałam wszystkiego, ale wszystko zapisałam. Może będą kolejne części?

Magda Fryt – to było całkiem miłe, gdy puszczałaś mi piosenki świąteczne na YouTube, siedząc na tarasie w pełnym słońcu!

Kasi Kobieli dziękuję za dostarczenie mi gadżetów świątecznych ☺. Bombek i dekoracji – fajnie wyglądały wiszące na drzewkach w środku lata! ☺

Dorota i Andrzej Mysiorowie – ach, jak cudownie się z Wami świętowało zakończenie pisania książki! Myślę, że powinno to przejść do tradycji!

Jak zawsze dziękuję wszystkim, którzy przeczytali tę książkę, zanim jeszcze została wydrukowana: Karolinie Tuszyńskiej, Joli Walusiak-Skorupie, Ani Jeziorskiej, Ani Żochowskiej, Agacie Bizuk, Małgosi Mielcarek-Żuczek, Monice Tresce, Magdzie Fryt, Edycie Pietrzak-Waś. Karolina, Tobie dziękuję za to, że zaśmiewałaś się wraz z Twoją mamą Basią, gdy wysyłałam Ci fragmenty.

Melanii Grygoruk dziękuję przede wszystkim za nieustającą walkę z piratami na okręcie zwanym Chomikiem. Jesteś superbohaterką! Melania ma imię na Twoją cześć.

Wszystkim Czytelniczkom z grupy Fani Książek Magdaleny Witkiewicz Magiczne Miejsce dziękuję za to, że jesteście, piszecie i wspieracie mnie na każdym kroku. Chętnie bym wymieniła kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt nazwisk, ale z pewnością o kimś bym zapomniała. Zatem dziękuję Tobie! Właśnie Tobie! I uśmiecham się do Ciebie!

Ta książka ma specjalną dedykację – dla Kasi i Bartka Kobieliów. Bartek sprzedał mi kawałek najpiękniejszego miejsca na ziemi. Miejsca, które przez ponad 40 lat było przez nas dzierżawione i które bardzo pokochałam. Bartek, nie umiem nawet napisać, jakie to jest dla mnie ważne... Jeszcze raz dziękuję! Myślę, że gdy dzieci dorosną, będę tam siedziała od kwietnia do października. I pisała, oczywiście!

Bardzo dziękuję Ani Seweryn, która dzielnie ze mną wytrzymuje. Nadal! A jakże! I na dodatek nasze więzi się zacieśniają (dopisane w 2023 ☺).

Bardzo lubię mieć kontakt z Czytelnikami.

Jeżeli masz ochotę – napisz do mnie maila: [magdalena.witkiewicz@gmail.com](mailto:magdalena.witkiewicz@gmail.com).

Zajrzyj na moją stronę. Tam zawsze informuję o miejscach, gdzie mam spotkania autorskie: [www.magdalenawitkiewicz.pl](http://www.magdalenawitkiewicz.pl)

Bliżej mnie możesz poznać na Facebooku: [facebook.com/Witkiewicz](https://www.facebook.com/Witkiewicz) oraz Instagramie: [instagram.com/magdalenawitkiewicz](https://www.instagram.com/magdalenawitkiewicz)

I dziękuję, że jesteś! Mam nadzieję, że wierzysz w Mikołaja!

*Magdalena Witkiewicz*

# Od wydawcy

Kochane Czytelniczki i Kochani Czytelnicy!

Powiemy tak – szalejemy!

Nasze wydawnictwo jest na rynku od niespełna dwóch lat, a już wydajemy powieść, którą będziecie mogli zobaczyć w kinach! Jesteśmy z tego ogromnie dumne i wierzymy, że to dopiero początek. Zawsze mówimy sobie, że sytuacja jest elastyczna i dynamiczna, ale tu musimy przyznać, że nawet nas ta elastyczność i dynamiczność zaskoczyła!

Trzymacie przed sobą wydanie filmowe. Dla nas radość ogromna! My już widziałyśmy film. Widziałyśmy go, kiedy za oknem było lato w rozkwicie i bardzo trudno było uwierzyć w Mikołaja. My jednak uwierzyłyśmy! Oglądałyśmy go jeszcze w wersji niedokończonej. Miejscami były green screeny, komentarze na ekranie typu „tu powinno być więcej śniegu”, nie było muzyki. To był niesamowity prywatny seans w siedzibie producenta. Wyszłyśmy zachwycone, dlatego jesteśmy przekonane, że Wam też się ten film spodoba. Od razu po premierze idziemy do kina. Zabieramy tam ze sobą tę książkę! Może też ją weźmiecie i podzielicie się tym w mediach społecznościowych? #zabierzmikołajadokina

Tymczasem trzymacie pierwsze wznowienie książki Magdy w naszym wydawnictwie. Powoli będą się ukazywać kolejne, by nowe czytelniczki i nowi czytelnicy mogli się bawić i wzruszać przy jej powieściach. To wydanie zostało ponownie zredagowane, zyskało też nową szatę graficzną i niespodziankę w postaci napisanego specjalnie na tę okazję pełnego wzruszeń opowiadania. Och, chciałoby się, by powstała z tego powieść. Kto wie, może kiedyś?

Obie czekamy z niecierpliwością na święta, które uwielbiamy! Jesteśmy ciekawe, u kogo ta książka znajdzie się pod choinką. Koniecznie dajcie nam znać. Wrzucajcie zdjęcia z hashtagiem #uwierzwmikołaja i oznaczcie Wydawnictwo Flow i Magdalenę Witkiewicz. Wszystkie drobne gesty pokazujące, że podoba się Wam nasza praca, ogromnie nas radują! Do wszystkiego, co wydajemy, podchodzimy z czułością. Cieszymy się, że to widać i to docenicie.

Mamy nadzieję, że książka i film skradną Wasze serca. Nie porównujemy filmu do książki, a książki do filmu. Sztuka filmowa i literatura rządzą się zupełnie innymi prawami. Cieszymy się ogromnie, że Happy End zyska nowe życie na kinowym ekranie.

Kochani! Korzystając z okazji, że możemy Wam powiedzieć kilka słów, chcemy Wam życzyć tego, byście uwierzyli nie tylko w Mikołaja, ale byście wierzyli w miłość, w radość, w to, że dobro wraca i że po burzy przychodzi spokój. I wiedzieli, że jeżeli nie jesteście teraz szczęśliwi, czasem wystarczy chwilę poczekać, a może odważyć się otworzyć drzwi, za którymi czai się szczęście... Wesołych Świąt!